

BESTSELLING AUTHOR OF THE COFFIN DANCER

JEFFERY DEAVER

ADVANCE READER'S COPY

THE DEVIL'S HEARDROP

A NOVEL OF THE LAST NIGHT OF THE CENTURY

diabła



13395

JEFFERY

DEAVER

ŁZY DIABŁA

Di

Przekład: KONRAD KRAJEWSKI

C&T

TORUŃ

Tytuł oryginału:

THE DEVIL'S TEARDROP

Copyright © 1999 by Jeffery Deaver

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2002

Copyright © for the Polish translation by Konrad Krajewski Opracowanie graficzne:

MAŁGORZATA WOJNOWSKA

Redaktor wydania: PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS”, TORUŃ, tel. (56) 654-82-04

ISBN 83-89064-05-7

Wydawnictwo „C&T” ul. Św. Józefa 79, 87-100 Toruń, tel./fax (56) 652-90-17

Toruń 2002. Wydanie I. Ark. wyd. 17; ark. druk. 18. Druk i oprawa: Zakłady Graficzne im. KEN

SA, Bydgoszcz, ul. Jagiellońska 1

Powieść tę dedykuję Madelyn

II Ostatni dzień roku

Wnikliwa analiza anonimowego listu może w znacznym stopniu zredukować liczbę potencjalnych autorów—

pozwała wykluczyć wielu z nich. Sposób stosowania średnika i przecinka jest bardzo pomocny

przy eliminowaniu całych grup piszących.

ANALIZA WĄTPLIWYCH DOKUMENTÓW OSBORN & OSBORN

Digger w mieście.

Digger wygląda tak jak ty, Digger wygląda tak jak ja. Idzie ulicami. Otacza go chłodne, grudniowe powietrze.

Digger kuli się w sobie.

Nie jest niski, ale i nie wysoki, nie jest gruby, ale i nie chudy. Na rękach ma rękawiczki. Być może jego palce są krótkie. Jego stopy wyglądają na duże, ale może to tylko kwestia rozmiaru butów. Gdyby spojrzeło się w jego oczy, nie udałooby się określić ich kształtu i koloru, zauważyłoby się tylko w nich coś nieludzkiego. Gdyby wtedy Digger spojrział na ciebie, jego oczy byłyby prawdopodobnie ostatnią rzeczą w życiu, którą widziałeś.

Ubrany jest w długi, czarny, może granatowy płaszcz. Ulice Waszyngtonu, ze względu na poranny szczyt, pełne są ludzi. Nikt nie zwraca na niego uwagi.

Digger w mieście, ostatnim dniu roku.

Z torbą na zakupy, Digger mija całe rodziny i samotnych przechodniów. Idzie dalej. Miał tu być dokładnie o godzinie dziewiątej i będzie. Digger nigdy się nie spóźnia.

Torba w jego, być może, krótkich rękach jest ciężka. Waży pięć kilogramów, ale gdy Digger wróci do hotelu, będzie znacznie lżejsza. Jakiś mężczyzna potrąca go i z uśmiechem mówi: „Przepraszam”. Digger nie patrzy na niego. Nigdy na nikogo nie patrzy i nie życzy sobie, aby ktokolwiek mu się przyglądał.

„Nie pozwól nikomu... klik ...nikomu zobaczyć swojej twarzy. Patrz w przestrzeń. Zapamiętałeś?”

Zapamiętałem.

Klik.

„Patrz na światła, patrz na... klik ...sylwestrowe dekoracje”. Tłuste bobasy na plakatach. Odchodzi Stary Rok.

Zabawne dekoracje. Zabawne światła. Zabawne, że to takie sympatyczne.

To jest plac Duponta: skupisko pieniędzy, sztuki, młodości i elegancji. Mężczyzna, który mówi mu o wszystkim, powiedział o tym. Dotarł do wylotu tunelu metra. Miasto tonie w półmroku kończącego się ponurego poranka.

W takie dni Digger wraca myślami do swej żony. Pamela nie lubi ciemności i chłodu, więc ona... klik ...ona... Co ona robi? No tak, przesadza czerwone i żółte kwiaty.

Digger patrzy na stację metra i przypomina sobie obraz, który kiedyś widział. Byli z Pamelą w muzeum i natknęli się na starą rycinę.

Pamela powiedziała: — To straszne, chodźmy.

Rycina przedstawiała wejście do piekła.

Tunel metra znika dwadzieścia metrów pod ziemią.

Pasażerowie wchodzą i wychodzą. Diggerowi przypomina to tamten obraz.

Bramy piekieł.

Widać tu młode kobiety z krótko obciętymi włosami, każda z torebką w ręku. Są też mężczyźni z telefonami komórkowymi i sportowymi torbami.

Między nim Digger ze swoją torbą na zakupy.

Może jest on gruby, a może szczupły. Wygląda tak jak ty, wygląda tak jak ja. Nikt nie zwraca na niego uwagi i to jest jeden z powodów, dla których jest dobry w tym, co robi.

— Jesteś najlepszy — powiedział w ubiegłym roku mężczyzna, który mówi mu o wszystkim. Jesteś naj... klik, klik ...najlepszy.

O 8.59 Digger podchodzi do wylotu ruchomych schodów, pełnych ludzi znikających w czeluściach.

Wkłada rękę do torby i zaciska palce na przyjemnej w dotyku rękojeści pistoletu maszynowego. Może to jest Uzi albo Mac-10, albo Intertech. W każ-

dym razie waży równo pięć kilogramów i jest wyposażony w pojemny magazynek z nabojami do długiej broni o kalibrze 22.

Digger zjadłby teraz zupę, ale na razie musi zapomnieć o głodzie.

Ponieważ on jest naj... klik ...najlepszy.

Patrzy przed siebie, ale nie patrzy na ludzi. Czeka, żeby wejść na ruchome schody, które zabiorą go do piekła.

Nie patrzy na pary, ludzi samotnych, mężczyzn z telefonami, kobiety z włosami „zrobionymi” w tym samym zakładzie, z którego korzystała Pamela. Nie patrzy na rodziny. Torbę przyciska do piersi, jakby była pełna świątecznych podarków. Jedną rękę trzyma na rękojeści pistoletu, w drugiej — poza torbą — trzyma coś, co mogłoby być bochenkiem chleba z Fresh Fields, który najbardziej smakuje do zupy. Jest to jednak tłumik z bawełnianymi i kauczukowymi przegrodami.

Słyszy pisk zegarka.

Dziewiąta.

Digger naciska spust.

Słysząc świst kul torujących sobie drogę w dół. Wrzaski ludzi zagłuszają odgłos wystrzałów.

— O Boże! Uważaj! Jezus Maria! Co się dzieje?! Jestem ranny! I temu podobne krzyki.

Szat, szat, szat.

Niecelne pociski uderzając w metal lub beton, wydają głośny, przerażający dźwięk. Uderzenia w ciała są znacznie cichsze.

Wszyscy się rozglądają. Nikt nie wie, co się dzieje.

Digger też się rozgląda. Wszyscy są przerażeni. On też.

Ludzie nie zdają sobie sprawy, że są ostrzeliwani. Sądzą, że ktoś upadł na dole i wywołał reakcję łańcuchową.

Słysząc brzęki i trzaski telefonów, damskich torebek i sportowych toreb, które wypadają z rąk ofiar.

W ciągu kilku sekund zostało wystrzelonych sto pocisków.

Nikt nie zwraca uwagi na Diggera, który rozgląda się jak wszyscy.

Przerażenie.

— Wezwijcie pogotowie! Policja, policja! Mój Boże! Ta dziewczyna potrzebuje pomocy! On nie żyje! Jezu! Jej noga, spójrz — jej noga! Moje dziecko, moje dziecko!

Digger opuszcza torbę, która ma tylko jedną małą dziurkę zrobioną przez pociski. Jest pełna mosiężnych łusek.

— Wyłączyć to! Wyłączyć schody! Jezu! Zatrzymać to! Zatrzymać schody! Oni zostaną zmiażdżeni!

I temu podobne krzyki.

Digger patrzy, ponieważ wszyscy patrzą.

Trudno jest wejść w piekło. Na dole kłębi się rosnący stos ciał... Niektórzy są żywi, inni

martwi. Parę osób usiłuje wydostać się z tego przerażającego kłębowiska.

Digger niepostrzeżenie wtapia się w tłum uliczny i odchodzi.

W znikaniu jest też doskonały.

— Kiedy odchodzisz, musisz zachowywać się jak kameleon — powiedział mężczyzna, który mówi mu o wszystkim.

— Czy wiesz, co to jest?

— Jaszczurka.

— Zgadza się.

— Potrafi zmieniać barwę. Widziałem w telewizji.

Digger idzie zatłoczonym chodnikiem. Ludzie chodzą tam i z powrotem. Zabawne.

Zabawne...

Nikt nie zauważa Diggera.

Nie widzi się kogoś', kto wygląda tak jak ty i ja, albo jak pajac wystrugany z drewna. Kogoś z twarzą bladą jak poranne niebo lub ponurą jak wejście do piekła.

Po drodze — powoli, powoli, nigdy się nie spiesz — myśli o hotelu. Tam załaduje broń, wymieni szczeciniastą bawełnę w tłumiku i usiądzie na wygodnym krześle. Przed nim, na stole, stać będzie butelka wody i talerz zupy.

Będzie odpoczywał do popołudnia i jeżeli nie dostanie informacji od mężczyzny, który mówi mu o wszystkim, ubierze czarny, może granatowy płaszcz i wyjdzie.

Zrobi to ponownie.

Jest koniec roku. I Digger w mieście.

Podczas gdy karetki pogotowia pędziły na plac Duponta i służby ratownicze usiłowały poradzić sobie z okropną stertą ciał na stacji metra, trzy kilometry dalej Gilbert Havel zmierzał w stronę ratusza.

Na skrzyżowaniu ulicy D z Czwartą Havel zatrzymał się pod przysychającym klonem. Zawahał się i otworzył

kopertę, którą miał przy sobie. Po raz ostatni przeczytał list.

Burmistrz Kennedy:

Koniec jest nocą. Digger został wypuszczony i nie ma sposobu, aby go zatrzymać. Będzie zabijał: o czwartej, ósmej i o Północy.

Żądam \$20 milionów dolarów w gotówce, którą włożycie ją do wokra i zostawicie trzy kilometry na południe od RT66 po Zachodniej Stronie Beltway,

----- 10 -----

dną środka Pola. Zapłaćcie do mnie pieniądze do 12.00. Tylko ja jestem wiedzący jak zatrzymać Diggera. Jeżeli mnie aresztujecie, on będzie zabijał dalej. Abyście mi uwierzyli, pomalowałem niektóre naboje Diggera na czarno. Jedynie ja wiem o tym.

Pomysł, na który wpadł, był doskonały. Miesiące planowania. Przewidział każdy ruch policji i FBI. Partia szachów.

Pokrzepiony tymi myślami, Havel włożył z powrotem list do koperty, zamknął ją, ale nie zakleił. Ruszył dalej.

Szedł długimi krokami, zgarbiony, z oczami spuszczone w dół, jakby chciał zmaleć. Wymagało to od niego pewnego wysiłku — wołał patrzeć na ludzi z góry.

Ochrona ratusza była śmiechu warta. Bez problemu minął wejście i skierował się w stronę

nieokreślonego budynku w Zaułku Prawników. Zatrzymał się przy automacie z gazetami. Wsunął pod niego kopertę i odwróciwszy się, powoli poszedł w stronę ulicy E.

Ciepło jak na Sylwester — pomyślał. Zapach butwiejących i wilgotnych liści kojarzył mu się z jesienią. Poczł

nieokreślony niepokój. Zatrzymał się na rogu, przy telefonie, wrzucił kilka monet i wystukał numer.

Usłyszał głos: — Ratusz. Ochrona.

Havel przystawił magnetofon do słuchawki i włączył go. Wydobył się głos generowany przez komputer:

— Koperta z listem znajduje się przed budynkiem, pod automatem z „The Washington Post”. Proszę go natychmiast przeczytać. Dotyczy strzelaniny na stacji metra.

Odwiesił słuchawkę i przeszedł na drugą stronę ulicy. Włożył magnetofon do papierowej torby i wrzucił ją do kosza na śmieci.

Następnie Havel wszedł do kawiarni i usiadł przy oknie, skąd mógł obserwować automat z gazetami i boczne wejście do ratusza. Chciał się upewnić, czy zabiorą stamtąd kopertę. I stało się to, zanim zdążył zdjąć płaszcz.

Chciał się też dowiedzieć: kto powiadomi burmistrza i czy pojawią się reporterzy.

Do stolika podszedł kelner. Mimo że była dopiero pora śniadania, Havel zamówił kawę i kanapki z befsztykiem

— najdroższe danie w karcie. Dlaczego nie? Niedługo będzie bardzo bogatym człowiekiem.

11

2

Tatusiu, opowiedz mi o Boatmanie.

1 f) f) Parker Kincaid odstawił metalowy rondel, który mył. Postanowił zrobić przerwę.

Nauczył się nie irytować prośbami i pytaniami dzieci. W każdym razie nie okazywał tego. Wytarł ręce papierowym ręcznikiem.

— O Boatmanie? — spytał swojego dziewięcioletniego syna. — Dobrze. A co chciałbyś wiedzieć?

W kuchni domu Parkera w Fairfax, w Wirginii, unosił się zapach świątecznych potraw. Czuć było cebulą, szałwią, rozmarynem. Chłopiec w milczeniu wyglądał przez okno.

— Co chciałbyś wiedzieć? — zachęcał go Parker.

Robby był blondynkiem z niebieskimi oczami, jak jego matka. Miał na sobie purpurową koszulę od Izoda i brązowe spodnie ściągnięte paskiem od Ralphi Laurena. Tego ranka miękkie włosy sterczały mu w prawo.

— Myślę — zaczął chłopiec. — Ja wiem, że on nie żyje i w ogóle...

— To prawda — potwierdził Parker. Nie powiedział nic więcej („Zawsze odpowiadaj na pytania i nic więcej”).

Była to jedna z zasad z „Poradnika dla rodziców samotnie wychowujących dzieci” — książki istniejącej wyłącznie w głowie Parkera, do której codziennie się odwoływał.).

— To na zewnątrz czasami wygląda jak on... wyglądam przez okno i wydaje mi się, że go widzę.

— Co wtedy robisz?

— Wkładam hełm, biorę tarczę i, jeżeli jest ciemno, włączam światło.

Parker stał wyprostowany. Zwykle, gdy miał poważną rozmowę z dziećmi, wołał patrzeć im

prosto w oczy. Ale gdy pojawił się problem z Boatman-em, terapeuta zalecił Parkerowi, aby się nie pochylał, gdy rozmawia z synem. Dziecko powinno czuć obecność silnego, opiekuńczego rodzica. Parker Kincaid musi dawać poczucie bezpieczeństwa. Był wysokim, czterdziestoletnim mężczyzną, mierzącym około 184 cm wzrostu. Wyglądał

niemal tak samo jak w okresie studiów. Dobrą kondycję i niezłą sylwetkę zawdzięczał nie aerobikowi czy pobytom w siłowni, ale dzieciom. Grał z nimi w piłkę nożną, bejsbol, ringo. A w niedzielę rano urządzali wspólne przejażdżki („wyścig Parkera” — można było słyszeć, gdy jeździli rowerami po parku).

— Gdzie go widziałeś? Pokaż mi, dobrze? — Dobrze.

— Gdzie masz hełm i tarczę?

— Tutaj. — Chłopiec udając rycerza, włożył hełm i podniósł lewą rękę z tarczą.

— Doskonale. Ja tak samo — rzekł Parker, naśladowując ruchy chłopca. Poszli na werandę znajdującą się z tyłu domu.

— Spójrz na te krzaki — powiedział Robby.

Parker spojrzał na swoją pólakrową posiadłość znajdującą się 30 kilometrów na zachód od Waszyngtonu. Przed oczami rozpościerał się kobierzec kwiatów i trawy. Na skraju znajdował się gąszcz nie przycinanych od roku forsycji i bluszczu. Przy dużej wyobraźni można było tam dostrzec ludzkie kształty.

— Rzeczywiście, wyglądają jak duchy — przyznał Parker — na pewno. Ale Boatman żył dawno temu. — Nie miał zamiaru pomniejszać lęków chłopca, mówiąc, że został wystraszony przez splątane krzaki. Chciał, żeby chłopiec sam nabrał do tego dystansu.

— Wiem, ale...

— Jak długo go nie ma?

— Cztery lata — odpowiedział Robby.

— Czy to długo?

— Sądzę, że dość długo.

— Pokaż mi — rozłożył ręce — tak długo?

— Być może.

— Myślę, że dłużej. — Parker bardziej wyciągnął ręce. — Tak długo, jak długa była ryba, którą złowiliśmy w jeziorze Braddock.

— Tak długo — powiedział chłopiec, uśmiechając się i wyciągając swoje ręce.

— Nie, to było tak długo. — Parker przybrał srogą minę.

— Nie, nie, to tak długo — chłopiec tańczył z wyciągniętymi do góry rękami, przeskakując z nogi na nogę.

— Dłużej — żartował Parker — dłużej.

Robby przebiegł kuchnię, podnosząc jedną rękę. Następnie wrócił, podnosząc drugą. — Tak długo!

— Tak długo, jak długi jest rekin — krzyknął Parker. — Nie, jak wieloryb, jak olbrzymia kałamarnica. Nie, już wiem, jak „Tufted Mazurka” — Stwór z książki doktora Seussa. Dzieci lubiły jego książki, bardziej nawet niż

„Kubusia Puchatka”. Parker nazywał dzieci Ktosiami — były to istoty z ksiązek doktora Seussa.

Parker i Robby bawili się w ten sposób przez kilka minut. W końcu Parker wziął chłopca w ramiona, by go połaskotać.

— Wiesz co? — zapytał Parker, łapiąc powietrze.

_____ 13 _____

— Co?

— Jutro wytniemy wszystkie te krzaki.

— Czy będę mógł używać piły? — natychmiast zapytał chłopiec. Dzieci potrafią wykorzystywać sytuacje —

pomyślał Parker, uśmiechając się do siebie.

— Zobaczymy.

— Dobrze! — Robby w podskokach wybiegł z kuchni.

Wspomnienie Boatmana ustąpiło miejsca radości z nadarzającej się okazji użycia niebezpiecznego narzędzia.

Chłopiec wbiegł na górę i wkrótce Parker mógł usłyszeć sprzeczkę między nim a siostrą. Kłócili się, w którą grę Nintendo grać. Stephanie chyba wygrała, bo potem rozległa się zaraźliwa muzyka z „Mario Brothers”.

Parker zatrzymał wzrok na gąszczu krzaków. Boatman... Pokręcił głową.

Zadzwieczał dzwonek u drzwi. Parker zajrzał do salonu, ale dzieci nie usłyszały dzwonka. Poszedł do drzwi i otworzył je po chwili wahania.

Atrakcyjna kobieta uśmiechała się szeroko do niego. Poniżej krótko obciętych włosów widać było kolczyki.

(Robby miał kolor włosów po niej, natomiast Stephanie miała kasztanowate — po nim). Kobieta była ładnie opalona.

— Cześć — powiedział niepewnym głosem Parker.

Wyjrzał na zewnątrz i uspokoił się. Stojący przed domem cadillac miał włączony silnik. Za kierownicą siedział

Richard i czytał „Wall Street Journal”.

— Cześć, Parker. Właśnie jedziemy do Dulles. — Uścisnęła go.

— A by liście... gdzie byliście?

— W St. Croix. Było wspaniale! Doskonały odpoczynek. Boże, te twoje gesty... Wstąpiłam tylko na chwilę.

— Świetnie wyglądasz, Joan.

— Czuję się świetnie. Naprawdę, czuję się świetnie. Natomiast nie mogę powiedzieć, że ty dobrze wyglądasz.

Jesteś blady.

— Dzieci są na górze. Poszedł je zawołać.

Robby, Stephe! Mama przyjechała!

Dzieci z hałasem zbiegły po schodach. Podbiegły do uśmiechniętej mamy. Jednak Parker zauważył na jej twarzy wyraz niezadowolenia wywołany spotkaniem z dziećmi.

— Mamo, ale jesteś opalona! — krzyknęła Stephe, odrzucając włosy jak Spice Girl.

_____ 14 _____

Robby wyglądał jak aniołek. Stephanie miała pociągłą, poważną twarz, która, jak przewidywał Parker, będzie w przyszłości onieśmielała chłopców.

— Mamo, gdzie byłaś? — zapytał Robby z wyrzutem.

— Na Karaibach. Tata wam nie mówił? — Spojrzała na Parkera.

Tak, mówił im o tym. Joan nie mogła zrozumieć, że dzieci mają żal nie do ojca, a do niej, bo nie było jej w czasie świąt Bożego Narodzenia. - Jak spędziliście ferie? — zapytała.

— Graliśmy w hokeja i dzisiaj rano trzy razy wygrałam z Robbym.

— A ja strzeliłem cztery bramki pod rząd — pochwalił się Robby.

— Przywiozłaś nam coś?

Parker mógł wyczytać z jej twarzy, że nie przywiozła.

Spojrzała w kierunku samochodu. — Oczywiście, ale zostawiłam w walizce. Zatrzymałam się tylko na chwilę, aby powiedzieć „cześć” i porozmawiać z waszym ojcem. Dam wam prezenty jutro, gdy przyjadę z wizytą.

Kupi je zapewne w jednym z nielicznych sklepów otwartych w Nowy Rok.

— Ja dostałam piłkę nożną, grę „Mario Brothers” i komplet kaset z Wallace'em i Grommetem — powiedziała Stephanie.

— Cudownie!

— A ja dostałem „Death Star” i „Millenium Falcon”. I widzieliśmy film „Dziadek do orzechów”.

— Dostaliście moje prezenty? — zapytała Joan.

— O, tak. Dzięki — odparła Stephanie. Chciała być uprzejma, ale lalki Barbie w efektownych sukienkach już jej nie interesowały. Dziesięcioletnie dziewczynki są teraz inne niż wtedy, gdy Joan była dzieckiem.

— Tatuś musiał wymienić moją koszulę — powiedział Robby.

— Mówiłam mu, żeby to zrobił, gdyby nie pasowała — szybko odpowiedziała Joan. — Chciałam po prostu, abyś coś dostał.

— Nie zadzwoniłaś do nas w święta — powiedziała Stephanie z wyrzutem w głosie.

— Och — odpowiedziała Joan córce. — Trudno było stamtąd zadzwonić. Telefony ciągle nie działały. —

Potargała swoje chłopięce włosy. — I przede wszystkim nie było was w domu.

Jej zarzuty były niepotrzebne. Joan nigdy się nie nauczyła, że dzieci nie są niczemu winne, przynajmniej w tym wieku. Jeśli ty zrobisz coś złe, to twoja wina. Jeśli one coś zrobią złe, to też twoja wina.

Och, Joan... Nie wolno przerzucać winy na innych. To boli. Nigdy tego nie rozumiała. Parker milczał („Dzieci nigdy nie powinny być świadkami kłótni rodziców”).

----- 15 -----

Joan mówiła dalej: — Musimy jechać. Trzeba zabrać Elmo i Santa ze schroniska. Biedne szczeniaki, były w klatkach cały tydzień.

Robby ożywił się ponownie. — Wydajemy dzisiaj przyjęcie i będziemy oglądać w telewizji pokaz sztucznych ogni. Będziemy też grać w Monopol.

— Wspaniale, będzie wesoło — powiedziała Joan. — Richard i ja jedziemy do „Centrum Kennedy'ego” na przedstawienie operowe. Lubicie operę, prawda?

Stephie wzruszyła ramionami, jak zawsze, gdy była o coś pytana.

— To jest sztuka, w której aktorzy śpiewają — objaśnił Parker dzieciom.

— Być może Richard i ja weźmiemy was kiedyś do opery. Chcecie?

— Pewnie — powiedział Robby. Po raz pierwszy wykazał zainteresowanie kulturą wysoką.

— Poczekaj — zawołała nagle Stephanie i wbiegła na schody.

— Kochanie, ja nie mam zbyt dużo czasu. My... Dziewczynka wróciła po chwili, niosąc swój nowy strój piłkarski.

— Ładny — powiedziała matka. Joan trzymała go niepewnie, jak dziecko, które złowiło rybę i nie wie, co z nią zrobić.

Najpierw Boatman, teraz Joan — pomyślał Parker. Przeszłość wdziera się dzisiaj wyjątkowo natrętnie. Cóż, dlaczego nie? Przecież jest koniec roku.

Dobry czas na spojrzenie wstecz...

Joan odetchnęła, gdy dzieci wróciły do pokoju Stephanie, przekupione obietnicą prezentów.

Uśmiech zniknął z twarzy Joan. Dziwne, ale w tym wieku — miała 39 lat — wyglądała lepiej ze smutnym wyrazem twarzy. Dotknęła palcami przednich zębów, żeby sprawdzić, czy nie ma na nich szminki. Zwyczaj, który Parker pamiętał z czasów małżeństwa.

— Parker, nie chciałam tego robić... — Sięgnęła do torby podróżnej. Do diabła, dostałam od niej prezent, a ja nic jej nie dałam. Czyżby miała jeszcze coś dla mnie?

Zobaczył jednak, że wyjmuje plik papierów.

— Chcę, żeby w poniedziałek zaczęło się postępowanie sądowe. Postępowanie sądowe?

— Ale najpierw chciałam z tobą porozmawiać, żebyś nie był zaskoczony. Przeczytał nagłówek dokumentu:

„Zmiany w umowie dotyczącej opieki nad dziećmi”.

Poczuł ukłucie w sercu.

Widocznie Joan i Richard nie przyjechali tutaj prosto z lotniska. Zapewne wcześniej byli u prawnika.

___ \f. ___

i\j ~~

— Joan — powiedział z rozpaczą w głosie. — Ty chyba nie...

— Chce być z nimi. Doprowadzę do tego. Nie walczmy. Możemy przecież wspólnie rozwiązać ten problem.

— Nie — wyszeptał. — Nie. — Poczuł, że opuszczają go wszystkie siły.

— Cztery dni z tobą, piątki i weekendy ze mną. Być może poniedziałki też. Zależy, jakie będziemy mieli plany z Richardem. Ostatnio dużo podróżujemy. Przecież będziesz miał więcej czasu dla siebie. Myślałam, że będziesz zadowolony.

— Nie będę.

— To są moje dzieci... — zaczęła

— Formalnie. — Parker był ich jedynym opiekunem przez ostatnie cztery lata.

— Parker — powiedziała spokojnie. — Moje życie jest ustabilizowane. Dobrze mi się powodzi. Jestem zameżna.

Z urzędnikiem państwowym w administracji hrabstwa, który — według „Washington Post” — z trudem uniknął

w ubiegłym roku sprawy o łapówkarstwo. Był wpływową osobą w okręgu Inside-the-Beltway. Był tym mężczyzną, z którym Joan zdradzała go w ostatnim roku małżeństwa.

Ze względu na dzieci Parker mówił bardzo cicho:

— Byłaś dla Robby'ego i Stephanie obcą osobą od chwili ich urodzin. — Wyrwał jej dokumenty i

potrząsnął nimi gwałtownie. — Czy ty w ogóle pomyślałaś o dzieciach i o tym, co one myślą?

— One potrzebują matki.

Nie — pomyślał Parker. To Joan potrzebuje kolejnej atrakcji. Kilka lat temu były to konie. Następnie wyścigi psów; antyki; domy w dobrych dzielnicach. Mieszkała z Richardem w Oakton, w Clifton, w McLean i w Alexandrii. Mówiła, że lubi zmieniać miejsca zamieszkania. Ale Parker wiedział, że szybko się nudziła, gdy nie udało się jej zawrzeć bliższej znajomości z nowymi sąsiadami. Zastanawiał się, jak takie przeprowadzki wpłyną na dzieci.

— Dlaczego, do diabła, chcesz to zrobić?

— Chcę mieć rodzinę.

— Powinnaś mieć dzieci z Richardem. Jesteście jeszcze młodzi. Jednak Parker wiedział, że ona tego nie chce.

Lubiła być w ciąży. Była

wtedy najładniejsza. Ale przecież zapomniała już, jak zajmować się dziećmi. Nie można mieć dzieci, gdy jest się egoistą.

— Jesteś zupełnie nie przygotowana do życia — powiedział Parker.

•— Ty jesteś? Dobrze, być może byłam nie przygotowana, ale to przeszłość.



— Nie, taką masz naturę

- Będę walczył — powiedział zdecydowanie. — Wiesz o tym.

— Przyjdę jutro o dziesiątej. Będzie ze mną pracownica socjalna -warknęła.

— Co? — osłupiał.

— Aby porozmawiać z dziećmi.

— Joan... w święto? — To był z pewnością pomysł Richarda.

— Jeżeli jesteś tak dobrym ojcem jak myślisz, dlaczego nie chcesz, żeby ona porozmawiała z dziećmi.

— Bo ja się o nie martwię. Nie możesz poczekać do następnego tygodnia? Ktoś obcy w święto rozmawia z dziećmi na poważne tematy. To absurd. One chcą spotkać się z tobą.

— Parker — powiedziała rozdrażniona. — Ona jest profesjonalistką. Nie będzie niepokoiła dzieci. Słuchaj, muszę iść. Zaraz zamkną schronisko. Te biedne szczeniaki...Och, Parker, to nie jest koniec świata.

Ależ jest! — pomyślał.

Chciał trzasnąć drzwiami, ale powstrzymał się. Dzieci mogłyby usłyszeć.

Zamknął zasuwę i założył łańcuch, jakby chciał powstrzymać cyklon ze złymi informacjami. Nie przejrzał

dokumentów. Wszedł do pokoju i włożył je do biurka. Pospacerował kilka minut i w końcu poszedł na górę.

Zajrzał do pokoju Robby'ego.

Dzieci bawiły się zabawkami Micro Machines.

— Żadnej strzelaniny w przeddzień Nowego Roku — powiedział Parker.

— Zatem jutro będziemy mogli strzelać — stwierdził Robby.

— Bardzo śmieszne, młody człowieku.

— On zaczął — odezwała się Stephanie i wróciła do „Małego domku na prerii”.

— Kto chce mi pomóc w pracy? — zaproponował.

— Ja — krzyknął Robby.

Ojciec i syn zeszli na dół do gabinetu. Kilka minut później Parker znów usłyszał elektroniczną muzykę. Stephanie zamieniła literaturę na komputer i ponownie wysłała nieustraszonego Mario na poszukiwania.

Burmistrz Gerald Kennedy — demokrat, ale nie z „tych” Kennedych — spojrział na białą kartkę papieru leżącą na jego biurku.

Burmistrz Kennedy:

Koniec jest nocą. Digger został wypuszczony i nie ma sposobu, aby go zatrzymać.

18

Do kartki przypięto notkę FBI, która była zatytułowana: „Załączony dokument jest kopią. Sprawa METSHOOT, 12/31”.

METSHOOT — Kennedy zastanowił się. Strzelanina w metrze. FBI kocha skrót — przypomniał sobie*.

Siedział przytłoczony wydarzeniami przy ozdobnym biurku, w swoim georgiańskim biurze, w bardzo niegeorgiańskim Waszyngtonie. Jeszcze raz przeczytał list. Spojrział na dwoje ludzi siedzących naprzeciw: atrakcyjną blondynkę i wysokiego, szczupłego mężczyznę z siwiejącymi włosami. Kennedy, sam łysiejący, miał

zwyczaj oceniać ludzi właśnie po włosach.

— Jesteście pewni, że za tą strzelaniną stoi autor listu?

- Tak. Napisał, że niektóre pociski pomalowane są na czarno. Sprawdziliśmy. Zgadza się. To list przestępcy —

powiedziała kobieta.

Kennedy — otyły mężczyzna, któremu, jeśli można tak powiedzieć, było „do twarzy” z tuszą — popchnął list swoimi potężnymi rękami.

Otworzyły się drzwi i wszedł młody, czarny mężczyzna z owalnymi okularami na nosie. Ubrany był w dwurzędową, włoską marynarkę. Burmistrz dał mu znak, żeby podszedł bliżej.

- Wendell Jefferies — przedstawił go burmistrz. — Mój główny asystent.

— Margaret Lukas — kobieta skinęła głową.

— Cage — odezwał się drugi agent i, jak się wydawało Kennedy'emu, wzruszył ramionami.

— Oni są z FBI — dodał Kennedy.

Jefferies ruchem głowy dał do zrozumienia, że się domyślił. Kennedy popchnął kopię listu w kierunku asystenta.

Jefferies poprawił swoje owalne okulary, przeczytał list i zapytał: — Cholera, czy on ma zamiar zrobić to ponownie?

- Na to wygląda — odpowiedziała agentka.

Kennedy spojrział na agentów. Cage był z Centrali FBI na Dziewiątej Ulicy. Lukas pełniła funkcję zastępcy kierownika wydziału specjalnego oddziału waszyngtońskiego. Jej szef wyjechał, więc ona prowadziła śledztwo w sprawie strzelaniny w metrze. Cage był starszy i wydawał się tu

zadowolony. Lukas sprawiała wrażenie osoby energicznej i cynicznej. Jerry Kennedy sprawował urząd burmistrza Dystryktu Kolumbii (tożsamego z miastem Waszyngton) od trzech lat i udawało mu się sprawnie rządzić nie dzięki doświadczeniu i powiązaniom, ale dzięki swojej energii i cynizmowi. Był zadowolony, że Lukas kieruje śledztwem.

* Metro Shoot — shoot (ang.) — strzelanie.

----- 19

- Kutas nawet nie potrafi pisać bez błędu — wymamrotał Jefferies, pochylając swoją ugrzecznioną twarz, by ponownie przeczytać list. Jego oczy były okropnie słabe. Choroba rodzinna. Znaczną część swoich dochodów przeznaczał na utrzymanie matki, dwóch braci i dwóch sióstr, mieszkających w południowo-wschodniej części miasta. Nikomu nie wspominał o swoich uczynkach. Nie mówił też o tym, że jego ojciec został zastrzelony na Trzeciej Ulicy, gdy kupował heroinę.

Dla Kennedy'ego młody Jefferies reprezentował najlepszą część mieszkańców miasta.

- Czy coś wiadomo? — zapytał asystent.

— Nic. Zaangażowaliśmy różne instytucje: YICAP, policję Dystryktu, psychologa z Quantico, policję z hrabstwa Montgomery, Prince William i Fairfax. Ale nie wiemy nic pewnego.

— Jezu! — krzyknął Jefferies, patrząc na zegarek.

Kennedy zerknął na stojący na biurku mosiężny zegar. Po dziesiątej.

— 12.00... południe — zamyślił się, zastanawiając, dlaczego szantażysta stosuje europejski lub wojskowy sposób oznaczania czasu. — Mamy dwie godziny.

— Jerry, powinieneś' wydać oświadczenie. Zaraz —• powiedział Jefferies. — Wiem. — Kennedy wstał.

Dlaczego to się zdarzyło właśnie teraz? Dlaczego właśnie tutaj?

Spojrzał na Jefferies. Był młody, ale Kennedy wiedział, że ma przed sobą karierę polityczną. Był inteligentny i szybki w działaniu. Na jego twarzy pojawił się grymas i burmistrz zrozumiał, że myśli o tym samym: dlaczego teraz?

Kennedy spojrzał na informację o pokazie sztucznych ogni na Promenadzie z okazji Nowego Roku. On i jego żona Claire będą tam tej nocy. Także Paul Lanier i inni kongresmani.

Albo raczej byliby, gdyby „to” się nie wydarzyło.

Dlaczego teraz?

Dlaczego w moim mieście?

— Co robicie, aby go schwytać?

Lukas natychmiast odpowiedziała: — Skontaktowaliśmy się z informatorami. Sprawdziliśmy wszystkich, którzy mieli do czynienia z organizacjami terrorystycznymi. Według mnie nie jest to klasyczny terrorizm. Przeanalizowaliśmy wszystkie próby szantażu w mieście w ciągu ostatnich dwóch lat. Nie ma żadnego podobieństwa do tego przypadku.

— Burmistrz otrzymał kilka razy pogróżki — powiedział Jefferies. — Sprawa Mossa.

----- 20 -----

— Kogo? — dopytywał się Cage.

— Facet dostarczył nam informacji na temat afery korupcyjnej w Wydziale Oświaty. Byłam u niego jako ochrona, pilnowałam dzieci — wyjaśniła agentka.

- Ach, ten. — Cage wzruszył ramionami.

— Wiem o tych pogróżkach. Analizowałam je i nie sędzę, żeby miały jakiś związek ze strzelaniną w metrze. To były typowe anonimowe groźby przez telefon. Nie chodziło o okup — mówiła Lukas.

Te wasze typowe anonimowe groźby — pomyślał Kennedy cynicznie. To nie jest typowe, gdy żona odbiera telefon o trzeciej w nocy i słyszy: „Nie zajmuj się sprawą Mossa, w przeciwnym razie rozwalę cię”.

- Agenci sprawdzili wszystkie samochody parkujące w pobliżu ratusza i placu Duponta. Sprawdziliśmy też dokładnie okolice Beltway: wszystkie hotele, apartamenty, przyczepy samochodowe i domy — ciągnęła Lukas.

- Nie brzmi to optymistycznie.

— Nie jestem optymistką. Nie ma świadków, w każdym razie wiarygodnych. A w takich przypadkach jak ten potrzebujemy świadków.

Kennedy ponownie przyjrzał się listowi. Dziwiło go, że ten szaleniec, morderca ma taki ładny charakter pisma.

— Czy powinienem zapłacić?

Lukas spojrzała na Cage'a. — Sądzę, że jeżeli pan nie zapłaci okupu albo informator przekaże kolejne wiadomości, nie zdążymy zatrzymać go do czwartej po południu — odpowiedział.

— Myślę, że nie powinien pan płacić. To jest moja opinia i nie wiem, co się wydarzy, gdy nie dostanie okupu

— dorzuciła Lukas.

— Dwadzieścia milionów — zamyślił się burmistrz.

W tym momencie, bez pukania, do biura wszedł wysoki mężczyzna, około sześćdziesiątki, ubrany w popielaty garnitur.

O Boże — pomyślał Kennedy. Jeszcze jego brakowało.

Kongresman Paul Lanier uściśnął dłoń burmistrza i przedstawił się agentom FBI. Nie zwrócił uwagi na Wedella Jefferiesia.

— Paul jest szefem Komitetu Kongresu ds. Dystryktu Kolumbii — wyjaśnił Kennedy.

Chociaż Dystrykt Kolumbii posiadał pewną autonomię, Kongres ostatnio przejął finanse i wydzielal pieniądze jak niegrzecznemu dziecku. Od czasu skandalu w Wydziale Oświaty Lanier zachowywał się w stosunku do Kenne-dy'ego jak nadzorca.

Lanier nie zwrócił uwagi na lekceważący ton w głosie Kennedy'ego, chociaż Lukas wydawało się, że nie mógł

go nie zauważyć. — Czy możecie mi przedstawić sytuację? — zapytał.

____ 21 ____

Lukas powtórzyła to, co mówiła wcześniej. Lanier stał, osłaniając ręką wszystkie trzy guziki w garniturze.

- Dlaczego tutaj? — zapytał Lanier. — Dlaczego Waszyngton?

— Nie wiemy — odparła Lukas.

— Sądzicie, że zrobi to ponownie? — spytał burmistrz. Tak

~ J. <l>v.

Lanier patrzył z niedowierzaniem.

— Co? — zapytał Kennedy. — Proszę to powtórzyć.

- Jesteś pewny, że chcesz zapłacić? — zapytał Lanier Kennedy'ego.

— Dlaczego miałbym nie zapłacić?

— Wzięłeś pod uwagę, jakie to wywrze wrażenie?

— Nie, nie dbam o to — odparł oschle Kennedy.

Kongresman kontynuował, mówiąc doskonałym barytonem polityka:

— To będzie zły sygnał: ugięcie się przed żądaniami terrorystów. Kennedy spojrzął na Lukas, która powiedziała: — Myślałam o tym. Efekt

lawiny. Ulegnie się jednemu szantażystcie, będą następni.

- Ale nikt się o tym nie dowie, prawda? — Kennedy pochylił się nad kartką.

— Oczywiście, że tak — powiedział Cage. — Takie informacje mają skrzydła. Nie da się ich długo trzymać w ukryciu.

— Skrzydła — powtórzył Kennedy, zdenerwowany tą przenośnią. Wolał, żeby mówiła Lukas. — Czy złapiecie go, jeżeli zapłacimy? — zwrócił się do niej.

— Nasi ludzie zaopatrzą worek z pieniędzmi w nadajnik. Dwadzieścia milionów dolarów powinno ważyć około 200 kilogramów — wyjaśniła. -Nie da się ich po prostu schować pod siedzeniem samochodu. Będziemy śledzić przestępcę aż do jego kryjówki. Jeżeli będziemy mieli szczęście, zatrzymamy obu: szantażystę i mordercę —

tego Diggera.

— Szczęście — powtórzył sceptycznie burmistrz. To ładna kobieta — zauważył w myślach, chociaż w ciągu trzydziestu siedmiu lat swojego małżeństwa ani razu nie pomyślał o zdradzie. Piękno kobiety wyraża się w jej oczach, ustach, postawie, a nie w figurze. Lukas, od kiedy weszła do biura, ani razu nie nabrała łagodnego wyrazu twarzy. Brak uśmiechu, brak uczucia. Jej głos brzmiał twardo, kiedy mówiła: — Nie możemy zapłacić odsetek od tej sumy.

— Wiem, że nie możecie.

— Dwadzieścia milionów — jęknął Lanier, kontroler wydatków. Kennedy wstał, odsunął krzesło i podszedł do okna. Spojrzął na pożółkły

trawnik i na żółte liście na drzewach. Od kilku tygodni zima w Północnej Wir-____ 22 ____
giniu była wyjątkowo ciepła. Zapowiadano wprawdzie, że w nocy nastąpią, pierwsze w tym roku, intensywne opady śniegu, ale na razie powietrze było ciepłe i wilgotne; niesło zapach gnijącej trawy i liści. Po drugiej stronie ulicy znajdował się park, w którego centrum stała współczesna rzeźba, przypominająca Kennedy'emu wątrobę.

Spojrzał na Wendella Jefferies, który też wyglądał przez okno. Niedawno się golił. Czuć było dwadzieścia różnych zapachów. — Napięcie rośnie, co? — wyszeptał burmistrz.

Asystent, któremu brak było opanowania, odezwał się: — Od ciebie zależy decyzja. Jeżeli popełnisz błąd, obaj będziemy musieli odejść. Albo jeszcze coś gorszego.

Jeszcze coś gorszego...

Do niedawna wydawało mu się, że nic gorszego od skandalu w Wydziale Oświaty nie może się wydarzyć.

— I jak dotąd nic — westchnął Kennedy. — Nic kompletnie. Jak dotąd 23 osoby zabite.

Jak dotąd, ale wszyscy wiedzieli, że psychopata będzie zabijać dalej. O czwartej, o ósmej, o północy...

Na zewnątrz powiał wiatr. Pięć żółtych liści spadło na ziemię. Burmistrz wrócił do biurka. Była 10.25.

— Proponuję nie płacić. Gdy się zorientuje, że sprawą zajmuje się FBI, wyjedzie z miasta i ukryje się w górach.

— Rzeczywiście nie spodziewał się, że to my zajmiemy się tą sprawą — powiedziała Lukas.

Kennedy zauważył jej złośliwość, natomiast Lanier pozostał obojętny.

- Myślę, że pani jest przeciwna dawaniu okupu — kongresman zwrócił się do Lukas.

— Tak.

— I sądzi pani, że będzie zabijać dalej, jeżeli nie zapłacimy?

— Tak sądzę.

— Cóż... — Lanier podniósł dłonie. — To jest nielogiczne. Pani nie chce, żebyśmy zapłacili okup... choć pani wie, że będzie zabijał dalej.

- Tak.

— Nie wyjaśniła pani swojego zdania.

— Ten człowiek będzie zabijał, aby zdobywać pieniądze. Z kimś takim nie można negocjować.

— Czy zapłacenie okupu utrudni pani pracę? Czy trudniej będzie go schwytać? — zapytał Kennedy.

— Nie — odparła krótko. — Zamierzacie płacić czy nie?

----- 23 -----

Lampka na biurku oświetlała list. Kennedy'emu wydawało się, że kartka płonie.

— Nie — odparł Lanier. — Nie zamierzamy poddawać się żądaniom terrorystów. My...

— Płacę — powiedział burmistrz.

— Jest pan pewny? — zapytała Lukas, widząc, że nie wziął jej zdania pod uwagę.

— Tak. Proszę zrobić wszystko, by go złapać, ale miasto zapłaci.

— Powoli, nie tak szybko — powiedział Lanier.

— To nie jest wcale szybko — odburknął Kennedy. — Rozwazałem to od czasu, gdy dostałem ten przeklęty list

— wskazał na oświetloną kartkę papieru.

— Jeny — zaczął Lanier — ty nie masz prawa podjąć takiej decyzji.

— W obecnej chwili ma takie prawo — wtrącił Wendell Jefferies.

— To należy do kompetencji Kongresu — odparł Lanier rozdrażnionym głosem.

— Nie. To jest wyłącznie sprawa władz Dystryktu. Przed przyjściem tutaj rozmawiałem z prokuratorem generalnym — Cage zwrócił się do Laniera.

— Ale to my kontrolujemy wydatki — warknął Lanier. — A ja nie zaakceptuję tej decyzji.

Kennedy popatrzył na Jefferies, który przez chwilę się zastanawiał.

— Dwadzieścia milionów, tak? Musimy uruchomić kredyt na specjalne wydatki. — Roześmiał się. — Kredyt weźmie Wydział Oświaty. Tylko oni mają płynne konto finansowe.

- Tylko oni?

— Tak. Na innych kontach są albo grosze, albo długi.

Kennedy pokręcił głową. Co za ironia losu. Jedynie Wydział Oświaty ma pieniądze dzięki skandalowi i związanym z tym zwolnieniom w administracji.

- Jerry, nie wygłupiaj się — powiedział Lanier. — Nawet jeśli schwytemy tych ludzi, znajdą się następni.

Dowiedzą się, że płacimy okup. Nie ustępuj terrorystom. Nie czytałeś pism z Departamentu Stanu?

—• Nie — odparł Kennedy — nikt mi ich nie przysłał. A agentko Lukas... proszę ich zatrzymać.

Kanapka była dobra, ale nie bardzo dobra.

Gilbert Havel obiecywał sobie, że gdy tylko dostanie pieniądze, pójdzie do „Jockey Club” i zje prawdziwy befsztyk. I zamówi butelkę szampana.

Wypił kawę i znów obserwował wejście do ratusza.

_____ 24 _____

Przyszedł szef policji Dystryktu, ale po chwili wyszedł. Dziennikarze i towarzysząca im ekipa telewizyjna zostali usunięci sprzed wejścia do ratusza. Wyglądali na niezadowolonych. Para agentów FBI weszła do środka i długo nie wychodziła. To na pewno było FBI. Wiedział, że tak będzie.

Jak do tej pory żadnych niespodzianek.

Spojrzał na zegarek. Pora jechać do kryjówki i wezwać zamówiony śmi-głowiec. Wszystko jest przygotowane: plan odebrania pieniędzy, a przede wszystkim plan ucieczki z nimi.

Havel zapłacił rachunek, włożył płaszcz i czapkę i wyszedł z kawiarni. Przeszedł przez ulicę z opuszczoną głową. Stacja metra znajdowała się pod ratuszem, ale wiedział, że wejście obserwuje policja. Poszedł więc w kierunku alei Pensylwanii, gdzie zamierzał wsiąść do autobusu, jadącego do południo-wo-wschodniej części miasta.

Biały mężczyzna w dzielnicy czarnych.

Zachowanie bezpieczeństwa wymaga czasami robienia rzeczy niezwykłych.

Gilbert Havel zamierzał iść ulicą prowadzącą do alei Pensylwanii. Zapaliły się zielone światła. Wszedł na skrzyżowanie. Nagle po lewej stronie mignęła mu sylwetka samochodu. Cholera, on mnie nie widzi, on mnie nie widzi, on...

— Hej! — wrzasnął Havel.

Kierowca dużej, dostawczej ciężarówki przeglądał list przewozowy i nie zauważył czerwonych świateł. Spojrzał

przerażony i nacisnął hamulec. Ciężarówka z głośnym piskiem opon uderzyła w Havla.

— O Boże, nie... — krzyknął kierowca.

Ravel został wprasowany przez zderzak w parkujące auto. Kierowca ciężarówki wybiegł z samochodu i patrzył

w szoku,

— Widzieliście! To nie była moja wina! — Ale światła świadczyły przeciwko niemu. — O Jezu!
— Zobaczył

dwóch ludzi biegnących z rogu ulicy w jego kierunku. W ułamku sekundy podjął decyzję. Przewyciężył panikę i wskoczył do ciężarówki. Włączył silnik i cofnął samochód. Havel upadł na ziemię. Po chwili ciężarówka pędziła w dół ulicy.

Dwóch mężczyzn w wieku około trzydziestu lat podbiegło do Havla. Jeden z nich schylił się, aby sprawdzić puls. Drugi gapił się na kałuże krwi dookoła.

— Ten samochód — wyszeptał. — Po prostu odjechał! Uciekł! Żyje? — zapytał kolegi.

— Nie, skądże. Nie żyje.

25

Gdzie?

1 2 45 Margaret Lukas leżała na brzuchu i unosząc głowę, obserwowała Beltway.

Nie kończący się strumień samochodów.

Spojrzała ponownie na swój zegarek. Gdzie jesteś? — zastanawiała się. Wszystko ją bolało: brzuch, plecy, łokcie.

Nie mogła podejść do posterunku — szantażysta, jeżeli był w pobliżu, mógłby ich zauważyć. Miała na sobie dzinsy i kurtkę z kapturem. Wyglądała jak snajper lub gangster, leżąc tak na kamienistym gruncie.

— Szumi jak płynąca woda — powiedział Cage.

— Co?

— Ten sznur samochodów.

Leżał obok niej, też na brzuchu. Ich uda prawie się dotykały. Tak mogliby leżeć kochankowie na plaży, przed zachodem słońca. Obserwowali miejsce znajdujące się około 100 metrów przed nimi. Sami byli na Drodze Szubienic. „Szubienice” — ironia losu, której agenci nie chcieli nawet komentować.

— Wiesz, jak to jest — ciągnął Cage. — Wchodzi ci coś do środka i nie potrafisz przestać o tym myśleć. Szumi jak woda.

Ale Lukas nie słyszała płynącej wody, jedynie jadące samochody osobowe i ciężarówki.

Gdzie jest przestępca? Dwadzieścia milionów do wzięcia i nikt ich nie bierze.

- Do diabła, gdzie on jest? — wymamrotał ponury mężczyzna około trzydziestki, ostrzyżony i zachowujący się jak wojskowy. Był to, dołączony do zespołu, Len Hardy z policji Dystryktu Kolumbii. Wprawdzie to FBI prowadziło śledztwo, ale nie można było ich pominąć. Zwykle Lukas protestowała przeciw przydzielaniu jej ludzi spoza FBI, ale знаła Hardy'ego z przypadkowych spotkań. Pełnił funkcję łącznika między policją a FBI. Nie miała nic przeciwko niemu, dopóki, jak teraz, siedział cicho i nie przeszkadzał „dorosłym”.

- Dlaczego się spóźnia? — zapytał Hardy, nie spodziewając się odpowiedzi. Jego starannie wypielegnowane ręce nie przestawały robić notatek dla szefa policji i burmistrza.

- Nic? — Lukas zwróciła się do Tobe'a Gellera, młodego agenta FBI, ubranego w taką samą kurtkę i dżinsy jak ona i Cage.

Trzydziestoletni Geller miał faliste włosy i pogodną twarz chłopca, którego cieszy wszystko, co zawiera mikroprocesor. Sprawdził jedną z kamer wideo znajdujących się przed nim. Napisał coś na laptopie i spojrzął na ekran. „Zip” — odpowiedział komputer. Gdyby w promieniu stu metrów od okupu była jakaś żywa istota większa od szczura, sprzęt Gellera wykryłby ją.

Od chwili, gdy burmistrz zdecydował się na zapłacenie okupu, pieniądze odbyły prawdziwą wędrówkę. Lukas i Geller polecili asystentowi burmistrza dostarczyć pieniądze do małego, ukrytego garażu na Dziewiątej Ulicy.

Tutaj Geller przepakował banknoty do specjalnie przygotowanego worka. W płótnie, z którego został uszyty worek, znajdowały się nitki wykonane z oksydowanej miedzi. Tworzyły one antenę o dużej sprawności.

Nadajnik znajdował się w uchwycie, natomiast baterie w guzikach pod spodem. Worek emitował bardzo silny sygnał, którego wytłumienie wymagałoby kilkunastocentymetrowej warstwy metalu.

Czterdzieści paczek studolarowych banknotów przepakowano w papier zawierający bardzo cienką folię emitującą promieniowanie. Gdyby nawet przestępca wyrzucił worek i rozdzielił pieniądze między ewentualnych współników, Geller ciągle mógłby śledzić miejsce ukrycia pieniędzy w zasięgu stu kilometrów.

Worek został umieszczony w miejscu wskazanym przez szantażystę. Wszyscy agenci ukryli się i zaczęło się czekanie.

Lukas wiedziała, że czasami szantażyści rezygnują z odbioru okupu -ale nie ktoś, kto ma na sumieniu śmierć 23

osób. Nie mogła zrozumieć, dlaczego przestępca się nie zjawia.

Zrobiła się mokra od potu. Było wyjątkowo ciepło jak na ostatni dzień roku. Powietrze miało

jesienny, słodko-mdły zapach. Lukas nie lubiła jesieni, wolałaby już chyba leżeć w śniegu.

— Gdzie jesteś? — mamrotała. — Gdzie? — Przesunęła się nieznacznie. Bolały ją biodra. Była muskularna, ale szczupła — nie posiadała ochronnej warstewki tłuszczu. Jeszcze raz sprawdziła, czy czujniki zainstalowane przez Gellera nie wykazują obecności przestępcy. Powinien zostać przez nie zauważony znacznie wcześniej, niż spostrzegłaby go swoimi niebieskozielonymi oczami.

— Hm. — C.P. Ardell, potężnie zbudowany agent, z którym Lukas czasem współpracowała, założył słuchawki i słuchał. Skierował swoją łysą, błyszczącą głowę w stronę Lukas. — Mówi Charlie. Nikt do tej pory nie zatrzymał się w lasku.

Lukas chrząknęła. Widocznie była w błędzie. Sądziła, że szantażysta przybędzie od zachodu, od strony lasku znajdującego się około 800 metrów

_____ 27 _____

od drogi ekspresowej. Wyobrażała sobie, że będzie prowadził hummera lub range rovera.

— Posterunek obserwacyjny Bravo? — zapytała.

C.P. Ardell brał udział w wielu tajnych akcjach. Pomagał mu w tym jego wygląd. Przypominał handlarza narkotyków albo członka gangu motocyklowego. Był jednocześnie najbardziej opanowanym i cierpliwym agentem. Od czasu, gdy tu przybyli, nie poruszył się nawet o centymetr. Zadzwoił na posterunek położony na południe od nich.

— Nic. Jedynie dzieci. Nikogo powyżej dwunastu lat.

— Przepędziliście je chyba? — zapytała Lukas.

— Tak.

— To dobrze.

Minęło dużo czasu. Hardy robił notatki; Geller stukał na klawiaturze; Ca-ge zachowywał się nerwowo, natomiast C.P. tkwił nieruchomo.

— Czy twoja żona nie jest wściekła, że pracujesz w święta? — Lukas zapytała Cage'a.

Cage wzruszył ramionami. Miał cały zestaw takich gestów. Cage był agentem starszej rangi w Centrali FBI i, mimo że jego kompetencje rozciągały się na cały kraj, najczęściej pracował w Waszyngtonie. Lukas często z nim współpracowała. Podobnie jej szef: Roń Cohen, który był agentem specjalnym w waszyngtońskim biurze FBI. Jednak teraz Cohen był, po raz pierwszy od sześciu lat, na urlopie. Pojechał do Brazylii. Dlatego też Lukas zajmowała się tą sprawą — głównie z rekomendacji Cage'a.

Współczuła Cage'owi, Gellerowi i Ardellowi, że muszą dzisiaj pracować. Mieli zaplanowany Sylwester. Jedynie Hardy mógł być zadowolony. Miał swoje powody, aby pracować w święta. To była jedna z przyczyn, dla której Lukas wciągnęła go do zespołu.

Sama Lukas miała komfortowy dom w Georgetown, pełen starych mebli i własnoręcznie wykonanych haftów.

Posiadała przypadkową kolekcję win, pięćset książek i ponad tysiąc kompaktów. Miała też Jeana Luca — labradora mieszanej krwi. To przyjemne miejsce świetnie nadawało się na spędzanie wolnego czasu. Jednak od trzech lat ani razu nie przebywała w nim zbyt długo. Gdy została wezwana, by prowadzić sprawę strzelaniny w metrze, zajmowała się ochroną rodziny Mossa — bawiła jego dzieci. Garry Moss dostarczył cennych informacji dotyczących afery korupcyjnej w Wydziale Oświaty. Zgodził się, aby nosić przy sobie mikrofon i przeprowadził

wiele rozmów, które dostarczyły dowodów w sprawie. Jednak w końcu zostało to odkryte. Jego dom w Roslyn ostrzelano i obrzucono granatami. Córki cudem uniknęły śmierci. Moss wysłał rodzinę

do Północnej Ka-

----- 28 -----

roliny. On i jego rodzina znajdowali się pod ochroną FBI. Poza ochroną Lu-kas zajmowała się też prowadzeniem śledztwa. Jednak teraz, po masakrze w metrze, sprawa skandalu w Wydziale Oświaty zeszła na dalszy plan.

Moss mieszkał w apartamencie w Centrali FBI i stał się nagle uciążliwym lokatorem.

Zaczęła się rozglądać. Ani śladu przestępcy.

— Może powinniśmy otoczyć miejsce złożenia okupu kilkoma nie oznakowanymi samochodami — powiedział

agent ukrywający się za drzewem.

- Nie.

— Ale to standardowy sposób postępowania.

— Zbyt ryzykowne — odparła.

Jej ostre odzywki spowodowały, że uważana była za osobę arogancką i wyniosłą. Jednak sama była zdania, że arogancja nie jest wcale złą rzeczą. Wymusza zaufanie i dyskrecję u tych, którymi kierujesz. Pozwala utrzymać dyscyplinę.

Lukas spojrzeła na zegarek. Nieco ponad trzy godziny do następnej masakry.

Jej oczy zabłyśły, gdy usłyszała swoje nazwisko w słuchawkach.

— Słucham — powiedziała do mikrofonu, rozpoznając głos zastępcy dyrektora Biura.

— Mamy problem — oznajmił spokojnym barytonem.

Nie lubiła dramatyzowania. — Jaki? — zapytała, nie ukrywając ostrego tonu w swoim głosie.

— Wydarzył się wypadek w pobliżu ratusza. Zginął biały mężczyzna. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów, żadnego adresu, tylko klucze do mieszkania i trochę pieniędzy. Policjant, który tam był, słyszał o sprawie okupu i pomyślał, że może mieć to jakiś związek.

Zrozumiała w jednej chwili. — Czy porównano odciski palców: jego i te na liście z żądaniem okupu? —

zapytała.

- Tak. On go pisał. To współnik mordercy.

Lukas przypomniała sobie fragment listu, który brzmiał:

Burmistrz Kennedy:

Koniec jest nocą. Digger został wypuszczony i nie ma sposobu, aby go zatrzymać.

— Musisz znaleźć zabójcę, Margaret. — Nastąpiła krótka przerwa. Widocznie spojrzeł na zegarek. — Masz trzy godziny, aby go odszukać.

29

Czy jest autentyczny? — zastanawiał się Parker Kincaid.

Siedział pochylony nad kartką papieru. W rękę trzymał lupę. Mimo że Joan była tu przed kilkoma godzinami, wciąż nie mógł dojść do siebie i skupić się na pracy.

Analizował pożółkły list, umieszczony w folii wykonanej z bardzo odpornego polimeru. Mimo to postępował

bardzo ostrożnie. Poprawił lampę i skierował lupę na małą literę y.

Czy jest autentyczny?

Wydawało się, że tak. Ale w jego profesji nie można było zdawać się na intuicję.

Chciał dotknąć dokumentu i poczuć papier, który był niemal tak trwały jak stal. Jego wrażliwe

palce wyczułyby litery pisane atramentem, tak jak wyczułyby pismo Braille'a. Ale nie mógł wyjąć listu z folii. Najmniejsza ilość tłuszczu z jego rąk mogłaby rozpocząć proces niszczenia papieru. To byłaby katastrofa, ponieważ dokument wart jest około 50 tysięcy dolarów.

Jeśli, rzecz jasna, jest autentyczny.

Na górze Stephanie sterowała Mario w komputerowym świecie. Robby siedział w nogach Parkera i bawił się Hanem Solo i Chewbaccą — bohaterami „Gwiezdných wojen”. Gabinet, który uważał za przyjemne miejsce, wyłożony był panelami z drewna tekowego. Na ścianach znajdowały się setki oprawionych dokumentów — tych mniej wartościowych z kolekcji Parkera. Były wśród nich listy Woodrowa Wilsona, Franklina Delano Roosevelta, Roberta Kennedy'ego, Charlesa Russela i wielu innych. Na jednej ze ścian Parker wyeksponował

podrobione dokumenty — fałszerstwa, które odkrył.

Najbardziej lubił jednak kolekcję wiszącą naprzeciw biurka. Stanowiły ją rysunki i wierszyki dzieci z ostatnich ośmiu lat: od pierwszych bazgrołów i nieczytelnych, dużych liter po próbki ich obecnego, pochyłego pisma.

Często przerywał pracę i patrzył na nie. Myślał wtedy o napisaniu książki, o tym, jak rozwój dziecka wpływa na charakter jego pisma.

Usiadł na wygodnym krześle, przy nieskazitelnie białym stole do badań. W pokoju panowała cisza. Zwykle miał

włączone radio i słuchał jazzu lub muzyki klasycznej. Ale teraz we wszystkich programach radiowych nadawano specjalne reportaże na temat masakry na stacji metra. Nie chciał, aby Robby tego słuchał, zwłaszcza po scenie z Boatmanem.

Pochylił się nad listem pełen niepokoju, jak jubiler, który ocenia piękny żółty kamień i gotów jest stwierdzić, iż jest fałszywy, ale ciągle ma nadzieję, że okaże się prawdziwym, wyjątkowym topazem.

— Co to jest? — zainteresował się Robby, który stał i patrzył na list.

— Przywieziono mi go wczoraj furgonetką — powiedział Parker, przyglądając się dużej literze C, która często jest charakterystyczna dla piszącego i dlatego jej analiza bywa użyteczna.

— Ach, ten opancerzony pojazd. Był wspaniały.

Był wspaniały. Ale to nie jest odpowiedź na pytanie chłopca. — Czy wiesz, kim był Thomas Jefferson? —

kontynuował. - Trzecim prezydentem Stanów Zjednoczonych.

— Dobrze. To jest list, który być może napisał. Muszę to sprawdzić. Najtrudniejsze rozmowy miał z Robbym i Stephanie na temat swojej pracy.

Wiedziały, że zajmuje się analizą dokumentów. Ale jak im wyjaśnić, że ludzie często fałszują listy i podają je za prawdziwe.

— Co tam jest napisane?

Parker nie odpowiedział od razu. Odpowiedzi miały dla niego duże znaczenie. Był mistrzem w łamigłówkach.

Jego życiową pasją były zagadki, gry słowne i łamigłówki. I nigdy nie zbywał dzieci zadających pytania, jak inni rodzice, którzy z wygodnictwa mówią: „później”, mając nadzieję, że dzieci zapomną o pytaniu. Ale treść listu kazała mu się chwilę zastanowić.

— Jest to list, który napisał Jefferson do najstarszej córki.

To była prawda, lecz Parker nie powiedział, że Jefferson pisał o Mary, swojej trzeciej córce, która żyła tylko kilka lat. Przy jej porodzie zmarła żona Jeffersona.

/ znów żyję tutaj w Waszyngtonie pod całunem smutku. Nawiedzają mnie wspomnienia Polly jeżdżącej konno i lekceważącej z wrodzoną sobie przekorą moje uwagi aby zachowywała się ostrożnie.

Parker, dyplomowany badacz dokumentów, starał się nie odczuwać smutku płynącego z treści listu i analizować go chłodnym okiem. Skup się — przywoływał się w myślach do porządku, choć obecność chłopca bardzo mu przeszkadzała. Skoncentruj się...

Zauważył, że Jefferson używał imienia „Polly”, chociaż dziewczynka miała na imię Mary. Tak nazywała ją rodzina. Brakowało przecinków. Było to dla niego typowe. Opisane fakty rzeczywiście miały miejsce w życiu Jeffersona wtedy, kiedy list był rzekomo napisany. Wskazywało to na autentyczność dokumentu.

Tak, tekst sprawia wrażenie autentyczności.

Ale to dopiero połowa gry. Trzeba jeszcze sprawdzić papier i atrament.

Zamierzał właśnie umieścić list pod jednym ze swoich nowoczesnych mikroskopów firmy „Baush and Lomb”, gdy ponownie rozległ się dzwonek u drzwi.

_____ 31 _____

Och, nie... Parker zamknął oczy. To na pewno Joan. Wiedział to. Odebrała swoje psy i przyjechała jeszcze bardziej komplikować mu życie. Być może przyprowadziła z sobą pracownicę socjalną. Istny najazd komanda...

— Pójdę otworzyć — powiedział Robby.

— Nie! — szybko zareagował Parker. Zbyt ostro i zbyt stanowczo, bo chłopiec się przestraszył.

Ojciec uśmiechnął się do syna. — Ja pójdę.

Wstał i wszedł na schody.

Zdenerwował się. Tak bardzo chciał zapewnić dzieciom radosny Nowy Rok, pomimo wizyt matki. Szarpnięciem otworzył drzwi.

A cóż to... - Cześć, Parker.

Usiłował przypomnieć sobie nazwisko tego wysokiego, szpakowatego mężczyzny. Nie widział go chyba od pięciu lat. Tak. To Cage.

Natomiast zupełnie nie poznawał stojącej za nim kobiety.

4

— Jak się masz, Parker? Nie spodziewałeś się mnie zoba-czyć w miesiącu smutnych poniedziałków, co?

Poczekaj, pomieszałem powiedzenia. Ale jesteś zaskoczony! Agent zmienił się niewiele. Posiwiął i trochę wychudł, wydawał się wyższy. Parker przypomniał sobie, że Cage był dokładnie piętnaście lat starszy od niego.

Obaj urodzili się w czerwcu. Bliźnięta. Jin-Jang.

Kątem oka Parker dostrzegł Robby'ego ze „spiskowcem” — Stephanie. Fama o gościach zawsze szybko się rozchodzi. Dzieci zbliżyły się, przyglądając się Cage'owi i kobiecie.

Parker odwrócił się i pochylił do dzieci. — Nie macie czegoś do zrobienia w waszych pokojach? Czegoś bardzo ważnego?

— Nie — zdecydowanym tonem odpowiedziała Stephanie.

— Nie — potwierdził Robby.

— A ja sądzę, że macie.

— Co?

— Jak dużo klocków Lego i Micro Machines leży na podłodze?

— Kilka —• Robby próbował się wymigać.

— Kilka setek?

32

— No dobrze — powiedział chłopiec z szerokim uśmiechem.

— Na górę i to zaraz. Chyba że wolicie, żeby potwór was zaniósł. Chcecie spotkać się z potworem?

— Nie! — wrzasnęła Stephanie.

— W porządku, to zabierajcie się stąd — rzekł Parker z uśmiechem.

— Tata musi porozmawiać ze swoim przyjacielem.

— O, przesada z tym przyjacielem, prawda? — zauważył Cage, gdy dzieci weszły na górę.

Parker nie odpowiedział. Zamknął za sobą drzwi i odwracając się, wzrokiem taksował kobietę. Miała ponad trzydzieści lat i pociągłą, gładką twarz. Była blada w przeciwieństwie do Joan. Nie patrzyła na Parkera, przez okno w drzwiach obserwowała Robby'ego. Po chwili zwróciła się do Parkera i podała mu swoją silną dłoń z długimi palcami.

— Jestem Margaret Lukas. ASAC w waszyngtońskim biurze FBI. Parker przypomniał sobie, że asystenci kierownika wydziału specjalnego

określani byli skrótem, jeśli natomiast mowa była o szefie, wymieniano pełną nazwę. Był to kolejny refleks jego wcześniejszego życia, który powrócił ostatniego dnia roku.

— Możemy wejść na chwilę? — spytała.

Obudził się w nim instynkt rodzicielski. — Wolałbym, żebyśmy zostali tutaj. Dzieci...

Jej oczy zabłyśły i Parker przez moment zastanawiał się, czy nie potraktuje tego jako afront. Jedyne kontakty z FBI dzieci miały podczas oglądania w domach przyjaciół „Z Archiwum X”. Chciał, żeby tak pozostało.

— Nam to nie przeszkadza — rzekł Cage. — Ostatni raz widzieliśmy się na pogrzebie Jimmy'ego. Pamiętasz te wydarzenia na Dziewiątej Ulicy?

— Oczywiście.

Wtedy Parker był w Centrali po raz ostatni. Stał na olbrzymim dziedzińcu otoczonym posępными budynkami z kamienia. Upalny lipcowy dzień, dwa lata temu. Jeszcze do tej pory pocztą elektroniczną dostaje czasem listy gratulujące mu mowy pogrzebowej, którą wygłosił po śmierci Jimma Yana. Wcześniej Jimm był asystentem Parkera. Zginął w pierwszym dniu służby jako agent pracujący w terenie.

- Urosły — powiedział Cage o dzieciach.

— Tak. Cage, czego właściwie chcesz? — zapytał Parker. Agent spojrzał na Lukas.

— Potrzebujemy pańskiej pomocy, panie Kincaid — wyrzuciła z siebie szybko, jakby czekała na to pytanie.

Parker pochylił głowę.

____ 33 ____

— Ładnie jest tutaj w okolicy — powiedział Cage, podnosząc wzrok. -Czyste powietrze. Też powinniśmy z Lindą się przeprowadzić. Kupić jakąś posiadłość. Być może w hrabstwie London. Oglądałeś wiadomości?

— Słuchałem.

— Co?

— Radia. Nie oglądam telewizji.

- Rzeczywiście. Nigdy nie oglądałeś. — Cage zwrócił się do Lukas: -Śmieci. Tak mówił o programach telewizyjnych. On dużo czyta. Pismo to domena Parkera, jego dziedzina. Mówiłeś, że twoja córka czyta jak szalona. Czy nadal tak jest?

— Masakra w metrze. Dlatego tu jesteście — domyślił się Parker.

— METSHOOT — odparła Lukas. — Taki ma kryptonim. Morderca zabił 23 i ranił 37 osób. Sześcioro dzieci jest ciężko rannych. To był...

— Czego ode mnie chcecie? — przerwał jej, obawiając się, że dzieci mogą słyszeć.

— To jest bardzo ważne, potrzebujemy pańskiej pomocy — odpowiedziała Lukas.

— Czego, u diabła, chcecie? Nie pracuję w FBI.

- Ależ oczywiście — powiedział Cage.

Lukas zmarszczyła brwi i patrzyła to na jednego, to na drugiego. Czy spróbować? Parker wahał się. Przypomniał

sobie zasadę ze swojego podręcznika: „Powinieneś z kimś być.” Postanowił mieć się na baczności.

— Ciągłe badasz dokumenty. Jesteś na „żółtych stronach”. Masz stronę w Internecie. To pewne. Lubię niebieską tapetę.

- Badam dokumenty cywilne — stwierdził twardo.

— Cage powiedział, że przez sześć lat był pan szefem Działu Dokumentów. Mówił też, że jest pan najlepszy w całym kraju w badaniu dokumentów — powiedziała Lukas.

Jakie ona ma zmęczone oczy — pomyślał Parker. Ma prawdopodobnie 36 lub 37 lat. Wspaniała, wysportowana figura; krótkie włosy; piękna twarz. Ale ten wzrok... te oczy. Jak niebieskosiwe kamyki. Parker dobrze znał takie oczy.

Tatusiu, opowiedz mi o Boatmanie.

— Badam tylko cywilne dokumenty. Na przykład, czy list Kennedy'ego jest autentyczny, czy nie. Nie zajmuję się sprawami kryminalnymi.

— Był kandydatem na szefa Wydziału Specjalnego. Nie zmyślam — Cage zwrócił się do Lukas, jakby Parkera tu w ogóle nie było. — Potem zrezygnował.

Lukas uniosła swoje jasne brwi.

34

— To było wiele lat temu — rzucił Parker.

— Tak. Ale chyba całkiem nie zdiadziłaś, prawda? - Cage, do rzeczy.

— Próbuje cię przekonać.

— To niemożliwe.

— Rzeczy niemożliwe to moja specjalność. Jestem cudotwórcą. Pamiętasz? — Cage zwrócił się do Lukas: —

Nie chwycił fałszerzy tak po prostu. On ich osaczał, sprawdzał, dlaczego sfalszowali właśnie ten dokument, gdzie kupowali papier do pisania, pióra i tak dalej. Najlepszy w tym biznesie.

— Ona to wie. Już mówiłeś — zauważył cierpko Parker.

— Deja vu. Ponownie to samo — powiedział Cage.

Parkerowi przeszły ciarki po plecach. Nie z powodu chłodu, ale z powodu kłopotów, które sprowadzali ci ludzie.

Pomyślał o dzieciach, o ich dzisiejszym przyjęciu, o swojej byłej żonie. Otworzył usta. Chciał

powiedzieć kości-stemu Cage'owi i martwookiej Lukas, żeby się wynieśli do stu diabłów. Ale ona była tutaj po raz pierwszy.

Odezwała się bez ogródek:

— Proszę posłuchać. Szantażysta...

Parker przypomniał sobie komunikaty radiowe: nieznany morderca, niezidentyfikowany szantażysta.

— ...i jego partner — morderca — opracowali pewien schemat. Jeżeli miasto nie zapłaci, morderca będzie zabijać z broni automatycznej co cztery godziny, począwszy od czwartej po południu. Burmistrz podjął decyzję o wypłaceniu okupu, ale szantażysta się nie pojawił. Dlaczego? Nie żyje.

- Jak tu nie wierzyć w przeznaczenie — wtrącił Cage. — Iść po 20 milionów i wpaść pod samochód.

- Dlaczego pieniędzy nie odebrał morderca? — zapytał Parker.

— Ponieważ on ma robić tylko jedno: zabijać. Nie ma nic wspólnego z wymuszeniem okupu.

Typowy układ —

lewa ręka, prawa ręka. — Lukas wydawała się zdziwiona, że wcześniej na to nie wpadła. — Szantażysta dał

zabójcy instrukcje, żeby zabijał, dopóki go nie powstrzyma. Dlatego nie chcieliśmy go zatrzymać w czasie odbierania okupu. Mieliśmy zamiar namierzyć ich obu, w czasie, kiedy będą się kontaktować.

- Zatem teraz trzeba schwytać mordercę — powiedział Cage. Nagle otworzyły się drzwi za nimi.

— Proszę zapiąć kurtkę — Parker błyskawicznie zwrócił się do Lukas.

— Co? — Zmarszczyła brwi.

Parker szybko podszedł do niej i zapiął guzik, zakrywając pistolet. Była zaskoczona, więc wyjaśnił ścisłym głosem: — Nie chcę, żeby widział broń. Położył rękę na ramieniu syna. — Hej, Ktosiu. Co się stało?

- Stephanie schowała joystick.

— Nie schowałam! — krzyknęła. — Nie, nie!

— Wygrałem, a ona go schowała.

- Poczekaj, czy on nie był podłączony? — Parker zrobił srogą minę.

— Wyciągnęła kabel.

- Stephanie-effie! Joystick ma się znaleźć w ciągu pięciu sekund. Cztery, trzy, dwa...

— Już znalazłam! — zawołała.

— Moja kolej! — krzyknął Robby i wrócił na górę.

Parker zauważył, że Lukas ponownie podąża wzrokiem za chłopcem.

— Jak ma na imię? — zapytała.

- Robby.

— Ale pan inaczej do niego mówił.

— Ach to... Ktoś. Tak go nazywam.

— Wziął pan to nazwisko z Yahoo, czy od kolegi ze studiów na Uniwersytecie Wirginii?

— Nie, z książki doktora Seussa. — Parker zdziwił się. Skąd ona wiedziała o jego studiach? —

Słuchaj, Cage.

Bardzo mi przykro, ale nie mogę wam pomóc.

— Rozumiesz, stary, na czym polega problem? — ciągnął Cage. — Jedyne punkty zaczepienia, jakie mamy, to list z żądaniem okupu.

— To niech go sprawdzi zespół zajmujący się zabezpieczaniem i analizą dowodów rzeczowych.

Wargi Lukas zrobiły się jeszcze cieńsze. — Możemy też skontaktować się z psycholingwistą z Quantico, sprawdzić wszystkie firmy produkujące papier i pióra. Ale...

— ...chcieliśmy, żebyś ty zajął się tą sprawą — Cage wpadł jej w słowo. — Spójrz na list. Może będziesz w stanie coś powiedzieć. Skąd pochodzi? Gdzie teraz uderzył morderca?

— A Stan? — zapytał Parker.

Stan Lewis pełnił obecnie funkcję szefa Wydziału Dokumentów. Był dobrym specjalistą. To Parker zatrudniał

go przed wieloma laty. Przypomniawszy sobie, że kiedyś rywalizowali, który z nich lepiej podrobił podpis Johna Hanc-kocka. Wygrał Lewis.

— Jest w Kalifornii na procesie „Sancheza”. Nie zdążymy go sprowadzić przed następną strzelaniną.

— O czwartej — powtórzyła Lukas.

— Nie będzie tak jak ostatnim razem, Parker — powiedział Cage. — To się nigdy nie powtórzy.

Lukas ponownie spoglądała to na jednego, to na drugiego mężczyznę. Lecz Parker nie wyjaśnił, co Cage miał na myśli. Nie chciał mówić o przeszłości. Zbyt wiele wspomnień jak na jeden dzień.

— Bardzo mi przykro. Może przy kolejnej sprawie. Ale dzisiaj nie mogę. — Wyobrażał sobie, co by się stało, gdyby Joan dowiedziała się, że zajmuje się sprawą kryminalną.

— Cholera, Parker, co ja mam zrobić?

— Nic nie mamy — ze złością w głosie powiedziała Lukas. — Żadnych wskazówek. Zostało tylko kilka godzin do następnej masakry. Zginęły dzieci...

Parker przerwał jej ruchem ręki. — Muszę was prosić, abyście sobie poszli. Życzę powodzenia.

Cage wzruszył ramionami. Lukas wręczyła Parkerowi swoją wizytówkę ze złotym nadrukiem Departamentu Sprawiedliwości. Parker kiedyś miał takie wizytówki. Zwięzły druk, wielkość czcionki — dziewięć punktów.

— Numer telefonu komórkowego jest na dole... Czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli zadzwonimy z jakimś pytaniem?

Parker zawahał się. — Nie, nie będę.

- Dziękujemy.

— Do widzenia — powiedział Parker, cofając się do domu. Zamknął drzwi. Robby stał na schodach.

- Tato, kto to był?

— Z tym panem kiedyś razem pracowaliśmy.

— Czy ona miała broń? — spytał zaraz Robby. — Ta pani.

— Widziałeś jakiś pistolet?

— Tak.

— Zatem przypuszczam, że miała.

— Pracowałeś z nią?

— Nie, tylko z nim.

— Jest ładna.

Jak na policjantkę, chciał dodać Parker, ale się powstrzymał.

/ znów żyję w Waszyngtonie pod całunem smutku. Nawiedzają mnie wspomnienia Polly jeżdżącej konno.

Parker ponownie znalazł się w swoim gabinecie. Nareszcie sam. Złapał się na tym, że zakwalifikował rzekomy list Jeffersona jako Q1. W laboratorium FBI na Dziewiątej Ulicy badane dokumenty oznaczano literą Q. Natomiast dokumenty autentyczne i próbki pisma określano literą K. To wspomnienie pracy w FBI zburzyło jego spokój wewnętrzny. Podobnie jak wizyta Joan.

_____ 37 _____

Zapomnieć o Cage'u, zapomnieć o Lukas.

Skoncentruj się.

Wrócił do listu.

Stwierdził, że autor listu — niezależnie od tego, czy był to Jefferson, czy nie — używał stalowego pióra.

Świadczyły o tym charakterystyczne zadrapania papieru. Większość fałszerzy sądzi, że stare dokumenty pisane były gęsimi piórami. Jednak około 1800 roku powszechnie używano stalowych piór i takimi właśnie on najczęściej pisał.

Jeszcze jeden argument potwierdzający autentyczność dokumentu.

W tych trudnych chwilach myślę też o twojej matce i chociaż nie chciałbym sprawiać ci kłopotu prosiłbym bardzo o znalezienie wspólnego portretu Polly i Matki. Czy go sobie przypominasz? Został namalowany przez pana Chabroux. Zamierzam mieć go przy sobie aby w chwilach smutku i przygnębienia podtrzymywał mnie na duchu.

Starał się nie myśleć o treści listu. Uważnie przyglądał się literom na zgięciach papieru. Nie były rozmazane.

Oznaczało to, że list został napisany przed złożeniem kartki. Wiedział, że Jefferson miał swoje przyzwyczajenia i nigdy nie napisałby listu na złożonej kartce. Kolejny dowód autentyczności.

Parker oderwał wzrok od dokumentu i rozprostował się. Włączył radio. Radiostacja publiczna przerwała emisję koncertu i nadała kolejny komunikat o strzelaninie w metrze.

...informujemy, że liczba ofiar śmiertelnych wzrosła do dwudziestu czterech. Pięcioletnia dziewczynka —

LaYelle Williams zmarła od ran postrzałowych. Jej matka znajduje się w krytycznym...

Wyłączył radio.

Powoli przystawił lupę do listu. Przyglądał się zakończeniom wyrazów. Ślady pozostawione przy odrywaniu pióra były charakterystyczne dla Jeffer-sona.

Teraz zajął się atramentem. Sposób, w jaki atrament jest absorbowany, dużo mówi o rodzaju papieru i o tym, kiedy dokument został napisany. Z upływem czasu atrament wsiąka w podłoże coraz bardziej. Na podstawie analizy stwierdził, że list został napisany bardzo dawno, co najmniej 200 lat temu. Ale był ostrożny, znał

bowiem metody fałszowania i wiedział, że można uzyskać taki efekt.

Usłyszał tupot dziecięcych nóg — biegły po schodach. Chwila przerwy, potem dwa głośne uderzenia.

Zeskakiwały ze schodów.

— Tato, jesteśmy głodni! — wołał Robby ze szczytu schodów prowadzących do piwnicy.

— Już idę!

— Chcemy sera z grilla!

— Dobrze!

Parker wyłączył ostre światło nad stołem. Schował list do kasy pancерnej. Stał jeszcze przez chwilę w gabinecie, oświetlonym tylko przez podróbkę lampy od Tiffany'ego, znajdującą się w rogu, obok starego tapczanu.

Zamierzam mieć go przy sobie aby w chwilach smutku i przygnębienia podtrzymywał mnie na duchu.

Powoli wszedł na schody.

AI\ .HU

— Jego broń — odezwała się ostro Margaret Lukas. — Chcę znać więcej detali na temat broni, której używał

mnr

rlprra

mor-

— To znaczy czego? — zapytał Cage.

— Szczegółów. Szczegółów.

— Za chwilę — odparł C.P. Ardell. — Właśnie odbieram przez telefon informacje na ten temat.

Znajdowali się w jednym z pokoi bez okien, w nowym centrum informacyjnym i operacyjnym. Pokój znajdował

się na czwartym piętrze w Centrum FBI na Dziewiątej Ulicy. Całość zajmowała powierzchnię równą powierzchni boiska piłkarskiego. Ostatnio została powiększona tak, że można było prowadzić jednocześnie pięć różnych spraw.

— Dobrze się spisujesz — wyszeptał Cage, przechodząc obok Lukas. Nie odezwała się. Zerknęła na swoje odbicie na jednym z dużych ekranów

wiszących na ścianie, który wyświetlał list z żądaniem okupu. Czy rzeczywiście? Miała nadzieję, że tak. W

Biurowo mówiło się, że każdy agent ma w swojej karierze jedną wielką szansę, aby być zauważonym i wybić się.

To była jej sprawa. Asystent kierownika wydziału specjalnego prowadzący taką sprawę jak ta — to się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Nie w... Jak to Cage powiedział? Nie w miesiącu smutnych poniedziałków.

Patrzyła na swoje odbicie na monitorze, na wypisane litery czarne jak pająki. Dlaczego nie myślę o...

Zastanowiła się. Wysłała odciski palców szantażysty do wszystkich większych baz danych na całym świecie.

Kilku-

dziesięciu gliniarzy z policji Dystryktu poszukuje kierowcy ciężarówki, który go zabił. Być może powiedział coś przed śmiercią. (Kierowca dostał immunitet chroniący go od odpowiedzialności, aby skłonić go do mówienia).

Kilkudziesięciu agentów poszukuje świadków i śladów. Sprawdzono wszystkie rozmowy telefoniczne prowadzone z ratusza w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Ona tym wszystkim...

Zadzwoił telefon. Len Hardy chciał odebrać, ale Cage go uprzedził. Hardy zrzucił już trenecz. Ubrany był w białą, poliestrową koszulę w brązowe paski, spodnie z ostrymi jak brzytwa kantami i brązowy krawat. Mimo że leżał na ziemi ponad godzinę, jego włosy były w idealnym stanie i nie miał

na sobie ani jednego pyłku. Nie wyglądał na detektywa, raczej na Świadka Jehowy, który oferuje właśnie broszury na temat zbawienia. Lukas, która miała Gloc-ka, uważała, że mały Smith and Wesson o kalibrze 38 wygląda osobliwie na biodrze Hardy'ego.

— Wszystko w porządku, detektywie? — zapytała Lukas, widząc jego niezadowolenie z powodu zabranej słuchawki.

— Mam się jak kaczką na deszczu — mruknął bez cienia obrazy. Lekko uśmiechnęła się z powiedzenia, którego nie słyszała od wielu lat.

— Pochodzisz ze Środkowego Zachodu?

— Poznałaś po akcencie? Spod Chicago. Downstate, chociaż moje rodzinne miasto leży na północny zachód od Chicago.

Usiadła. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Jak kaczką na deszczu...

Cage odwiesił słuchawkę. — Masz swoje szczegóły. To był Uzi. Został wyprodukowany rok temu, miał duży rozrzut. Wygląda na to, że był używany w poważnych akcjach. W tłumiku znajdowała się bawełna mineralna.

Tłumik przygotowywany był w warunkach domowych. Morderca zna się na tym.

— Doskonale! — krzyknęła Lukas. Odezwała się do C.P. Ardella tkwiącego w drugim końcu pokoju: — Niech ktoś sprawdzi strony internetowe poświęcone konstruowaniu tłumików. Może uda się uzyskać adresy użytkowników.

— Czy udostępnią je nam?

— Trzeba nalegać.

Agent kilka minut rozmawiał przez telefon.

— Dział techniczny tym się zajmie — oznajmił.

— Hej, mam pomysł — zwróciła się wtedy Lukas do Cage'a. Uniósł brwi.

— Potrzebujemy kogoś z Zasobów Ludzkich.

— Kogo? — zapytał Cage.

____ 40 ____

— Kogoś, kto na podstawie analizy pisma określa osobowość kandydatów do pracy — ciągnęła Lukas.

— Policja Dystryktu też tym się zajmuje — wtrącił Len Hardy.

— Co masz na myśli? — C.P. zwrócił się do Lukas. — Wysłaliśmy list do Quantico...

Wyjaśnił, że kopia listu została przesłana do analizy psycholingwistycznej. Tobe Geller siedzi przy komputerze i czeka na wyniki.

— Ale tam określą jego wykształcenie i inteligencję. Ja chcę także znać jego osobowość. Potrzebna jest analiza grafologiczna — powiedziała Lukas.

— Proszę się tym nie zajmować — usłyszeli głos za sobą.

Lukas odwróciła się. Zobaczyła mężczyznę w dzinsach i skórzanej lotniczej kurtce. Wszedł do pokoju. W rękę trzymał walizkę. Trudno było go rozpoznać.

Cage otworzył usta, ale nic nie powiedział. Być może obawiał się, że go odstraszy.

- Na górę wpuścił mnie Artie. Wciąż mnie pamięta. Po tylu latach - powiedział Parker Kincaid.

Oto inna strona Kincaida — pomyślała Lukas. W domu wyglądał nieciekawie: w okropnym swetrze i workowatych spodniach. Popielaty sweter i czarna koszula, które miał na sobie, bardziej mu pasowały.

— Dzień dobry, panie Kincaid — odezwała się Lukas. — Czym mamy się nie zajmować?

— Analizą grafologiczną. Nie można określić osobowości człowieka z charakteru jego pisma.

Była zaskoczona jego stanowczym tonem. — Myślałam, że wiele osób z tego korzysta.

— Ludzie przewidują przyszłość z kart tarota i rozmawiają z duchami. To oszustwo.

— Słyszałam, że analiza grafologiczna może być użyteczna.

— To strata czasu — ocenił trzeźwo. — Skoncentrujemy się na innych rzeczach.

— Cóż, jeśli pan tak uważa, dobrze — postanowiła mu nie przeszkadzać. Odezwał się Cage: —

Parker, znasz Tobe'a Gellera? Pracuje dzisiaj jako

człowiek od komputerów i łączności. Zawróciliśmy go z drogi. Jechał na narty do Vermont.

— Do New Hampshire — sprostował agent, prezentując jeden ze swoich przepisowych uśmiechów. — Muszę coś zrobić z opłatą za pobyt. Może uda się przesunąć datę. Witaj, Parker. Słyszałem o tobie.

Podali sobie ręce.

----- 41 -----

Cage przedstawił następną osobę: — C.P. Ardell. Jest z oddziału waszyngtońskiego FBI. Nikt nie wie, jaką funkcję on pełni i czym się zajmuje. Myślę, że on sam też nie wie.

- Przed chwilą można było zobaczyć — wyjaśnił zwięźle Ardell.

— A to Len Hardy. Jest łącznikiem między FBI a policją Dystryktu.

— Miło mi pana po/nać — powiedział detektyw. Kincaid uściśnął mu dłoń.

— Darujmy sobie tego „pana”.

— Jasne.

— Zajmujesz się prowadzeniem śledztw?

Hardy zawahał się, zanim odpowiedział: — Obecnie pracuję w dziale analizy i statystyki. Ale ponieważ dziś wszyscy inni byli poza biurem, więc mnie wybrano jako łącznika.

— Gdzie jest list? — Parker zwrócił się teraz do Lukas. — Mam na myśli oryginał.

— W dziale identyfikacji. Chciałam sprawdzić, czy nie uda się zebrać więcej odcisków palców.

Kincaid zmarszczył czoło, lecz nie zdążył nic powiedzieć, bo Lukas dodała: — Powiedziałam im, żeby używali tylko lasera — żadnej ninhydryny. Uniósł brwi. — Prowadziliśmy już jakieś śledztwo...? Mimo iż była pewna podjętej decyzji, czuła, że ocenia jej kompetencje.

— Pamiętam z Akademii — odparła i podniosła słuchawkę.

— Co to jest, ta nin... — zainteresował się Hardy.

— Ninhydryny używa się do zdejmowania odcisków palców — wyjaśniła Lukas.

— Ale jej użycie niszczy inne pozostawione ślady. Nigdy nie stosuj jej przy badaniu dokumentów — dokończył

Parker.

Lukas rozmawiała z działem identyfikacji. Technik powiedział jej, że nie znaleziono innych odcisków palców i goniec zaraz dostarczy list do centrum kryzysowego. Przekazała tę informację zespołowi.

Parker kiwnął głową.

— Dlaczego zmieniłeś decyzję? — zapytał Cage.

Nie odzywał się przez chwilę. — Mówiliście o dzieciach rannych w metrze. Jedno z nich zmarło.

— LaYelle Williams. Słyszałam — powiedziała ze smutkiem w głosie Lukas.

Parker zwrócił się do Cage'a: — Mam jeden warunek. Nikt poza wami nie powinien wiedzieć, że zajmuję się tą sprawą. Jeśli tylko moje nazwisko przecieknie na zewnątrz, rezygnuję. Zaprzeczę

nawet, że was znam.

_____ 42 _____

Pierwsza odezwała się Lukas: — Jak pan sobie życzy, panie Kincaid, ale...

— Parker.

- Czy możemy wiedzieć dlaczego? — spytał Cage.

— Moje dzieci.

- Jeżeli boisz się o ich bezpieczeństwo, możemy zapewnić ochronę. Tylu agentów, ilu...

— Myślę o mojej byłej żonie.

Lukas spojrziała na niego pytającym wzrokiem.

- Cztery lata temu, po rozwodzie przyznano mi opiekę nad dziećmi. Jednym z warunków jest praca w domu i nieangażowanie się w sprawy, które mogą narazić je lub mnie na niebezpieczeństwo. Dlatego zajmuję się komercyjną analizą dokumentów. Teraz Joan zamierza otworzyć sprawę i zmienić warunki umowy. Nie może się dowiedzieć, że zajmuję się tą masakrą.

— To nie problem — uspokajał go Cage. — Możesz przybrać pseudonim. Kim chcesz być?

— Wszystko jedno. Mogę być Panem Iksińskim lub Thomasem Jefferso-nem, byle nie Parkerem Kincaidem.

Joan przychodzi jutro rano z prezentami dla dzieci. Będzie ich wypytywała i jeżeli dowie się, że w Sylwestra pracowałem nad jakąś sprawą... będzie bardzo źle.

— Co im powiedziałaś? — zapytała Lukas.

— Mój przyjaciel jest chory i muszę go odwiedzić w szpitalu. — Skierował palec wskazujący w stronę Cage'a.

— Nienawidzę ich oszukiwać, nienawidzę.

Lukas przypomniała sobie jego ślicznego synka. — Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

— Nie chodzi o wszystko — powiedział, patrząc jej w oczy. Niewielu mężczyzn mogło wytrzymać jej spojrzenie. — Chcę tylko pozostać w ukryciu, w przeciwnym razie odchodzę.

— Zapewnimy ci to — odparła krótko, rozglądając się po pokoju. C.P., Geller i Hardy potwierdzili skinieniem głowy.

— Dobrze. — Parker zdjął kurtkę i rzucił ją na krzesło.

Lukas przedstawiła dotychczasowe postępy w śledztwie. Kincaid kręcił głową i nic nie mówił. Usiłowała odczytać z jego twarzy, czy akceptuje jej działania. Była zdziwiona, że tak jej na tym zależy. W końcu powiedziała:

— Niedługo burmistrz wystąpi na antenie. Zwróci się bezpośrednio do mordercy. Ma zamiar zasugerować, że teraz on może odebrać okup. Mamy nadzieję, że wtedy skontaktuje się z nami. Worek z pieniędzmi, zaopatrzony w nadajniki, złożymy w miejscu wskazanym przez niego.

----- 43 -----

Cage dodał: — Do jego kryjówki Tobe będzie go śledzić drogą radiową. Oddział specjalny Jerry'ego Bakera cały czas jest w pogotowiu. Złapiemy go, gdy wróci do domu, albo zatrzymamy na autostradzie.

— Jakie jest prawdopodobieństwo, że weźmie okup?

— Nie wiemy — odpowiedziała Lukas. — Sądząc z listu, szantażysta — mężczyzna, który zginął w wypadku

— był nierozgarnięty. Jeżeli jego wspólnik — Digger, jest równie głupi, to nie przyjdzie po pieniądze. —

Przypomniała sobie zajęcia z psychologii kryminalnej w Akademii. Przestępcy o niskiej inteligencji są bardziej podejrzliwi. Nie potrafią poradzić sobie w zmieniającej się sytuacji. — A to oznacza, że będzie zabijał, tak jak został poinstruowany — dodała.

— Nie wiemy nawet, czy morderca wysłucha wystąpienia Kennedy'ego. Nie mamy żadnego punktu zaczepienia

— dorzucił Cage.

Lukas zauważyła, że Kincaid patrzy na „Biuletyn Kryminalny”. Takie biuletyny podawały szczegółowe informacje i były używane w szkoleniu policjantów. W tym opisaną sprawę ostrzelania domu Mossa. Podano, że jego córki cudem uniknęły śmierci w płomieniach.

Parker Kincaid wczytywał się w biuletyn dłużej, niż chciał. Zdegustowany był sztywnym, urzędowym językiem opisu:

Dwoje dzieci ochranianego było w stanie zapewnić sobie ucieczkę z gmachu budynku, odnosząc tylko niewielkie obrażenia.

Odłożył biuletyn. Dopiero teraz rozejrzał się po pokoju pełnym biurów, telefonów, komputerów. W końcu spojrzął na monitor wyświetlający list z żądaniem okupu.

— Czy dostanę jakieś miejsce do pracy gdzie indziej?

— Tu jest centrum kryzysowe — oznajmiła Lukas.

— Nie wykorzystujemy większości przestrzeni w tym pokoju i nie korzystamy ze wszystkich urządzeń tu się znajdujących — zauważył.

— Sądzę, że nie sprawi to większej różnicy. Gdzie chcesz pójść? — zapytała Lukas.

— Do góry — powiedział obojętnie, przyglądając się listowi na ekranie. — Pójdziemy do góry.

Parker szedł przez laboratorium, w którym badano dokumenty. Przyglądał się aparatom, które tak dobrze znał.

Dwa mikroskopy firmy Leitz, dające obraz przestrzenny; stary spektrofotometr Foster+Freeman VSC4 i najnowszy — YSC2000 sterowany komputerem. W rogu stał wyeksploatowany detektor elektrostatyczny ESDA Fo-

----- 44 -----

ster+Freeman i cienkwarstwowy chromatograf gazowy służący do analizy śladowej —• m.in. atramentu i tuszu.

Spojrzał na okna, przez które codziennie można było zobaczyć turystów zwiedzających Centrale FBI.

Zajrzał do gabinetu Staną Lewisa. Na półkach stały książki, z których korzystał, kiedy tu pracował: „Podejrzane dokumenty” Harrisona, „Wprowadzenie do identyfikacji pisma” Housely'ego i Farmera, „Analiza wątpliwych dokumentów” Hiltona i biblia profesjonalistów: „Wątpliwe dokumenty” Alberta S. Osborna. Na szafce za biurkiem stały cztery drzewka bonsai, które sam wyhodował, a potem, odchodząc, zostawił Lewisowi.

Parker włączył kilka urządzeń. Niektóre zabrzęczały, inne zapiszczały, jeszcze inne nie wydały żadnego dźwięku, tylko świeciły wskaźnikami, które przypominały lampki ostrzegawcze.

Muszę zachować spokój i nie myśleć o rozmowie z dziećmi, tej sprzed godziny. Powiedział im wtedy, że plany na Nowy Rok uległy zmianie.

Dzieci były w pokoju Robby'ego, ciągle zagraconym klockami Lego i Micro Machines.

— Cześć, Ktosie.

— Dotarłam do trzeciego poziomu — powiedziała Stephanie grająca w grę Nintendo. — Ale

zostałam zniszczona.

Robby urządził prawdziwą inwazję śmigłowców i łodzi desantowych na swoje łóżko.

Parker usiadł. — Pamiętacie tych dwoje ludzi, którzy tu byli?

— Ta piękna kobieta, na którą patrzyłeś? — zauważył nieśmiało chłopiec.

(„Są bardziej spostrzegawczy, niż to sobie wyobrażasz” — mówił jego podręcznik.)

— Powiedzieli mi, że mój przyjaciel jest chory i muszę go odwiedzić w szpitalu. Kto ma przyjść, by się wami opiekować?

Poza studentkami dorabiającymi jako opiekunki do dzieci, Parker mógł skorzystać z pomocy przyjaciół z sąsiedztwa, których dzieci bawiły się z Rob-bym i Stephie. Chętnie by się nimi zaopiekowali. Poza tym była jeszcze jego przyjaciółka — Lynne, mieszkająca w Dystrykcie. Mogłaby przyjechać i zająć się dziećmi. Ale zapewne dzisiaj jest umówiona (trudno było sobie wyobrazić, że może być w takim dniu inaczej). Poza tym ich stosunki nie były już tak dobre jak kiedyś i trudno wymagać od niej poświęceń.

— Musisz iść? — zapytał Robby. — Akurat dzisiaj.

Gdy chłopiec był niezadowolony, starał się tego nie okazywać. Milczał. Parker wolałby raczej, żeby się żalił

albo dąsał. Tymczasem Robby stał zmro-

____ 45 ____

zony, przytłoczony smutkiem. Patrzył na ojca nieporuszony, trzymając w ręku mały śmigłowiec. Parker niemal namacalnie poczuł w swoim sercu gorycz chłopca.

Stephie nie przejęła się tym bardzo. Odrzuciła jedynie włosy z twarzy i zapytała: — Czy twój przyjaciel wyzdrowieje?

— Jestem pewny, że tak. Ale powinienem go odwiedzić w szpitalu. Czy zawołać Jennifer? Może panią Cavanaugh?

— Panią Cavanaugh! — zawołały prawie równocześnie. Robby poweselał. Pani Cavanaugh była babcią dla wszystkich dzieci w okolicy. Opiekowała się Robbym i Stephie we wtorki, kiedy Parker wychodził pograć w pokera. Nawiasem mówiąc, zwykle wygrywał. Pani Cavanaugh w tym czasie grała z dziećmi w Monopol i trik-traka, przegrywając z wdziękiem.

Parker wstał. Był otoczony morzem zabawek.

— Ale wrócisz przed północą? — upewniał się chłopiec. (Nigdy nie składaj obietnic, jeżeli nie możesz się z nich wywiązać.)

- Zrobię wszystko, aby wrócić.

Parker przytulił oboje dzieci i podszedł do drzwi.

— Tatusiu! — zawołała Stephie, taka słodka w swoich luźnych džinsach i koszulce. — Czy mogę mu narysować kartkę z życzeniami?

Kłamstwo, którego się dopuścił, wywołało w nim fizyczny ból. — Doskonale, kochanie. Myślę, że poczuje się lepiej, gdy dowie się, że dobrze się bawicie...

Otworzyły się drzwi do laboratorium, przerywając Parkerowi ciężkie wspomnienia. Wszedł wysoki, przystojny blondyn z zaczesanymi do tyłu włosami.

— Jerry Baker — przedstawił się, podchodząc do Parkera. — Pan Parker Kincaid?

Podali sobie ręce.

Spojrzał w głąb laboratorium. — Margaret! — zawołał na powitanie. Lu-kas skinęła głową.

— Pan jest specjalistą od taktyki? — zapytał go Parker.

- Tak.

— Kieruje ludźmi zajmującymi się śledzeniem i nadzorem — wyjaśniła Lukas.

— Mam też kilku dobrych snajperów. Nie mogą się doczekać, kiedy dopadną tego bydlaka.

Parker usiadł na szarym krześle i powoli się obracał. Zwrócił się do Lukas: — Czy zbadano ciało szantażysty?

— Tak — odparła Lukas.

----- 46 -----

— Są wyniki?

— Jeszcze nie.

Parker Kincaid miał sprecyzowany plan dotyczący prowadzenia śledztwa, które powinno koncentrować się wokół listu, i zastanawiał się, jak ułożyć się jego współpraca z Lukas. Zachowywać się subtelnie czy nie?

Spojrzał na jej bladą, pozbawioną skrupułów twarz. Nie czas na finezje. Trzeba działać szybko i złapać mordercę przed północą, aby móc powitać Nowy Rok z dziećmi. Potrzeba więc jak najwięcej wskazówek.

Spojrzał na Bakera. — Ilu mamy ludzi?

— Trzydziestu sześciu naszych i czterdziestu ośmiu policjantów z Dystryktu.

Parker zmarszczył czoło. — Mało.

- Z tym jest problem — przyznał Cage. — Są święta. Do miasta przyjechały tysiące ludzi. Ochroniamy przyjęcia dyplomatyczne i rządowe.

— Źle, że to się wydarzyło dzisiaj — burknął Hardy.

Parker zaśmiał się gorzko. — To nie powinno wydarzyć się nigdy i nigdzie.

Detektyw spojrzał pytającym wzrokiem. — Co masz na myśli?

Parker chciał odpowiedzieć, ale odezwała się Lukas: — Szantażysta wybrał dzień dzisiejszy, bo liczył na nasze ograniczone możliwości.

— I tłumy ludzi w mieście — dorzucił Parker. — Pierdolony terrorysta, zawody sobie urządził. On...

Przerwał. Nie mógł uwierzyć w to, co powiedział. Od czasu, gdy zrezygnował z pracy w FBI, złagodniał. Już nie przeklinał. Bardzo uważał na to, co mówi. Ale teraz na ten krótki czas znalazł się w swoim poprzednim życiu, twardym życiu. Jako lingwista, Parker wiedział, że pierwszym krokiem do zasymilowania się w nowej grupie jest posługiwanie się jej językiem.

Otworzył swoją walizkę, w której mieścił się podręczny zestaw do badania dokumentów. Większość przyborów i przyrządów była jego konstrukcji. Między nimi znajdowała się figurka Dartha Yadera.

— Moc będzie z tobą — powiedział Cage. — Nasza maskotka na tę noc. Moje wnuki bardzo lubią te filmy.

Parker postawił figurkę na stole. — Wolałbym, żeby to był Obi-Wan Ke-nobi.

— Kto? — zapytała Lukas, kręcąc głową.

— Nie wiesz? — zdziwił się Hardy. Zmroziła go wzrokiem, aż się zaczerwienił.

Parker był również zaskoczony. Jak można nie znać bohaterów „Gwiezdných wojen”?

____ 47 ____

— Postać z filmu — wyjaśnił jej C.P. Ardell.

Nic nie mówiąc, wróciła do studiowania dokumentu.

Parker wyjął z welwetowego woreczka lupę Leitz o dwunastokrotnym powiększeniu. Było to jego podstawowe narzędzie pracy. Joan kupiła mu tę lupę na drugą rocznicę ślubu. Wyszperała ją w sklepie z antykami w Londynie.

Hardy przyglądał się książce w walizce. Parker to zauważył i podał mu ją. „Łamigłówek. Tom V”. Hardy przekazał książkę Lukas.

- Moje hobby — rzekł Parker. Patrzył, jak przerzucała strony.

— Ten człowiek kocha łamigłówek. Mistrz łamigłówek. Tak go nazywano — powiedział Cage.

— To takie dodatkowe ćwiczenia umysłu — wyjaśnił. Zajrzał Lukas przez ramie i głośno przeczytał: —

Mężczyzna miał trzy monety o łącznej wartości 76 centów. Monety były wybite w Stanach Zjednoczonych w ciągu ostatnich 20 lat, znajdowały się w powszechnym obiegu i jedna z nich nie była monetą jednocentową.

Jakie są ich nominały?

— Poczekaj, musi wśród nich być jednocentówka — powiedział Cage. Hardy utkwił wzrok w suficie. Parkera interesowało, czy w myśleniu jest

równie systematyczny jak na zewnątrz. Zastanawiał się przez chwilę.

— Czy są to monety okolicznościowe?

— Nie, tylko obiegowe.

— Dobrze — powiedział.

Lukas patrzyła na drzwi. Była nieobecna. Parker nie miał pojęcia, o czym mogła myśleć.

Geller chwilę się zastanawiał. — Szkoda moich szarych komórek na coś takiego. — Wrócił do komputera.

—• Rezygnujesz? — zapytał Parker.

— Jaka jest odpowiedź? — spytał Cage.

— Miał monety: pięćdziesięcio-, dwudziestopięcio- i jednocentową.

— Zaraz! — protestował Hardy. — Powiedziałeś, że nie miał jednocen-tówek.

— Nie, nie powiedziałem. Mówiłem tylko, że jedna z monet nie była jednocentówka. A monety: pięćdziesięciocentowa i dwudziestopięciocentowa nie są.

— To oszustwo — mruknął Cage.

— Ta zagadka jest łatwa — orzekł Hardy.

— Łamigłówek zawsze są proste, gdy zna się odpowiedź. Jak w życiu — powiedział Parker.

Lukas przewróciła kartkę w książce. Zaczęła czytać: — Trzy jastrzębie porywały kurczaki z farmy. Pewnego dnia farmer zauważył je wszystkie, sie-

----- 48 -----

dzące na dachu kurnika. Miał przy sobie strzelbę z jednym nabojem. Było daleko. Mógł zastrzelić tylko jednego.

Wybrał siedzącego po lewej stronie. Strzelił i zabił go. Nie było rykoszetu. Ile jastrzębi zostało na dachu? - To zbyt proste — zauważył C.P.

— Poczekaj — rzekł Cage — może jednak jest tu jakaś pułapka. Może ta łamigłówka wydaje się skomplikowana, a w rzeczywistości rozwiązanie jest proste. Zastrzelił jednego i zostały dwa jastrzębie. Koniec zagadki.

— I to jest cała twoja odpowiedź? — spytał Parker.

— Sam nie wiem — powiedział Cage z wahaniem.

— To jest wykręt — stwierdził Parker.

Lukas przerzucała kartki. Zajrzała na koniec książki. — A gdzie odpowiedzi? — niemal krzyknęła.

— Nie ma.

— Jaki typ łamigłówek jest w tej książce? — zapytała.

— Odpowiedź, której sam nie udzielisz, nie jest odpowiedzią. — Parker spojrział na zegarek. Gdzie, u diabła, jest list...

Lukas zastanawiała się nad łamigłówką. Miała ładną twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, szerokie biodra i sprężyste piersi. Ubrana w obcisły czarny sweter i ciasne dżinsy wydawała się niższa. Miała szczupłe, jędrne uda. Patrząc na jej kostki, zauważył, że pod spodniami miała białe, cienkie pończochy, takie, jakie nosiła Joan.

Jest ładna, tatusiu.

Jak na policjantkę...

Do laboratorium wszedł młody mężczyzna w przyciasnym ubraniu. Pewnie jeden z urzędników zajmujących się dokumentacją i łącznością — pomyślał Parker.

— Agencie Cage — powiedział.

— Timothy, co masz dla nas?

— Szukam agenta Jeffersona.

Parker chciał zapytać: „kogo?”, ale spojrział na Cage'a.

— Toma Jeffersona?

— Tak, proszę pana. Wskazał na Parkera. — To on.

Parker wahał się przez chwilę, wziął kopertę i pokwitował. „Th. Jeffer-son” — podpisał charakterem pisma prezydenta.

Timothy wyszedł i Parker porozumiewawczo spojrział na Cage'a.

— Chciałeś działać anonimowo, więc działasz anonimowo.

— Ale jak...

— Mówiłem ci, że jestem cudotwórcą.

----- 49 -----

Digger stoi w cieniu swojego hotelu: 39,99 dolara za dobę restauracja i telewizja kablowa mamy wolne miejsca.

To dość podła dzielnica miasta. Przypomina Diggerowi... klik... co?

Boston, nie, White Plains... klik... w pobliżu Nowego Jorku.

Klik.

Stoi obok cuchnącego kontenera na śmieci i obserwuje drzwi swojego wygodnego pokoju.

Patrzy na ludzi przychodzących i wychodzących, tak jak kazał mu mężczyzna, który mówi mu o wszystkim.

Obserwuje drzwi. Przez okno obserwuje swój pokój.

Wchodzą i wychodzą.

Samochody pędzą brudną ulicą, mijają go ludzie. Digger wygląda tak jak oni, chociaż Digger nie przypomina żadnej z osób. Nikt nie zauważa Digge-ra.

- Przepraszam — słyszy głos. — Jestem głodny. Nie jadłem...

Digger odwraca się. Jakiś' mężczyzna patrzy prosto w jego puste oczy. Nie kończy zdania. Digger zabija mężczyznę dwoma cichymi strzałami. Wpycha go do dużego kontenera i myśli o ponownym

przygotowaniu tłumika. To nie było... klik... po cichu.

Ale nikt nic nie słyszał. Zbyt duży ruch.

Zbiera łuski i wkłada je do kieszeni.

Kontener jest niebieski.

Digger lubi kolory. Jego żona hoduje kwiaty: czerwone kwiaty i żółte kwiaty. Ale niebieskie — nie.

Rozgląda się wokół. Nikogo nie ma obok.

„Jeżeli ktoś patrzy na twoją twarz, zabij go” - powiedział mężczyzna, który mówi mu o wszystkim. „Nikt nie może zobaczyć twojej twarzy. Zapamiętaj.”

„Zapamiętam” — odpowiedział Digger.

Nasłuchuje odgłosów z kontenera. Cisza.

Zabawne, że kiedy jesteś... klik... martwy, nie wydajesz żadnych dźwięków.

Zabawne...

Ponownie zaczyna obserwować drzwi, okno, ludzi idących chodnikiem.

Spogląda na zegarek. Stoi tu od piętnastu minut.

Czas wejść do środka.

Zjeść trochę zupy, załadować magazynek, wymienić wypełnienie w tłumiku. Nauczył się tego pewnego pięknego, jesiennego dnia. Kiedy to było?

W zeszłym roku? Siedzieli na pniu i mężczyzna pokazał mu, jak ładować broń i przygotowywać tłumik. Wokół

nich pełno było kolorowych liści. Potem strzelał z Uzi, kręcąc się w kółko jak bąk. Spadały liście i gałęzie.

Przypomina sobie zapach zestrzelonych liści.

Woli las od miasta.

Sprawdza pocztę głosową. Wystukuje kod. Dwadzieścia pięć dwanaście. Nie ma informacji od mężczyzny, który mówi mu o wszystkim. Ma wrażenie, że ogarnia go smutek. Od rana nie usłyszał ani słowa od mężczyzny.

Myśli, że jest mu smutno, ale nie jest pewny.

Nie wie dokładnie, co znaczy być smutnym.

Żadnych wiadomości.

Znaczy to, że będzie musiał przygotować tłumik, załadować magazynek i być gotowym do wyjścia.

Najpierw zje jednak trochę zupy i poogląda telewizje.

Tak. Trochę przyjemnie pachnącej gorącej zupy.

Burmistrz Kennedy:

| JLL J K Koniec jest nocą. Digger został wypuszczony i nie ma sposobu, aby go zatrzymać. Będzie zabijał: o czwartej, ósmej i o Północy.

Żądam \$20 milionów dolarów w gotówce, którą włożycie ją do wokra i zostawicie trzy kilometry na południe od RT66 po Zachodniej Stronie Bełtway, na środku Pola. Zapłaćcie do mnie pieniądze do 12.00. Tylko ja jestem wiedzący jak zatrzymać Diggera. Jeżeli mnie aresztujecie, on będzie zabijał dalej. Abyście mi uwierzyli, pomalowałem niektóre naboje Diggera na czarno. Jedynie ja wiem o tym.

Dokumenty mają dusze. List Jeffersona znajdujący się w sejfie w domu Parkera -- niezależnie od

tęgo, czy autentyczny, czy nie — miał duszę królewską. Był bogaty wewnątrz. Natomiast ten tu, leżący na stole, był

chłodny i barbarzyński.

Parker analizował list, jakby rozwiązywał łamigłówkę. Żadnych założeń, żadnych uprzedzeń. Pierwsze wrażenie jest jak szybko schnący plaster — nie daje się usunąć. Nie chciał wyciągać żadnych wniosków, dopóki nie skończy

----- 51 -----

analizy listu. Powstrzymywanie się od pochopnych sądów było najtrudniejszą częścią jego pracy.

Trzy jastrzębie porywały kurczaki...

— Pociski na stacji metra — zawołał. — Rzeczywiście niektóre z nich były pomalowane?

— Tak. Z dziesięć, na czarno — poinformował Jerry Baker.

— Podobno zaangażowaliście psycholingwiste?

— Tak. Ciągłe czekamy na wyniki z Quantico — odparł Geller, który siedział przed komputerem.

Parker przyglądał się kopercie zawierającej list. Była zapakowana w folię, do której przypięto kartkę z nagłówkiem „METSHOOT”. Na kopercie widniał, napisany tym samym charakterem pisma co list, adresat: Do burmistrza — Życie i śmierć.

Włożył gumowe rękawiczki. Nie myślał o odciskach palców, lecz o tym, że może zanieczyścić śladowy materiał

znajdujący się na papierze. Wyjął swoją lupę. Osadzona była w połyskującym stalowym pierścieniu i miała rączkę z palisandrowego drewna. Zaczął przyglądać się brzegom koperty, na których znajdował się klej.

— Co my tu mamy, co my tu mamy? — mruczał pod nosem. Często mówił do siebie, gdy badał dokumenty.

Dzieci, które czasem przesiadywały w jego gabinecie, sądziły, że mówi do nich. Wychodziły wtedy, myśląc, że przeszkadzają tacie w pracy.

Cienkie pasemka kleju na kopercie były nie naruszone.

— Brak śliny na kleju — powiedział niezadowolony. Można by było uzyskać informacje o DNA i grupie krwi.

— Nie zakleił koperty.

Lukas potrząsnęła głową. Uznała, że Parker o czymś zapomniał.

— Ale przecież pobraliśmy krew ze zwłok i badaliśmy DNA. Sprawdzaliśmy w bazie danych. Nic.

- Badaliście krew szantażysty — odparł spokojnie Parker. — A ja miałem nadzieję, że to ten Digger polizał

kopertę.

— Nie pomyślałam o tym — przyznała.

Nie jest zbyt zarozumiała — zauważył Parker. Odłożył kopertę i zaczął przyglądać się listowi. — Co ukrywa się pod tym pseudonimem: Digger?

- Czy ma to jakieś znaczenie? — zapytał C.P. Ardell.

— Trzeba skontaktować się z psychologiem i dowiedzieć się, co oznacza to nazwisko.

Lukas wyraziła zgodę i Cage zadzwonił do Quantico.

— Czy istnieje jakiś portret pamięciowy mordercy? — zapytał Parker, odrywając wzrok od listu.

----- 52 -----

- Nie. Był chyba przezroczysty. Nikt nie widział broni i błysków u wylotu lufy. Nikt nie słyszał wystrzałów, tylko odgłosy uderzeń pocisków w ściany i cóż... w ofiary także — powiedział Cage.

— W godzinach szczytu nikt nic nie widział? — nie dowierzał Parker.

— Pojawił się i zniknął — stwierdził C.P. Ardell.

— Jak duch — dodał Hardy.

Parker spojrział na detektywa. Był krótko ostrzyżony, starannie ubrany, przystojny. Na palcu miał obrączkę.

Wszystko wskazywało na to, że powinien być szczęśliwy. Ale miał wrażenie, że otacza go aura smutku.

Przypomniał sobie, że gdy opuszczał Biuro, doradca ds. informacji wspominał o licznych przypadkach depresji wśród pracowników policji i FBI.

Pochylił się ponownie nad listem, badając biały, chłodny papier i czarne pismo. Przeczytał go kilka razy.

Koniec jest nocą...

Parker zauważył brak podpisu. Mogłaby to być obserwacja bez znaczenia, ale pamiętał o kilku przypadkach, które kiedyś badał. W jednym — przestępca podrobił podpis, by wyprowadzić policję w pole, lecz dokładna analiza charakteru pisma pozwoliła aresztować właściwą osobę. W innym — porywacz podpisał się swoim własnym nazwiskiem. Zapewne był zdenerwowany i zrobił to automatycznie. Został aresztowany siedemnaście minut po tym, jak rodzina dziecka otrzymała list z żądaniem okupu.

Parker przysunął jaskrawo świecącą lampę. Pochylił się bardziej.

— Przemów do mnie — cicho poprosił kartkę papieru. — Zdradź swoje tajemnice.

Miał przy sobie strzelbę z jednym nabojem. Był daleko. Mógł zastrzelić tylko jednego...

Zastanawiał się, czy szantażysta próbował zmienić charakter pisma. Na przykład porywacze piszący listy z żądaniem okupu tak właśnie postępują. Nienaturalnie pochylają pismo, literom nadają dziwaczny kształt. Jednak robią to niekonsekwentnie. Trudno pozbyć się pewnych nawyków w pisaniu. Pismo szantażysty w tym liście wydawało się naturalne.

Kolejnym krokiem mogłoby być przejrzanie baz danych i wyszukanie dokumentów pisanych podobnym charakterem. Niestety, większość z nich została zapisana w postaci standardowych liter.

Można starać się określić metodę, którą przestępca nauczony był pisania. Dawniej było ich wiele. Pozwalało to określić region kraju, z którego pochodził piszący. Obecnie stosuje się dwie podstawowe: Zanera-Blosera i Palme-ra. Taka analiza da jednak tylko bardzo ogólne informacje.

----- 53 -----

Każdy pisze w charakterystyczny dla siebie sposób. Pismo to nasz „odcisk palców”. W innych miejscach przyciskamy pióro do kartki, używamy różnych zakrętasów, mieszamy litery pisane i drukowane. Niektórzy z nas stawiają poziome kreski w literze I i liczbie 7. Właśnie analiza indywidualnego stylu pisma pozwoliła udowodnić, że domniemane pamiętniki Hitlera są fałszerstwem. Hitler bowiem, podpisując się, używał

charakterystycznej, ozdobnej litery H. Natomiast w tekście pisał ją inaczej. Fałszerz nieopatrznie pisał owo H w całym pamiętniku.

Parker uważnie przyglądał się listowi przez lupę. Starał się znaleźć takie charakterystyczne cechy pisma szantażysty.

Tatusiu, jesteś zabawny. Wyglądasz jak Sherlock Holmes...

W końcu zauważył coś.

Kropka nad i.

Większość z nas stawiając kropkę nad i lub j, dotyka piórem papieru lub, gdy piszemy szybko, robi mały ogonek zwrócony w prawą stronę.

Kropki zrobione przez szantażystę miały ogonek zwrócony do góry. Przypomina to ślady kropeł wody spadających z góry. Parker widział już takie kropki, przypomniał sobie — w serii listów z pogrózkami, pisanych przez zabójcę kobiet. Tamten morderca pisał właśnie krwią. Parker nazwał te niezwykle kropki „łzami diabła” i opisał je w jednym ze swoich podręczników na temat analizy dokumentów sądowych.

- Mam coś — powiedział.

- Tak? — spytał Cage.

Parker opowiedział o swoim „odkryciu”.

- Łzy diabła? — twarz Lukas znieruchomiała. Nie spodobało się jej bardzo to określenie. Parker domyślił się, że wołała mieć do czynienia z faktami, ze ścisłymi danymi. Przypomniał sobie, że podobnie zareagowała, gdy Hardy porównał Diggera do ducha. Pochyliła się. Krótkie włosy opadły jej na twarz.

- To ta sama osoba? — zapytała.

— Nie — odparł Parker. — Kilka lat temu wykonano na nim wyrok śmierci, ale to może być klucz do określenia miejsca pochodzenia „naszego” szantażysty.

— Jaki? — dopytywał się Jerry Baker.

— Możemy zawęzić obszar poszukiwań do hrabstwa lub jeszcze bardziej. Wtedy przejrzymy wszystkie dokumenty znajdujące się w archiwach.

Hardy roześmiał się. — Czy znaleziono kogokolwiek w ten sposób?

— Ależ tak. Pamiętacie Michele'a Sindonę? C.P. zaprzeczył ruchem głowy.

- Kogo? — zapytał Hardy.

.----- 54 -----

Lukas poszukała w pamięci. Pamiętała setki opisów spraw kryminalnych.

- Finansista? Operował pieniędzmi Watykanu?

- Tak. Miał stanąć przed sądem oskarżony o defraudację, ale zniknął bezpośrednio przed procesem. Pojawił się kilka miesięcy później i utrzymywał, że został porwany i był przetrzymywany w ukryciu. Nie dawano mu wiary, uznano, że uciekł do Włoch, a potem wrócił. Tą sprawą zajmował się mój kolega. Zauważył, że Sindona stawiał

kropkę wewnątrz cyfry 9. Agenci przejrzeni tysiące deklaracji celnych złożonych przez pasażerów przylatujących z Włoch do Nowego Jorku. Znalaziono taką dziewiątkę w adresie podanym przez jednego z pasażerów. Na deklaracji podpisał się fałszywym nazwiskiem. Pozwoliło to ustalić, gdzie ukrywał się Sindona.

— Wpadł przez taki drobiazg, kropkę — mruknął C.P.

- Czasami kropka ma istotne znaczenie — zauważył Parker. Umieścił list w skanerze VSC. W urządzeniu znajdowały się różne źródła

światła: od nadfioletu do podczerwieni. Pozwalało to odczytać wymazane lub wyskrobane litery. Było takie wykreślone słowo przed wyrazem „aresztujecie”. Parker je odczytał.

Sprawdził kopertę. Nie było żadnych śladów wymazywania.

— Znalazłeś coś?

— Powiem za chwilę. Cage, nie dmuchaj mi na szyję.

— Jest dwadzieścia po drugiej — przypomniał mu Cage.

— Wiem, która jest godzina bez patrzenia na zegarek. Dzieci mnie tego nauczyły — burknął Parker.

Podeszli do detektora elektrostatycznego. Aparat ESDA służy do znajdowania śladów liter i znaków zrobionych podczas pisania na kartkach leżących na badanym dokumencie. ESDA początkowo stosowana była do badania odcisków palców, ale okazała się mało skuteczna. Na odciski nakładały się ślady pisma. W filmach kryminalnych można zobaczyć, jak detektyw pociera ołówkiem kartkę, by ujawnić odbite pismo. W

rzeczywistości takie postępowanie może zatrzeć ślady. Aparat ESDA działa podobnie jak kserokopiarka i jest w stanie wykryć ślady pisma odbitego nawet przez dziesięć kartek.

Nikt dokładnie nie wiedział, dlaczego ESDA jest tak skuteczna, jednak żaden specjalista nie mógł się obejść bez tego urządzenia. Kiedyś Parker badał testament bardzo bogatego bankiera, który cały swój majątek zapisał młodej służącej — dzieci zostały wydziedziczone. Był bliski już potwierdzenia autentyczności dokumentu: podpisy bez zarzutu, daty na testamencie i załącznikach także. Dopiero ostatni test, na aparacie ESDA, ujawnił odbite zdanie, które brzmiało: „Wykolegować palantów”. Służąca przyznała się, że wynajęła specjalistę, który sfalszował testament.

_____ 55 _____

czy?

Parker wyjął list z folii i włożył go do aparatu.

Nic.

Następnie włożył kopertę. Po chwili wyjął cienką kartkę z obrazem śladów i uważnie przyglądał się jej pod światło. Poczuł ucisk w żołądku, gdy zobaczył delikatne, szare linie odbitego pisma.

— Tak! — krzyknął podniecony. — Mamy coś.

Lukas pochyliła się do przodu i Parker poczuł zapach kwiatów. Perfumy? Raczej nie. Chociaż znał ją dopiero od godziny, wiedział już, że nie używa perfum. Prawdopodobnie pachniała mydłem.

— Mamy kilka znaków — powiedział Parker. — Szantażysta napisał coś na kartce leżącej na kopercie.

Parker trzymał kartkę w obu rękach i odwracał ją, aby odczytać słabo widoczne litery. — Okay. Pierwsze słowo: małe o, n i t, spora przerwa, małe m i a. Koniec.

Cage napisał litery na żółtej kartce papieru i patrzył na nie. — Co to zna-Zakłopotany wzruszył ramionami.

C.P. pociągnął się za ucho. — Nie ma klucza.

Geller: — Jeżeli nie ma bitów i bajtów, jestem bezradny.

Lukas też kręciła głową.

Tylko Parker odgadł. Był zdziwiony, że inni nie widzą napisanych wyrazów.

— Miejsce pierwszej masakry.

— To znaczy? — zapytał Jerry Baker.

— To jasne — powiedziała Lukas. — Plac Duponta, stacja metra.

— Oczywiście! — wykrzyknął Hardy. Łamigłówki są zawsze łatwe, gdy zna się odpowiedź.

— To pierwszy rząd wyrazów — powiedział Parker. — Ale pod tym jeszcze coś. Widzicie litery? Czy możecie je odczytać? — Ponownie odwracał kartkę, podsuwając ją Lukas. — Boże, jakie to niewyraźne.

Przyglądała się uważnie. — Tylko trzy litery. Wszystko, co mogę zobaczyć. Małe t, e i /.

— Nic więcej?

- Nic. — Parker mrużył oczy.

— T-e-1.

— Telefony, telekomunikacja, telewizja? — kombinował Cage.

- Może zamierza zaatakować studio telewizyjne? — wymyślił C.P.

— Ależ nie. Skoro pisał w kolumnach, to t-e-1 wypada na końcu wyrazu. — Parker skojarzył. —

To...

- Hotel — dokończyła Lukas. — Następnym celem ataku będzie hotel.

56

— Tak jest.

- Albo motel — zasugerował Hardy.

— Nie — zaprzeczył Parker. — Nie sądzę. Będzie szukał miejsc zatłoczonych. Przyjęcia noworoczne odbywają się w hotelach.

— Najprawdopodobniej będzie się poruszał pieszo lub korzystał z komunikacji publicznej. Motele leżą na uboczu. Ruch na autostradach będzie niewielki.

— Doskonale, ale w mieście jest około dwustu hoteli — zauważył Cage.

— Jak znaleźć hotel, w którym zaatakuje? — zapytał Baker.

— Powinniśmy brać pod uwagę duże hotele... — Parker zwrócił się do Lukas: — Masz rację, liczą się hotele w centrum i te blisko przystanków autobusowych i stacji metra.

Baker z głośnym hukiem rzucił na stół książkę telefoniczną. — Tylko Dystrykt Kolumbii?

Otworzył książkę. C.P. Ardell zaglądał mu przez ramię.

Parker zastanawiał się nad pytaniem. — Tak mi się zdaje, że powinniśmy ograniczyć się tylko do obszaru Dystryktu. List z żądaniem okupu skierowany był właśnie do jego władz.

— Zgoda — powiedziała Lukas. — Ze względu na położenie liter w tekście trzeba wykluczyć wszystkie hotele, które mają w nazwie słowo „hotel” na pierwszym miejscu.

Cage i Hardy przyłączyli się do Ardella i Bakera. Ślęczeli nad książką telefoniczną. Rozważali, czy ten lub inny hotel może być prawdopodobnym miejscem ataku terrorysty.

Po dziesięciu minutach mieli listę dwudziestu dwóch hoteli. Cage zapisał ich nazwy starannym pismem i wręczył kartkę Jerry'emu Bakerowi.

— Nim wyślesz ludzi, sprawdź, czy w tych hotelach nie odbywają się jakieś przyjęcia dla dyplomatów lub polityków. Te można wykluczyć.

- Dlaczego? — zapytał Baker.

— Ze względu na obecność uzbrojonej ochrony — odparła Lukas.

— I służb specjalnych — dorzucił Parker.

— Dobrze — powiedział Baker. Wybiegł z pokoju, wyjmując swój telefon komórkowy.

Ale nawet jeżeli wyeliminujemy te hotele z obstawą, ile zostaje możliwości? — zamyślił się Parker. Dużo. O

wiele za dużo. Zbyt dużo możliwych rozwiązań. Trzy jastrzębie porywały kurczaki z farmy...

57

Mieszkańcy miasta...

1 A At% Upudrowali mu twarz, założyli słuchawki i włączyli oślepiające światła.

Mimo jaskrawego blasku burmistrz Jerry Kennedy mógł dostrzec kilka osób obecnych w studiu stacji WPLT, znajdującego się nieopodal placu Duponta.

Była tam również jego żona — Claire, jego sekretarka prasowa, a także Wendell Jefferies.

Mieszkańcy miasta Waszyngton. — Kennedy powtarzał w myślach tekst wystąpienia. — Pragnę was zapewnić, że policja miejska i FBI, nie, służby federalne robią wszystko, co w ich mocy, aby schwytać przestępcę, nie, osobę odpowiedzialną za popełnienie tej straszliwej zbrodni.

Jeden z głównych producentów stacji — szczupły mężczyzna ze starannie przystrzyżoną brodą — podszedł do niego. — Będę odliczał od siedmiu. Od czterech będę używał palców. Na jeden zacnie pan patrzeć w kamerę.

Czy występował pan wcześniej w telewizji?

- Tak.

Producent spojrzał w dół i nie zobaczył żadnych kartek papieru przed burmistrzem. — Czy wprowadzić coś do telepromptera?

- Wszystko mam w głowie.

Producent zaśmiał się krótko. — Teraz wszyscy korzystają z promptera.

Kennedy chrząknął.

... odpowiedzialną za popełnienie tak straszliwej zbrodni. Zwracam się do tej osoby. Proszę, bardzo proszę, nie, tylko raz proszę. Proszę skontaktować się z nami, abyśmy mogli kontynuować nasz dialog. W tym ostatnim dniu tak trudnego roku proszę odrzucić zbrodnię i współpracować z nami, aby nie było więcej ofiar. Proszę skontaktować się ze mną... Nie... Proszę zadzwonić do mnie lub przekazać informację w inny sposób.

— Jeszcze pięć minut! — zawołał producent.

Kennedy machnięciem ręki odsunął charakteryzatorkę i przywołał Jeffe-riesa. — Masz jakieś informacje od FBI?

- Żadnych. Ani słowa.

Kennedy nie mógł uwierzyć. Operacja trwa już parę godzin, wkrótce następna masakra i tylko jeden telefon od detektywa nazwiskiem Hardy, który w imieniu Lukas prosił o wystąpienie telewizyjne i zwrócenie się do mordercy. Lukas — zauważył ze złością — nawet nie raczyła sama zadzwonić. Har-58

dy, policjant z Dystryktu, zdawał się zastraszone przez agentów federalnych. Nie znał żadnych szczegółów śledztwa albo, co bardziej prawdopodobne, nie miał pozwolenia na udzielanie informacji. Usiłował zadzwonić do Lukas, ale była zajęta. Tak samo Cage. Krótko rozmawiał z szefem policji Dystryktu. Jego ludzie pracowali pod nadzorem FBI i nie miał nic z tą sprawą do

czynienia.

Kennedy był wściekły. — Nie traktują nas poważnie. A ja chcę zrobić coś innego niż to — pomachał ręką do kamery.

— Jest pewien problem — odezwał się Wendy Jefferies. — Zwołałem konferencję prasową, ale tylko połowa stacji i dzienników kogoś przysłała. Dziennikarze koczują na Dziewiątej Ulicy i czekają na informacje od FBI.

— Tak jakby władze miasta nie istniały, jakbym siedział na własnych rękach.

- Tak to, niestety, wygląda.

Producent podszedł do burmistrza, ale ten tylko uprzejmie się uśmiechnął.

— Za chwilę.

- Zamierzam wyciągnąć z tej sprawy korzyści — wyszeptał Jefferies. — Będzie to majstersztyk. Wiem, jak to zrobić.

— Ja nie...

- Nie chciałbym robić tego w ten sposób, ale nie mamy wyboru. Słuchałeś komentarza w stacji WTGN?

Burmistrz słuchał. Stacja, która miała około pół miliona słuchaczy, wyemitowała komentarz, jak to władze miasta nie potrafią poradzić sobie z przestępczością na ulicach i zamierzają zapłacić wielomilionowy okup terrorystom. Komentator — zgryźliwy, stary dziennikarz — popierał Kennedy'ego w jego ostatniej kampanii wyborczej, w czasie której zapowiadał walkę z korupcją. Jednak nie reagował, gdy wybuchł skandal w Wydziale Oświaty, związany z budową szkół.

Ludzie słuchali i kiwali głowami ze zrozumieniem. Kennedy wiedział o tym.

My naprawdę nie mamy żadnego wyboru, Jerry — powtórzył Jefferies.

Kennedy zastanawiał się nad tym przez chwilę. Jak zwykle asystent miał rację. Kennedy zatrudnił go, bo jako biały burmistrz powinien mieć czarnego asystenta. Nie żałował swojej decyzji. Był zaskoczony, że ten młody człowiek ma taki zmysł polityczny, potrafi wyczuć nastroje ludzi.

- Nadszedł czas próby. Mamy dużo do stracenia — powiedział asystent.

- Rób to, co uważasz.— Nie dodał, żeby był ostrożny. Wiedział, że będzie.

----- 59 -----

— Trzy minuty — usłyszał głos z góry.

Gdzie jesteś? Kennedy spojrzał w ciemny obiektyw, jakby chciał wnikać w kamerę i skierować się bezpośrednio do Diggera. Kim jesteś? Dlaczego ty i twój wspólnik nawiedziliście miasto jak anioły śmierci?

...pragnąc zachować w tym świątecznym dniu spokój w mieście, proszę się ze mną skontaktować, abyśmy mogli dojść do porozumienia... Proszę...

Jefferies nachylił się do ucha burmistrza. — Pamiętaj — wyszeptał, ręką pokazując studio. — Jeżeli morderca cię usłyszy, może to być koniec sprawy. Może zjawi się po okup i wtedy go schwytają. Będziesz gwiazdą.

Zanim Kennedy zdążył odpowiedzieć, głos z góry zawołał: — Jedna minuta.

Digger kupił nową torbę na zakupy.

Połyскуюjącą bożonarodzeniową czerwienią, pokrytą rysunkami szczeniąt z kokardkami. Digger kupił torbę za 3,99 dolara w sklepie Hallmarku. Była to torba, z której mógł być dumny, ale nie był pewny, co oznacza, „być dumnym”. Nie był pewny wielu innych rzeczy od czasu, gdy w ubiegłym roku został postrzelony w głowę.

Przelatująca kula zniszczyła mu część szarych komórek.

Zabawne, jak to pracuje. Zabawne, jak...

Zabawne.

Digger siedzi wygodnie na krześle w swoim hotelowym pokoju. Przed nim stoi szklanka wody i pusty talerz po zupie.

Ogląda telewizję.

Coś miga na ekranie telewizora. Reklamy. Jak w reklamie, przypomina sobie chwilę po tym, jak kula przebiła mu głowę nad okiem i wykonała ostry taniec w czaszce. (Ktoś opisał kulę w ten sposób. Nie pamięta kto. Być może jego przyjaciel — mężczyzna, który mówi mu o wszystkim.) Coś zamigotało na ekranie telewizora. Diggera nachodzą zabawne wspomnienia.

Ogląda reklamy: psy jedzące pokarm dla psów, szczenięta jedzące pokarm dla szczeniąt. Takie same szczenięta ma na swojej torbie. Oglądał reklamy, kiedy przyszedł mężczyzna, który mówi mu o wszystkim. Wziął go pod rękę i poszli na długi spacer. Powiedział mu, że kiedy Ruth będzie sama... - Znasz Ruth?

— Aha, znam Ruth.

Kiedy Ruth będzie sama, Digger powinien stłuc lustro, znaleźć długi kawałek szkła i wbić go w jej szyję.

— Ty chcesz... — Digger przerwał.

----- 60 -----

— Ja chcę, żebyś stłukł lustro, znalazł długi kawałek szkła i wbił go w jej szyję. Czego ja chcę?

— Powiniennem stłuc lustro, znaleźć długi kawałek szkła i wbić go w jej szyję.

Niektóre zdarzenia Digger pamięta, jakby sam Bóg zapisał mu je w pamięci.

— Dobrze — powiedział mężczyzna.

— Dobrze — powtórzył Digger.

Mężczyzna, który mówi mu o wszystkim, ucieszył się wtedy. Cokolwiek to znaczy.

Teraz Digger siedzi w hotelu; restauracja telewizja kablowa atrakcyjna cena. Patrzy na wazę do zupy. Waza też jest pusta, zatem nie powinien być głodny. Wydaje mu się, że jest spragniony. Pije wodę ze szklanki.

W telewizji zmienił się program. Czyta głośno wyrazy. — Program specjalny. Hm, hm. To jest...

Klik. Brzmi znajomo.

Klik.

Program specjalny telewizji WPLT.

Powinien oglądać.

Pojawia się mężczyzna, którego Digger gdzieś widział — na zdjęciach. To jest...

Burmistrz Waszyngtonu, Gerald D. Kennedy. Tak podali na ekranie.

Mówi, a Digger słucha.

— Dobry wieczór. Zwracam się do was, mieszkańcy miasta Waszyngton. Jak wiecie, dziś rano na stacji metra przy placu Duponta miała miejsce przerażająca masakra. Zabójca lub zabójcy są ciągle na wolności. Pragnę was zapewnić, że policja Dystryktu i służby federalne robią wszystko, co w ich mocy, aby nie dopuścić do następnej zbrodni. Zwracam się do osób odpowiedzialnych za tę zbrodnię. Apeluję do waszych sumień, proszę, bardzo proszę skontaktować się ze mną, abyśmy mogli kontynuować nasz dialog. W tym ostatnim dniu odchodzącego roku odłożymy przemoc i współpracujemy, żeby nie było więcej ofiar. Możemy...

Eee, nudne...

Digger wyłącza telewizor. Woli reklamy pokarmu z miłymi szczeniętami. Lubi też reklamy samochodów.

Ochhhhh, zwykli ludzie... Digger przywołuje pocztę głosową. Wystukuje kod: 25-12. Data świąt Bożego Narodzenia.

Głos kobiety, który nie przypomina głosu Pameli, raczej Ruth — oczywiście jeszcze zanim wbił jej szkło w szyję — informuje go, że nie ma nowych wiadomości.

----- 61 -----

Oznacza to, że trzeba zrobić to, co kazał mu mężczyzna, który mówi mu o wszystkim.

Jeżeli robisz to, o co ludzie cię proszą, to bardzo dobrze. Polubią cię. Będą z tobą zawsze.

Będą cię kochać.

Cokolwiek to słowo oznacza.

Wesołych świąt Bożego Narodzenia, Pamelu. Mam coś dla ciebie... I ty masz coś dla mnie. Ach, mój mój...

Prezent.

Klik, klik.

Pamelu, jaki piękny żółty kwiat masz w ręku. Dziękuję za płaszcz. Digger wkłada swój płaszcz. Czarny?

Granatowy? W każdym razie podoba mu się.

Zanosi naczynia do aneksu kuchennego i wkłada je do zlewu.

Zastanawia się, dlaczego nie ma informacji od mężczyzny, który mówi mu o wszystkim. Wprawdzie powiedział

mu, że może nie zadzwonić, ale Digger czuje pustkę w głowie i jest bardzo zmartwiony, że nie usłyszał głosu mężczyzny. Jestem smutny? Hmm, hmmm.

Bierze gumowe rękawiczki. Są bardzo ładne, pofałdowane na palcach 1 wewnętrznej stronie dłoni. Ich zapach coś mu przypomina, ale nie wie co. Zakłada je, gdy ładuje magazynek swojego Uzi. Guma ma niepokojący zapach. Natomiast gdy otwiera drzwi i dotyka przedmiotów znajdujących się blisko miejsc, z których strzela do ludzi, którzy upadają na ziemię jak liście w lesie, ubiera skórkowe rękawiczki.

Digger zapina płaszcz, być może granatowy, być może czarny.

Ponownie wacha rękawiczki.

Zabawne.

Wkłada do torby pistolet i naboje.

Wychodząc z hotelu, zamyka ostrożnie drzwi za sobą. Jest przekonany że tak powinien to zrobić. Digger wie, co i jak powinien zrobić.

Na przykład: wbić szkło w szyję Ruth, kupić swojej żonie prezent, zjeść zupę, zamknąć drzwi, kupić nową błyszczącą torbę z nadrukowanymi na niej szczeniętami.

- Dlaczego szczenięta? — zapytał Digger.

— Dlatego — odpowiedział mężczyzna.

Aha.

Więc kupił taką torbę.

62

Parker Kincaid siedział na tym samym obrotowym krześle, 15 00 które uc*a*o mu s*e wycygnąć

z sekretariatu wiele lat temu. Robił to, co potrafi tylko niewielu specjalistów jego branży. Przeczytał dokument.

Przeczytał go jeszcze siedem razy. Zrobił to bardzo wnikliwie. Uważał, że na podstawie tekstu można wiele powiedzieć o autorze. Kiedyś poproszono go o sprawdzenie autentyczności listu napisanego przez Abrahama Lincolna do Jeffersona Davisa. W liście tym Lincoln sugerował, że jeżeli Konfederacja złoży broń, zgodzi się na secesję niektórych stanów.

Dokument przesłał mu zaszokowany prezes Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego. Gdyby okazał się prawdziwy, wyróciłby historię Stanów Zjednoczonych do góry nogami. Naukowcy stwierdzili, że papier i atrament zostały wyprodukowane około 1860 roku. Dokument wykazywał odpowiednią do upływu czasu absorpcję atramentu i został napisany charakterem pisma prezydenta.

Ale Parker nie musiał nawet wyjmować swojej lupy, żeby stwierdzić fałszerstwo. Przeczytał list tylko raz i napisał: „Autentyczność dokumentu jest wątpliwa”.

Dla kogoś zajmującego się analizą dokumentów był to uśmiech losu.

Zauważył bowiem, że list był podpisany: „Abe Lincoln”. Szesnasty prezydent Stanów Zjednoczonych nie cierpiał tego zdrobnienia. Nie pozwalał zwracać się do siebie w ten sposób, nie mógł zatem podpisać ważnego dokumentu tym przezwiskiem. Fałszerz został aresztowany, osądzony i, jak to często bywa w przypadku fałszerstw, dostał wyrok w zawieszeniu.

Przeczytał list szantażysty jeszcze raz. Analizował teraz składnię i gramatykę.

Powoli zaczął wyłaniać się obraz duszy człowieka, który wciąż leżał w kostnicy FBI.

— Są! — zawołał Geller. — Mamy wyniki analizy psycholingwistycznej z Quantico.

Parker rzucił okiem na ekran. Często korzystał z tego rodzaju analizy komputerowej, gdy był szefem Działu Dokumentów. Tekst listu z pogróżkami zostaje wprowadzony do pamięci komputera. Komputer analizuje zawarte w nim słownictwo, korzystając z ogromnego słownika terminów kryminalnych mającego około 250

tysięcy haseł i ze standardowego słownika zawierającego ponad 15 milionów haseł. Z bazy danych wybiera dokumenty, które

----- 63 -----

mogłyby być pisane przez tę osobę. Następnie ekspert pracujący przy komputerze porównuje je i podejmuje decyzję. W ten sposób mogą być określone pewne cechy charakteru autora.

Geller zaczął czytać: — Psycholingwistyczna charakterystyka szantażysty, 12-31 A, METSHOOT. Dane sugerują, że autor badanego dokumentu urodził się za granicą. W USA przebywa od dwóch, trzech lat. Jest słabo wykształcony, skończył najwyżej dwie klasy szkoły średniej. Jego iloraz inteligencji wynosi około 100, plus minus 11. Pogróżki zawarte w liście nie pasują do żadnego wzorca znajdującego się w bazie danych. Jednakże słownictwo wskazuje, że mamy do czynienia z wyjątkowo niebezpiecznym przestępcą.

Geller zrobił wydruk i podał go Parkerowi.

— Obcokrajowiec — powiedziała Lucas. — Wiedziałam. — Wzięła do ręki zdjęcie z miejsca wypadku. — Ma wygląd mieszkańca Europy Środkowej: Serb, Czech, Słowak.

— Dzwonił do ochrony ratusza. Oni chyba nagrywają rozmowy. Możemy sprawdzić, czy miał obcy akcent —

powiedział Len Hardy.

— Założę się, że używał syntezy głosu — odparł Parker.

— Tak — potwierdziła Lucas. — Jego głos brzmiał jak ten z poczty głosowej.

— Powinniśmy skontaktować się — podsunął Geller — z Wydziałem Zagranicznym Zbrodni i Terroryzmu.

Ale Parker zmiął w rękę wydruk i wyrzucił go do kosza.

— Co... — zaczęła Lukas.

C.P. Ardell zaśmiał się rubasznie.

— W tej analizie jedynie prawdziwe jest tylkostwierdzenie, że mamy do czynienia z wyjątkowo niebezpiecznym przestępcą. Ale to wiedzieliśmy już przedtem, prawda? — skomentował Parker.

— Nie mówię, że nie powinniśmy skontaktować się z Zagranicznym, ale ja mogę stwierdzić, że szantażysta nie był obcokrajowcem i był bardzo inteligentny. Oceniam, że miał iloraz inteligencji powyżej 160 — ciągnął

Parker, nie odrywając wzroku od listu.

— Skąd wiesz? — zapytał Cage. — Moje wnuki piszą lepiej niż on.

- Wolałbym, żeby był głupi — odparł Parker. — Łatwiej byłoby go schwytać. — Spojrzał na zdjęcie szantażysty. — Oczywiście, z pochodzenia Europejczyk, ale w czwartym pokoleniu. Był wyjątkowo inteligentny, kształcił się w dobrych prywatnych szkołach i myślę, że dużo czasu spędzał przy komputerze. Nie miał waszyngtońskiego adresu, wynajmował tu mieszkanie. Klasyczny socj opata.

- Skąd wiesz? — zapytała Lukas z ironią w głosie.

___ 64 ___

— List mi powiedział — odparł spokojnie Parker, stukając delikatnie palcem w kartkę papieru. Jako sądowy ekspert zajmował się analizą językową. Przez wiele lat badał dokumenty bez możliwości korzystania z tak wyrafinowanego oprogramowania. Na podstawie słownictwa i sposobu konstruowania zdań potrafił wyciągnąć daleko idące wnioski.

— Ależ to jest obcokrajowiec — upierał się Cage. — Zwróćcie uwagę na zwroty: „Jestem wiedzący” i

„Zapłaćcie do mnie”. Pamiętacie z Akademii sprawę porwania dziecka Lindbergha?

Każdy, kto studiował w Quantico, słyszał o tej sprawie na wykładach. Ekspert badający dokumenty stwierdził na podstawie analizy listów z żądaniem okupu, że porywacz był emigrantem z Niemiec, który mieszka w Stanach od dwóch, trzech lat. Opis ten pasował do Bruno Hauptmanna. Analiza listów pozwoliła zacieśnić krąg poszukiwanych. Głównym dowodem w procesie był identyczny charakter pisma w listach z żądaniem okupu i próbkach tekstów napisanych przez Hauptmanna.

— Dobrze, przyjrzyjmy mu się dokładnie — powiedział Parker i włożył list do przestarzałego aparatu projekcyjnego.

— Nie chcesz go wyświetlić na monitorze? — zapytał Tobe Geller.

— Nie — odparł stanowczo Parker. — Nie lubię dokumentów przetworzonych cyfrowo. Musimy być możliwie blisko oryginału. Taki, żeby dało się iść z nim do łóżka — roześmiał się krótko.

List został wyświetlony na ogromnym ekranie znajdującym się na ścianie laboratorium. Był oskarżonym, który teraz będzie przesłuchiwany. Parker podszedł do ekranu i zaczął przyglądać się dużym literom.

Burmistrz Kennedy:

Koniec jest nocą. Digger został wypuszczony i nie ma sposobu, aby go zatrzymać. Będzie zabijał: o czwartej, ósmej i o Północy.

Żądam \$20 milionów dolarów w gotówce, którą włożycie ją do woka i zostawicie trzy kilometry na południe od RT66 po Zachodniej Stronie Beltway, na środku Pola. Zapłaćcie do mnie pieniądze do 12.00. Tylko ja jestem wiedzący jak zatrzymać Diggera. Jeżeli mnie aresztujecie, on będzie zabijał dalej. Abyście mi uwierzyli, pomalowałem niektóre naboje Diggera na czarno. Jedynie ja wiem o tym.

Parker wskazał fragmenty listu. — To „jestem wiedzący” i „zapłaćcie do mnie” brzmi obco*.
„Jestem wiedzący”

mógłby napisać mieszkaniec Europy

* W oryginale: „I am knowning” (dosłownie: jestem wiedzący) oraz: „Pay to me” (zapłaćcie do mnie w dosłownym tłumaczeniu).

65

Środkowej lub ktoś' mówiący jednym z języków germańskich: na przykład Czech, Słowak lub Niemiec. Jednak w tych językach czasownik „płacić” nie łączy się z przyimkiem. To jest typowe dla języków azjatyckich.

Szantażysta zastosował błędne konstrukcje, by zasugerować nam, że jest obcokrajowcem. Chciał wywieść nas w pole.

- Nie byłbym tego pewny... — zaczął Cage.

— Ależ to oczywiste — upierał się Parker. — Te wyrażenia są blisko siebie. Gdyby był obcokrajowcem, popełniałby błędy bardziej konsekwentnie. W ostatnim zdaniu napisał poprawnie: „...ja wiem”. Na podstawie tych błędów sądzę, że dużo czasu spędza przy komputerze. Ja bardzo często korzystam z Internetu i wiem, jak wygląda angielszczyzna ludzi mówiących innymi językami. Tysiące podobnych błędów.

— Zgadzam się z Parkerem — powiedziała Lukas. — Nie jesteśmy pewni, ale sądzimy, że właśnie z Internetu nauczył się, jak przygotowywać tłumik i posługiwać się Uzi. W ten sposób zdobywa się dziś taką wiedzę.

— A co z zapisem czasu: „12.00”? To europejski sposób zapisywania godzin — zapytał Hardy.

— Kolejna pułapka. Wcześniej, gdy pisał o godzinach ataku Diggera, podał: „o czwartej, o ósmej i o północy”.

— No, dobrze — odezwał się Ardell. — Może nie jest obcokrajowcem, ale na pewno jest głupi. Zrobił wiele innych błędów.

— Celowo, by wyprowadzić nas w pole.

— Ale — zaprotestowała Lukas — pierwsze zdanie: „Koniec jest nocą” nie ma sensu.

— A duże litery i przestawienie? — zapytał Hardy, który uważnie przyglądał się listowi.

— Prawda, zrobił dużo błędów — powiedział Parker. — Zauważcie, że użył znaku \$ i słowa „dolarów”. Jedno z nich jest zbędne. W zdaniu: „... którą włożycie ją do worka...” niepotrzebny jest zaimek „ją”. Przystawienie liter... Bardzo dziwny błąd. Takie błędy popełniamy, gdy piszemy na maszynie lub na komputerze. Pisząc ręcznie, bardzo rzadko przestawiamy litery, i to tylko wtedy, gdy się bardzo śpieszymy. Duże litery? — Spojrzał

na Hardy'ego. -Przecież to oczywiste, że napisał je specjalnie, byśmy myśleli, iż jest słabo wykształcony. Z

drugiej strony jednak użył słów: „aby” i „abyście”, zamiast: „by” i „żebyście”. Świadczy to, że dużo czytał.

Spójrzcie też na zamazany wyraz. Wiecie, co napisał? Odczytałem go w podczerwieni.

— No?

— Deseń.

— Deseń? — zdziwiła się Lukas.

OD

— Termin z dziedziny sztuki — powiedział Parker z wymuszonym uśmiechem. — Ten wyraz w tekście nic nie znaczy. Chciał nam tylko zasugerować, że ma kłopoty z pisaniem.

— Dlaczego włożył tyle wysiłku, żeby przekonać nas, że jest mało inteligentny?

— Mieliśmy sądzić, że jest mało roztargnionym Amerykaninem lub niewiele bardziej inteligentnym obcokrajowcem. Chciał, żebyśmy go lekceważyli. W rzeczywistości był bardzo inteligentny. Zwróćcie uwagę na miejsce złożenia okupu — powiedział Parker.

— Nie rozumiem — odezwała się Lukas.

— Myślisz o Drodze Szubienic? Co w tym szczególnego? — spytał C.P. Ardell.

— Co? — Parker spojrział na wszystkich agentów. — Śmigłowce.

- Co, śmigłowce? — zapytał Hardy.

Parker zmarszczył brwi. — Sprawdziliście, kto wynajmował na dzisiaj śmigłowce?

- Nie — odparła Lukas. — A powinniśmy?

Parker doskonale pamiętał zasady, którymi kierował się, pracując w FBI: „Nigdy nie bierz pod uwagę tylko jednej możliwości”. — Miejsce, w którym złożono okup, znajduje się w pobliżu szpitala, prawda?

— Szpital Fairfax — dodał Geller.

— Cholera — przeklęła Lukas. — Jest tam lądowisko dla helikopterów.

— Co z tego? — wtrącił Hardy.

Lukas była na siebie wściekła. — Nasi obserwatorzy mogliby nie zwrócić uwagi na przelatujące śmigłowce.

Usiadłby nim na placu, zabrał pieniądze i odleciał nad koronami drzew.

— Nie pomyślałem o tym — powiedział gorzko Hardy.

— Nikt z nas nie pomyślał — dodał C.P.

— Mam znajomego w Federalnej Agencji Lotnictwa. Porozmawiam z nim — dorzucił Cage.

Parker spojrział na zegarek. — Były jakieś odpowiedzi na apel Kenne-dy'ego?

Lukas zadzwoniła. Po chwili odwiesiła słuchawkę.

— Sześć telefonów. Nikt z dzwoniących nic nie wiedział o pomalowanych pociskach. Same zmyślone informacje. Mamy ich nazwiska i numery telefonów. Zostaną oskarżeni o utrudnianie śledztwa.

— Uważasz, że szantażysta nie był z Waszyngtonu? Dlaczego? — Hardy spytał Parkera.

____ (-i ____

~ \ J 1

- Gdyby wiedział, że będziemy mogli porównać jego list z dokumentami znajdującymi się w bazach danych w okolicy, zmieniłby charakter pisma albo wyciąłby litery z gazety. Zatem nie jest on ani z Waszyngtonu, ani z Wirginii i Maryland.

Otworzyły się drzwi. Wszedł Timothy, goniec, który przyniósł notatkę.

— Agentko Lukas, mam wyniki badania zwłok. Koroner skończył pracę. Kiedy Lukas czytała raport, Cage zwrócił się do Parkera: — Na jakiej podstawie twierdzisz, że był socjopatą?

- Ktoś', kto jest zdolny do popełnienia takiej zbrodni, musi być socjopatą — odparł Parker.

Lukas skończyła i przekazała notatkę Hardy'emu.

— Mam czytać na głos? — spytał wtedy.

— Czytaj — odpowiedziała.

Parker zauważył, że Hardy ożywił się. Poczł się przez chwilę pełnoprawnym członkiem zespołu.

Detektyw chrząknął. — Biały mężczyzna w wieku około czterdziestu pięciu lat. 188 cm wzrostu. 85 kilogramów wagi. Brak znaków szczególnych. Brak biżuterii, z wyjątkiem wielofunkcyjnego zegarka Casio. — Hardy rozejrzał się wokół. — Zwróćcie na to uwagę: nastawiony na czwartą, ósmą i dwunastą. — Wrócił do czytania raportu. — Roczne dzinsy bez znaku firmowego; poliestrowa kurtka; robocza koszula od J.C. Penny'ego; długie spodenki pod spodem; bawełniane skarpety; sportowe buty. Sto dwadzieścia dolarów w banknotach, trochę drobnych.

Parker wciąż patrzył na list, jakby raport nie dotyczył szantażysty, ale listu.

- Ceglany pył we włosach. Ślady gliny pod paznokciami. Zawartość żołądka: kawa i wołowina

— najprawdopodobniej tani befsztyk. Posiłek został zjedzony w ciągu ostatnich ośmiu godzin. To wszystko. —

Hardy przeczytał jeszcze notatkę dołączoną do raportu. — Nic nie wiadomo o ciężarówce, która zabiła szantażystę. — Spojrzał na Parkera. — To jest frustrujące. Mamy przestępcę, a on nic nie może nam powiedzieć.

— On nie, ale list może.

Rzucił okiem na drugi egzemplarz „Biuletynu Kryminalnego”. To był ten sam numer, który widział wcześniej.

Opisano w nim sprawę ostrzelania i obrzucenia granatami domu Mossa. Oschły ton raportu opisującego niemal cudowne ocalenie jego córek bardzo nim wstrząsnął. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie opuścić laboratorium i nie wrócić do domu.

Wyłączył projektor i położył list szantażysty na stole do analiz.

Cage zerknął na zegarek. Włożył płaszcz. — Mamy czterdzieści pięć minut. Trzeba iść.

— Dokąd? — spytała Lukas.

Cage trzymał w ręku kurtki Parkera i Lukas.

- Wychodzimy. Trzeba pomóc Jerry'emu przy sprawdzaniu hoteli. Parker kręcił głową. — Sądzę, że powinniśmy tutaj zostać i analizować list. Możemy wydobyć z niego jeszcze sporo informacji.

— Tam potrzebują każdego człowieka — naciskał Cage. Zapadła cisza.

Parker stał z opuszczoną głową naprzeciw Lukas. Rozdzielał ich oświetlony stół z leżącym na nim listem.

Podniósł wzrok. — Nie sądzą, żebyśmy byli w stanie schwytać mordercę w ciągu czterdziestu pięciu minut.

Przykro mi to mówić, ale będzie lepiej, jeśli pozostaniemy tutaj i zajmujemy się dalszą analizą listu.

— To znaczy, że należy liczyć się z kolejnymi ofiarami? Chwilę milczał. — Niestety, tak.

— A ty co sądzisz? — Cage zapytał Lukas.

Spojrzała na Parkera. Ich oczy się spotkały. — Zgadzam się z Parkerem. Zostajemy tutaj. Zajmiemy się listem.

Wzięła z rąk Cage'a swoją kurtkę i powiesiła ją na krześle.

Kątem oka Lukas spostrzegła, że Hardy zastygł w bezruchu. 1 K 1 C Po chwili wygładził włosy, wziął

płaszcz i podszedł do niej. — Chciałbym pójść pomóc w sprawdzaniu hoteli.

Spojrzała na jego szczerą, młodą twarz. Zgniatła płaszcz w swojej starannie wypielegnowanej, potężnej dłoni.

— Przepraszam, ale nie wyrażam zgody.

— Agent Cage ma rację, oni potrzebują każdego człowieka.

Lukas spojrzała na Parkera Kincaida, ale był pochłonięty listem. Właśnie wyjął go bardzo ostrożnie z foliowego opakowania.

— Chodźmy na bok, Len — Lukas wskazała Hardy'emu kąt w laboratorium.

Jedynie Cage to zauważył, ale nic nie powiedział. W czasie swojej długiej pracy w FBI wielokrotnie miał

poważne rozmowy z podwładnymi. By-

----- 69 -----

ło to nawet trudniejsze niż przesłuchiwanie podejrzanych. Z tymi ludźmi obcuje się przecież na co dzień. Musisz im ufać. Często od nich zależy twoje życie.

— Powiedz, co cię gryzie — zaczęła Lukas.

— Chciałbym coś robić — odpowiedział detektyw. — Wiem, że jestem drugorzędnym członkiem zespołu.

Jestem tylko z policji Dystryktu. Zajmuję się tylko sprawozdawczością i statystyką.

— Jesteś tutaj łącznikiem. Zgodziłeś się na to. Sprawę prowadzi FBI. To nie jest operacja policyjna.

— Łącznikiem? Jestem tutaj stenografem. Oboje doskonale o tym wiemy — zauważył z goryczą w głosie.

Oczywiście, że Lukas o tym wiedziała. Hardy był tu łącznikiem — pisał raporty. Ale gdyby uważała, że mógłby być przydatny w innym miejscu, gdyby był najlepszym snajperem na świecie, bez wahania wysłałaby go do Jerry'ego Bakera, nie zważając na procedury. Po chwili zaproponowała: - Porozmawiajmy szczerze, dobrze?

— Okay.

— Dlaczego tutaj jesteś?

— Dlaczego?

— Zgłosiłeś się na ochotnika?

— Tak.

— Z powodu żony, co?

— Emmy? — Usiłował ukryć zażenowanie. Wbił oczy w podłogę.

— Rozumiem cię, Len, ale zrób to dla siebie. Prowadź dalej notatki i pomagaj nam w pracy. Gdy złapiemy przestępcę, pójdziesz do domu. Nie zrób nic głupiego.

— Ale... nie będzie mi lżej — rzekł, rozglądając się wokół siebie.

— Siedzieć w domu? Skinął głową.

— Wiem o tym — powiedziała szczerze. Kurczowo ścisnął swój płaszcz.

Gdyby przysłano kogoś innego niż Len Hardy jako łącznika, Lukas bez wahania odesłałaby go z powrotem. Nie miała cierpliwości, by brać udział w przepychankach między policją a FBI. To była operacja FBI, to była jej operacja. Nie miała czasu na rozpieszczanie pracowników

skorumpowanego, stojącego na krawędzi bankructwa miasta, ale wiedziała o problemach Hardy'ego. Jego żona znajdowała się w stanie śpiączki po wypadku samochodowym w pobliżu Middleburg. Jej džip cherokee wpadł w poślizg i uderzył w drzewo, gdy wracała z jarmarku staroci.

____ 70 ____

~ f \f

Hardy kilkakrotnie bywał w biurach oddziału FBI w Waszyngtonie. Zbierał dane statystyczne na temat zbrodni w Dystrykcie. Początkowo Lukas sądziła, że interesuje się Betty — jej asystentką — ale kiedyś przypadkowo usłyszała, jak mówił o swojej żonie i o jej tragicznym stanie.

Nie miał chyba zbyt wielu przyjaciół — podobnie jak Lukas. Rozmawiała z nim na tematy osobiste, o Emmie.

Parę razy byli na kawie w parku „Pamięci o Policjantach”, nieopodal biura. Otworzył się trochę, ale podobnie jak Lukas był bardzo powściągliwy w okazywaniu uczuć.

Wiedząc o jego tragedii, starała się nie zauważać jego beczynności. Jednak nie miała zamiaru dopuszczać do czegoś, co utrudniałoby śledztwo.

— Ja chce coś robić. Nie chce siedzieć beczynnie. Chce być częścią zespołu.

W rzeczywistości chciał być częścią Boga, Przeznaczenia czy też innej siły, która rozbiła życie jego i Emmy w kawałki. Lukas to rozumiała.

— Nie chcę mieć w zespole kogoś, kto jest... — szukała odpowiedniego słowa — ...roztargniony.

—

„Nierozważny” byłoby bardziej na miejscu, ale pomyślała o jego skłonnościach samobójczych.

Hardy skinął głową. Był wściekły, usta mu drżały. Z pasją rzucił swój płaszcz na krzesło i wrócił do stołu.

Biedny człowiek — pomyślała, ufając, że jego inteligencja, poczucie obowiązku i odpowiedzialności ostatecznie pozwolą mu przewyciężyć przygnębienie. Przechodzi ciężką próbę, ale wyjdzie z niej silniejszy, tak jak ruda w piecu hutniczym zamienia się w stal.

Silniejszy...

Tak jak kiedyś Lukas.

W metryce Jacqueline Margaret Lukas można było odczytać jej datę urodzenia — 30 listopada 1963 r. Ale czuła, że gdy kończyła Akademię, przybyło jej co najmniej pięć lat.

Przypomniała sobie książkę dla dzieci, którą kiedyś czytała. Obrazek wesołego elfa na okładce nie odpowiadał

pełnej grozy treści książki. W opowieści tej elf porywał w środku nocy małe dzieci i podrzucał elfiątką. Jacyś rodzice odkryli zamianę i wyruszyli na poszukiwanie dziecka.

Lukas czytała tę książkę, leżąc na tapczanie w swoim komfortowym pokoju w Stafford, w Wirginii, niedaleko Quantico. Nie wyszła z domu z powodu niespodziewanej zamieci śnieżnej. I z trudem przeczytała książkę do końca. Rodzice odnaleźli dziewczynkę i zmusili elfa do jej oddania. Była zdeglustowana tą puentą i wyrzuciła książkę do kosza.

Zapomniała o książce do czasu, gdy skończyła Akademię i została przydzielona do oddziału FBI w Waszyngtonie. Pewnego ranka, idąc do pracy ze

____ 71 ____

swoim Coltem Pythonem u boku i dokumentami śledztwa pod pachą, zdała sobie sprawę, kim jest: dzieckiem odmienionym przez elfa. Wcześniej Jackie Lukas pracowała dorywczo w bibliotece w Quantico, projektowała amatorsko ubrania dla swoich byłych koleżanek ze studiów i ich dzieci.

Była kolekcjonerką i smakoszką win.

Wygrywała w okolicy biegi uliczne. Ale to minęło, ta kobieta została zastąpiona przez agentkę specjalną Margaret J. Lukas, wyróżniającą się w kryminalistyce, technikach prowadzenia śledztwa; znajomością materiałów wybuchowych i pracy z tajnymi agentami.

— Agent FBI? — zdziwił się ojciec, gdy odwiedziła rodziców w domu w San Francisco. Przyjechała im o tym powiedzieć. — Będiesz agentem? Ale chyba nie będziesz nosiła broni? Myślę, że będziesz pracowała przy biurku?

— Będę miała broń, a jakieś biurko też dostanę.

— Nie spodziewałem się tego — powiedział tęgi mężczyzna, emerytowany wyższy urzędnik bankowy, który zajmował się udzielaniem pożyczek w Bank of America. — Byłaś taką dobrą studentką.

Roześmiała się, słysząc taką niedorzeczność, ale doskonale wiedziała, o co ojcu chodzi. Była wyróżniającą się studentką w St. Thomas i w Stanfor-dzie. Szczupła dziewczyna, która zbyt rzadko chodziła na randki i zbyt często podnosiła rękę na zajęciach, miała pracować na uniwersytecie albo na Wall Street czy też w jakimś wydawnictwie. Nie, nie przyszło mu na myśl, że będzie nosiła broń i chwyciła przestępców. Dlaczego wymyśliła sobie taki sposób na życie? Nie będzie wykorzystywać swojej inteligencji i wiedzy. - Ależ tato, to jest FBI. Tam są myślący gliniarze.

— Tak przypuszczam, ale... czy naprawdę chcesz to robić?

Nie, ona musiała to robić. Między słowami „chcę” a „muszę” jest ogromna różnica, lecz nie była pewna, czy ojciec ją zrozumie. Opowiedziała po prostu: — Tak.

— To mi wystarczy. — Następnie zwrócił się do żony i powiedział głośno: — Nasza córka ma temperament.

Wiesz, co to jest temperament?

— Wiem — odezwała się z kuchni matka Lukas. — Rozwiązuję krzyżówki. Jackie, obiecaj mi, że będziesz ostrożna.

Jakby miała przechodzić przez skrzyżowanie.

— Będę ostrożna, mamó.

— Dobrze, przyrządziłam kurczaka w winie. Wiem, że lubisz.

Jackie uścisnęła matkę i ojca i po dwóch dniach wróciła do Waszyngtonu, aby stać się Margaret.

Po ukończeniu akademii została przydzielona do oddziału FBI w Waszyngtonie. Musiała poznać miasto.

Współpracowała z Cage'em, który okazał

----- 72 -----

się takim wymarzonego nauczycielem. W ubiegłym roku została awansowana na asystenta kierownika wydziału specjalnego i musiała wykazać, że awans był uzasadniony. Ponieważ jej szef wyjechał na urlop — fotografował

małpy i jaszczurki w puszczy amazońskiej — prowadziła teraz sprawę największego od lat zamachu terrorystycznego w Waszyngtonie.

Była pewna, że jak długo Len Hardy nie zastrzeli się albo nie zginie przez swój brak rozwagi, będzie spisywał

się bez zarzutu.

Margaret Lukas wiedziała, że to może się wydarzyć.

— Hej — męski głos przerwał jej rozmyślenia. To Parker.

— Przepraszam.

— Skończyliśmy badania językowe. Chcę przeprowadzić analizę fizyczną listu. Chyba że masz inne plany.

— Ty decydujesz — odparła. Usiadła obok niego.

Na początek zajął się papierem, na którym został napisany list.

Kartka miała 15 cm szerokości i 23 cm długości i pasowała do koperty. Rozmiar kartek z życzeniami. Rozmiary arkuszy papieru zmieniały się w historii, ale od prawie dwustu lat 21,6x28 cm było w Ameryce standardem.

15x23 cm to druga typowa wielkość kartek, zbyt powszechna. Rozmiar kartki nic nie mógł powiedzieć Parkerowi o źródle pochodzenia.

Sam papier był marnej jakości i wyprodukowany został metodą mechanicznego rozwłókniania. Chemiczne roztwarzanie metodą Kraftha daje papier lepszej jakości.

— Papier nic nam nie pomoże — orzekł w końcu. — Jest typowy, bez dodatku makulatury, o wysokiej kwasowości, grube włókna, niewielka ilość substancji wybielających, mała luminescencja. Sprzedawany jest w dużych ilościach przez fabryki i pośredników do sklepów. Trafia tam jako papier listowy lub ogólnego użytku.

Nie ma na nim znaków wodnych. Nie jesteśmy w stanie znaleźć producenta ani sprzedawcy tego papieru.

Zajmijmy się więc atramentem.

Ostrożnie wziął list i umieścił go pod jednym z laboratoryjnych mikroskopów. Powiększył obraz dziesięciokrotnie, potem pięćdziesięciokrotnie. Na podstawie określonego nacisku na papier, niejednolitego spływania atramentu i nierównego koloru Parker mógł stwierdzić, że szantażysta używał taniego pióra kulkowego.

— Prawdopodobnie AWI — American Writing Instruments. Kupione na wyprzedaży za trzydzieści dziewięć centów. — Spojrzał na kolegów z zespołu. Nikt nie zareagował.

___ 73 ___

— I co? — spytała Lukas.

— To jest zła wiadomość — powiedział stanowczo. — Żadnego punktu zaczepienia. Takie pióra sprzedają w sklepach w całych Stanach, tak jak papier. Poza tym AWI nie używa znaczników.

— Znaczników? — zapytał Hardy.

Parker wyjaśnił, że w niektórych fabrykach dodają do atramentu substancji chemicznych, aby można określić okres i miejsce produkcji. Jednak AWI nie dodaje znaczników.

Parker wyjął kartkę spod mikroskopu. Zauważył jednak coś niezwykłego — część kartki wypłowiła. Nie uznał

tego za wadę fabryczną. Substancje powodujące błyszczenie papieru dodawane są od około 50 lat i nawet papier niskiej jakości ma jednolitą barwę. — Czy mógłbyś mi podać wieloźródłowy emiter? — zwrócił się do C.P.

Ardella.

— Co?

— Tam stoi.

Rosły agent przyniósł moduł zawierający lampę emitującą promieniowanie wywołujące luminescencje wielu substancji nie dostrzeganych gołym okiem.

Parker założył okulary ochronne i włączył lampę wysyłającą żółto-zielone światło.

- Nie zostałem napromieniowany? — zapytał poważnie C.P.

Parker bez słowa zaczął naświetlać kopertę. Jedna trzecia jej powierzchni była jaśniejsza. Sprawdził kartkę z listem. Tak samo. Papier w górnym prawym rogu był wyblakły.

To interesujące. Sprawdził jeszcze raz.

— Wiecie, co spowodowało rozjaśnienie papieru? Na część kartki i koperty padało światło.

— Gdzie? W jego domu czy w sklepie? — zapytał Hardy.

— Może być i tu, i tu — odparł Parker. — Ale biorąc pod uwagę spoi-stość papieru, został on wyprodukowany niedawno, zatem sędzę, że wyblakł w sklepie.

— Okna w sklepie wychodziły na południe — dodała Lukas. Oczywiście, Parker nie pomyślał o tym.

— Dlaczego? — dociekał Hardy.

— Ponieważ jest zima — Parker pokazał na zewnątrz. — Tylko od południowej strony jest odpowiednie nasłonecznienie.

Parker ponownie zaczął chodzić po pokoju. Miał taki nawyk. Kiedy zmarła żona Thomasa Jeffersona, jego najstarsza córka Martha pisała, że ojciec bez przerwy chodzi: „bezustannie, dzień i noc, kładzie się tylko wtedy, gdy jest

----- 74 -----

zupełnie wyczerpany". Kiedy Parker pracował nad dokumentem lub rozwiązywał szczególnie trudną łamigłówkę, dzieci besztaly go za „chodzenie w kółko”.

Po chwili wrócił do listu. Trzymając kartkę za róg, zmiotł z niej szczoteczką ślady zanieczyszczeń. Nic nie było widać. Nie zdziwił się, papier jest bardzo dobrym materiałem absorbującym. Zatrzymuje wiele substancji z otoczenia, ale wiąże je silnie na powierzchni włókien.

Potem wyjął ze swojej walizki dużą strzykawkę i pobrał kilka małych próbek papieru i atramentu. — Wiesz, jak to działa? — zapytał Gellera, pokazując na sprzężony z spektrometrem masowym chromatograf gazowy.

— Tak — odparł. — Kiedyś' dla zabawy robiłem na tym urządzeniu analizę.

— Osobno papier z koperty i listu — powiedział Parker, przekazując Gellerowi próbki.

— Dobrze.

— Jak to działa? — ponownie zainteresował się C.P. Ardell. Agenci zajmujący się aresztowaniami i pościgami nie mają cierpliwości do tak żmudnej pracy.

Parker wyjaśnił. Urządzenie to rozdziela i identyfikuje składniki badanej próbki. Aparat zadudnił. Próbka została spalona i urządzenie analizowało pary-Parker zmiotł więcej zanieczyszczeń z listu i z koperty na szkiełka mikroskopowe. Umieścił je pod dwoma różnymi aparatami Leitz'a i ustawił ostrość, obracając precyzyjnymi pokrętłami.

Patrzył na obraz zanieczyszczeń. Po chwili oderwał wzrok i zwrócił się do Gellera: — Chciałbym przetworzyć ten obraz. Czy jest to możliwe?

— Nic prostszego.

Młody agent podłączył kable światłowodowe do mikroskopów. Podeszedł do siwej skrzynki i połączył ją z jednym z dwunastu komputerów. Napisał coś na klawiaturze. Po chwili na monitorze pojawił się obraz zanieczyszczeń z mikroskopów. Wywołał menu.

— Uderz w ten klawisz. Obraz zostanie przetworzony i zapisany w pamięci komputera.

— Czy możemy go przesłać pocztą elektroniczną?

— Muszę wiedzieć dokąd.

- Za minutę, znajdę adres. Chcę zrobić jeszcze inne powiększenia. Parker i Geller zapisali po trzy obrazy z mikroskopów na twardym dysku. Gdy skończyli, spektrometr zapiszczał i na ekranie komputera sprzężonego z urządzeniem zaczęły pojawiać się wyniki.

— Mam kilku specjalistów na dyżurze — wtrąciła Lukas. W Centrali FBI znajdują się dwa wydziały zajmujące się analizą śladową.

— Wyślij ich do domu. Potrzebuje kogoś innego — powiedział Parker.

— Przecież nie wiesz, kogo mam — zmarszczyła brwi.

— Stąd nikogo nie potrzebuje. On jest w Nowym Jorku.

— Z FBI? — zapytał Cage.

- Był. Teraz zajmuje się cywilną robotą.

— Dlaczego nie chcesz skorzystać z usług moich ludzi?

— Bo mój przyjaciel jest najlepszym specjalistą w całym kraju.

- Mamy go w naszej ewidencji? — zapytał C.P.

— Tak — odpowiedział Parker i zaczął szukać numeru telefonu. — Jest Sylwester, pewnie gdzieś wyszedł —

zauważył Hardy.

- Raczej nie. On bardzo rzadko opuszcza dom — odparł Parker.

— Nawet w święta?

— Nawet w święta.

— Parker Kincaid — powtórzył głos w słuchawce. — Zastanawiałem się, któż to dziś może do mnie dzwonić.

— Słyszałeś, że mamy problem? — Parker od razu zapytał Lincolna Rhyme'a.

— Och, słyszałem o tak wielu... — odparł Rhyme dramatycznie zawieszając głos. — Thom, czy słyszałem o czymś nowym? Parker, pamiętasz Tho-ma? Thoma anielsko cierpliwego od lat?

— Cześć, Parker.

— Cześć, Thom. Ciągłe cię tak denerwuje?

— Oczywiście — odburknął Lincoln. — Myślałem, że jesteś na emeryturze, Parker.

— Byłem jeszcze dwie godziny temu.

— Taki biznes. Nigdy nie zostawię cię w spokoju.

Parker przypomniał sobie wygląd Rhyme'a — mężczyzna w jego wieku, przystojny, z ciemnymi włosami. Był

sparaliżowany od szyi w dół. Pracował jako konsultant w Nowym Jorku.

— Podobał mi się twój wykład — powiedział Rhyme. — Ten w ubiegłym roku.

Parker przypomniał sobie Rhyme'a siedzącego na fantazyjnie kolorowym wózku inwalidzkim w pierwszym rzędzie sali wykładowej w uczelni Johna Jaya w Nowym Jorku. Tematem wykładu była lingwistyka sądowa.

— Czy wiesz, że mogliśmy dzięki tobie skazać przestępcę?

- Nie — przyznał Kincaid.

---- 76 —

— Mieliśmy świadka zabójstwa, który nie widział mordercy. Słyszał tylko, jak mówił do ofiary: „Gdy byłbym tobą, zmówiłbym pacierz”. Słuchasz, Parker?

— Pewnie. — Kiedy Lincoln Rhyme mówi, trzeba słuchać.

— Przesłuchiwany przez policję użył tego samego zwrotu: „gdy byłbym”. Większość ludzi

powiedziałyby:

„gdybym był”.

— I to był wystarczający dowód?

— Nie, jeden z dowodów, ale mieliśmy punkt zaczepienia. Niech zgadnę. Była dzisiaj strzelanina w metrze i jedyny ślad, jaki macie, to... list z pogróżkami? List z żądaniem okupu?

— Skąd on to wie? — spytała Lukas.

— Słyszę inny głos — zawołał Rhyme. — Odpowiedź jest prosta. Skoro dzwoni do mnie Parker Kincaid, to macie do czynienia z listem. Parker, czy możesz mi powiedzieć, komu odpowiadam?

— Agentka specjalna Margaret Lukas — przedstawiła się.

— Jest asystentką szefa wydziału specjalnego w oddziale waszyngtońskim FBI. Prowadzi sprawę.

— Oczywiście FBI. Przed chwilą był u mnie Fred Dellray. Czy zna pani Freda? Z biura na Manhattanie?

— Znam Freda. Korzystał z usług naszych tajnych współpracowników w ubiegłym roku. Handel bronią.

— Zatem szantażysta, list... Niech jedno z was mi o tym opowie.

Odezwała się Lukas: — Ma pan rację. List z żądaniem okupu. Usiłowaliśmy zapłacić, ale szantażysta zginął w wypadku samochodowym. Jesteśmy niemal pewni, że jego partner będzie zabijać dalej.

— Skomplikowana sprawa. Duży problem. Czy badaliście zwłoki?

— Nic — odpowiedziała Lukas. — Żadnych dokumentów, żadnych istotnych poszlak.

— I moim późnym prezentem świątecznym będzie udział w śledztwie.

— Zrobiłem chromatogram papieru z listu i koperty...

— Będzie lepiej dla ciebie, jak spalisz swój dorobek.

— Chcę przesłać ci wyniki analizy i kilka zdjęć zanieczyszczeń. Czy mogę przesłać je pocztą elektroniczną?

— Jasne, że możesz. Jakie powiększenia?

— Dziesięcio-, dwudziesto- i pięćdziesięciokrotne.

— Dobrze. Kiedy terrorysta będzie atakował?

— Co cztery godziny. Od czwartej do północy.

— Czwarta po południu? Dzisiaj?

— Tak.

----- 77 -----

— Boże!

— Sądzimy, że o czwartej zaatakuje w jakimś hotelu, ale nie znamy więcej szczegółów — powiedziała Lukas.

— Czwarta, ósma, dwunasta. Szantażysta potrafi stopniować napięcie. —• Czy to nie powinno się znaleźć w jego portrecie psychologicznym? —

zapytał Hardy, który bez przerwy robił notatki. Paterowi przyszło do głowy, że spędza on prawdopodobnie całe weekendy, pisząc raporty dla burmistrza, szefa policji, rady miasta. Raporty, których i tak nikt nie czyta.

— Kto to? — warknął Rhyme.

— Len Hardy z policji Dystryktu, proszę pana.

— Zajmujesz się psychologią przestępców?

— Obecnie pracuję w dziale poszukiwań i statystyki, ale miałem zajęcia z psychologii na Akademii i na studiach podyplomowych.

— Słuchaj — Rhyme zwrócił się do niego. — Nie wierzę w portrety psychologiczne. Wierzę w fakty.

Psychologia jest nauką mętną jak wody Nilu. Mam setki nerwic. Wiem coś o tym. Prawda, Amelia?... Moja przyjaciółka nie odpowiada, ale się zgadza.. Dobrze, Parker, prześlij mi wyniki i zdjęcia. Jak skończę, natychmiast się z wami połączę.

Parker zapisał adres internetowy Rhyme'a i dał go Gellerowi. Po chwili wyniki analizy i zdjęcia znalazły się w sieci.

— On jest rzeczywiście najlepszym specjalistą w kraju? — zapytał z niedowierzaniem Cage.

Parker nie odpowiedział. Zerknął na zegarek. Nie zdawał sobie sprawy, że jest tak późno. Za pół godziny zginą ludzie, których on i Lukas poświęcili.

Ten hotel jest piękny, ten hotel jest przyjemny.

1 C O l Digger wchodzi do środka. Trzyma w ręku torbę na zakupy z namalowanymi na niej szczeniętami.

Nikt go nie zauważa. Wchodzi do baru i kupuje u kelnerki wodę gazowaną. Pękające bąbelki łaskoczą go w nos.

Zabawne... Wypija wodę i zostawia napiwek, tak jak mu kazał mężczyzna, który mówi mu o wszystkim.

Na korytarzu kłębią się tłumy ludzi. Jest ochrona. Oficjalne przyjęcie. Dużo dekoracji. Transparenty z namalowanymi na nich tłustymi niemowlętami. One są... one są... one są miłe.

_____ 70 _____

/ O

Jest też Stary Rok. Wygląda jak Śmierć z Kosą.

On i Pamela... klik... i Pamela byli kilka razy na takich przyjęciach.

Digger kupuje „USA Today”. Siada w holu i czyta gazetę. Torba na zakupy stoi obok.

Patrzy na zegarek.

Czyta artykuł.

„USA Today” jest świetną gazetą. Może się z niej dowiedzieć wielu interesujących rzeczy. Digger czyta prognozę pogody. Lubi kolory przedstawiające fronty wysokiego ciśnienia. Czyta informacje sportowe. Wydaje mu się, że kiedyś uprawiał sport. Nie, to jego przyjaciel William. Kochał sport. Niektórzy jego inni przyjaciele także. I Pamela.

W gazecie jest dużo zdjęć koszykarzy. Są wysocy i silni. Kiedy wkładają piłkę z góry do kosza, wyglądają, jakby szybowali w powietrzu. Digger nie jest wysoki i postanowił nie uprawiać sportu. Nie wie, dlaczego Pamela, Wi-liam i inni to robią. O wiele przyjemniej jest jeść zupę i oglądać telewizję.

Jakiś' chłopiec podchodzi do niego.

Przygląda się torbie. Jest zamknięta, więc nie widzi Uzi, z którego Digger zabił pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu ludzi.

Dziewięcioletni chłopiec ma ciemne włosy ze starannym przedziałkiem. Ubranie nie pasuje na niego. Rękawy są za długie. Czerwony, bożonarodzeniowy krawat krępuje mu szyję. Chłopiec patrzy na torbę.

Na szczenięta.

Digger nie patrzy na niego.

Jeżeli ktoś patrzy na twoją twarz, zabij go.

Pamiętam.

Ale Digger spogląda na chłopca, który się uśmiecha. Digger się nie uśmiecha. Przypomina sobie uśmiech, ale nie wie dokładnie, co to jest.

Chłopiec patrzy swoimi brązowymi oczami na torbę, na szczenięta. Kolorowe kokardki. Takie jak na niemowlętach przedstawiających Nowy Rok. Zielone i złote kokardki na torbie. Digger też patrzy na torbę.

— Kochanie, chodź tutaj — woła jakaś kobieta. Stoi obok doniczki z po-insecją. Liście rośliny mają kolor róży, którą Pamela przypięła do swej sukni w czasie świąt Bożego Narodzenia.

Chłopiec ponownie spogląda na twarz Diggera. Digger wie, że powinien patrzeć w bok, ale przygląda się dziecku. Chłopiec idzie w stronę ludzi tłoczących się przy stołach pełnych jedzenia pokrojonego w małe kawałki. Dużo krakersów, krewetek, marchewek. Digger stwierdza, że tam nie ma zupy.

Chłopiec podchodzi do dziewczynki, prawdopodobnie swojej siostry. Ma około trzynastu lat.

----- 79 -----

Digger spogląda na zegarek. Za dwadzieścia czwarta. Wyjmuje telefon komórkowy z kieszeni. Wywołuje pocztę głosową. Słyszy: „Nie ma nowych informacji”. Chowa telefon.

Kładzie torbę na kolanach i obserwuje ludzi. Chłopiec ubrany jest w niebieską bluzę, natomiast jego siostra ma różową sukienkę z szarfą.

Digger kurczowo ściska torbę.

Osiemnaście minut.

Chłopiec stoi przy stole z jedzeniem. Dziewczynka rozmawia ze starszą kobietą.

Ludzie przechodzą obok Diggera, który trzyma torbę i gazetę z prognozą pogody dla całego kraju.

Nikt nie zwraca na niego uwagi.

W pracowni dokumentów zadzwonił telefon.

Parker poczuł niepokój, jak zawsze, gdy słyszał dzwonek telefonu i nie widział swoich dzieci. Jednak pani Cavanaugh dzwoniłaby na jego telefon komórkowy, nie pod numer FBI.

Spojrzał na urządzenie wyświetlające numer dzwoniącego. Rozmowa z Nowego Jorku. Podniósł słuchawkę. —

Lincoln? Mówi Parker. Mamy piętnaście minut. Znalazłeś coś?

— Niewiele. Słabo cię słychać — zmartwionym głosem zauważył Lincoln.

Parker włączył mikrofon.

— Zginęło mi pióro — zawołał Rhyme. — Opowiem ci o tym później. Jesteście gotowi? Czy jesteście gotowi?

— Jesteśmy gotowi, Lincoln — odparł Parker.

— Głównym zanieczyszczeniem, które osiadło na papierze, jest pył granitowy.

— Granitowy — Cage powtórzył jak echo.

— Na pyłe są ślady szlifowania i polerowania.

— Jak sądzisz, w jakim miejscu osiadł ten pył na papierze?

— Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Nie znam Waszyngtonu. Znam Nowy Jork.

— A gdyby to było w Nowym Jorku? — zapytał Parker.

— Miejsca budowy, remontu i wyburzania domów. Fabryki produkujące wyposażenie kuchni, łazienek; zakłady kamieniarskie; pracownie rzeźbiarzy... Lista bez końca. Musisz znaleźć kogoś, kto zna budowę geologiczną terenu, na którym leży Waszyngton. Rozumiesz? Ty się na tym nie znasz, prawda?

— Nie, ja...

----- 80 -----

— ...znam się na dokumentach. Wiem. Znam się na przestępcach, ale nie na geografii — przerwał mu Lincoln.

Parker spojrział na Lukas. Wpatrywała się w zegarek. Miała kamienną twarz pozbawioną emocji. Cage wzruszał

ramionami. Rhyme kontynuował:

— Był tam także pył ceglany, siarka. Dużo węgla — popiół i sadza, pochodzących prawdopodobnie ze spalonego mięsa. Na kopercie znalazłem te same zanieczyszczenia co na liście, ale poza tym ślady słonej wody, nafty, oleju napędowego, ropy naftowej, masła...

— Masła? — wtrąciła Lukas.

— To właśnie powiedziałem — burknął Rhyme. Cierpko dodał: — Nie wiem, z jakiej mleczarni. Są też ślady pochodzące prawdopodobnie z mięczaków. Wskazuje to na Baltimore.

— Baltimore? — zapytał Hardy.

— Skąd pan to wie? — dociekała Lukas.

—• Woda morska, nafta, olej, ropa naftowa wskazują na port. Logiczne? Chyba logiczne? A najbliższy Waszyngtonu port, w którym przeładowuje się duże ilości ropy naftowej, znajduje się w Baltimore. Thom powiedział mi, że są tam setki restauracji serwujących owoce morza. Thom do znudzenia może mówić o małżach.

— Baltimore — wymamrotała Lukas. — Zatem napisał list w domu, zjadł obiad w restauracji na wybrzeżu i w nocy przyjechał do Waszyngtonu. Poszedł do ratusza i podrzucił list. Potem...

— Nie, nie, jeszcze raz nie — powiedział Rhyme.

— Co? — zdziwiła się Lukas.

Odezwał się Parker, mistrz łamigłówek: — On to wszystko zaplanował, zainscenizował, prawda?

— Jak Hamlet.

— Na jakiej podstawie wyciągnął pan takie wnioski? — spytał Cage.

— Współpracuję z detektywem Rollandem Bellem. Świetny człowiek. Pochodzi z Północnej Karoliny. Ma takie swoje powiedzenie: „Coś za proste, coś za szybko”. Cóż, wszystkie te zanieczyszczenia... Jest ich za dużo. O

wiele za dużo. Przestępca umyślnie zanieczyścił kopertę tymi substancjami, aby wyprowadzić nas w pole.

— A ślady na liście? — spytał Hardy.

— To inna sprawa. Pochodzą z otoczenia. List powie nam, gdzie mieszkał szantażysta. Ale koperta... koperta mówi coś innego.

— Chciał nas zmylić — powiedział Parker.

— W rzeczy samej — potwierdził Rhyme.

____ 521 ____

O 1

- Zatem szantażysta mieszkał w okolicy pełnej pyłu granitowego i ceglanego, siarki oraz popiołu i sadzy pochodzących z kuchni lub ze spalania odpadów organicznych.

— Cały ten pył może pochodzić z rozbiórki budynku — odpowiedział Cage.

— To bardzo prawdopodobne — wtrącił Hardy.

— Prawdopodobne? Jedna z możliwości, ale trzeba to jeszcze udowodnić! — zdenerwował się Cage.

Słysząc było ściszony głos Rhyme'a. Mówił do kogoś w swoim pokoju: — Nie, Amelio. Nie jestem napuszony.

Zachowuję się normalnie... Thom! Thom! Przynieś mi jeszcze jedno piwo.

— Panie Rhyme — odezwała się Lukas. — Lincoln... wszystko to są bardzo cenne informacje, ale pozostało tylko dziesięć minut do następnego ataku terrorysty. Może jesteś w stanie powiedzieć, który hotel wybierze?

— Niestety, nie. Musicie polegać na sobie. — Rhyme odpowiedział grobowym głosem, który zmroził Parkera.

— W porządku.

— Dziękuję ci, Lincoln — powiedział Parker.

— Życzę wam powodzenia. — Rhyme odłożył słuchawkę.

Parker spojrział na notatki. Pył granitowy... siarka. Cenne wskazówki, ale oni nie mają czasu, aby je wykorzystać.

Wyobraził sobie mordercę stojącego w tłumie ludzi. Broń gotowa do strzału. Zaraz pociągnie za spust. Jak dużo ludzi zginie tym razem?

Jak dużo rodzin?

Jak dużo dzieci takich jak LaYelle Williams?

Dzieci takich jak Robby i Stephanie?

W laboratorium zapadła przygnębiająca cisza. Wszyscy stali sparaliżowani niemożnością zapobieżenia kolejnej tragedii.

Parker spojrział na list i odniósł wrażenie, że ten ciągle coś ukrywa.

Nagle telefon Lukas zadzwonił. Odebrała go i po chwili Parker mógł zobaczyć, po raz pierwszy, prawdziwy uśmiech na jej twarzy.

— Mamy coś! — oznajmiła.

— Co? — zapytał Parker.

— Ludzie Jerry'ego znaleźli dwa pomalowane na czarno naboje pod krzesłem w hotelu „Four Seasons”, w Georgetown. Wszyscy agenci i policjanci, będący do dyspozycji, są już w drodze do hotelu.

82

Czy jest zatłoczony?

1 K K f] — Hotel? — pytaniem odpowiedział Cage Parkerowi. Rozmawiał przez telefon komórkowy. —

Tak, do diabła. Bar na korytarzu jest pełen ludzi — odbywa się spotkanie noworoczne. Poza tym w pokojach bankietowych wydawane są cztery przyjęcia. Dzisiaj wczesnie skończono prace. W hotelu jest około tysiąca osób.

Parker wyobraził sobie, jaką masakrę spowoduje automatyczna broń użyta w zamkniętym pomieszczeniu.

Tobe Geller nastawił głośniki na częstotliwość używaną przez grupy operacyjne. W laboratorium można było słyszeć głos Jerry'ego Bakera: — Mówi dowódca. Do wszystkich grup. Kod dwanaście. Hotel „Four Seasons” na ulicy M. Terrorysta jest w hotelu, brak rysopisu. Prawdopodobnie uzbrojony w Uzi. I tłumik. Macie zielone światło. Powtarzam, macie zielone światło.

Oznaczało to, że mieli wolną rękę. Mogli go zastrzelić.

Za chwilę w hotelu będzie pełno policjantów i agentów. Czy go złapią? Może się wystraszy i ucieknie?

Złapią go potem. Aresztują albo zastrzelą, jeżeli będzie stawiał opór. Horror się skończy. Parker będzie mógł

wrócić do swoich dzieci.

Co one teraz robią?

Czy jego syn dalej niepokoi się Boatmanem?

Och, Robby, jak ci powiedzieć, żebyś się nim nie przejmował? Boatman nie żyje od lat. Dzisiaj mamy tu innego Boatmana, nawet kogoś gorszego. To szatan, wypełza z czeluści i zabija. Nic nie może go zatrzymać.

Zapadła cisza w głośnikach.

Oczekiwanie jest najgorsze. Parker zapomniał już o tym przez cztery lata, gdy odszedł z FBI. Nigdy nie przyzwyczaisz się do czekania.

— Pierwsze samochody już tam dotarły — oznajmił Cage, nasłuchujący przez telefon komórkowy. — Nie wychodził z hotelu.

Parker ponownie pochylił się nad listem.

Burmistrz Kennedy:

Koniec jest nocą. Digger został wypuszczony i nie ma sposobu, aby go zatrzymać.

Spojrzał na kopertę.

Przyglądał się zdjęciom zanieczyszczeń i obrazowi z detektora elektrostatycznego zawierającego ślady pisma.

Słyszał słowa Rhyme' a: Ale koperta mówi coś Innego. Chciał nas zmylić...

Przypomniał sobie to, co mówił Lukas: Portret psychologiczny jest błędny. Szantażysta ma wysoki iloraz inteligencji.

Parker gwałtownie uniósł głowę i spojrzał na Lukas.

— Co? — zaniepokoiła się wyrazem jego twarzy.

— Jesteśmy w błędzie. Terrorysta nie zamierza uderzyć w hotelu „Four Seasons”.

Obecni w pokoju zamarli i utkwili wzrok w Parkerze.

— Zatrzymać agentów i policjantów jadących do hotelu. Zatrzymać ich!

— Co?—jęknęła Lukas.

— List nas oszukuje.

Cage i Lukas spojrzeli na siebie.

— On ma nas odciągnąć od prawdziwego miejsca ataku.

— Niby kto? — zapytał niepewnie C.P. Ardell. Spojrzał na Lukas. — O czym on mówi?

Parker zlekceważył go i krzyknął: — Zatrzymać ich!

Cage podniósł słuchawkę, ale Lukas zatrzymała go ruchem ręki.

— Zrób to! — wrzasnął Parker. — Grupy operacyjne powinny być mobilne. Nie można ich wszystkich skierować do jednego hotelu.

— Parker, on tam jest. Znalezione naboje. To nie może być zbieg okoliczności — powiedział Hardy.

— Oczywiście, to nie jest zbieg okoliczności. Digger podrzucił łuski w hotelu i udał się na rzeczywiste miejsce ataku. To nie może być ten hotel. — Spojrzał na Cage'a. — Zatrzymaj samochody!

— Nie — zaprotestowała Lukas z gniewem na twarzy.

Parker, przyglądając się listowi, kontynuował: — Te niby przypadkowo podrzucone naboje w hotelu. Mające wyprowadzić nas w pole ślady zanieczyszczeń na kopercie. I te odbite litery: t-e-1.

— Z takim trudem znaleźliśmy przecież te ślady pisma. Gdyby nie ty, nie odczytalibyśmy tego listu. — Lukas broniła swojej decyzji.

— On miał nas... — przerwał. Odniósł wrażenie, że nie podoba im się, gdy mówi o liście jak o osobie. —

Szantażysta wiedział, że list będzie dokładnie analizowany. Pamiętajcie, co o nim mówiłem? — wskazał na zdjęcie przestępcy. — Był doskonałym strategiem. Tak przygotował list, abyśmy mu uwierzyli. Musimy zatrzymać grupy operacyjne, gdziekolwiek one są, i poczekać, aż nie znajdziemy prawdziwego miejsca ataku.

— Czekać? — rozdrażnionym głosem powtórzył Hardy.

_----- 84 -----

- Jest za pięć czwarta — wyszeptał C.P.

Cage wzruszył ramionami. Decyzja należała do Lukas.

- Musisz to zrobić — warknął Parker.

Zauważył, że Lukas skierowała swój kamienny wzrok na zegar na ścianie. Wskazówka minutowa wykonała kolejny ruch.

W hotelu było przyjemniej niż tutaj.

Digger rozgląda się wokół siebie. Jest w tym teatrze coś, co mu się nie podoba.

Torba ze szczeniętami nie rzucała się w oczy, gdy był w hotelu.

Natomiast tutaj nie pasuje do otoczenia.

To jest... to jest... klik... „Mason Theater” we wschodniej części George-town. Stoi na korytarzu i przygląda się drewnianym rzeźbom. Patrzy na kwiaty, ale nie są one ani żółte, ani czerwone. Mają ciemnorudy kolor zakrzepłej krwi. O, co to jest? Węże. Węże wyrzeźbione w drewnie. I kobieta z dużym, jak Pamela, biustem.

Hmmm.

Ale nie ma zwierząt.

Nie ma szczeniąt. Nie.

Wszedł do teatru bez przeszkód. Przedstawienie dobiegało końca. „Możesz wejść niezauważony do teatru pod koniec przedstawienia” — powiedział mu mężczyzna, który mówi mu o wszystkim. „Pomyślą, że po kogoś przyszedłeś”.

Bileterzy nie zwracają na niego uwagi. Rozmawiają o sporcie i o restauracjach.

I o podobnych sprawach.

Dochodzi czwarta.

Digger nie był na koncercie ani przedstawieniu teatralnym od kilku lat. Pamela i on poszli kiedyś... klik... poszli posłuchać muzyki. To nie była sztuka teatralna. To nie był spektakl baletowy. Co to było? Ludzie tańczyli, śpiewali... Ludzie w zabawnych kowbojskich kapeluszach. Grali na

gitarach, śpiewali. Digger przypomina sobie piosenkę. Nuci pod nosem.

Kiedy chcę cię kochać mniej Wtedy Kocham cię mocniej

Jednak dziś nikt nie śpiewa. To spektakl baletowy. Popołudniowy... Ale do rymu. Zabawne.

Baletowy...

popołudniowy... Digger patrzy na plakat. Widzi okropny rysunek. Bardziej przerażający niż rycina przedstawiająca czeluści piekieł. Plakat przedstawia żołnierza z ogromną szczęką. Na głowie ma dużą, niebieską czapkę. Przedziwne. Nie... klik... nie. Nie podoba mi się tutaj.

Przechodzi przez hol i myśli, że Pamela wolałaby oglądać mężczyzn w kowbojskich kapeluszach niż żołnierzy z dużymi szczękami. Kiedyś ubrała jaskrawą sukienkę i poszli oglądać śpiewających mężczyzn w kowbojskich kapeluszach. Przyjaciel Diggera, William, zakłada czasem taki kapelusz. Wtedy był razem z nimi. Myśli, że było zabawnie, ale nie jest pewny.

Digger podchodzi do baru. Drzwi są zamknięte. Wchodzi na służbowe schody. Czuje zapach wody gazowanej.

Widzi kartony pełne plastikowych kubków, serwetek, gumisiów i twizzlerów.

Na drzwiach Digger widzi napis: „Balkon”. Wchodzi na korytarz. Idzie powoli po puszystym dywanie.

— Idź do łoża nr 58 — powiedział mężczyzna, który mówi mu o wszystkim. — Wykupiłem tam wszystkie miejsca. Będzie pusta. Łoża jest na balkonie, po prawej stronie podkowy.

— Podkowy? — spytał Digger. Co on ma na myśli?

— Balkon ma kształt podkowy. Wejść do łoża.

— Wejść do... klik... do łoża. Co to jest łoża?

— Będzie za kotarą. Niewielkie pomieszczenie z widokiem na scenę.

— Aha.

Dochodzi czwarta. Digger powoli zbliża się do łoża. Nikt go nie zauważa.

Jakaś rodzina przechodzi obok kiosku. Ojciec patrzy na zegarek. Wyszli wcześniej. Matka pomaga córce założyć płaszcz. Obie wyglądają na niezadowolone. Dziewczynka ma we włosach kwiatek, który nie jest ani żółty, ani czerwony — jest biały. Chłopiec, w wieku pięciu lat, zatrzymuje się przed kioskiem. •— Nie, jest zamknięty —

mówi ojciec. — Śpieszmy się, bo przypadnie rezerwacja w restauracji.

Chłopiec jest bliski płaczu. Nie dostał gumisia ani twizzlera. Ojciec szybko zabiera go sprzed kiosku.

Digger jest sam na korytarzu. Myśli, że jest mu żal chłopca, ale nie jest pewny. Idzie w stronę łoża. Podchodzi do niego jakaś młoda kobieta w białej bluzce. W ręku trzyma latarkę.

— Przepraszam — mówi. — Zabłądził pan? Spogląda na jego twarz.

Digger kieruje w jej stronę róg torby.

Szat, szat.

Strzela dwa razy. Kobieta upada. Ciągnie ją za włosy do pustej łoża.

Zatrzymuje się po drugiej stronie kotary.

86

To jest... klik... to jest przyjemne. Hmmm.

Rozgląda się po teatrze. Nie uśmiecha się, ale czuje, że mimo wszystko lubi to miejsce. Ciemne drewno, rzeźby, kwiaty, sztukateria, złoto i olbrzymi żyrandol. Hmmm. Patrzy. Przyjemniej niż w hotelu. Jednak nie jest to najlepsze miejsce do strzelania. Ściany z betonu lub cegły byłyby lepsze —

pociski odbijałyby się od nich i spowodowałyby więcej szkód.

Patrzy na ludzi tańczących na scenie. Słucha orkiestry, ale nie słyszy jej. Ciągłe podśpiewuje. Nie może uwolnić się od melodii.

0 jutrze myślę jakby lżej

1 kocham cię mocniej

Digger kładzie ciało kobiety obok welwetowej kurtyny. W łoży jest ciepło. Zdejmuje płaszcz, chociaż mężczyzna, który mówi mu o wszystkim, powiedział, żeby tego nie robił. Ale tak jest wygodniej.

Wkłada rękę do torby i zaciska palce na rękojeści pistoletu. Bierze tłumik do lewej ręki.

Przygląda się widzom. Dziewczyny w różowych, satynowych bluzkach; chłopcy w niebieskich bluzach; wydekoltowane kobiety; łysi mężczyźni i mężczyźni z bujnymi czuprynymi. Widzowie kierują swoje lornetki na scenę, jak pistolety. W środku teatru wisi olbrzymi żyrandol z milionem żarówek. Na suficie namalowane są tłuste aniołki latające wśród żółtych chmur. Przypominają rysunki przedstawiające Nowy Rok.

Dobrze, że w teatrze jest mało drzwi. Nawet jeśli nie zastrzeli więcej niż trzydzieści, czterdzieści osób, wielu widzów zostanie stratowanych przy wyjściach. To dobrze.

To dobrze...

Czwarta. Zapiszczał jego zegarek. Inne zegarki też. Podchodzi do balustrady. Mocuje tłumik na lufie pistoletu.

Patrzy na szczenięta na torbie. Jeden ma różową kokardkę, drugi niebieską. Nie ma czerwonych, nie ma żółtych

— myśli, gdy kładzie palec na spuście Uzi.

Nagle słyszy głosy.

Dochodzą z korytarza, zza welwetowej kotary. — Jezus Maria — odezwał się cichy, męski głos. — Mamy go!

Jest tutaj! — Gwałtownym ruchem mężczyzna odsuwa kotarę i unosi czarny pistolet.

Ale Digger usłyszał go w porę. Szybko oparł się o ścianę. Kiedy agent pu-dłuje, Digger ścina go z nóg krótką serią z Uzi. Drugi agent jest ranny, patrzy mu w twarz. Digger przypomina sobie, co powinien zrobić. Dobija go.

Digger nie wpada w panikę. On nigdy nie panikuje. Strach jest dla niego obcym uczuciem. Ale on wie, że są rzeczy dobre i złe. Złą rzeczą będzie, gdy

____ 37 ____

nie robi tego, co mu kazano. Chce strzelać do widzów, ale nie może. Coraz więcej agentów wbiega na schody prowadzące na balkon. Agenci ubrani są w kurtki FBI i kuloodporne kamizelki. Niektórzy mają hełmy.

Uzbrojeni są w pistolety maszynowe, które strzelają tak szybko jak jego Uzi.

Dziesięciu agentów, dwudziestu. Kilku biegnie na balkon, tam, gdzie leżą ciała zabitych kolegów. Digger kieruje lufę pistoletu w stronę korytarza. Naciska krótko na spust. Słysząc brzęk rozbijanych przez pociski szyb i luster.

Gumisie latają w powietrzu.

On powinien... powinien... strzelać do widzów. To miał...

Miał... On...

Ma pustkę w głowie.

On powinien... klik.

Coraz więcej agentów. Coraz więcej policji. Krzyki.

Coraz większe zamieszanie. Agenci zaraz będą przed lożą. Rzucą petardę i go ogłuszą albo zastrzelą. Kule nie będą świstały obok. Trafiają go w serce, które przestanie bić.

Albo wezmą go do Connecticut i wtrącą do czeluści piekieł. Zostanie tam na zawsze. Nigdy nie zobaczy mężczyzny, który mówi mu o wszystkim.

Widzi ludzi skaczących z balkonu w tłum poniżej. Nie jest wysoko.

Słyszą krzyki agentów i policjantów.

Są wszędzie.

Digger zwalnia zacisk tłumika i odłącza go. Celuje w żyrandol. Naciska spust. Słyszą nieprzerwany łoskot.

Kule przecinają zawieszenie żyrandola i ogromna masa szkła i metalu spada na podłogę, na ludzi znajdujących się pod nim. Rozlegają się głośne wrzaski. Ludzie wpadają w panikę.

Magazynek jest pusty, ale nie ma czasu, by go ponownie załadować. Digger przeskakuje przez balustradę i ląduje cztery metry poniżej, na plecach potężnego mężczyzny. Upadają na podłogę. Digger szybko wstaje i wraz z innymi ludźmi przepycha się do wyjścia awaryjnego. Ciągłe ścisła kurczowo tor-bę.

Byle wydostać się na zewnątrz, na chłodne powietrze.

Jest oślepiiony światłami z pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu samochodów policyjnych, ale na zewnątrz jest tylko kilku policjantów i agentów. Domyśla się, że pozostali są w budynku.

Biegnie powoli za jakąś parą w średnim wieku. Nie zauważają go. Zastanawia się, czy ich zastrzelić, ale musiałby zamocować tłumik, a to wymaga czasu. Poza tym nie patrzą na jego twarz, więc nie musi ich zabijać.

Skreca w boczną aleję i po pięciu minutach spaceruje ulicą w dzielnicy willowej. Torba jest starannie ukryta pod jego czarnym lub granatowym płaszczem.

Czarna czapka zasłania mu uszy.

Kochałbym cię, gdybyś była chora Kochałbym cię, gdybyś była biedna Digger nuci piosenkę.

Nawet gdybyś była bardzo daleko Kochałbym cię coraz mocniej...

— Dobra robota, Parker. Powstrzymałeś go — komplementował Parkera Len Hardy.

C.P. miał to samo na myśli, mówiąc: — Zajebisty facet.

Margaret Lukas nic nie powiedziała. Rozmawiała przez telefon. Jej twarz nadal nie wyrażała żadnych emocji, ale spojrzała na Parkera i skinęła głową. Był to jej sposób wyrażenia podziękowania.

Parkerowi wcale nie zależało na dowodach wdzięczności. Chciał znać fakty. Ile było ofiar śmiertelnych?

Czy wśród nich znajduje się Digger?

W głośnikach pojawił się gwar rozmów. Jerry Baker i jego ludzie rozmawiali między sobą. Parker niewiele z tego mógł zrozumieć.

Lukas uniosła głowę, gdy słuchała informacji podawanych przez telefon. Po chwili rozejrzała się i powiedziała:

— Dwóch agentów zabitych, dwóch rannych. Zastrzelił bileterkę. Jeden mężczyzna zginął przygnieciony przez żyrandol. Jest dwunastu rannych, niektórzy ciężko. Kilkoro dzieci zostało poważnie poturbowanych w czasie ucieczki. Stratowano je, ale będą żyły.

Będą żyły, lecz ich życie nie będzie już takie samo — pomyślał Parker.

Tatusiu, opowiedz mi o Boatmanie.

— On uciekł? — spytał głośno.

— Tak, uciekł — westchnęła Lukas.

— Mamy rysopis?

Zaprzeczyła ruchem głowy i spojrzała na Cage'a, który rozmawiał przez telefon. — Nikt go nie widział poza dwoma agentami, których zabił.

Parker zamknął oczy. Zapach obicia krzesła, które zamówił wiele lat temu, przywołał wspomnienia wielu wydarzeń z przeszłości.

Wspomnienia, ale nie dawną skłonność do ryzyka.

— Badano ślady?

— Zespół monitoringu zaraz tam będzie z mikroskopem — odparł Cage. — Strzelał z broni automatycznej i nie znaleziono łusek.

— Cholera, broń miał w torbie albo w czymś takim — zauważył Parker.

_____ eo _____

O7 ~

- Skąd wiesz? — spytał Hardy.

- Nie wiem, ale tak bym postąpił, gdybym był na jego miejscu. Czy ktoś' widział go w hotelu, kiedy podrzucił

naboje?

— Nie — wymamrotał Cage. — Nasi ludzie wypytywali wszystkich tam obecnych. Jedyne mały chłopiec widział jakies' straszidło, ale nie jest w stanie nic więcej sobie przypomnieć.

Straszidło. Parker się skrzywił. To dobrze.

Niedługo powinien być koniec...

Lukas w końcu zgodziła się z Parkerem, mówiąc chłodno: — Dobrze. Zatrzymam grupy operacyjne, ale, Kincaid, niech Bóg ma cię w swojej opiece, jeżeli się mylisz. — Wydała polecenie, by grupy operacyjne wróciły na swoje pozycje. Zaczęli nerwowo poszukiwać miejsc, w które może uderzyć terrorysta. Parker twierdził, że morderca podrzucił naboje przed czwartą, zatem miał najwyżej dziesięć minut na dotarcie do miejsca ataku. Nie mógł dziś' polegać na taksówkach i autobusach. Musiał iść pieszo. Oznaczało to, że cel ataku znajduje się w pobliżu hotelu „Four Seasons”.

Cały zespół zaczął ślęczeć nad mapą Georgetown.

Nagle Parker spojrzał na zegarek i zapytał: — Czy są dzisiaj jakies' przedstawienia popołudniowe w teatrach?

Lukas chwyciła się za ramię. — Tak, widziałam w dzisiejszej gazecie.

Tobe Geller, który był miłośnikiem muzyki, zauważył, że w pobliżu hotelu — pięć minut drogi pieszo —

znajduje się „Mason Theater”.

Parker przeszukał „Washington Post” i znalazł, że w tym teatrze o godzinie drugiej rozpoczęło się przedstawienie „Dziadka do orzechów”. Zakończy się około czwartej. Zatłoczony teatr będzie miejscem, w którym uderzy Dig-ger. zaproponował Lukas wysłanie wszystkich grup operacyjnych właśnie tam.

- Wszystkich?

— Wszystkich.

Kincaid, niech Bóg ma cię w swojej opiece, jeżeli się mylisz.

Jednak się nie mylił. Podjął ogromne ryzyko... Ocalił wiele istnień ludzkich, ale były ofiary śmiertelne i morderca jest na wolności.

Parker rzucił okiem na list z żądaniem okupu. Mężczyzna, który go pisał, nie żyje, ale list ma się dobrze.

Wydawało mu się, że szydzi z niego. Parker chciał natychmiast dobrać mu się do skóry, wyrwać serce.

Zadzwoił telefon Cage'a. Rozmawiał kilka minut. Sądząc z wyrazu twarzy, otrzymał jakieś istotne informacje.

Skończył rozmowę. — To był wykładowca z Georgetown. Psycholog behawioralny. Mówi, że ma informacje na temat tego nazwiska.

_____ on _____

SJ

— Digger? — zapytał Parker.

- Tak. Niedługo tu będzie.

— Dobrze — powiedziała Lukas. Zwróciła się do Parkera. — Co teraz? — Wahała się przez chwilę, nim dodała: — Nie ograniczasz się chyba tylko do badania dokumentu...

Zastanawiał się przez moment. — Cóż, jeżeli loża w teatrze była pusta, oznacza to, że szantażysta wykupił

wszystkie miejsca, aby morderca miał dobrą pozycję do strzelania. I jeżeli użył karty kredytowej...

Lukas skinęła na C.P. Ardella, który szybko wykręcił do Jerry'ego Bake-ra. Po chwili miał informacje. — Dobra próba — wywracał oczami.

— Ale kupił bilety za gotówkę, dwa tygodnie temu — uzupełnił Parker.

- Trzy tygodnie — mruknął agent, gładząc włosy olbrzymią dłonią.

— Do diabła — burknął Parker zawiedzionym głosem. Trzeba szukać dalej. Zajrzał do notatek zrobionych w czasie rozmowy z Lincolnem Rhyme'em.

- Potrzebujemy kilku dobrych map. Nie takich jak ta — wskazał na mapę, z której korzystali, by znaleźć miejsce, do którego udał się Digger po wyjściu z hotelu. — Może da się określić miejsce, dzielnicę miasta, skąd pochodzą ślady zanieczyszczeń na liście.

Lukas skinęła na Hardy'ego. — Jeżeli nam to się uda, wyślemy ludzi Jer-ry'ego i twoich, aby przeprowadzili rozmowy z mieszkańcami. Może ktoś go widział. — Podała Gellerowi kopię zdjęcia zrobionego w kostnicy. —

Tobe, wykonaj sto odbitek.

— Jasne.

Parker przyjrzał się liście substancji, które Rhyme zidentyfikował. Granit, glina, pył ceglany, siarka, popiół

pochodzący ze spalania materiałów organicznych... Skąd one mogą być?

Wszedł młody urzędnik, który wcześniej przyniósł list. Timothy — przypomniał sobie Parker.

— Agentka Lukas?

— Słucham.

— Mam dwie sprawy. Pierwsza — Moss.

Świadek Garry Moss. Parker przypomniał sobie notatkę o dzieciach, które o mało co nie zginęły w pożarze domu.

— Zobaczył dozorcę i wziął go za mordercę. Lukas zmarszczyła brwi. — Kogoś od nas?

— Tak. Z personelu biura. Sprawdziliśmy. Moss jest paranoikiem. Chce, żebyśmy wywieźli go z miasta. Sądzi, że gdzie indziej będzie bezpieczniejszy.

— Nie będziemy się nim zajmować. Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

— Pomyślałem, że powiem o tym.

Rozejrzała się wokół siebie i widać było, że nad czymś się zastanawia.

— Czy mógłbyś przez chwilę przestać pisać? — zwróciła się do Lena Hardy'ego.

— Ja?

— Czy mógłbyś?

Hardy nie był zadowolony. Kolejny policzek. Wyglądał, jakby kazano mu zrobić kawę. Parker przypomniał

sobie, że najtrudniejszą częścią jego pracy jako szefa działu nie była analiza dokumentów, lecz właściwe postępowanie z nad wrażliwymi podwładnymi.

— Pewnie — odrzekł Hardy.

— Dziękuję — Lukas uśmiechnęła się do niego. Potem zapytała agenta w drzwiach: — Powiedziałaś, że masz coś jeszcze.

— Szef ochrony kazał mi przekazać, że wpuścili jakiegoś faceta.

— No i co?

— Twierdzi, że coś wie na temat mordercy z metra.

Parker wiedział, że jeżeli wydarzy się jakaś poważna zbrodnia, to zawsze znajdzie się paru świrusów, którzy przyznają się do jej popełnienia albo udzielają wymyślonych informacji. Obok głównego wejścia do biur Centrali znajdowało się kilka pomieszczeń wyposażonych w kamery i mikrofony. W nich eksperci przeprowadzali wywiady ze wszystkimi, którzy przychodzili z informacjami na temat przestępstw.

— Czy jest wiarygodny? — zapytała Lukas.

— Twierdzi, że jest dziennikarzem, który zajmuje się obecnie serią nie wyjaśnionych morderstw. Posiada legitymację dziennikarską i kartę ubezpieczeń. Nie sprawdzono, czy są prawdziwe.

— Co mówi na temat Diggera?

- Utrzymuje, że ten facet popełnił podobne zbrodnie w innych miastach.

— W innych miastach? — zapytał C.P. Ardell.

— To właśnie powiedział.

Lukas spojrziała na Parkera, który zdecydował: — Trzeba z nim porozmawiać.

ni Przemiana

Pierwszym krokiem w ograniczaniu liczby podejrzanych jest identyfikacja grupy narodowościowej i społecznej, z których pochodzi przestępca. Następnie określamy indywidualne cechy podejrzanego.

PODSTAWY B AD ANIA DOKUMENTÓW EDNA W. ROBERTSON

12

— Zatem on jest teraz w D.C.? — zapytał mężczyzna. *1 C 1 C Znajdowali się w pokoju recepcyjnym B.

Informował o tym napis na drzwiach, wykonany elegancką kursywą. Przez pracowników biura

nazywany był

„Niebieskim Pokojem Przesłuchań”, ze względu na kolor wnętrza.

Parker, Lukas i Cage usiedli przy sfatygowanym stole, naprzeciw potężnego mężczyzny z rozwianymi, siwymi włosami. Na podstawie skrótu, którego użył, Parker wiedział, że nie pochodzi z Waszyngtonu. Mieszkańcy miasta nigdy nie stosują tego skrótu — mówią: „Dystrykt”.

— O kim ma pan informacje? — spytała Lukas.

— Przecież wiecie — odpowiedział bojaźliwie. — Nazywam go Rzeźnik. A wy jak go nazywacie?

- Kogo?

— Osobnika z mózgiem człowieka i sercem szatana — powiedział dramatycznym głosem.

Mężczyzna mógł być dziwakiem, ale Parker uznał, że jego określenie dobrze opisuje Diggera.

93

Henry Czisman ubrany był schludnie. Biała koszula opinała jego duży brzuch. Popielaty garnitur w prążki i krawat dobrane były starannie. Parker poczuł, że ubranie jego pachnie dymem papierosowym. Na stole przed nim leżała podniszczona aktówka. Nalał do kubka lodowatej wody.

- Mówi pan, że mężczyzna zamieszany w strzelaninę na stacji metra i w teatrze nazywany jest Rzeźnikiem?

— Ten, który strzelał, nie znam natomiast nazwiska jego współnika.

Lukas i Cage milczeli przez chwilę. Lukas badawczo obserwowała mężczyznę. Zastanawiała się, skąd Czisman wie o Diggerze i jego ostatnich zbrodniach oraz o jego współniku. Do tej pory nie przekazywano tych informacji dziennikarzom.

— Dlaczego pan się tym interesuje? — zapytał Parker.

Czisman otworzył swoją aktówkę i wyjął kilka starych numerów „News--Times” wydawanych w Hartford.

Gazety pochodziły z ubiegłego roku. Pokazał kilka artykułów, które sam napisał. Były to reportaże kryminalne.

— Na razie porzuciłem pracę dziennikarską. Teraz piszę książkę o Rzeźniku opartą na autentycznych wydarzeniach. Jeżdżę śladami jego zbrodni — dodał dramatycznym głosem.

— Ludzie lubią taką literaturę, prawda? — zapytał Cage.

— Och, kochają. To są bestsellery. Ann Rule. Ted Bundy... Czytał pan kiedyś te książki?

— Być może — odparł Cage.

- Ludzie pochłaniają wręcz książki i artykuły z opisami zbrodni. To coś mówi o społeczeństwie. Ktoś powinien napisać książkę i wyjaśnić, dlaczego taka literatura jest bardzo popularna.

— Ale ten Rzeźnik...

- Tak go nazwano w Bostonie, na początku roku. Jedna z gazet, o ile się nie mylę, dała mu przydomek Diabeł.

Łzy diabła — pomyślał Parker. Lukas spojrzała na niego. Ciekawe, czy myśli o tym samym.

- Co wydarzyło się w Bostonie? — zapytał.

Czisman spojrzał na jego wizytówkę. Nie było na niej nazwiska. Parker został przedstawiony przez Cage'a jako konsultant: — Pan Jefferson.

- Strzelanina w restauracji.

Parker nie słyszał o tym albo po prostu zapomniał. Być może informacja o strzelaninie znalazła się tylko w lokalnych mediach. Ale Lukas pamiętała.

— Cztery osoby zabite, siedem rannych. Przestępca strzelał przez okno do ludzi będących w restauracji. Użył

broni automatycznej. Nie są znane motywy zbrodni.

Parkerowi teraz wydawało się, że jednak o tym czytał.

- Jeżeli dobrze pamiętam, nie było rysopisu mordercy — kontynuowała Lukas.

— On tu jest. Przypuszczam, że wy też nie macie rysopisu. Prawdopodobnie biały mężczyzna, ale to nie jest pewne. Wiek: trzydzieści, czterdzieści lat. Wzrost: średni. Budowa: typowa. Niczym się nie wyróżnia. Nie ma wyglądu czarnych charakterów z filmów, których łatwo rozpoznać. Rzeźnik... to przeciętny mężczyzna na ulicy.

Przerażające, prawda?

Lukas chciała zadać pytanie, ale jej przerwał.

— Mówiła pani, że nie są znane motywy zamachu na restaurację w Bostonie?

- Tak napisano w raporcie.

- Czy wiecie, że dziesięć minut po masakrze, sześć kilometrów dalej, został obrabowany sklep jubilerski?

— Nie. Nie było o tym w raporcie.

— Jubilerowi udało się włączyć alarm, ale wszyscy policjanci z okolicy byli na miejscu strzelaniny. Złodziej zabił właściciela i klienta, który akurat był w sklepie. To byli jedyni świadkowie.

— Czy zrobił to wspólnik Rzeźnika?

- O kim pani mówi? — zapytał Czisman.

Lukas westchnęła. — Potrzebujemy pańskich informacji, ale nie jestem do końca przekonana, że kieruje panem poczucie obywatelskiego obowiązku. Czisman wybuchnął śmiechem.

- Czego pan chce? — spytała.

- Dostępu — szybko odpowiedział. — Tylko dostępu.

— Do informacji.

— Tak. Do mojej książki.

— Proszę poczekać — powiedziała, podnosząc się z krzesła. Ręką skinęła na Parkera i Cage'a, by z nią wyszli.

W niewielkim, ciemnym pomieszczeniu znajdującym się obok „Niebieskiego Pokoju” siedział Tobe Geller.

Oglądał rozmowę z Henrym Czismanem na sześciu monitorach.

Czisman chyba nie zdawał sobie sprawy, że jest obserwowany z zewnątrz. Pokoje do przesłuchań w biurach Centrali nie miały „luster weneckich”, takich jak na komisariatach policyjnych. Na ścianach w „Niebieskim Pokoju” wisiały trzy obrazy. Były to reprodukcje dzieł George'a Seraut, który rozwinął pointylizm: metodę malowania polegającą na równomiernym pokrywaniu powierzchni obrazu drobnymi punktami czystej farby.

Sześć kropek na każ-

____ 95 ____

dym obrazie było w rzeczywistości obiektywami kamer wideo, obejmującymi każdy centymetr kwadratowy pokoju.

Rozmowę nagrywano na trzech różnych magnetofonach cyfrowych. Jeden z nich połączony był z komputerem analizującym dźwięki. Można było w ten sposób wykryć, czy przesłuchiwany nie

wyjmuje broni. Wprawdzie Czisman został dokładnie przeszukany, ale w tym biznesie nigdy dość ostrożności.

Lukas poinstruowała Gellera, że powinien zwracać uwagę przede wszystkim na analizę i weryfikację informacji przekazywanych przez Czismana. Gdy tylko usłyszał o napadzie na sklep jubilerski w Bostonie, natychmiast po-

łączył się z młodą asystentką specjalną Susan Nance, która zaczęła szukać informacji na ten temat.

Czisman nie napił się jeszcze wody z kubka postawionego przez Cage'a, ale ścisnął go nerwowo, jak robi każdy, kto znajdzie się w pokoju przesłuchań FBI. Kubek miał w uchwycie: czujniki, mikroprocesor, baterię i nadajnik.

Obraz odcisków palców Czismana został przekazany do komputera Gellera, a ten wysłał go do bazy danych w celu identyfikacji.

Jedna z kamer wideo umieszczonych w reprodukcji obrazu „Niedziela w parku” patrzyła Czismanowi prosto w oczy. Obserwowała siatkówkę oka. W ten sposób z dużym prawdopodobieństwem można wykryć, czy przesłuchiwany mówi prawdę. W tym samym celu analizowano także głos.

Cage, Lukas i Parker szybko weszli do pokoju obserwacyjnego.

— Masz już coś? — zapytała Lukas.

— Ta sprawa ma pierwszeństwo — odparł Geller, uderzając wściekle w klawisze.

Chwilę później zadzwonił telefon i Lukas włączyła mikrofon.

— Tobe? — zapytał kobięcy głos.

— Mów — odparł. — Są tutaj tylko szefowie zespołu.

— To Nance. Zbierała informacje o Czismanie.

— Cześć, Susan — przywitała ją Lukas. — Mówi Margaret. Mów, co znalazłaś.

— Okay. Na podstawie analizy odcisków palców stwierdzono, że nie ma go w nakazach sądowych. Nie był

aresztowany. Nazwisko Henry Czisman jest prawdziwe. Mieszka w Hartford, w stanie Connecticut. Przesłane przez was zdjęcie zostało porównane z jego zdjęciem z prawa jazdy. Zgodność — 95%.

— Czy to dobra zgodność? — przerwał Parker.

- W moim przypadku taka analiza wykazuje 92% — odpowiedziała Susan Nance. — Miałam krótsze włosy. Z

danych z Urzędu Ubezpieczeń Spo-

>

łecznych i Urzędu Podatkowego wynika, że od 1971 roku zatrudniony był jako dziennikarz. Miał kilka lat przerwy. Pracował wtedy jako „wolny strzelec”. Miał zatem dużo czasu. W tym roku nie posiadał żadnych dochodów. Dziesięć lat temu był na leczeniu, prawdopodobnie odwykowym: nadużywał alkoholu. Rok temu pracował w gazecie wydawanej w Hartford. Zarabiał 51 tysięcy dolarów rocznie, ale porzucił pracę.

— Porzucił, został zwolniony czy wziął urlop? — spytał Parker.

— Nie wiadomo — zawahała się Nance. — Ze względu na święta nie możemy sprawdzić wszystkich jego kart kredytowych, ale zatrzymał się w hotelu „Renaissance” pod swoim nazwiskiem. Nie robił wcześniejszej re-zerwacji na lot z Hartford. Bilet zamawiał o godzinie dziesiątej przed południem na samolot wylatujący w południe.

— To znaczy, że wyleciał niedługo po tej strzelaninie w metrze — zauważyła Lukas.

— Czy kupił bilet tylko w jedną stronę? — spytał Parker. - Tak.

— Co o tym sądzicie? — zapytała Lukas.

— Przeklęty dziennikarz. Tyle mam do powiedzenia — oświadczył Cage.

— A ty, Kincaid? — Lukas zwróciła się do Parkera.

— Co ja sędzę? Powinniśmy zawrzeć z nim układ. Gdy analizuję dokumenty, ważna jest każda informacja.

Zwłaszcza od piszącego o autorze.

— Jeżeli on jest pisarzem... — powiedziała Lukas sceptycznie. Zawahała się. — Wydaje mi się, że jest stuknięty. Decydujemy się?

— Tak. Sędzę, że tak — odparł Kincaid, patrząc na elektroniczny zegar wiszący nad monitorem komputera.

W pokoju przesłuchań Lukas powiedziała do Czismana: — Jeżeli przyklepiemy sprawę... jeżeli znajdziemy rozwiązanie zagadki... Czisman roześmiał się z eufemizmu.

— Jeżeli zakończymy śledztwo, będzie miał pan dostęp do naszych materiałów, by je wykorzystać w książce.

Nie wiem, czy do wszystkich. Gwarantuję wyłączność.

— Ach, wyłączność, to moje ulubione słowo. To jest dokładnie to, o co proszę.

— Ale wszystko, co powiemy teraz, jest ściśle tajne. Musi pan zachować tajemnicę — kontynuowała Lukas.

— Dobrze — zgodził się Czisman.

Lukas skinęła głową na Parkera, który zadał pytanie: — Mówi panu coś nazwisko Digger?

___ 97 ___

- Digger? Nie. Na pewno nie. — Czisman kręcił głową.

— To nazwisko mordercy, pański Rzeźnik. Tak nazwał go jego wspólnik — wyjaśniła Lukas.

— Nazywam go Rzeźnik, ponieważ tak pisały o nim bostońskie gazety. Nowojorski „Post” nazwał go Diabłem.

W Filadelfii nosił przydomek „Mordercy Mężów”.

— Nowy Jork? Filadelfia, też? — spytała Lukas wstrząśnięta informacjami.

— Boże, seryjne morderstwa — powiedział cicho Cage.

— Poruszał się w dół Wybrzeża. Potem zniknął. Czyżby pojechał na Florydę? Może na którąś z wysp?

- Co wydarzyło się w innych miastach? — zapytał Parker.

— Słyszeliście o prezesie spółki „International Beverage”. Lukas coś sobie przypomniała. — Został porwany.

— A coś więcej? — zwrócił się do niej Parker.

Czisman spojrział na Lukas, która ruchem głowy dała mu znak, że może mówić dalej. — Policja nie zakończyła jeszcze śledztwa. Nie są znane wszystkie szczegóły, ale było to mniej więcej tak: Rzeźnik wziął rodzinę prezesa jako zakładników. Kobieta zaproponowała okup. Zgodził się...

— Czy był jakiś list? — zapytał Parker, myśląc, że będzie miał kolejny dokument, który pomoże mu w analizie.

— Nie, wszystko odbywało się przez telefon. Prezes zgodził się wypłacić okup. Zawiadomił policję, która obstawiła dom z zakładnikami. Prezes udał się do banku po pieniądze, a kiedy otwarto

skarbiec, jeden z klientów wyjął broń i zaczął strzelać. Zabił wszystkich, którzy byli w banku: prezesa „International Beverage”, dwóch ochroniarzy, trzech innych klientów, trzech kasjerów i dwóch wiceprezesów banku. Kamera wideo zarejestrowała obecność drugiego mężczyzny, współnika mordercy, który po strzelaninie wszedł do skarbcza i wyniósł worek z pieniędzmi.

— A kto był w tym domu? — dociekała Lukas.

— Nikt żywy. Rzeźnik-Digger zabił wcześniej wszystkich członków rodziny.

— Uprzedzał działania policji. Nie można go było schwytać ani w czasie negocjacji, ani w czasie odbierania okupu — powiedział Parker.

- Czy film wideo może nam w czymś pomóc? — spytał Cage.

— Chce pan wiedzieć, jakiego koloru maski mieli na twarzach?

Cage wzruszył ramionami, co miało oznaczać, że zadał pytanie z czystego obowiązku.

— A co wydarzyło się w Filadelfii? — spytała Lukas.

----- 98 -----

— To była precyzyjna robota — odpowiedział Czisman cynicznie. -Rzeźnik wszedł do autobusu. Z broni z tłumikiem, schowanej w kieszeni, zastrzelił trzy osoby. Potem jego współnik zażądał okupu. Miasto zgodziło się go wypłacić, ale jednocześnie policja opracowała plan ich schwytania. Tyle, że oni napadli na bank. Kiedy eskorta wynosiła pieniądze z banku, Rzeźnik zastrzelił ochroniarzy strzałami w tył głowy. I zbiegli.

- Nie znałam tej sprawy — stwierdziła Lukas.

— Zataili informacje. Zginęło sześć osób.

— Massachusetts, Nowy Jork, Pensylwania, Waszyngton. Ma pan rację, przesuwał się na południe.

— Przesuwał? — Czisman zmarszczył czoło. Parker spojrzał na Lukas.

- Nie żyje — powiedziała.

— Co?! — Czisman był zaskoczony.

— Mówię o współniku Rzeźnika, nie o nim samym.

— Co się stało? — cichym głosem zapytał Czisman.

— Wpadł pod samochód, po tym, jak podrzucił list z żądaniem okupu. Nie zdążył odebrać pieniędzy.

Spokój wrócił na twarz Czismana. Pewnie uznał, że teraz nadeszła pora na przeprowadzenie wywiadu —

pomyślał Parker.

Czisman uniósł się na krześle i zaczął rozglądać się po pokoju. — Według jakiego schematu tym razem działał?

Lukas ociągała się z udzieleniem odpowiedzi, ale Czisman domyślił się.

— Rzeźnik będzie zabijać, dopóki miasto nie zapłaci okupu. To był ich sposób działania. Ale teraz nie ma komu go wypłacić, zatem Rzeźnik będzie mordować dalej. Czy macie jakieś wskazówki, gdzie się teraz ukrywa?

— Śledztwo jest w toku — powiedziała ostrożnie Lukas. Czisman uniósł głowę, świadomy, że jest to wykręt.

— Dlaczego przyjechał pan do Waszyngtonu? — zapytał Parker.

— Czytam wszystko o zbrodniach popełnianych bez skrpułów. Większość ludzi ma wyrzuty sumienia. Ale dla nich zabijanie było racją istnienia, tak jak w przypadku Bundy'ego, Gacy'ego lub

Dahmera. Większość ludzi zastanawia się, zanim pociągnie za spust. Rzeźnik nigdy. Kiedy dowiaduję się o takiej zbrodni, jadę do miasta, w którym się wydarzyła, i rozmawiam z ludźmi.

— Dlaczego nikt nie znalazł związku między tymi morderstwami? — zapytała Lukas.

Czisman wzruszył ramionami. — Morderstwa miały miejsce w różnych miastach. Stosunkowo niewielka liczba ofiar śmiertelnych. Rozmawiałem

----- 99 -----

z policją w White Plains, w Filadelfii. Nikt nie wziął moich słów poważnie. — Roześmiał się i wzrokiem omiół

pokój. — Dwadzieścia sześć ofiar śmiertelnych. Co z tego? Nikt nie chciał słuchać tego, co mówię.

— Co może nam pan powiedzieć o Diggerze? Czy ktoś go widział? — zapytał Parker.

— Nie. Jest jak zjawa. Jest i po chwili go nie ma. Ulatnia się jak dym. Jest duchem. On...

Lukas straciła cierpliwość. — Próbowujemy schwytać przestępcę. Jeżeli jest pan w stanie nam pomóc, docenimy to.

Jeśli nie, to lepiej, żebyśmy w czasie śledztwa nie zawracali sobie panem głowy...

— Oczywiście, przepraszam. To dlatego, że zajmuję się tym człowiekiem już od roku. Jest to jak wspinanie się na ścianę szczytu. Może mieć kilometr wysokości, ale widzimy jedynie kawałek skały, która jest przed naszymi oczami. Hm, chyba wiem, dlaczego nikt nie zauważył Diggera...

— Dlaczego? — spytał Parker.

— Bo świadkowie pamiętają emocje. Pamiętają oszalałego złodzieja, który nakryty, w desperacji kogoś zastrzelił; strzelającego spanikowanego policjanta; krzyczącą ranną kobietę. Lecz nie pamiętają ludzi opanowanych.

— Digger jest zawsze spokojny?

— Jak Śmierć — odparł Czisman.

— Czy wiadomo coś o jego zwyczajach, ubraniach, jedzeniu, nałogach?

— Nic — odparł, myśląc o czymś innym. — Czy możecie mi powiedzieć, czego dowiedzieliście się o jego wspólniku, który zginął?

— Też nic. Nie miał przy sobie dokumentów. Badanie odcisków palców wykazało, że nie był notowany —

powiedziała Lukas.

— Czy mogę... Czy mógłbym zobaczyć jego zwłoki? Są w kostnicy? Cage kręcił głową.

— Przykro mi, ale to wbrew procedurze — oznajmiła Lukas.

— A zdjęcie? — naciskał Czisman. — Proszę. — Słowo to brzmiało w jego ustach tak nienaturalnie, jakby nie używał go od wielu lat.

Lukas otworzyła kartotekę i podała mu zdjęcie szantażysty zrobione na miejscu wypadku.

Czisman przyglądał mu się bardzo uważnie. — Czy mogę je zatrzymać? - Dopiero po zakończeniu śledztwa.

— Oczywiście — oddał zdjęcie Lukas. — Czy mogę zostać z wami? Lukas zaprzeczyła ruchem głowy. —

Przykro mi, ale muszę ponownie powiedzieć: nie.

— Mógłbym pomóc. Może będę miał jakieś pomysły, wskazówki.

— Nie — twardo powiedział Cage.

----- 100 -----

Czisman jeszcze raz zerknął na zdjęcie i wstał z krzesła. Uścisnął wszystkim ręce. — Zatrzymałem się w śródmieściu w hotelu Renaissance. Będę rozmawiać ze świadkami zbrodni. Jeżeli dowiem się czegoś interesującego, skontaktuję się z wami.

Lukas podziękowała mu i zaprowadziła do wyjścia.

— Jeszcze jedno — odezwał się Czisman. — Nie wiem, jakie warunki postawił szantażysta, ale teraz nikt nie kontroluje Rzeźnika... Diggera. Wie pani, co mam na myśli?

— Co?

— Digger będzie zabijać dalej, nawet po terminie wyznaczonym przez szantażystę.

— Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

— Ponieważ jest w tym dobry. Każdy lubi robić to, co umie najlepiej. Tak to już jest.

Wrócili do pokoju obserwacyjnego.

— Wiadomo coś o zbrodniach, o których mówił Czisman? — powiedziała Lukas do mikrofonu.

- Ani w Bostonie, ani w White Plains, ani w Filadelfii nie możemy znaleźć agentów zajmujących się tymi morderstwami. Ale dyżurujący pracownicy potwierdzili, że sprawy są w toku. Nikt nie używał przezwiska Rzeźnik — poinformowała Susan Nance.

— Czy... — zaczęła Lukas.

— Czy mordercy zostawili jakieś ślady? — Parker wpadł jej w słowo.

— Nic. Nie ma odcisków palców; żadnych pozostałości. Świadkowie... cóż, ci, którzy przeżyli, nie widzieli Diggera — jeżeli był to Digger. Poprosiłam o więcej informacji na temat tych strzelanin. Będą szukać agentów zajmujących się tymi sprawami.

— Dziękuję, Susan — powiedziała Lukas. Rozłączyła rozmowę.

Wtedy odezwał się Geller:

— Przeprowadziłem kolejne badania. — Spojrzał na monitor. — No cóż, nie wykryłem nic podejrzanego w jego głosie. Akcent i rytm w jego wypowiedziach są naturalne. Mówił spokojnie, zwłaszcza że był przepytany przez trzech agentów FBI. Nie ma powodów, aby podejrzewać, że kłamał.

Zadzwoił telefon Lukas. Przez chwilę słuchała, potem podniosła wzrok.

— Mówi ochrona. Pytają, czy mają go wypuścić.

— Sądzę, że tak — powiedział Parker.

----- 101 -----

— Dobrze — zgodził się Cage. Lukas skinęła głową.

— Brak podejrzeń — powiedziała do telefonu i skończyła rozmowę. Spojrzała na zegarek. — Gdzie jest ten psycholog z Georgetown?

— Jedźcie do nas — odparł Cage. Otworzyły się drzwi. Wszedł Len Hardy.

— Co z Mossem? — zapytała Lukas.

— W porządku. Dostał dwa telefony na pocztę głosową w domu, myślał, że to pogrożki.

— Powinniśmy... — zaczęła Lukas.

Hardy, zagapiony na monitor, przerwał jej: — Poprosiłem jednego z twoich ludzi, aby sprawdził te telefony.

Pierwszy był od jego brata, drugi od sprzedawcy z Iowa. Już rozmawiałem z nimi.

— O to właśnie chciałam cię prosić.

— Domyśliłem się.

— Dziękuję.

- Dystrykt Kolumbii do twoich usług — powiedział Hardy. Parker zauważył, że Lukas nie wyczuła ironii w głosie Hardy'ego.

- Co z mapami? Powinniśmy znaleźć miejsce, skąd pochodzą zanieczyszczenia na liście — odezwał się Parker.

— Najodpowiedniejsze do tego celu są mapy z Archiwum Map Topograficznych — zauważył Geller.

— Archiwum? — Lukas kręciła głową. — Teraz ich stamtąd nie wydobędziemy.

Parker zdawał sobie sprawę, jaki to problem znaleźć w sylwestrowy wieczór urzędników cywilnych, którzy mogliby otworzyć archiwum.

— To jest niewykonalne — powiedział Cage.

— Musimy dokonywać cudów — orzekła.

13

Mosiężny zegar.

1 fi 50 ^a' ^a n*eξ° ogromne znaczenie.

Burmistrz Jerry Kennedy patrzył na ten zegar. Był to prezent od uczniów szkoły im. Thurgooda Marshalla znajdującej się w południowo-zachodniej części miasta.

----- 102 -----

Ten gest bardzo go wzruszył. Nikt nie traktował poważnie władz miasta. Dla wszystkich Waszyngton był

stolicą, siedzibą prezydenta i Kongresu oraz miejscem skandali. To przyciągało uwagę. Niewiele osób wiedziało, jak zarządzane jest miasto i kto w ogóle jest tu burmistrzem.

Tylko dzieci ze szkoły im. Thurgooda Marshalla doceniły jego prace. Miał z nimi spotkanie. Mówił o honorze, o konieczności ciężkiej pracy, o nie-używaniu narkotyków, i temu podobne banały. Kilku uczniów siedzących w ponurej, dusznej auli patrzyło na niego z niekłamanym podziwem. W dowód wdzięczności po wykładzie dali mu w prezencie zegar.

Kennedy dotknął go. 16.50.

FBI powinno już zatrzymać szaleńca, ale nie zrobiło tego. Są ofiary śmiertelne i ranni. W całym mieście panika.

Histeria. Miały miejsce trzy strzelaniny. Sprawcom wydawało się, że widzieli idącego za nimi Diggera.

Prasa zarzuciła burmistrzowi i policji Dystryktu nieudolność. Oskarżano go o niesprawne działanie i ukrywanie skutków zbrodni. Jedna z gazet poinformowała nawet, że Kennedy przed strzelaniną w teatrze chciał

telefonicznie kupić bilety na mecz futbolu amerykańskiego. Telewizja nie była lepsza. Jeden z komentatorów politycznych powtórzył słowa kongresmana Laniera o „uległości wobec terrorystów”.

Zadzwoił telefon. Wendell Jefferies siedzący naprzeciw, uprzedził burmistrza. Podniósł słuchawkę. — Tak.

Okay... — Zamknął oczy i kręcił głową. Słuchał. Trochę to trwało.

— Co? — spytał potem Kennedy.

— Przeszukali cały teatr i nic nie znaleźli. Żadnych odcisków palców, żadnych świadków — przynajmniej wiarygodnych.

— Jezu, czy ten człowiek jest niewidzialny?

— Mają kilka wskazówek od byłego agenta.

— Byłego agenta? — z niedowierzaniem spytał Kennedy.

— Specjaliści od badania dokumentów. Znalazł coś, ale niewiele.

— Potrzebujemy żołnierzy, policjantów na każdym rogu ulicy, a nie specjalistów od papierów.

Na twarzy Jefferiesa pojawił się cyniczny uśmiech. Pewnie, że byłoby dobrze, gdyby na każdym rogu ulicy stał

policjant, ale przecież takie żądanie to czysta fantazja.

— Może mnie nie słyszał. Nie oglądał telewizji — westchnął Kennedy.

— Możliwe.

— Ale jest dwadzieścia milionów do wzięcia! — wybuchnął ukrywanym dotąd gniewem. —

Dlaczego, u diabła, nie skontaktuje się z nami. Mógłby mieć te dwadzieścia milionów.

----- 103 -----

— Prawie go mieli. Może następnym razem go schwytają.

Kennedy podszedł do okna. Spojrzał na termometr znajdujący się na zewnątrz. Zero stopni. Pół godziny temu było o trzy stopnie więcej.

Niebo pokryło się ciemnymi chmurami.

Spojrzał na Kapitol. Kształtem przypominał mu tort weselny. Kiedy w 1792 roku Pierre L'Enfant wytyczał plan miasta, kazał geometrze wykreślić linie biegnącą z północy na południe i prostopadłą do niej. Wyznaczył w ten sposób cztery kwartały. Taki plan architektoniczny zachował się do dzisiaj. Kapitol stoi na przecięciu tych dwóch linii.

Miasto zajmuje powierzchnię 163 kilometrów kwadratowych. Burmistrz był zdecydowany nie dopuścić do jego degradacji. Urodził się w Waszyngtonie i należał do ginącej rasy: rodowitych mieszkańców miasta. W ostatnich latach liczba mieszkańców zmniejszyła się z 800.000 do około pół miliona. W ostatnim roku też odnotowano spadek.

Miasto Waszyngton jako Dystrykt Kolumbii uzyskało samodzielność dopiero w latach siedemdziesiątych. Przez dwieście lat istnienia, od chwili gdy Waszyngton został stolicą, Dystryktem zarządzał Kongres (z wyjątkiem kilku lat w XIX wieku, kiedy to próba usamodzielnienia nie powiodła się: niekompetencja i korupcja doprowadziły miasto do bankructwa).

Od dwudziestu pięciu lat Waszyngton zarządzany jest przez władze miasta. Burmistrza wspomaga trzynastoosobowa rada miejska. Robią wszystko, aby zmniejszyć przestępczość (miasto miało najwyższy wskaźnik przestępczości w całym kraju), podnieść poziom nauczania w szkołach (wyniki testów były gorsze niż w innych miastach), uzdrowić finanse i zmniejszyć lub zlikwidować napięcia rasowe (czarna południowo-wschodnia część miasta kontra biała północno-zachodnia oraz wysoki wskaźnik przestępstw na tle rasowym).

Istnieje możliwość, że Kongres ponownie przejmie zarządzanie miastem. Już ograniczył możliwość dysponowania pieniędzmi. Nie, Kennedy nie dopuści, żeby miasto stało się częścią stanu Maryland lub Wirginia. Będzie walczył z przestępczością i rozwiązywał problem bezdomności i rozbitych rodzin. Ponad 40

procent młodych czarnych mieszkańców miasta weszło w konflikt z prawem. Na początku lat siedemdziesiątych jedna czwarta rodzin to były rodziny niepełne, teraz ta liczba dochodzi do trzech czwartych.

Jerry Kennedy na własnej skórze doświadczył, do czego to może doprowadzić. W 1975 roku — pracował wtedy jako prawnik w Wydziale Oświaty — wziął udział w obchodach Dnia Pojednania: święta, które miało jednoczyć wszystkie rasy. Był jedną z kilkuset osób rannych w zamieszkach

rasowych. W tym dniu zrezygnował z planów przeprowadzenia się do Wirginii i starto-___ ifl4 ___
i v/T"

wania w wyborach do Kongresu. Postanowił zostać burmistrzem stolicy. Dotrzymał słowa.
Ale teraz musi stoczyć bitwę.

Obiecował wyborcom, że oczyści administracje z korupcji, ale wtedy pojawił się urzędnik miejski Garry Moss i Kennedy dowiedział się o ogromnym skandalu związanym z budową nowych szkół. Większość z nich oddano w takim stanie, że przebywanie w nich było bardzo ryzykowne. Wydawało się, że w aferę zamieszanych jest kilku jego współpracowników, wśród których byli jego starzy przyjaciele. Sam Kennedy bronił Mossa i przyjął na siebie ciężar oskarżeń. Trudno mu było udowodnić czystość swoich intencji, zwłaszcza że prasa atakowała go bez przerwy.

Ta afera korupcyjna i być może inne, które ujawnią się po czasie, przeszkadzały mu w jego misji, której chciał

poświęcić swoje urzędowanie. Wiedział, jak uzdrowić ten niewielki skrawek Stanów Zjednoczonych, przytłoczony sprawami całego kraju. Jego recepta była prosta: edukacja. Dzieci powinny przebywać dłużej w szkole i tu realizować swoje zainteresowania, pasje. Jeśli będą miały dużo możliwości, być może wybiorą właściwą drogę życia. Tak, wykształcenie może w tym pomóc, uchronić przed pułapkami czyhającymi na młodego człowieka.

Dzięki nauce Kennedy sam wyrwał się z biedy. Skończył szkołę prawniczą „William and Mary”. Wykształcenie pomogło mu znaleźć piękną, inteligentną żonę i wychować dwóch wspianałych synów.

Nikt nie mógł zaprzeczyć, że wykształcenie ułatwia życiowy start. Ale jakie rozwiązanie przyjąć? Tu zaczynał

się problem. Konserwatyści uważają, że jeżeli ktoś nie lubi swoich sąsiadów i nie docenia wartości życia rodzinnego, to jego problem. Posyłamy dzieci do dobrych prywatnych szkół, dlaczego więc nie mogą robić tego inni? Natomiast liberałowie tylko narzekają i pompują coraz większe pieniądze w szkolnictwo. Jedyne efekty, jakie uzyskują, to spowolnienie rozpadu infrastruktury oświatowej. Nie są w stanie sprawić, aby uczniowie polubili szkołę.

To było wyzwanie dla Geralda Davida Kennedy'ego. Nie mógł machnąć różdżką i połączyć ponownie rozbitych rodzin, nie mógł wymyślić antidotum na narkomanię, nie mógł pozbawić broni ludzi mieszkających 25

kilometrów od biur organizacji skupiającej ich posiadaczy.

Ale wiedział, jak zapewnić dzieciom wykształcenie. Jego plan można było określić jednym słowem: przekupstwo.

Chociaż on i Jefferies nadali mu inną nazwę: Projekt 2000.

W ciągu ostatniego roku Kennedy, wspomagany przez Jefferies, swoją żonę i kilku bliskich współpracowników, negocjował z kongresmanami,

----- 105 -----

członkami Komitetu ds. Dystryktu, aby nakłonić ich do nałożenia dodatkowych podatków na firmy działające w Waszyngtonie. Pieniądze zostałyby przeznaczone na stypendia, które umożliwiłyby skończenie studiów. Przydzielano by je tylko tym studentom, którzy nie używają narkotyków i nie byli karani sądowo.

Jednym ruchem Kennedy zjednoczył przeciw sobie wszystkie siły polityczne. Liberałowie odrzucili projekt jako potencjalne źródło korupcji. Poza tym obowiązek poddania się badaniom mającym wykryć, czy student używa narkotyków, godzi w prawa obywatelskie. Konserwatyści go wyśmiali. Firmy, które miały być obłożone dodatkowym podatkiem, też miały zdanie na ten temat. Zdecydowanie, z jakim dążył do ujawnienia skandalu w Wydziale Oświaty, zaowocowało serią pogroźek, o czym agentka Lukas doskonale wiedziała. Jego Projekt 2000

przyniósł inne niż oczekiwano skutki. Większość firm zagroziła przeniesieniem się do innych

miast. Komitety wyborcze i przedsiębiorcy wycofali swoje pieniądze z kont partii. Pisano nawet o skandalach obyczajowych, których w rzeczywistości nie było. Media skądś wytrzasnęły kasetę wideo z zamazanymi zdjęciami jakichś kobiet i mężczyzn wchodzących do pokoi w Motel Six.

Jednak Kennedy był zdecydowany zrealizować swój projekt. Po miesiącach rozmów z Kongresem wydawało się, że plan jest bliski akceptacji. Burmistrz zawdzięczał to głównie poparciu wyborców.

Teraz jednak poparcie mogłoby gwałtownie spaść. Jeżeli dzisiaj zrobi jakiś błąd, jeśli Digger będzie zabijać dalej, jeśli okaże się słaby i nieudolny, nie będzie szans na realizację Projektu 2000. Zmuszą go do dymisji.

Będzie znów wykładał nauki polityczne w szkole „William and Mary”...

Podniósł wzrok i zobaczył, że Jefferies znów rozmawia przez telefon. Odłożył słuchawkę.

— On tu jest.

— Gdzie?

— W holu. Znow masz wątpliwości? — zapytał.

Jaki on elegancki — pomyślał Kennedy o Jefferiesie. Ubrany był w dwurzędowy garnitur i jedwabny krawat.

Miał nienaganną fryzurę. Burmistrz zabiegał o poparcie czarnych mieszkańców miasta i był bardzo wdzięczny losowi, że zesłał mu tego człowieka.

— Pewnie, że mam wątpliwości.

Burmistrz wyjrzał przez drugie okno, z którego mógł zobaczyć charakterystyczną wieżę uniwersytetu w Georgetown. Tu rozpoczynał studia. Mieszkał z Claire w pobliżu. Przypomniawsobie, że pewnego jesienno dnia

----- 106 -----

szedł z żoną po schodach, z których spadał ksiądz w zakończeniu filmu „Egzorcysta”.

Ksiądz poświęcił swoje życie, aby ratować dziewczynkę opętaną przez szatana.

Tak, to był zły znak.

— Dobrze. Idź z nim porozmawiać — powiedział burmistrz. Jefferies skinął głową. — Poradzimy sobie. Na pewno. — Do telefonu powiedział: — Zaraz będę.

W holu obok gabinetu opierał się o ścianę przystojny mężczyzna. Nad nim wisiał portret jednego z dziewiętnastowiecznych polityków.

Wendell Jefferies podszedł do niego. - Cześć, Wendy.

— Slade. — To było jego imię. Nazywał się Phillips. Rodzice nadali mu takie imię, jakby z góry zakładali, że zostanie słynnym dziennikarzem telewizyjnym. Tak się rzeczywiście stało,

— Zmontujemy z tego materiał. Pokażemy dwóch agentów, osierocone dzieci, przebitkę na teatr...

Na wizji, ze słuchawkami na uszach rozmawiał inaczej. Z białymi rozmawiał inaczej, ale Jefferies był

Murzynem i Slade uznał, że powinien mówić, jakby przeprowadzał instruktaż.

— Tego, co dostał w czapę, też możemy — kontynuował Slade. Jefferies pomyślał, że to gangsterskie „dostał w czapę”, ma się nijak do faktu, że przygniótł go żyrandol.

— Już go prawie mieli, ale uciekł im — zauważył Slade.

— Słyszałem — odparł Jefferies.

— Konferencja prasowa burmistrza może poprawić nastroje.

Dzisiaj Jefferies nie miał cierpliwości do ludzi pokroju Slade'a Phillipsa. Nie uśmiechał się. — Ten szaleniec zamierza zabijać dalej. Nikt nie wie, jak bardzo jest niebezpieczny.

— Chyba bardzo niebezpieczny...

Jefferies przerwał mu ruchem ręki. — Sprawy wyglądają źle.

— Wiem o tym.

— Dlatego ludziom trzeba dobrze pokazać jego.

Jefferies położył akcent na „jego” — Jerry'ego Kennedy'ego.

— Pewnie.

— Potrzebujemy pomocy — powiedział Jefferies, zniżając głos, który przypominał teraz brzęk monet. —

Możemy dać dwadzieścia pięć.

----- 107 -----

— Dwadzieścia pięć...

— Chcesz się targować? — zapytał Jefferies.

- Nie, tylko... to dużo. Czego ode mnie żądacie?

— Chce, żeby on...

- Kennedy?

Jefferies westchnął. - - Tak. Chcę, żebyś przedstawił go jako bohatera. Powtarzam, bohatera. Zginęło wielu ludzi i prawdopodobnie zginie jeszcze więcej. Musisz go pokazać, jak odwiedza ofiary strzelanin, jak walczy z ter-roryzmem. Nie wiem, może wysunie jakieś pomysły, które ułatwią prowadzenie śledztwa. I trzymaj z dala tych pierdolonych dziennikarzy.

- Z dala...?

— Od burmistrza — powiedział Jefferies. — Jego w tym nie ma...

— On nie kieruje śledztwem. — Phillips chrząknął. - - To chciałeś powiedzieć?

— Tak. Żadnych wpadek. Musisz przekonać widzów, że był niedoinformowany i robi wszystko, aby śledztwo prowadzone było we właściwym kierunku.

— Dobrze. Sprawę prowadzi FBI?

— To prawda, ale nie chcemy, żebyś ich obciążał winą.

— Nie chcemy? Właściwie dlaczego?

- Po prostu nie chcemy.

W końcu Slade Phillips przyzwyczajony do czytania z telepromptera, pogubił się. — Nie rozumiem, co ja mam zrobić...

- Chcę, żebyś był tym razem rasowym dziennikarzem.

— Oczywiście. Zatem — Phillips zaczął układać plan w swojej głowie. — Podejmuje trudne decyzje, kieruje pracą policji, odwiedza szpitale... Zaraz! Sam to robi?

— Nie, z żoną — wyjaśnił cierpliwie Jefferies.

Phillips wskazał drzwi do pokoju prasowego. — Oni mówią... To znaczy ktoś z „Washington Post” powiedział, że Kennedy nikogo nie odwiedza. To właśnie mu zarzucano.

— Ależ to nieprawda. On odwiedza rodziny, które chcą pozostać anonimowe. Robi to codziennie.

— Nie wiedziałem o tym.

Nieprawdopodobne. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów wystarczyło, żeby cię kupić — pomyślał Jefferies.

— Jakie to szlachetne z jego strony — dorzucił Phillips.

— Nie przesadzaj — ostrzegł go Jefferies.

- Co ze zdjęciami ze szpitala. Jeżeli...

----- 108 -----

— Powtarzaj to samo ujęcie. Potrafisz to robić. Może pokażesz karetki na stacji metra — burknął Jefferies.

— Okay. I żadnych ataków na burmistrza?

— Właśnie. Musisz wskazać winnego, ale nie może to być...

— FBI.

— Dobrze. Tylko z kogo zrobię kozła ofiarnego? — spytał dziennikarz. —• To twoja sprawa.

Pamiętaj: kto, co, kiedy, gdzie i dlaczego. Jesteś'

przecież dziennikarzem. — Chwycił Phillipsa za łokieć i odprowadził go do wyjścia. — Rób reportaż.

14

— Nie wygląda pani dobrze, pani Lukas.

— Mam ciężki dzień.

Garry Moss miał prawie pięćdziesiąt lat. Był tęgim mężczyzną z krótkimi, kręconymi włosami, które zaczynały siwieć. Siedział na łóżku w pokoju gościnnym. W budynkach Centrali znajdowało się kilka takich apartamentów. Przeznaczone były dla ważnych gości: dyrektorów departamentów, których obecność była niezbędna w czasie prowadzenia ważnych operacji. Moss przebywał tutaj, bo w areszcie Dystryktu nie przeżyłby nawet dwóch godzin.

Miejsce nie było złe. W apartamencie znajdowała się kuchnia, wygodne łóżko, fotel, biurko, stół, telewizja kablowa.

— Gdzie jest ten młody detektyw? Lubię go.

— Hardy? Siedzi w pokoju, z którego kierujemy operacją.

— Jest wściekły na panią.

— Z jakiego powodu? Dlatego, że nie pozwalam mu być policjantem?

— Właśnie.

— On nie jest specjalistą od prowadzenia śledstw.

— Oczywiście, mówił mi o tym. Zajmuje się papierami tak jak ja, a chciałby poczuć się częścią zespołu.

Usiłujecie schwytać tego mordercę? Widziałem w telewizji. Dlatego o mnie zapomnieliście.

— Nikt o panu nie zapomniał, panie Moss.

Mężczyzna uśmiechnął się, lecz pozostał przygnębiony. Lukas mu współczuła. To był jeden z powodów jej wizyty. Drugi był bardziej praktyczny. Świadkowie, którzy czują się opuszczeni i zagrożeni, czasami zapominają

_____ 100 _____

I \J17

o niektórych wydarzeniach. Prokuratorowi prowadzącemu sprawę zależy, by Garry Moss był bardzo szczęśliwym świadkiem.

— Jak się pan czuje?

— Brak mi rodziny. Brak mi dzieci. Oni czują się zastraszeni. Nie powinienem być tutaj. Moja żona jest dzielna, ale w takim dniu mężczyzna powinien być z rodziną.

Lukas przypomniała sobie jego bliźniaczki. Miały około pięciu lat. We włosach nosiły małe plastikowe spinki.

Żona Mossa była szczupłą kobietą z przelęknionymi oczami, jakby ciągle widziały płonący dom.

— Pan świętuje? — wskazała na złoty, spiczasty kapelusz z napisem: „Szczęśliwego Nowego Roku”. Było też kilka kołatek.

Moss podniósł kapelusz. — Ktoś mi to przyniósł. Zapytałem nawet „Po co mi połowa biustonosza Madonny?”

Lukas się roześmiała. — Rozmawiałam z ochroną. Pana rodzina jest bezpieczna. Pilnują jej nasi ludzie.

— Nie sądziłem, że będą chcieli je skrzywdzić. Przynajmniej tak myślałem, gdy zgłosiłem się do FBI. Nie spodziewałem się, że będę celem ataków.

W tej aferze łapówkarskiej wchodziły w grę dziesiątki milionów dolarów. Zamieszanych w nią było wiele firm i urzędników miejskich. Dla Lukas zaskakujące było to, że Moss nie został zabity, zanim FBI objęła go ochroną.

— Jak spędziłby pan wieczór, gdyby pan był z rodziną?

— Oglądalibyśmy pokaz sztucznych ogni. Dziewczynki położyłyby się spać później niż zwykle. One to lubią

— bardziej niż sztuczne ognie. A pani, jakie ma pani plany na dzisiejszy wieczór?

Żadnych.

Nie chciała jednak tego mówić nikomu. Pomyślała o kilku swoich przyjaciółach: o policjantce z Fairfax, o strażaku z Burkę, o sąsiadach, o mężczyźnie, który z miernym skutkiem tresował jej psa, i o innych. Z

niektórymi była zżyta, plotkowała z nimi, piła wino. Z jednym ze swoich przyjaciół sypiała od czasu do czasu.

Wszyscy oni zapraszali ją na przyjęcia noworoczne, ale odmówiła. Powiedziała, że wybiera się na bal w Maryland. To było kłamstwo. Chciała spędzić ten wieczór w samotności. Sama nie wiedziała, dlaczego.

Spojrzała na Mossa. Dzielny człowiek. Niespodziewanie dla siebie znalazł się w oku cyklonu.

Powiedziała mu prawdę: — Spędzę ten wieczór z moim pieskiem. Obejrzę kilka filmów.

Nie wyraził współczucia. Zapytał trzeźwo: — Ma pani psa? - Tak, czarnego labradora — sukę. Jest ładna, ale wyjątkowo głupia.

— Jak długo ją pani ma?

— Dwa lata. W Dzień Dziękczynienia ma urodziny.

— W ubiegłym roku dałem dziewczynom w prezencie wielorasowego psa. Ważył pół kilograma. Myśleliśmy, że spalił się w pożarze domu, ale udało mu się uciec. Co będzie pani oglądała?

— Dokładnie nie wiem. Jakiś film o eleganckim świecie. Sentymentalny, żeby można sobie trochę popłakać.

— To agenci mogą płakać?

- Tylko poza służbą. Panie Moss, będzie pan tu przebywał do poniedziałku. Potem przeniesiemy pana do strzeżonego przez policję domu.

— Ha! Tommy Lee Jones. „Ścigany”. Prawda, że to dobry film?

— Nie widziałam.

— Musi go pani obejrzyć.

— Może kiedyś'.

Starał się zachowywać normalnie, jednak widziała jego niepokój pulsujący w żyłach na czole.

Bał się o siebie i o swoją rodzinę.

— Dostanie pan dobry obiad.

— A piwo?

— Cały sześciopak?

— Do diabła, tak.

— Jaki jest pana ulubiony gatunek?

— Sam Adams. Ale czy ten wydatek może się znaleźć w budżecie FBI? — niepewnie zapytał.

— Pod warunkiem, że jedno mi pan zostawi.

— Schłodzę je dla pani. Proszę przyjść, gdy złapiecie tego szaleńca. Bawił się kapeluszem.

Chciał go włożyć, ale uznał, że to idiotyczne.

— Przyjdę później.

— Dokąd pani idzie?

— Muszę obejrzyć kilka map.

— Map... Cóż, życzę powodzenia.

Wyszła. Nie złożyli sobie życzeń noworocznych.

Parker, Cage i Lukas szli chodnikiem oświetlonym przyćmionym światłem. Zmierzali do Archiwum Map Topograficznych znajdującego się sześć przecznic od biur Centrali.

Waszyngton to na pewno miasto posiadające pewien urok oraz kilka perełek architektury. Ale w zimowym półmroku jawił się raczej jako ponure miejsce. Nawet świąteczne dekoracje nie ożywiały szarych ulic. Parker Kin-caid spojrział w górę. Niebo zasnuwały chmury. Przypomniał sobie prognozę pogody. Zapowiadali opady śniegu. Dzieci chciały jutro pojeździć na sankach.

___ 111 ___

_ iii _

Zgodnie z obietnicą wytną z Robbym krzewy w ogródku, jak mu obiecał, i pojedą w góry Massanutten. Wezmą sanki i termosy z gorącą czekoladą.

Rozmyślania przerwała mu Lukas: — Dlaczego zająłeś' się badaniem dokumentów?

— Thomas Jefferson zdecydował o tym — odparł Parker.

— W jaki sposób?

— Zamierzałem zostać historykiem. Chciałem się specjalizować w historii Stanów Zjednoczonych, ze szczególnym uwzględnieniem okresu prezydentury Jeffersona. Dlatego poszedłem na UVA.

— On projektował budynki tego uniwersytetu?

— Tylko stary kampus. Spędzałem dużo czasu w archiwach uniwersytetu i Bibliotece Kongresu.

— Główny hol nosi jego imię? — dociekała Lukas.

— Zgadza się. Kiedyś' byłem w bibliotece w Charlottesville i studiowałem list, który napisał do swojej córki Marthy. Pisał w nim o niewolnictwie. Jefferson miał niewolników, ale domagał się zniesienia niewolnictwa. W

tym liście, pisany tuż przed jego śmiercią, opowiadał się twardo za utrzymaniem niewolnictwa i odwoływał

swoje wcześniejsze opinie na temat odesłania Murzynów do Afryki. Utrzymywał, że

niewolnictwo ma podstawowe znaczenie dla gospodarki kraju. Wydawało mi się dziwne, że pisze o tak poważnych problemach do swojej córki. Zwykle w korespondencji z nią zajmował się sprawami rodzinnymi. Zacząłem więc przyglądać się listowi. Nie spodobało mi się pismo. Porównałem list z innymi dokumentami pisanymi przez Jeffersona.

— Był fałszywy?

- Tak. Zaniósłem go do specjalisty. Wywołało to dużo zamieszania. Ktoś podrzucił ten list do archiwum.

— Wiadomo kto?

- Niestety, nie. List pisany był w latach sześćdziesiątych. Można było to określić na podstawie absorpcji atramentu przez papier. Archiwiści sądzą, że został napisany przez jakiegoś konserwatystę z Południa. Chciał w ten sposób wytrącić z rąk obrońców swobód obywatelskich jeden z argumentów. W każdym razie to mnie wciągnęło.

Parker przedstawił Lukas cały swój życiorys. Posiadał tytuł magistra uzyskany na Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona oraz dyplom uprawniający go do badania dokumentów sądowych. Był członkiem towarzystw krajowych i zagranicznych.

— Pracowałem krótko jako „wolny strzelec”. Potem dowiedziałem się, że FBI poszukuje specjalistów zajmujących się badaniem dokumentów. Trafiłem do Quantico i tak to się potoczyło.

— Dlaczego zająłeś się Jeffersonem? — spytała Lukas. Parker nie zastanawiał się długo. — Był bohaterem.

— Mało jest takich ludzi dzisiaj — powiedział Cage.

— Ależ nie, ludzie teraz są tacy sami jak kiedyś — zaprzeczył Parker. — Nigdy nie było zbyt wielu bohaterów, ale Jefferson nim był.

— Ponieważ był człowiekiem renesansu? — spytała Lukas.

— Ze względu na cechy charakteru. Jego żona zmarła w czasie porodu. Przeżył załamanie psychiczne, ale szybko odzyskał wiarę w siebie. Wychowywał córki. Poświęcał tyle samo energii strojom dziewczynek, co projektowaniu systemów irygacyjnych dla farm lub interpretowaniu Konstytucji. Przeczytałem prawie wszystkie jego listy. Nie było wyzwania, którego by nie podjął.

Lukas przystanęła przed szybą wystawową. Jej wzrok zatrzymał się na eleganckiej czarnej sukni. Patrzyła na nią jak na list szantażysty: nie podziwiała, lecz badała wzrokiem.

Parkera zdumiało, że zainteresowała ją coś takiego.

— Margaret sama sobie szyje ubrania — powiedział Cage.

— Cage... — wtrąciła, skupiając się na czymś innym.

— Czy znasz kogoś, kto to robi? Nie, Parker nie znał.

Po chwili Lukas odwróciła się i poszli dalej aleją Pensylwania. Przed nimi wznosił się majestatyczny Kapitol.

— Czy rzeczywiście odrzuciłeś propozycję zostania szefem Wydziału Specjalnego? — spytała wtedy Lukas.

— Tak.

Roześmiała się z niedowierzaniem.

Parker przypomniał sobie dzień, w którym Cage i zastępca dyrektora przyszedli do jego gabinetu i zapytali, czy nie chciałby zostać szefem Wydziału Specjalnego w oddziale FBI. „Jesteś dobry w analizie dokumentów, będziesz też dobry w chwytności przestępców”.

Agent lub asystent prokuratora mógł przyjść do niego i zadać proste pytanie dotyczące dokumentu.

Czy jest fałszywy? Czy istnieje związek między podejrzanym a miejscem przestępstwa? Parker, siedząc w swoim pełnym drzewek bonsai biurze, egzaminowałby nieszczęsnego urzędnika, który przyszedł zapytać tylko o szczegóły techniczne dotyczące dokumentu. Parkerowi to nie wystarczało.

----- 113 -----

Gdzie został znaleziony list? Dobrze, ale w której szufladzie? Czy szantażysta miał żonę? Gdzie on mieszka?

Czy miał psa? W jakich okolicznościach został aresztowany?

Odpowiedzi pociągały za sobą kolejne pytania. Parker mniej zajmował się charakterem pisma, a bardziej logiczną dedukcją prowadzącą do odkrycia kryjówki szantażysty. Mylił się bardzo rzadko.

Jednak odrzucił propozycje Cage'a i zastępcy dyrektora. Szef Wydziału Specjalnego całe dni spędza w pracy, a Parker chciał, ze względu na dzieci, jak najwięcej czasu przebywać w domu.

Nie miał zamiaru opowiadać o tym Lukas.

Zastanawiał się tylko, czy będzie go dalej wypytywać. Jednak nie. Wyjęła swój telefon i wystukała numer.

Parker chciał zapytać o archiwum. — Co...

— Cicho — nagle wyszeptała. — Idziemy i nie odwracajcie się. Zauważył, że Lukas markuje rozmowę przez telefon.

—• Też go widziałeś? Ja zauważyłem go jakieś' dwadzieścia metrów wcześniej — powiedział Cage.

- Trzydzieści. Chyba nie ma broni. Jest niespokojny. Porusza się w sposób nieskoordynowany.

Parker zrozumiał, dlaczego Lukas zatrzymała się przed sklepem. W szybie obserwowała idącego za nimi mężczyznę. On też go zauważył. Mężczyzna szedł ulicą około 15 metrów za nimi.

Parker dopiero teraz spostrzegł, że Cage i Lukas są uzbrojeni. W rękach trzymali czarne pistolety. Nawet nie widział, kiedy je wyciągnęli. Na celownikach ś'wieciły trzy zielone punkty. Gdy pracował w FBI, jego służbową bronią był rewolwer. Nie cierpiał obowiązku jej noszenia. Myśl, że ma naładowaną broń, gdy w pobliżu są jego dzieci, bardzo go denerwowała.

Lukas szeptała coś do Cage'a.

— Zachowuj się naturalnie — zwróciła się do Parkera.

— Sądzisz, że to Digger? — zapytał.

— Być może — odparła.

— Jaki mamy plan? — wyszeptał Cage.

— Schwytać go — odpowiedziała spokojnie.

Boże! — pomyślał Parker. Digger jest za nimi! Ma przy sobie pistolet maszynowy. Pewnie dowiedział się w jakiś" sposób, że to my kierujemy operacją. W teatrze prawie go mieliśmy. Może jego wspólnik kazał mu sprzątnąć agentów, gdy będą razem.

- Cage, obstawiasz ulicę — powiedziała Lukas. — Kincaid, obserwujesz, na wypadek, gdyby było ich więcej.

----- 114 -----

— Ja...

— Pst.

— Na trzy. Raz... dwa.

— Aleja...

- Trzy.

Szybko się rozdzielili. Cage skręcił w ulicę i obserwował samochody. Lukas gwałtownie się odwróciła i zaczęła biec w kierunku idącego za nimi mężczyzny.

— FBI! — krzyknęła. — Stój, ręce na kark.

Parker obserwował aleję i zastanawiał się, co właściwie powinien zrobić, gdy ktoś się pojawi. Wyjął telefon komórkowy, wystukał numer policji i położył palec na przycisku „Połączenie”. Jedyne to przyszło mu do głowy.

Obejrzał się za siebie. Zobaczył, że mężczyzna zatrzymał się, ale po chwili odwrócił się i zaczął uciekać środkiem alei.

- Stój!

Lukas biegła chodnikiem. Mężczyzna skręcił w prawo, lawirując między samochodami. Usiłowała przebiec przez ulicę, ale skręcający z przecznicy samochód przeciął jej drogę. W ostatniej chwili zdążyła uskoczyć na chodnik.

Mężczyźnie udało się zbiec. Parker zobaczył, że Lukas wyjęła telefon. Po chwili nadjechały trzy nieoznakowane wozy ze świecącymi kogutami. Lukas rozmawiała krótko z kierowcą jednego z nich i samochody odjechały.

Podbiegła do Parkera. Cage przyłączył się do nich. Lukas była poirytowana. Uniosła ręce.

Cage wzruszył ramionami. — Widziałeś jego twarz?

— Nie — odpowiedział Parker.

— Ja też nie — zawtórowała Lukas. Spojrzała na ręce Parkera. — Gdzie masz broń?

— Co?

— Miałaś zabezpieczać aleję. Facet uciekał, a ty nie wyciągnęłaś nawet broni.

— Nie mam przy sobie żadnej broni. Właśnie to chciałem ci powiedzieć.

— Jesteś nieuzbrojony? — nie wierzyła własnym uszom.

— Jestem cywilem — odparł. — Dlaczego miałbym nosić broń? Spojrzała na niego pogardliwie.

— Powinien mieć broń — powiedział Cage.

Lukas schyliła się i podciągnęła nogawkę dzinsów. Z kabury nad kostką wyjęła mały pistolet i podała go Parkerowi. Pokręcił głową. — Nie chcę.

— Weź — naciskała.

_____ 11 <; _____

~~ 11 _J

Parker przyglądał się broni w jej ręce. — Źle się czuje z bronią. Zajmowałem się dokumentami, nie byłem agentem operacyjnym. Poza tym miałem rewolwer, a nie pistolet. Ostatni raz strzelałem na strzelnicy w Quantico sześć lub siedem lat temu.

— To nic prostszego. Wystarczy położyć palec na spuście i pociągnąć — rozzłościła się. — Bezpieczeństwo jest najważniejsze. Najpierw oddajesz dwa szybkie strzały, potem jeden. Celuj dokładnie.

Parker nie mógł pojąć, dlaczego jest taka wściekła.

Westchnęła głęboko, z jej ust wydobył się strumień pary. Nic nie powiedziała. Nadal trzymała wyciągniętą z pistoletem rękę.

Parker uznał, że jego upór doprowadzi do kłótni. Wziął więc pistolet i schował go do kieszeni. W milczeniu odwróciła się i ruszyli w kierunku archiwum. Cage spojrzał na Parkera podejrzliwie, wzruszył ramionami i wyjął

swój telefon.

Parkerowi wydawało się, że pistolet waży znacznie więcej niż 350 gramów. Taka była jego rzeczywista masa.

Nie czuł się komfortowo z takim nabytkiem w kieszeni. Zastanawiał się, dlaczego. Po chwili zrozumiał. Wcale nie z powodu Diggera, który być może przed momentem szedł za nimi, ani Boatmana i wydarzeń sprzed czterech lat.

Broń posiadała dla niego tajemniczą moc, taką jak magiczny pierścień w książkach Tolkiena. Moc ta coraz bardziej odsuwała go od dzieci.

Digger stoi w alei.

Jest spokojny. Rozgląda się dookoła.

W pobliżu nie ma policjantów ani agentów. Nie ma świadków. Nikt go nie schwyta i nie wyśle z powrotem do Connecticut. Lubi co prawda tamtejsze lasy, ale nienawidzi okratowanych pokoi, w których musi siedzieć godzinami, nic nie robiąc. Ludzie jedzą zupę i przełączają z reklam, z występującymi w nich kowbojami i psami, na sport.

Kiedyś Pamela powiedziała do niego: — Jesteś gruby. Utyłeś. Dlaczego nie biegasz? Kup sobie buty... klik...

takie do biegania, Nike. Idź do centrum handlowego. Kup takie buty.

Diggerowi wydaje się, że widzi Pamelę. Mruży oczy. Nie, to tylko ściana.

Czy przysięgasz miłość, szacunek... klik... wierność i posłuszeństwo?

Pewnego jesienno dnia biegał razem z Pamelą. W lesie pełno było czerwonych i żółtych liści. Usiłował

dotrzymać jej kroku, był cały spocony, krew pulsująca w przestrelonej głowie sprawiała mu nieznośny ból.

Pamela przyspieszyła i Digger pozostał z tyłu. Do domu wróciła spacerkiem.

— 116 —

Diggera niepokoi to, co zaszło w teatrze. Dlaczego było tak dużo policjantów i agentów. Martwi się, że mężczyzna, który mówi mu o wszystkim, będzie niezadowolony — zabił za mało ludzi.

W oddali słychać syreny. Dużo syren.

Digger zwalnia. Na jego ramieniu lekko kołysze się torba z pistoletem. Pistolet znów waży pięć kilogramów. Po tym jak rozbił... klik... żyrandol w teatrze, był znacznie lżejszy. Ponownie załadował magazynek.

Zauważa jakieś zamieszanie. Zatrzymuje się. Widzi czarnego, chudego chłopca. Ma około dziesięciu lat.

Chłopiec rozmawia z kimś, kogo Digger nie może zobaczyć.

Digger słyszy głos Pameli: „Mieć... mieć... mieć dzieci z tobą?”

Gdybyśmy mieli dziecko, a nawet troje Wiesz, że kochałbym cię mocniej Słowa piosenki ulatują mu z pamięci, ponieważ słyszy odgłos pękającej torby. Pistolet i tłumik upadają na chodnik. Schyla się po pistolet, cały czas trzymając wzrok w górze.

Hmmm.

To nie jest zabawne.

Chłopiec i starszy mężczyzna idą w kierunku Diggera. Starszy mężczyzna trzyma chłopca za ramię. Nos chłopca krwawi.

Obaj patrzą na Diggera. Chłopiec chce się uwolnić. Odpycha ściskając go rękę. Mężczyzna ponownie łapie go za ramię.

Zatrzymują się. Mężczyzna patrzy na Uzi. Uśmiecha się cierpko. Mówi:

— To nie moja sprawa. Już stąd znikamy.

— Puść mnie—jęczy chłopiec.

— Zamknij się. — Mężczyzna wymierza mu cios pięścią. Chłopiec kuli się.

Digger strzela dwa razy w pierś mężczyzny, który upada. Chłopiec odskakuje na dźwięk strzałów.

Tłumik jest ciągle na ziemi.

Digger kieruje lufę pistoletu w stronę chłopca, który gapi się na ciało zabitego.

— Jeżeli ktoś patrzy ci na twarz... Digger kładzie palec na spuście.

Mieć... mieć... mieć z tobą dzieci? Te słowa brzęczą mu w czaszce. Chłopiec wciąż patrzy na ciało mężczyzny.

Digger chce nacisnąć spust. Nagle opuszcza lufę. Chłopiec odwraca się i patrzy na Diggera. Szepcze:

— Sprzątnąłeś go. Jak nigdy nic. Sprzątnąłeś go.

----- 117 -----

Chłopiec patrzy w twarz Diggera z odległości trzech metrów.

Wracają słowa mężczyzny, który mówi mu o wszystkim. „Zastrzel go. Widział twoją twarz. Zastrzel go, zastrzelgo, zastrzelgozastrzelgo...”

I temu podobne.

Digger mruczy. — Hmmm.

Schyla się i zbiera łuski, podnosi tłumik. Wkłada je do podartej torby razem z pistoletem. Idzie aleją, zostawiając chłopca stojącego między stertą śmieci a zwłokami.

Wróc do hotelu i... klik... wróc do hotelu i czekaj.

Zje trochę zupy i będzie czekał. Będzie czekał na informacje od mężczyzny. Sprawdzi, czy polecił mu zakończyć strzelanie.

Kiedy słyszę, jak otwierasz drzwi... Zupa na pewno będzie wyśmienita. Wiem, że kocham cię coraz mocniej.

Kiedyś przyrzędził zupę dla Pameli. Było to... klik... w dzień Bożego Narodzenia. Taki jak dzisiaj — chłodny.

Kolorowe światła.

Mam dla ciebie złoty krzyżyk. A to pudełko jest dla mnie?... Prezent?! Płaszcz! Dziękuję, dziękuję, dziękuję!

Digger stoi na skrzyżowaniu. Czeką na zielone światło.

Nagle czuje, że ktoś dotyka jego ręki.

Digger jest spokojny. Nigdy się nie denerwuje.

Ścisnąc pistolet w rozdartej torbie. Odwraca się powoli.

Obok niego stoi chłopiec i trzyma go za lewą rękę. Patrzy przed siebie.

Kocham cię, kocham cię, kocham cię...

Zmieniają się światła. Digger nie rusza się.

Coraz mocniej...

— Możemy przechodzić — mówi chłopiec, patrząc na szczenięta na rozdartej torbie.

Digger widzi, że świeci się zielona sylwetka na światłach.

Jest szczęśliwa.

Cokolwiek to znaczy.

Trzymając się za ręce, przechodzą przez ulicę.

118

Archiwum Map Topograficznych i Geologicznych Dystrykt-1 "7 1 K tu Kolumbii ma swoją siedzibę w starym, zniszczonym budynku w pobliżu ulic: Siódmej i E.

Nieprzypadkowo znajduje się w pobliżu mało znanego budynku służb specjalnych i biura operacyjnego należącego do Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

W żadnym przewodniku dla turystów nie ma najmniejszej wzmianki o archiwum. Ci, którzy pomimo to chcą się tu dostać, są grzecznie odsyłani przez trzech uzbrojonych strażników pilnujących wejścia: „Archiwum nie jest udostępnione publiczności. Nie ma tu żadnych wystaw. Dziękujemy za zainteresowanie. Życzymy miłego pobytu w Waszyngtonie. Do widzenia". Cage, Parker i rozmawiająca przez telefon Lukas czekali w holu. Lukas skończyła rozmowę. — Nic. Zniknął.

— Czy ktoś go widział?

— Kilku kierowców zauważyło biegnącego mężczyznę w ciemnym ubraniu. Chyba biały, chyba średniej budowy ciała. Ale nikt nie jest w stanie powiedzieć nic pewnego. Jezu!

Cage rozejrzał się wokół. — Kiedy nas wpuszczą? Nie możemy stać tu wiecznie.

Tym razem Lukas wzruszyła ramionami. Sylwester jest dniem wydawania pieniędzy i robienia debetów.

Podbiegł do nich Geller. Przywitał się skinieniem głowy. Na skanerze sprawdzono im odciski palców. Ich broń schowano do sejfu. Następnie zostali skierowani do windy. Parker myślał, że pojedą do góry, ale Lukas nacisnę-

ła przycisk B7 i zjechali w dół.

Weszli do pomieszczeń archiwum. Parkerowi wydawało się, że powinny być tu stare, zniszczone książki i mapy.

Zobaczył natomiast ogromny pokój zastawiony nowoczesnymi biurkami, telefonami, mikrofonami i dwudziesto-czterocalowymi monitorami komputerów. Nawet dzisiaj, w ostatnim dniu roku, przed ekranami wyświetlającymi mapy siedziało ponad dwadzieścia osób. Niektórzy pisali na klawiaturze, inni mówili coś do stojących przed nimi mikrofonów.

Gdzie ja, u diabła, jestem? Szybko ocenił, że aby skorzystać z zasobów archiwum, nie wystarczy jeden cywilny pracownik, który otworzy drzwi wejściowe.

- Co to jest? — zapytał Gellera.

----- 119 -----

Młody agent spojrzał pytająco na Cage'a, który ruchem głowy pozwolił udzielić informacji Parkerowi.

— Tu znajduje się baza danych zawierająca wszystkie informacje kartograficzne i topograficzne obejmujące Dystrykt i 256 kilometrów kwadratowych wokół niego. Biały Dom to Punkt Zero, chociaż oni nie lubią tego określenia. W przypadku klęsk żywiołowych, ataku terrorystycznego lub zagrożenia jądrowego tutaj decyduje się o miejscu posiedzenia rządu, drogach ewakuacji dla kongresmanów i senatorów. Tu ocenia się, które drogi są najbezpieczniejsze, ilu kongresmanów przeżyje i tym podobne. Wygląda to jak pokój operacyjny w

„Grach wojennych". Ciarki przechodzą po plecach.

— Co my tu robimy?

— Chcemy obejrzeć mapy — odparł Geller, okiem hakera lustrując wyposażenie archiwum. — To jest miejsce, gdzie można znaleźć dane dotyczące każdego zakątka Ziemi. „Musicie znać teren" —

tak mówił Lincoln Rhyme. — Geller z uwielbieniem patrzył na rząd komputerowych modułów dwumetrowej wysokości.

— Pozwolili nam skorzystać z archiwum pod warunkiem, że nie zabierzemy stąd żadnych odbitek ani wydruków — powiedziała Lukas.

— Będę o tym pamiętał — odparł Geller.

— Skąd tyle wiesz o tym archiwum? —• Parker spytał Gellera.

— Współpracuję z nimi.

— Nigdy nie słyszałeś' o tym miejscu, Parker? — spytała Lukas.

— Zostawmy to — odparł Parker, obserwując dwóch strażników uzbrojonych w pistolety maszynowe.

— Okay, jakie substancje znalazł Rhyme na liście? — zapytała. Parker zerknął w notatki. — Granit, siarka, sadza, popiół, glina i pył ceglany.

Tobe Geller usiadł przy monitorze, ustawił go i wstukał coś na klawiaturze. Po chwili na ekranie pojawił się plan Waszyngtonu. Obraz sprawiał wrażenie trójwymiarowego, miał wysoką rozdzielczość. Parkerowi przemknęła przez głowę myśl, że Robby i Stephanie na pewno uwielbialiby grać w „Mario Brothers” na takim monitorze.

— Od czego zaczynamy? — Lukas skierowała to pytanie do Parkera. - Jedna wskazówka na początek. Taka jest zasada rozwiązywania łamigłówek.

Trzy jastrzębie porywały kurczaki z farmy...

— Po pierwsze: granit, pył ceglany i glina wskazują na miejsca rozbiórek lub budowy... — Zwrócił się do Gellera: — Czy będzie to w bazie danych?

----- 120 -----

A

— Nie, ale mogę poszukać kogoś, kto zajmuje się wydawaniem pozwoleń na budowę.

— Zrób to — polecił Parker.

Geller skorzystał z telefonu stacjonarnego. Żadna komórka nie odbiera sygnału tak głęboko pod ziemią. Poza tym ściany w pomieszczeniu prawdopodobnie były ekranowane, podobnie jak w innych instytucjach tego typu.

— Co dalej? — zastanawiał się Parker. — Siarka i sadza. Wskazuje to na dzielnicę przemysłową. Tobe, czy możesz znaleźć obraz zanieczyszczeń powietrza w mieście?

— Oczywiście. To są zasoby Agencji Ochrony Środowiska. Służą do określania skażenia w przypadku użycia broni chemicznej lub biologicznej — dodał wesołym głosem.

Kolejne klawisze.

W Waszyngtonie nie ma zbyt wielu zakładów przemysłowych — to przede wszystkim miasto urzędników.

Większość firm działających w stolicy zajmuje się magazynowaniem i dystrybucją. Tak samo w zespole miejskim. Na ekranie pojawiły się, zaznaczone na żółto, obszary największych zanieczyszczeń powietrza.

Większość z nich skupiała się w południowo-wschodniej części miasta.

— On musi być gdzieś tutaj — powiedziała Lukas. — Blisko jakich terenów przemysłowych znajdują się wille i budynki wielorodzinne?

Geller nie przestawał pisać na komputerze. Jednak większość terenów przemysłowych otoczona była wianuszkami budynków mieszkalnych.

— Ciągle za dużo możliwości •— powiedziała Lukas.

— Dodajmy kolejną wskazówkę: popiół pochodzący ze spalania odpadów organicznych, w szczególności zwierzęcych — powiedział Parker.

Geller przestał pisać. Lukas kręciła głową.

— Czy na tych obszarach znajdują się jakieś zakłady mięsne? — zapytała Lukas.

To było dobre pytanie — pomyślał Parker. Sam chciał takie zadać.

— Nie ma w wykazie — odparł Geller.

— Restauracje? — włączył się Cage.

— Jest ich za dużo — zauważył Parker.

— Gdzie może być spalane mięso lub jego odpady? — zastanawiała się Lukas.

Łamigłówka...

— Weterynarze — zastanawiał się Parker. — Czy oni spalają szczątki zwierzęce, pooperacyjne?

— Możliwe — powiedział Cage.

----- 121 -----

Geller napisał coś i spojrzał na ekran. — Dziesiątki weterynarzy w każdej części miasta.

Lukas uniosła wzrok i Parker zauważył, że była odmieniona. Minął jej gniew, chłód nie bił już od niej. Jej niebieskie oczy błyszczały teraz niczym brylanty. Odezwała się: — Może zanieczyszczenia powstały w czasie spalania zwłok?

— Krematorium! — wykrzyknął Parker. — Oczywiście! Polerowany granit może pochodzić z nagrobków.

Poszukajmy cmentarzy.

Cage wpatrywał się w mapę. — Arlington?

Cmentarz Narodowy zajmował ogromny obszar na prawym brzegu Poto-maku. W okolicy powinno być bardzo dużo pyłu granitowego.

- Ale tam nie ma żadnego przemysłu. Powietrze jest czyste — zaznaczył Parker.

— Tutaj — Lukas pokazała palcem. Paznokcie miała starannie spiłowane, ale nie pomalowane. — Gravesend.

Tobe Geller powiększył odpowiedni fragment mapy.

Gravesend...

Znajdował się w południowo-wschodniej dzielnicy miasta. Parker miał raczej mglistą wiedzę o tej okolicy. W

sąsiedztwie cmentarza pełno było fabryk, walących się domów, opuszczonych mieszkań. Cmentarz Pamięci został założony na początku XIX wieku. Początkowo grzebano tam niewolników.

Parker wskazał inny punkt na mapie. — Tu jest stacja metra. Szantażysta mógł nim dojechać do ratusza. Obok przechodzi też linia autobusowa.

Lukas zastanawiała się głośno. — Złapałam tam dużo przestępców. Na tym terenie prowadzi się dużo rozbiórek i budów. To anonimowe miejsce. Nikt nic nie wie o swoich sąsiadach. Wielu ludzi wynajmuje mieszkania —

łatwo się ukryć.

Młody technik siedzący obok nich odebrał telefon i przekazał słuchawkę Gellerowi. Agent słuchał informacji i po chwili na jego twarzy pojawił się entuzjastyczny uśmiech.

— Dobrze — rzekł do słuchawki. — Przekażcie to do laboratorium. — Odłożył słuchawkę. — Ktoś przekazał

kasetę wideo nagraną w czasie strzelaniny w teatrze.

— Kasetę z Diggerem? — ożywił się Cage.

— Jeszcze nie wiadomo. Obraz jest bardzo złej jakości. Dział techniczny zaraz mi ją przekaże.

Jedziecie do Gravesend?

— Tak — odpowiedział Parker. Spojrzał na zegarek. Dwie i pół godziny do następnego ataku.

- Załatwić MCP? — Geller zapytał Lukas.

----- 122 -----

— Tak. Numer jeden.

Parker przypomniał sobie. Skrót oznaczał ruchome stanowisko dowodzenia. W pojeździe znajdowały się najbardziej nowoczesne środki łączności i nadzoru. Był tam kilka razy, gdy badał dokumenty sądowe.

— Uruchomię cyfrową analizę filmu na kasecie — powiedział Geller. — Gdzie będziecie?

— Tutaj. — Lukas i Parker odpowiedzieli jednocześnie. Spojrzeli po sobie i stwierdzili, że pokazują ten sam opuszczony budynek, znajdujący się obok cementarza.

— Ciężko tam kogoś wypytać — stwierdził ironicznie Cage.

— Blisko tego miejsca znajdują się sklepy i restauracje — zauważył Parker.

Lukas spojrzała na niego i skinęła głową.

— Sprzedawcy i restauratorzy wiedzą najwięcej. Trzeba z nimi porozmawiać. Może uda się czegoś dowiedzieć... Tobe, weź ze sobą C.P. Ardella i Hardy'ego i przyjedźcie tym MCP.

— Czy Hardy naprawdę jest nam potrzebny? — zawahał się agent. Parker pomyślał o tym samym. Hardy był

miłym człowiekiem i dobrym

policjantem, ale teraz — w tym stanie psychicznym — mógł nawet doprowadzić do nieszczęśliwego wypadku.

— Jeżeli się go pozbędziemy, to Dystrykt przyśle nam innego policjanta. Hardy'ego możemy przynajmniej kontrolować. Sam zresztą nie protestuje zbyt przeciw odsuwaniu go od czynności operacyjnych.

- Rozgrywki polityczne — mruknął Cage.

Gdy Geller włożył kurtkę, odezwała się Lukas: — Jeżeli w Centrali będzie ten psycholog z Georgetown, przyślij go do Gravesend.

Geller ruszył do windy, gdzie, jak się spodziewał, został dokładnie przeszukany.

Lukas wlepiła wzrok w mapę Gravesend.

— Cholernie duży obszar.

— Mam jeszcze jeden pomysł — powiedział Parker. Powracał myślą do wniosków, które wyciągnął z analizy listu. — Mówiłem, że przypuszczalnie spędzał dużo czasu przy komputerze. Pamiętasz?

— Tak — odparła Lukas.

— Musimy mieć listę wszystkich użytkowników sieci komputerowych w Gravesend.

— Będą ich tysiące — zaprotestował Cage.

— Nie sądzę. To jest jedna z najbiedniejszych części miasta. Komputery są ostatnią rzeczą, na które ludzie wydają tam pieniądze — wtrąciła Lukas.

— Okay. Polecę działowi technicznemu, żeby sporządził listę — zgodził się Cage.

— Mimo wszystko adresów będzie całe mnóstwo. To duży teren — wyraziła swoje wątpliwości

Lukas.

— Mam jeszcze kilka innych pomysłów — powiedział Parker. Podszedł do windy. On też został dokładnie przeszukany przez ponurych strażników, jak złodziej sklepowy.

W swoim gabinecie Kennedy spacerował w kółko, wokół ciemnozielonego dywanu.

Jefferies kończył rozmowę przez telefon.

— Slade intensywnie pracuje, ale musi to trochę potrwać.

Kennedy wskazał na radio. — I tak zdążyli już powiedzieć, że siedzę na tyłku i nic nie robię, w czasie gdy miasto terroryzowane jest przez szaleńca, i że nie zwiększyłem zatrudnienia w policji, aby mieć pieniądze na Projekt 2000. Do diabła, media robią ze mnie kozła ofiarnego — obciążają za tragedię.

Kennedy był w trzech szpitalach, by odwiedzić ofiary ataków Diggera. Nikt jakoś nie podziękował mu za troskę.

Wszyscy za to pytali go, dlaczego robi tak mało, żeby złapać mordercę.

— Czemu nie ma pana w Centrali FBI? — zapytała jedna z rannych kobiet.

Bo ci skurwysyni mnie nie zaprosili — pomyślał ze złością Kennedy.

— Nie wtrącam się. Pozwalam, aby fachowcy wykonywali swoje zadanie — odpowiedział.

— Ale oni nic nie robią. Tak samo jak i pan.

Przy pożegnaniu nie podał jej ręki. Miała przestrelone prawe ramię. Groziła jej amputacja.

— Slade zjawi się tu z jakąś wiadomością — odezwał się Jefferies.

— Za mało, za późno. Ten człowiek to karierowicz — parsknął Kennedy. — Nie ufam takim ludziom. — Po chwili uświadomił sobie, co powiedział, i wybuchnął śmiechem. Jefferies także. —

Wendy, czy ja przypadkiem nie popadam w szaleństwo?

— Owszem. Moim obowiązkiem jest powiedzieć ci, że zaczynasz zdradzać objawy paranoi.

Burmistrz usiadł na swoim krześle. Spojrzał na kalendarz stojący na biurku. Gdyby nie Digger, Kennedy byłby dzisiaj na czterech przyjęciach: w ambasadzie francuskiej, na uniwersytecie w Georgetown — uczelni, którą kończył, w siedzibie związków zawodowych oraz na przyjęciu wydawanym

----- 124 -----

przez Afroamerykański Związek Nauczycieli. To ostatnie było dla niego najważniejsze, ponieważ oni mocno popierali jego Projekt 2000. Z nimi miał przywitać Nowy Rok. Przyjęcie odbywało się w centrum południowo-zachodniej dzielnicy miasta. On i Claire powinni tam być. Przez tego szaleńca nie może pójść na żadne przyjęcie.

Rozzłościł się i chwycił za telefon.

— Co zamierzasz zrobić? — zapytał zaniepokojony Jefferies.

— Coś. Nie mogę siedzieć bezczynnie. — Zaczął wystukiwać numer.

— Do kogo dzwonicz? — Jefferies niepokoił się coraz bardziej.

Nie odpowiedział, bo właśnie uzyskał połączenie z Centralą FBI. Usłyszał męski głos.

— Mówi burmistrz Jerry Kennedy. Z kim rozmawiam?

Zapadła cisza. Kennedy był do tego przyzwyczajony. Zwykle tak było, gdy dzwonił do kogoś i przedstawiał się przez telefon.

— Agent specjalny C.P. Ardell. W czym mogę pomóc?

— Czy agentka Lukas nadal prowadzi sprawę?

— Tak.

— Mogę z nią rozmawiać?

— Nie ma jej tutaj. Mogę pana połączyć z jej telefonem komórkowym.

— Nie. Chciałem rozmawiać z oficerem łącznikowym z policji Dystryktu.

— Detektyw Hardy. Jest tutaj. Mam go przywołać? - Tak.

— Halo... — Kennedy usłyszał po chwili niepewny, smutny głos młodego człowieka.

— Hardy?

— Len Hardy.

— Mówi burmistrz.

— Och. Dzień dobry. — W głosie Hardy'ego wyczuł przezorność.

— Czy może mi pan przedstawić postępy w śledztwie? Jak dotąd nie usłyszałem ani słowa od agentów: Lukas i Cage'a. Czy pan wie, gdzie teraz uderzy Digger?

Chwila przerwy. — Nie, panie burmistrzu.

Przerwa wydała się Kennedy'emu zbyt długa. Kłamał. To jasne.

— Nic pan nie wie?

— Nie jestem najważniejszą osobą w zespole prowadzącym to śledztwo.

— To wiem, ale jest pan łącznikiem między FBI a policją, prawda?

----- 125 -----

— Moim obowiązkiem jest pisanie raportu na temat operacji. Agentka Lukas powiedziała, że sama będzie kontaktowała się z szefem policji Williamsem.

- Raportu? To jakiś' idiotyzm. Żebyśmy się dobrze zrozumieli. Ja mam wiele zaufania do FBI. Wiem, że robią wszystko, żeby złapać mordercę. Czy oni są bliscy osiągnięcia celu?

— Mają kilka wskazówek. Prawdopodobnie wiedzą, gdzie była kryjówka szantażysty. Tego, który zginął w wypadku — mówił zakłopotany.

- Gdzie?

Kolejna przerwa. Kennedy wyobraził sobie dziecięcą twarz Hardy'ego, znajdującego się między młotem a kowadłem.

— Przykro mi, ale nie mogę nikomu udzielać żadnych informacji na temat szczegółów operacji.

— To „moje” miasto zostało zaatakowane! Zginęli „moi” ludzie! Domagam się odpowiedzi.

Zapadła długa cisza. Kennedy spojrzał na Jeffersona, który kręcił głową. Burmistrz stłumił w sobie złość. Starał

się mówić spokojnie:

— Powiem panu, o czym myślę. Celem przestępców nie jest zabijanie, ale zdobycie pieniędzy.

— Sądzę, że to prawda.

— Gdybym miał możliwość porozmawiania z mordercą w jego kryjówce, odwiódłbym go od kolejnego ataku o ósmej. Chcę z nim negocjować, przekonam go.

Kennedy naprawdę wierzył w to, co mówił. Jego nazwisko, tak głośne od lat sześćdziesiątych, robiło wrażenie.

Przekonał kilkudziesięciu najbardziej upartych prezesów firm do finansowania Projektu 2000. Namówił

nieszczęsnego Garry'ego Mossa do ujawnienia nazwisk osób zamieszanych w aferę łapówkarską w Wydziale Oświaty.

Dwadzieścia minut rozmowy powinno wystarczyć. Może nawet stać z lufą wycelowaną w siebie.

Przemyślał już kilka sposobów przekonania zabójcy.

— Z opisu przestępcy sędzę, że nie jest to człowiek, z którym można negocjować — usłyszał.

- Detektywie, proszę pozwolić mi mieć swoje zdanie. Gdzie jest ta kryjówka?

— Ja...

W słuchawce było słycać tylko szum. Hardy zamilkł.

Kennedy zniżył głos: — Pan nie ma wobec nich żadnych zobowiązań. Wiem, co oni myślą o pana obecności.

Pan jest policjantem, oni — agentami FBI.

126

— To jest bardziej skomplikowane. Agentka Lukas zrobiła mnie członkiem zespołu.

— Rzeczywiście?

— No... prawie.

— Czy nie czuje się pan jak piąte koło u wozu? Dlatego pytam, bo znam to uczucie. Gdyby Lanier... Zna pan Laniera?

— Tak.

- Gdyby Lanier postawił na swoim, jedynym moim zajęciem dzisiaj byłoby oglądanie pokazu sztucznych ogni na Promenadzie. No dobrze, teraz słucham, gdzie jest ta przeklęta kryjówka?

Kennedy zapatrzył się na Jefferiesa. Taak... To byłoby wspaniałe. Zjawię się tam z tłumem reporterów. Będę rozmawiać z przestępcą, który wyjdzie z kryjówki z podniesionymi rękami. Albo agenci otoczą go i zastrzelą. W

każdym razie zachowam wiarygodność. Nie będę dłużej burmistrzem, który ogląda upadek miasta w reportażach CNN.

Usłyszał jakieś' głosy w słuchawce telefonu. Odezwał się Hardy: — Bardzo mi przykro, panie burmistrzu, ale muszę iść. Mam nadzieję, że agentka Lukas skontaktuje się z panem.

— Detektywie...

Cisza, która zapadła wymownie świadczyła, że po drugiej stronie telefonu nikogo nie było.

Gravesend.

Samochód wiozący Parkera i Cage'a trzął się na wyboistej jezdni. Zatrzymał się przy krawężniku. Przed nimi piętrzyła się sterta śmieci i kamieni. Wypalony wrak toyoty znajdował się, jak na ironię, obok hydrantu.

Wysiedli z samochodu. Lukas przyjechała swoim fordem eksplorere. Czekala już na nich przy placu przeznaczonym na budowę. Ręce trzymała na swoich zgrabnych biodrach.

W powietrzu unosił się intensywny zapach kału, moczu, palącego się drewna i śmieci.

Rodzice Parkera po odejściu ojca — nauczyciela historii — na emeryturę, dużo podróżowali, trafili kiedyś do slumsów w Ankarze. Parker ciągle jeszcze bardzo dobrze pamięta list, który dostał wtedy od matki. Bardzo lubiła pisać listy. Była to ostatnia korespondencja przed jej śmiercią. List ten wisi w gabinecie Parkera obok ściany z pisaniną dzieci.

Ludzie tutaj znajdują się w skrajnej nędzy i to właśnie ona, w większym stopniu niż różnice rasowe, kulturowe, religijne i polityczne, zamienia ich serca w kamienie.

----- 127 -----

Przyglądając się zdewastowanej ulicy, przypomniał sobie słowa matki.

Dwóch czarnych nastolatków, opierających się o ścianę pokrytą graffiti przedstawiającym barwy i symbole gangów, przyglądało się przybyłym agentom. Odeszli z wyrazem niepewności i przekory

na twarzach. Parker był zaniepokojony. Nie bał się niebezpieczeństwa, ale przerażała go wielkość terenu, który musieli przeczesać.

Było to około ośmiu kilometrów kwadratowych slumsów, kamienic, małych fabryk, pustych placów. Czy w ogóle możliwe jest znalezienie kryjówki szantażysty w tej dżungli miejskiej?

To był ten rodzaj łamigłówki, której Parker nie potrafił rozwiązać.

Trzy jastrzębie...

Za nimi unosił się dym. Pochodził ze spalanych przez włóczęgów śmieci i drewna. Jako piecyki służyły im beczki po benzynie. Zauważył więcej wraków samochodów. Po drugiej stronie ulicy znajdował się zdewastowany budynek. W jednym z okien, z wybitymi szybami, wisiał czerwony ręcznik. W pokoju świeciła się żarówka. Była to jedyna oznaka wskazująca, że dom jest zamieszkały.

Za stacją metra, ponad wysokim, sypiącym się, czerwonym murem, wznosił się komin krematorium. Nie było nad nim dymu, tylko gorące wibrujące powietrze. Widocznie cały czas utrzymują ogień w piecach krematoryj-nych. Parkerowi przeszedł dreszcz po plecach. Widok przypominał mu stare obrazy przedstawiające...

— Piekło — mruknęła Lukas. — Wygląda jak w piekle. Parker odwrócił się do niej. Spojrzała mu w oczy. Cage wzruszył tylko ramionami.

Przyjechał Jeny Baker. Ubrany był w luźną kurtkę. Parker zauważył, że jak przystało na agenta operacyjnego, miał na sobie kamizelkę kuloodporną i kowbojskie buty,

Cage wręczył mu plik przetworzonych komputerowo zdjęć szantażysty. — Wykorzystamy je w czasie rozmów z ludźmi. Pod spodem znajduje się jedyny rysopis Diggera.

— Niewiele.

Wzruszenie ramion powtórzyło się.

Nadjechały kolejne samochody FBI oraz wozy policyjne. W sumie około dwudziestu pięciu ludzi, z czego połowę stanowili policjanci. Baker ruszył w ich kierunku i po chwili skupili się wokół samochodu Lukas. Rozdał

im odbitki zdjęcia szantażysty.

— Chcecie im coś powiedzieć? — Lukas zapytała Parkera.

— Oczywiście.

— Sytuację przedstawi wam pan Jefferson — oznajmiła Lukas.

----- 128 -----

Dopiero po kilku sekundach skojarzył, że użyła jego pseudonimu. Uznał, iż wybór takiego nazwiska nie był

dobrym pomysłem. Zaczął mówić:

— Mężczyzna na zdjęciu jest odpowiedzialny za strzelaninę na stacji metra i w teatrze. Sądzymy, że w Gravesend miał kryjówkę. On nie żyje, ale jego współnik — ten, który strzelał — ciągle jest na wolności.

Musimy znaleźć tę kryjówkę.

— Czy znane jest jego nazwisko? — zapytał jeden z policjantów z Dystryktu.

— Szantażysta w dalszym ciągu pozostaje NN — odpowiedział Parker, unosząc do góry zdjęcie. — A co do mordercy, znamy tylko jego pseudonim: Digger. Nic więcej. Jego bardzo przybliżony rysopis znajduje się pod zdjęciem. Trzeba przeprowadzać rozmowy z ludźmi. Kryjówka znajduje się prawdopodobnie w okolicach cementarza, w pobliżu miejsca budowy lub rozbiórki. Szantażysta kupował niedawno koperty i papier. Takie jak te. — Pokazał opakowany w folię list z żądaniem

okupu i kopertę. — Papier jest wyblakły. Przypuszczalnie leżał

w pomieszczeniu sklepowym, w którym okna wychodziły na południe. Trzeba więc sprawdzić wszystkie sklepy, kioski, w których sprzedawany jest papier listowy. Szantażysta kupił też czarne pióro kulkowe firmy AWI.

Kosztowało trzydzieści dziewięć lub czterdzieści dziewięć centów.

Nic więcej nie przychodziło mu do głowy. Spojrzał na Lukas. Wystąpiła przed front agentów. Przyjrzała im się uważnie.

— Jak powiedział agent Jefferson, szantażysta nie żyje, ale pozostał jeszcze morderca. Nie wiemy, czy obecnie przebywa w Gravesend i czy korzystał tu z kryjówki. Jednak każdy z was powinien zakładać, że zabójca jest kilka kroków za wami i w każdej chwili może strzelać. On nie ma żadnych skrupułów. Na pewno nie uwzględni faktu, że jesteście agentami. Możecie spodziewać się zasadzki. Chcę, abyście mieli wolne ręce, rozpięte kurtki lub płaszcze oraz kabury.

Przerwała na chwilę i ponownie zaczęła się przyglądać stojącym przed nią funkcjonariuszom. Czulo się, że ta srebrzysta blondynka miała wśród nich posłuch.

— O godzinie ósmej, czyli za dwie godziny, morderca ma zamiar znaleźć jakieś zatłoczone miejsce i opróżnić magazynek swojej broni. Nie chcę być zmuszona do patrzenia w oczy kogoś, kto właśnie stracił bliskich. Nie chcę mówić: bardzo mi przykro, ale nie byliśmy w stanie schwytać tej bestii. Morderstwa nie mogą się powtórzyć. Zrobię wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Wy mi w tym pomożecie.

Parker odczuł wagę słów Lukas, wypowiedzianych mocnym, pewnym głosem. Przypomniał sobie mowę Gubernatora z „Henryka V” Szekspira,

----- 129 -----

której Robby uczył się na pamięć. Było to w dzień po ich powrocie z Centrum Kennedy'ego.

— Skończyłam — powiedziała Lukas. — Czy są jakieś pytania?

— Jaką ma broń?

— Uzi z długim magazynkiem i tłumikiem. Więcej informacji nie mamy.

— Jak mamy postępować, gdy go znajdziemy?

— -Pytasz, czy strzelać do niego? Macie zielone światło. Całkowicie zielone. Cośjeszcze? —

Nikt nie podniósł

ręki. — Okay. Sytuacja jest krytyczna. Żadnych pogaduszek. Nie przyjmuję raportów, że nic nie znaleźliście. Je-

żeli zobaczycie osobę, która wyda się wam podejrzana, dzwonicie po pomoc, zabezpieczacie tyły i strzelacie. A teraz znajdźcie mi tę kryjówkę.

Słowa te wywołały w nim dziwne poruszenie. Po raz ostatni strzelał z broni wiele lat temu, ale teraz chętnie wymierzyłby broń w Diggera.

Lukas skierowała zespoły agentów i policjantów do tych części Grave-send, w których mieli przeprowadzać wywiady. Parker był zaskoczony jej doskonałą orientacją w nowym terenie. Niektórzy są urodzonymi policjantami.

Połowa agentów wyruszyła pieszo, pozostali wsiedli do samochodów. Na miejscu pozostali Cage, Lukas i Parker.

— Tobe jest w MCP. Jedzie do nas. Analizuje film wideo z teatru. Jedzie z nimi ten psycholog z Georgetown.

Większość lamp ulicznych nie działała. Część z nich została rozbita pociskami z pistoletów.

Mrok rozpraszały bladozielone iluminacje znajdujące się w kilku otwartych sklepach. Po przeciwnej stronie ulicy dwóch agentów z kimś rozmawiało. Cage rozejrzał się-wokół i spostrzegł dwóch młodych mężczyzn grzejących ręce nad beczką po paliwie.

— Pójdę z nimi pogadać — powiedział.

Podszedł do nich. Początkowo chcieli odejść, ale uznali, że byłoby to podejrzane. Wlepili wzrok w ogień i zamilkli. Lukas skierowała się do pizzerii.

— Porozmawiam ze sprzedawcą — powiedziała Parkerowi. — Poczekasz tutaj na Tobe'a i psychologa?

— Oczywiście.

Odeszła i zostawiła Parkera samego.

Robiło się coraz zimniej. Parker lubił ostre, chłodne powietrze. Przypominało mu jesienne dni, kiedy odprowadzał dzieci do szkoły, zabierając ze sobą termosy z gorącą czekoladą; zakupy na obiad w Dniu Dziękczynienia; wspólne wyszukiwanie odpowiednich dyń niezbędnych na Halloween. Jednak teraz czuł tylko przejmujące zimno. Marżyły mu uszy, nos, palce. Czuł ostry ból, jakby ktoś kroił go żyłką. Włożył ręce do kieszeni.

----- 130 -----

Skoro tylko odjechała większość samochodów, ulice ponownie się zaludniły. Dwie przecznice dalej pękaty mężczyzna w ciemnym płaszczu wyłonił się z baru i ruszył powoli chodnikiem. Po chwili zatrzymał się i wszedł

we wnękę przy budynku kasy. Aby się odlać — pomyślał Parker.

Wysoka kobieta — być może transwestyta — wyszła z alei, na której czekała na klientów.

Trzech młodych Murzynów z głośnym śmiechem otworzyło butelkę piwa i znikło w alei.

Parker odwrócił się i patrzył na drugą stronę ulicy.

Zwrócił uwagę na zamkniętą kasę oszczędności. Zauważył, że w środku, obok okienek kasowych, znajdował się kiosk z materiałami piśmiennymi. Być może tutaj szantażysta kupił papier i kopertę.

Podszedł do okna i zaczął wpatrywać się przez brudną szybę. Rękami osłonił się od jaskrawego światła bijącego od latarni, która, jak na złość, jeszcze działała. Wzrokiem szukał paczek z papierem. Zgrabiały mu ręce. W

stercie śmieci za nim buszował szczur.

To szaleństwo — pomyślał Kincaid. Co ja tutaj robię?

Rękawem kurtki zaczął starannie wycierać szybę.

— Być może go widziałem. Tak, być może.

"l "J £)E | Serce Margaret Lukas zabiło mocniej. Z nadzieją podała sprzedawcy zdjęcie szantażysty.

Pucułowaty Latynos w poplamionym keczupem fartuchu przez chwilę uważnie przyglądał się fotografii.

— Spokojnie — powiedziała. Proszę, dorzuciła w myślach.

— Być może... nie jestem pewny... Tutaj przewalają się tysiące ludzi.

— To bardzo ważne — naciskała.

Przypomniała sobie, że koroner znalazł wołowinę w żołądku szantażysty. W menu pizzerii nie było co prawda befsztyków, ale był to jedyny lokal w pobliżu stacji metra otwarty całą dobę. Szantażysta mógł tu wpaść w ciągu ostatnich kilku tygodni. Wyobraziła sobie, jak pisze tu list z żądaniem okupu. Siedzi przy jednym ze zniszczonych stolików, kartkę oświetla mała, matowa

żarówka. Przygląda się smutnym ludziom jedzącym maziste potrawy i myśli, o ile jest od nich inteligentniejszy, o ile bogatszy.

----- 131 -----

Uśmiechnęła się do swych myśli. Być może szantażysta był równie bystry i arogancki jak ona. I Kincaid.

Wszyscy troje byli w pewnym stopniu do siebie podobni.

Trzy jastrzębie na dachu. Jeden zginął, zostały dwa. Ty i ja, Parker.

Sprzedawca podniósł wzrok i spojrzał w jej niebieskie oczy. Natychmiast jednak spuścił głowę. Czuł się winny, że nie może pomóc. — Nie. Nie sądzę, żebym go widział. Jest mi bardzo przykro. Może zje pani pizzę z serem.

Dopiero co przygotowałem.

Odmówiła ruchem głowy. — Czy ktoś' jeszcze tu pracuje?

— Nie. Dzisiaj jestem sam. Mam świąteczną zmianę. Widzę, że pani też. — Myślał o czymś przez chwilę. —

Często pani pracuje w święta?

— Czasami — odparła. — Dziękuję.

Lukas podeszła do drzwi frontowych. Zatrzymała się na moment i zaczęła obserwować ulicę.

Cage rozmawiał z kilkoma nastolatkami. Kincaid patrzył przez szybę, jakby w środku zobaczył królewskie klejnoty.

Inni agenci udali się do miejsc, które im wyznaczyła. A może popełniła jakiś błąd? Kto to wie? Można przeczytać wszystkie książki na temat prowadzenia śledztwa, lecz najważniejsza i tak jest umiejętność improwizowania. Tak jak rozwiązywanie łamigłówek Kincaida. Trzeba wyjść poza schematy i reguły.

Przez brudną szybę widziała zdewastowane ulice Gravesend, tonące w dymie i ciemnościach. Teraz wydawały się jej nieprzeniknione.

Chciała, żeby przyjechał już Tobe Geller z tym psychologiem. Chciała mieć listy użytkowników sieci komputerowej. Wszystko trwa zbyt długo! Jest ciągle za mało wskazówek! Zacisnęła palce, aż paznokcie wbiły jej się w dłoń.

— Proszę pani! — usłyszała wołanie z tyłu. — Pani agentko!

Odwróciła się. Natychmiast minął jej gniew. Zobaczyła zmierzającego ku niej sprzedawcę z kubkiem kawy w jednej ręce oraz kostkami cukru i łyżeczką w drugiej.

Odrzucił włosy do tyłu i patrzył na nią smutnymi oczami szczenięcia.

— Idzie mróz — powiedział prostodusznie.

Wzruszona jego szczerą troską, wrzuciła do kawy jedną kostkę cukru.

— Mam nadzieję, że będzie pani dziś na jakimś przyjęciu — dodał.

— Panu też tego życzę — odparła i pchnęła drzwi.

Idąc mroźnymi ulicami Gravesend, Lukas zastanawiała się, kiedy Marga-ret zastąpiła Jackie: młodą, towarzyską kobietę, która lubiła w weekendy przesiadywać z przyjaciółkami i plotkować, plotkować, plotkować.

----- 132 -----

Wypiła łyk podłej kawy. Poczowała ciepło w ustach. Rzeczywiście, robi się coraz chłodniej.

Dobrze. Niech temperatura spada. Tak jak w tamten jesienny dzień. Proszę... Dużo śniegu.

Rozejrzała się po ulicy. Dwóch agentów z oddziału FBI znikło w przecznicy. Cage także zniknął

jej z pola widzenia. Tylko Parker wciąż wpatrywał się w szybę.

Kincaid...

Jaka jest właściwie jego przeszłość? Odrzucił propozycję awansu na szefa wydziału specjalnego. Lukas nie mogła tego pojąć. Ta funkcja była dla niej kolejnym krokiem w drodze do stanowiska dyrektora departamentu.

Mimo iż nie rozumiała decyzji Parkera, uważała, że lepiej postąpił odmawiając, niż gdyby miał objąć stanowisko bez przekonania o słuszności swej decyzji.

Jak wyjaśnić motywy jego postępowania? Zakazy, którymi się otoczył jak nieprzeniknionym murem. Nie znała odpowiedzi, ale dużo wiedziała o skorupie, w której nagle zamyka się człowiek z jakichś powodów. Pomyślała o swojej przeszłości — o Jackie i Margaret. Przypomniała sobie książkę z dzieciństwa — o zamienionych dzieciach. Ciekawe, co czyta Parker swoim dzieciom. Na pewno doktora Seussa — dzieci mają przezwiska z jego książki. Co jeszcze? Może „Kubusia Puchatka” i książeczki Disneya. Wyobraziła sobie Parkera w jego przytulnym domu na przedmieściu — bardzo podobnym do jej własnego, w którym mieszkała — jak czyta dzieciom książki.

Zauważyła młode latynoskie małżeństwo, zmierzające w stronę pustego placu. Kobieta miała na głowie czarną chustę, jej mąż ubrany był w ciekawą kurtkę z logo firmy Texaco na piersiach. Mężczyzna pchał wózek dziecięcy, w którym widać było szczęśliwą twarzyczkę opatulonego niemowlęcia. Instynktownie zastanowiła się, jaki rodzaj flaneli należałoby kupić, aby uszyć takie śpioszki.

Małżeństwo z wózkiem wyminęło ją.

Och, Kincaid. Lubisz łamigłówki, prawda?

Mam jedną dla ciebie. Zagadka o żonie i matce.

Czy można być żoną bez męża? Czy można być matką bez dziecka?

Zagadka jest bardzo podchwytliwa, ale ty jesteś bystry, arogancki, jesteś trzecim jastrzębiem. Potrafisz ją rozwiązać.

Lukas była sama na opustoszałej ulicy. Oparła się o lampę i chwyciła dłońmi chłodny metal. Lekceważyła swój własny rozkaz, żeby agenci mieli wolne ręce w przypadku zagrożenia i mogli wyjąć broń. Zaciskała kurczowo palce i powstrzymywała płacz.

Żona bez męża, matka bez dziecka.

---- 133 —

Rezygnujesz, Parker?

Ja jestem rozwiązaniem zagadki. Jestem żoną, której mąż leży w chłodnej ziemi na cmentarzu w Alexandrii.

Jestem matką, której dziecko leży obok niego.

Ot, cała zagadka o żonie i matce.

Teraz inna: czy lód może spłonąć?

Tak. Kiedy pewnego listopadowego poranka, dwa dni przed Świętem Dziękczynienia, spada samolot i rozsypuje się na milion kruchych kawałków metalu, plastiku i gumy.

I ciał.

Tak właśnie może spłonąć lód.

I tak można stać się inną osobą.

Łamigłówki są łatwe, gdy zna się odpowiedź. Prawda, Parker?

Zbyt łatwe, zbyt łatwe...

Trzymaj się — pomyślała. Puściła lampę i wzięła głęboki oddech. Wysiłkiem woli powstrzymywała płacz. Dość tego.

Jednej rzeczy agentka Lukas nie tolerowała: roztargnienia. Dwie zasady przypominała bez końca młodemu pracownikom FBI. Pierwsza brzmiała: „Nigdy nie ma za dużo szczegółów dotyczących śledztwa”. Druga:

„Skupienie”.

Musisz być skoncentrowana — sama sobie wydała rozkaz.

Znów głęboko wciągnęła powietrze. Rozejrzała się wokół. Zauważyła jakiś ruch na placu. Przy beczce po paliwie stał młody chłopak w barwach gangu. Czekał na swoich kolegów. Lukas wiedziała, że nastoletni przestępcy są o wiele bardziej niebezpieczni niż dorośli. Spojrzał na nią.

W górze ulicy, we wnęce obok kasy oszczędności, zauważyła sylwetkę mężczyzny. Zmrużyła oczy. Czy ktoś ukrywa się w cieniu?

Nie dostrzegła żadnego ruchu. Chyba jej się przywidziało.

To idealne miejsce dla duchów.

Gravesend...

Wypiła duszkiem resztę kawy i ruszyła w kierunku chłopaka. Z kieszeni wydobyła odbitkę zdjęcia. Szła omijając zręcznie wraki samochodów i sterty śmieci w ten sam sposób, w jaki Jackie Lukas manewrowała między stoiskami z perfumami.

Parker odszedł od szyby niezadowolony.

Papier listowy i koperty, które dostrzegł w kiosku, były inne niż te, użyte przez szantażystę. Rozejrzał się po pustych ulicach. Gdzie ten pojazd z To-be'em? Trząsał się z zimna. Pomyślał o dzieciach. Stephanie wyrosła z kurtki.

Musi jej kupić nową. A co z Robbym? Ma wprawdzie czerwoną kurtkę ze sztucznego włókna, ale Parker chciałby mu kupić skórzaną — podobną do jego własnej. Właśnie taka podoba się Robby'emu.

Znów przeszły go dreszcze. Przepędował z nogi na nogę.

Gdzie ten pojazd? Potrzebna jest lista użytkowników sieci oraz spis pozwoleń na budowę i rozbiórkę. Co można zobaczyć na kasecie wideo z teatru?

Parker rozejrzał się. Nie widział Cage'a ani Lukas. Zauważył natomiast młode małżeństwo z wózkiem. Byli jakieś 10 metrów od niego. Przypomniał sobie poobiednie spacer z Joan po narodzeniu Robby'ego.

We wnęce przy budynku kasy dostrzegł skulonego mężczyznę. Tkwił tam już od dłuższego czasu. Może on coś wie? Sięgnął ręką do kieszeni, żeby wyjąć zdjęcie szantażysty.

I wtedy wydarzyło się coś dziwnego.

Mężczyzna podniósł głowę i chociaż Parker nie mógł tego stwierdzić, uważnie go obserwował. Następnie włożył

rękę do kieszeni płaszcza i wyjął z niej czarny, błyszczący przedmiot.

Parker zamarł. To był ten sam mężczyzna, który szedł za nimi w pobliżu archiwum.

Digger!

Parker sięgnął ręką po pistolet.

Kieszeń, o zgrozo, była pusta!

Przypomniał sobie, że miał go na pewno w kieszeni, gdy wsiadał do samochodu Cage'a. A więc musiał mu wpaść pod siedzenie.

Mężczyzna przyglądał się małżeństwu, które znajdowało się między nim a Parkerem. Uniósł w górę przedmiot trzymany w ręce.

— Padnij! — krzyknął Parker do małżeństwa. Kobieta i mężczyzna zatrzymali się i zdezorientowani patrzyli na niego.

— Na ziemię! — ponownie wrzasnął Parker i usiłował uskoczyć w cień pod budynkiem. Potknął się jednak o stertę śmieci i upadł na ziemię.

Nie mógł się ruszyć. Ciężko oddychał i obserwował idącego mężczyznę. Chciał krzyknąć, ale wydobył z siebie tylko pomruk.

Gdzie jest Cage? Parker nigdzie go nie widział. Gdzie jest Lukas lub inni agenci?

— Cage! — zawołał, ale jego głos przypominał szept.

Parker usiłował wstać, machał rozpaczliwie do młodej kobiety i mężczyzny. Pokazywał im, żeby położyli się na ziemi. Digger zbliżał się do nich, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Naciśnie spust i ci ludzie z dzieckiem zostaną zabici.

----- 135 -----

Mężczyzna uniósł broń.

— Na ziemię! — Parker wydobył z siebie chrapliwy głos i sam skulił się na ziemi.

Mężczyzna podszedł bliżej.

— Stój. FBI. Odrzuć broń albo będę strzelać! — rozległ się ostry kobiecy głos.

Mężczyzna odwrócił się i z jego ust wydobył się zduszony krzyk.

— Odrzuć to, odrzuć to — wrzeszczała Lukas. Zbliżała się do mężczyzny zdecydowanym krokiem, z pistoletem wymierzonym w jego potężną pierś'.

Mężczyzna odrzucił trzymany przedmiot i podniósł ręce do góry. Cage przebiegał ulicę z pistoletem w ręku.

— Na ziemię! — krzyknęła Lukas. — Połóż się na twarz.

Jej głos był tak prymitywny i nieokrzesany, że Parker z trudem go rozpoznawał.

Mężczyzna padł na ziemię jak kłoda.

Cage przez telefon wzywał już pomoc. Parker zobaczył kilku agentów biegnących w ich kierunku. Podniósł się powoli z ziemi.

Lukas pochyliła się nad mężczyzną, przykładając mu pistolet do ucha.

— Nie, nie, nie — jęczał. — Proszę.

Lewą ręką założyła mu kajdanki. Pistolet wciąż miała wycelowany w jego głowę.

— Co, do diabła... — załkał.

— Zamknij się — warknęła. Jej twarz była czerwona.

Mocniej przyłożyła broń do głowy mężczyzny. Na jego rozporoku pojawiła się parująca plama. Ze strachu opróżnił pęcherz.

Parker usiłował złapać oddech.

Lukas, ciężko dysząc, schowała broń do kabury. Weszła na ulicę, patrząc chłodnym wzrokiem to na Parkera, to na podejrzanego. Podeszła do pary młodych ludzi i krótko z nimi rozmawiała. Zapisała ich nazwiska w notesie i kazała im odejść. Mężczyzna niepewnie spojrział na Parkera i po chwili małżeństwo opuściło plac.

Kiedy Cage rewidował podejrzanego, podszedł do niego jeden z przybyłych agentów.

— To nie broń. To kamera wideo. Rozbiła się na betonie.

— Co? — zapytał Cage. Parker zmarszczył brwi. Kamera?

— Jest czysty — powiedział Cage. Przeszukiwał portfel z wężowej skórki. — Andrew Sloan. Mieszka w Rockville.

136

Inny agent połączył się ze służbami w Maryland i w Wirginii. Sprawdzał, czy Sloan był notowany.

— Nie możecie tak — protestował Sloan.

Podeszła Lukas. — Nie odzywaj się, dopóki cię o to nie poprosimy! — wściekała się. — Rozumiesz?! — Jej gniew wprawił wszystkich w zakłopotanie.

— Rozumiem — odparł przerażonym głosem.

Cage wyciągnął z portfela jedną z wizytówek. Pokazał ją Lukas i Parke-rowi. „Northeast Security Consultants”.

— To prywatny detektyw — stwierdził Cage.

— Nie notowany — dodał agent, który zakończył poszukiwanie informacji.

Lukas skinęła na Cage'a.

— Kto jest pana klientem? — zapytał.

— Nie udzielę odpowiedzi.

— Ależ owszem, Andy, udzielisz — naciskał Cage.

— Tożsamość moich klientów stanowi tajemnicę — wyrecytował Sloan. Przybyło dwóch kolejnych agentów.

— Sprawdzony? — zapytał jeden z nich.

— Tak — odparł Cage. — Podnieście go.

Posadzili go na krawężniku. Sloan patrzył na plamę na spodniach. Nie był zakłopotany, ale wściekły. — Cholera

— powiedział do Cage'a. — Jestem prawnikiem. Znam swoje prawa. Oddajcie mi z powrotem kamerę. Jestem w publicznym miejscu i...

Lukas podeszła i klękła przy nim.

— Kto... kto jest pana klientem?

W tym czasie Parker odsunął Cage'a, żeby lepiej zobaczyć twarz Sloana. — Ja go znam.

— Tak? — spytała Lukas.

— To za mną szedł. Widziałem go już parę razy w ciągu ostatnich dni. Cage lekko trącił nogę mężczyzny. —

Śledziłeś' mojego przyjaciela? Hej!

Robiłeś' to?

Zaraz, pomyślał Parker. Już skojarzył. Jezus Maria! — Jego klientką jest Joan Marel.

— Kto?

— Moja była żona. Sloan nie zareagował.

Parker był zrozpaczony. Zamknął oczy. Cholera! Każda klatka filmu nakręconego dotychczas przez prywatnego detektywa mogła potwierdzić, że jest

----- 137 -----

przykładnym ojcem. Chodzi na zebrania rodzicielskie, codziennie odwozi dzieci do szkoły oddalonej 30

kilometrów od domu, gotuje, sprząta, robi zakupy, ociera łyzy i uczy ich gry na pianinie.

Aż do dzisiaj... Sloan już wie, że Parker zaangażował się w najbardziej niebezpieczną akcję policyjną w mieście.

Oszukał dzieci i w święto muszą siedzieć z opiekunką.

Panie Kincaid, jak pan wie, sądy z reguły przyznają matce prawo do opieki nad dziećmi. Jednak w tym przypadku jesteśmy skłonni powierzyć dzieci panu, pod warunkiem, że pana praca zawodowa nie narazi w najmniejszym stopniu Robby'ego i Stephanie.

— To prawda? — zapytał złowieszczo Cage.

— Tak. Wynajęła mnie.

Cage popatrzył na twarz Parkera.

- Coś nie tak?

— To duży problem. Boże, to koniec świata...

Cage przyglądał się detektywowi. — Będziesz miał sprawę o opiekę nad dziećmi? — spytał Parkera.

- Tak.

— Weźcie go stąd. Oddajcie kamerę — powiedziała Lukas z obrzydzeniem w głosie.

— Jest zniszczona — mruknął Sloan. — Zapłacicie mi za nią. Na pewno zapłacicie.

Cage zdjął mu kajdanki. Sloan wstał powoli. — Sądzę, że złamałem kciuk. Boli jak diabli.

— Bardzo mi, Andy, przykro z tego powodu — powiedział z udawanym współczuciem Cage. — Czy bolą cię nadgarstki?

— Pewnie. Oznajmiam wam, że mam zamiar złożyć na was skargę. Ona zbyt mocno je zacisnęła. Używam kajdanków i nigdy nie robię tego tak brutalnie.

Co, u diabła, zrobić — zastanawiał się Parker. Wbił wzrok w ziemię i włożył ręce do kieszeni.

— Andy, czy to ty szedłeś za nami na Dziewiątej Ulicy godzinę temu? — Może szedłem. Nie przekroczyłem żadnych przepisów. W miejscach publicznych mogę chodzić, gdzie chcę.

Cage podszedł do Lukas. Coś szeptał jej do ucha. Na jej ustach pojawił się grymas. Spojrzała na zegarek i skinęła głową.

— Proszę mnie posłuchać, panie Sloan — powiedział Parker. — Czy moglibyśmy porozmawiać?

----- 138 -----

— Porozmawiać? O czym? Przekażę kasetę z filmem mojej klientce. Powiem jej, co widziałem. To wszystko.

— Andy, twój portfel. — Cage odciągnął go na bok i zaczął mu coś szeptać do ucha. Sloan chciał coś powiedzieć, ale Cage go powstrzymał. I mówił dalej.

Po dwóch minutach Cage przestał mówić. Spojrzał w oczy Sloanowi, który zadał jakieś pytanie. Cage uśmiechając się, skinął głową. Potem podszedł do Parkera i Lukas. Sloan stał z tyłu za nim.

— Andy, powiedz teraz panu Kincaidowi, kto jest twoim pracodawcą. Parker był zrozpaczony. Słuchał jednym uchem.

— „Northeast Security Consultants” — powiedział Sloan, trzymając ręce przed sobą, jakby miał jeszcze na nich kajdanki.

— Jakie masz stanowisko?

— Jestem specjalistą zajmującym się sprawami bezpieczeństwa.

— Dla kogo dzisiaj pracujesz?

— Dla pani Joan Marel — powiedział zgodnie z prawdą.

— Czym się zajmujesz? — Cage przesłuchiwał go jak prokurator.

— Śledzę jej męża. Byłego męża. Mam znaleźć dowody, które spowodują zmianę decyzji sądu co do opieki nad dziećmi.

— Czy widziałeś coś, co mogłoby dostarczyć argumentów pani Marel?

- Nie.

Parker zaczął uważniej słuchać.

— W rzeczywistości pan Kincaid wydaje się... — Sloan zawiesił głos.

— ...bez skazy — dorzucił Cage.

- ...ojcem bez skazy... — Sloan zawahał się. — Powiedziałbym raczej „wspaniałym ojcem”. To bardziej odpowiednie słowo.

— Zgoda. Możesz powiedzieć „wspaniałym ojcem”.

— ...wspaniałym ojcem. Nie widziałem niczego... hm. — Pomyślał przez chwilę. — Nie widziałem niczego, co mogłoby zagrażać dzieciom i ich szczęściu.

— I nie masz żadnego filmu, na którym robi coś niebezpiecznego.

— Nie. W ogóle nie mam żadnej kasety. Nie widziałem nic, co mogłoby pomóc mojej klientce w walce o dzieci.

— Co powiesz swojej klientce? Mam na myśli dzisiejszy wieczór.

— Powiem jej prawdę.

- Jaka?

— Pan Kincaid odwiedził przyjaciela w szpitalu.

— W którym szpitalu? — spytał Cage.

— W którym szpitalu? — Sloan zwrócił się do Parkera.

----- 139 -----

— Fair Oaks.

— Tak. Właśnie tam byłem — powiedział skruszonym głosem Sloan.

— To nietaktowne z twojej strony — powiedział Cage.

- Tak...

— Okay. A teraz wyноś się stąd.

Sloan wyjął kasetę z tego, co kiedyś było kamerą wideo, i podał Cage'owi. Ten wrzucił ją do beczki, gdzie paliły się śmieci.

Prywatny detektyw odszedł, oglądając się niepewnie, jakby obawiał się, że któryś z agentów strzeli mu w plecy.

— Jak to załatwiłeś? — cicho spytał Parker. Cage wzruszył ramionami. Znaczyło to: „nie pytaj”.

— Dziękuję — powiedział Parker. — Nie wiem, co by było, gdyby...

— Kincaid, gdzie masz broń? — szorstko przerwała mu Lukas. Odwrócił się do niej.

— Nie sądziłem, że muszę ją mieć przy sobie. Powinna być w samochodzie.

— Nie pamiętasz zasad? W czasie akcji musisz mieć przy sobie sprawną broń. Uczyłeś się tego w pierwszym tygodniu swojego pobytu w Akademii.

- Ja...

Na jej twarzy znów pojawiła się wściekłość. — Jak myślisz, co my tu robimy? — burknęła.

— Mówiłem ci, że nie jestem agentem operacyjnym. Nie potrafię myśleć w kategoriach broni.

— Myśleć w kategoriach? — odezwała się pogardliwie. — Słuchaj, Kincaid. Żyłeś przez pięć lat na Ulicy Sezamkowej. Jeżeli chcesz teraz wrócić do tego świata — wolna droga i dziękujemy za

pomoc. Ale jeżeli chcesz zostać, musisz mieć przy sobie broń. Powinieneś dzielić z nami obowiązki. Możesz zająć się niańczeniem dzieci, ale my nie. Zostajesz czy odchodzisz?

Cage stał nieporuszony. Nie wzruszał nawet ramionami.

— Zostaję.

— Okay.

Lukas nie objawiła ani zadowolenia, że Parker zostaje, ani skruchy z powodu wybuchu gniewu.

— Wracamy do pracy. Nie mamy zbyt wiele czasu — rzuciła krótko.

140

17

Ulicami Gravesend kluczy! duży pojazd.

1 Q "ł R Było to ruchome stanowisko dowodzenia — MCP. Na pojeździe znajdowały się ogłoszenia.

WYSTAWA PSÓW — PÓŁNOCNA KAROLINA. OWCZARKI NIEMIECKIE. BEZ KOKARDEK. ALE W KOLCZATKACH.

Parker był ciekawy, czy nalepki na samochodzie znajdowały się w celu zmylenia przestępców, czy też pojazd został odkupiony od hodowcy psów. Samochód zatrzymał się przy krawężniku. Lukas skinęła na Cage'a i Parkera, aby weszli do środka. Unoszący się w powietrzu zapach jednoznacznie wskazywał, że pojazd należał

kiedyś do hodowcy psów. Ale przynajmniej było tu przyjemnie i ciepło. Parker ucieszył się, że nie musi już dłużej marznąć na ulicy.

Przy stanowisku komputerowym siedział Tobe Geller. Wpatrywał się w monitor. Obraz na ekranie rozbity był na tysiące pikseli, które tworzyły abstrakcyjną mozaikę. Geller zaczął intensywnie stukać na klawiaturze, żeby doprowadzić obraz do porządku.

Obok niego siedział detektyw Len Hardy, natomiast C.P. Ardell stał wciśnięty między nich. Psycholog z Georgetown jeszcze nie dotarł.

— Film wideo ze strzelaniny w teatrze — wyjaśnił Geller, nie odrywając oczu od ekranu.

— Czy coś nam pomoże? — spytała Lukas.

- Niewiele — mruknął młody agent. — Przynajmniej na razie. Uderzył w kilka klawiszy. Obraz stał się czytelny.

Widać było zamazane wnętrze teatru. Ludzie uciekali, szukali schronienia.

— Kiedy Digger zaczął strzelać, kilku widzów skierowało w jego stronę kamery wideo — wyjaśnił C.P.

Geller ponownie napisał coś na klawiaturze i obraz stał się wyraźniejszy. Zatrzymał film.

— Tutaj? — spytał Cage, dotykając ekranu. — To on?

— Tak — odparł Geller. Zaczął wyświetlać w zwolnionym tempie. Parker z trudem cokolwiek dostrzegał.

Drganie obrazu spowodowane

było tym, że widz trzymający kamerę szukał schronienia. Na tle ciemnej plamy pojawiały się błyski z lufy pistoletu. Geller zidentyfikował plamę jako Diggera.

— Widać zamieszanie, nie wiadomo, co się dzieje — powiedział Hardy.

----- 141 -----

Parker w myślach zgodził się z nim. Lukas pochyliła się. Uważnie wpatrywała się w ekran.

— To ujecie jest chyba najbardziej wyraźne — powiedział Geller i zatrzymał film. Powiększył klatkę.

Kwadratowe piksele zrobiły się tak duże, że obraz stał się nieczytelny. Składał się teraz z mieszaniny jasnych i ciemnych kwadratów. — Chcę zobaczyć jego twarz. Mam dziewięćdziesiąt procent pewności, że jest biały. To wszystko, co o nim można powiedzieć.

Parker zauważył coś innego. — Od początku. W zwolnionym tempie — polecił.

Geller uderzył w klawisze. Piksele zwały się z powrotem w obraz.

— Zatrzymaj.

Na ekranie widać było prawdopodobnie pierś Diggera.

— Spójrzcie na to.

— Na co? — spytała Lukas.

— Nic nie widzę — powiedział Hardy, mrużąc oczy.

Parker dotknął ekranu. Na środku tego, co było przypuszczalnie piersią Diggera, znajdowało się kilka jasnych punktów otoczonych przez trochę ciemniejsze, ułożone w kształcie litery V.

— To jest odbłask — burknęła zniecierpliwiona Lukas. Spojrzała na zegarek.

— Ale od czego? — drążył Parker.

Wpatrywali się w ekran. — Ha — zawołał Geller i na jego sympatycznej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. —

Myślę, że wiem. — Tobe, co to jest? — zapytał Parker.

— Jesteś katolikiem?

— Nie. — Parker jakiś czas temu opuścił Kościół Prezbiteriański. Filozofia „Gwiezdných wojen” bardziej mu odpowiada, niż wszystkie religie.

— Chodziłem do szkoły prowadzonej przez jezuitów — wtrącił Hardy. — Jeżeli to w czymś pomoże.

Geller nie był zainteresowany rozmowami o religii. Przesunął się na krześle. — Spróbujemy tego. — Otworzył

szufladę, wyjął małą kamerę cyfrową i podłączył do komputera. Podał ją Parkerowi. Z białej kartki papieru zrobił krzyż, który umieścił na swojej piersi. — Skieruj kamerę na mnie i włącz — powiedział do Parkera. — Po prostu przyciśnij ten guzik.

Po chwili Parker odłożył kamerę. Geller usiadł przy komputerze i moment później na ekranie pojawił się obraz młodego agenta. — Przystojny facet —

zażartował. Powiększył obraz krzyża, który teraz przypominał ten z kasety z teatru. — Jedyna różnica jest taka, że krzyż Diggera dawał żółtawy odbłask

— orzekł Geller. — Zatem nasz chłopiec nosi złoty krzyżyk.

----- 142 -----

— Dodaj to do opisu mordercy — poleciła Lukas. — Potwierdź też, że jest biały. — Cage połączył się z Bakerem i przekazał mu te informacje.

Złoty krzyżyk to jedyny znak szczególny.

Czy Digger jest wierzący?

A może traktuje krzyżyk jako talizman?

Może zerwał go z ofiary jako trofeum?

Zadzwoił telefon Cage'a. Odebrał informacje i zniechęcony wzruszył ramionami. — Telefon z Federalnej Agencji Lotnictwa. Zebrali informacje na temat wynajmu śmigłowców. Mężczyzna,

odpowiadający rysopisowi szantażysty, zamówił śmigłowiec w Clinton, w stanie Maryland. Podał nazwisko Gilbert Jones.

— Jones? — rzucił złośliwie C.P. Ardell. — Cholera, może być autentyczne.

— Zapłacił gotówką. Pilot miał wziąć jakiś ładunek w Fairfax i wykonać godzinny lot. Jones nie podał mu miejsca przeznaczenia. Miał przekazać szczegółowe informacje o wpół do jedenastej, ale nie zrobił tego. Pilot jest czysty.

— Czy ten Jones podał mu adres lub numer telefonu?

Cage wzruszył ramionami, co oznaczało, że oba były fałszywe. Otworzyły się drzwi i wszedł mężczyzna w kurtce FBI. Skinął głową do Lukas.

— Cześć, Tom.

— Agentko Lukas. Przyprowadziłem doktora Evansa. Psychologa.

Mężczyzna wszedł do środka. — Dobry wieczór — przywitał się.

Doktor Evans był niższy, niż wskazywał na to jego spokojny, niski głos. Jego ciemne włosy przyprószone były siwizną. Miał starannie przystrzyżoną brodę i uśmiechał się. Parker od razu poczuł do niego sympatie. Ubrany był w spodnie i kamizelkę z bawełny. Zamiast aktówki miał duży plecak. Przenikliwym wzrokiem szybko przyjrzał się agentom będącym w środku.

— Dziękuję, że pan przyjechał — rzekła Lukas. — To są agenci: Cage i Geller. Agent Ardell. Detektyw Hardy.

Moje nazwisko Lukas. — Zerknęła na Parkera. Kiwnął jej głową. — Przedstawiam też panu Parkera Kincaida, który współpracuje z nami. Jest ekspertem badającym dokumenty. Chce, aby jego obecność tutaj pozostała tajemnicą.

— Rozumiem — powiedział Evans. — Ja też wykonuję wiele prac anonimowo. Chciałem skorzystać z Internetu, ale sądziłem, że wywoła to zbyt dużo zamieszania. — Usiadł. — Słyszałem o wypadkach w teatrze.

Co właściwie zaszło?

Cage krótko zrelacjonował mu wypadki. Opowiedział o śmierci szantażysty, liście z żądaniem okupu i o mordercy.

Evans spojrział na twarz zabitego przestępcy. — Zatem chcielibyście wiedzieć, gdzie teraz uderzy jego współnik?

— Właśnie! — potwierdziła Lukas. — Potrzebujemy piętnastu minut, aby ostrzec ludzi i sprowadzić grupy operacyjne. Ale musimy mieć te piętnaście minut. Mam nadzieję, że pan nam pomoże.

— Czy zetknął się pan wcześniej z nazwiskiem Digger? — spytał Parker.

— Gdy usłyszałem o sprawie, zacząłem przeszukiwać archiwa. W latach pięćdziesiątych był w Kalifornii mężczyzna o nazwisku Gravedigger. Został zabity w więzieniu Obispo Meris Golony kilka miesięcy po aresztowaniu. Nie związane to było z żadnym kultem czy czymś takim. W Scottsdale, w Arizonie istniał gang motocyklowy „Gravediggers”, ale rozpadł się w połowie lat siedemdziesiątych i nie mam żadnych informacji o jego członkach.

— Połącz się z wydziałem policji w Scottsdale i sprawdź, czy coś o tym wiedzą — Lukas zwróciła się do Gellera.

— W źródłach znalazłem jedną wzmiankę o Diggerze. W latach trzydziestych w Anglii działał niejaki John Barnstall. Był wicehrabią, czy czymś w tym rodzaju. Mieszkał w Devon. Utrzymywał, że ma rodzinę. Odkryto, że zabił swoją żonę, dzieci oraz dwóch albo trzech farmerów z okolicy. Kopał

tunele pod swym domem i tam chował ciała. Balsamował je.

— Przerazające — mruknął Hardy.

— Prasa nazwała go Diggerem — kopaczem, ze względu na te tunele. W latach siedemdziesiątych jeden z londyńskich gangów przyjął taką nazwę, ale miał niewielkie znaczenie.

— Czy jest możliwe, że szantażysta lub Digger słyszeli o Barnstallu i wzorują się na nim? — spytała Lukas.

— Nie mogę teraz odpowiedzieć. Muszę mieć więcej danych. Znać wzorce ich zachowań.

Wzorce... Parker zamyślił się. Dostrzeżenie wzorców w badanym dokumencie jest jedynym sposobem na wykrycie fałszerstwa: kąt nachylenia liter, sposób przykładania i odrywania pióra, kształt ogonków w małych literach y, g i j, drżenie ręki. Nie można analizować dokumentu, nie biorąc pod uwagę okoliczności towarzyszących pisaniu. Samo pismo nie wystarczy.

— Powinniście wiedzieć, że prawdopodobnie nie były to pierwsze masakry dokonane przez Diggera i jego współnika — mówił Evans.

— Pewien dziennikarz skontaktował się z nami. Jest przekonany, że morderstwa w Waszyngtonie mają związek ze zbrodniami popełnionymi w innych miastach — powiedziała Lukas.

----- 144 -----

— Gdzie?

— Boston, przedmieście Nowego Jorku, Filadelfia. Zawsze tak samo — kradzież lub wymuszanie okup. I mordy dla zwrócenia uwagi.

— Zawsze chodziło o pieniądze? — spytał Evans.

— Tak. W jednym przypadku była to biżuteria — odpowiedział Parker.

— To nie ma żadnego związku z Barnstallem. On prawdopodobnie był chory na schizofrenie paranoidalną, nie wykazywał, w przeciwieństwie do „waszego” przestępcy, antyspołecznych zachowań. Chciałbym dowiedzieć się więcej o zbrodniach w innych miastach. Może uda mi się powiedzieć coś jeszcze o sposobie ich działania.

— Usiłujemy teraz znaleźć ich kryjówkę. Być może wtedy będziemy mieli więcej informacji.

Lukas była rozczarowana. — Myślałam, że nazwisko Digger coś oznacza. Miałam nadzieję, że to będzie klucz do schwytania przestępcy.

Evans zaprotestował: — Jeszcze może być. Nazwisko Digger jest bardzo rzadkie. Gdybyśmy wiedzieli, kto je wymyślił, moglibyśmy coś powiedzieć o tej osobie — o zabitym albo o samym Diggerze. Określenia, przezwiska są bardzo istotne w tworzeniu portretu psychologicznego...

Zerknął na Parkera. — Jeżeli pan i ja określiliśmy się jako konsultanci, oznacza to, że nie chcemy decydować o kierunku prowadzenia śledztwa, w zamian za pozbycie się części odpowiedzialności i ryzyka.

Święta prawda — pomyślał Parker.

Psycholog spojrzął na zdjęcie szantażysty. Roześmiał się.

— Do tej pory nie robiłem portretu psychologicznego nieboszczyka. To będzie dla mnie wyzwanie.

— Bardzo liczymy na pańską pomoc — powiedziała Lukas.

Evans otworzył plecak i wyjął z niego duży metalowy termos. Otworzył go i nalał kawy do pokrywki.

— Jestem uzależniony — wyjaśnił. Uśmiechnął się. — Jako psycholog nie powinienem się do tego przyznawać.

Czy ktoś z was chce kawy?

Wszyscy odmówili i Evans schował termos. Wyjął telefon i zadzwonił do żony, żeby jej powiedzieć, że wróci później.

Telefon psychologa przypomniał Parkerowi o dzieciach. Wyjął swoją komórkę i zadzwonił do domu.

— Tak? — usłyszał głos pani Cavanaugh.

— To ja. Jak sprawują się dzieci?

— Doprowadzą mnie do bankructwa. Ciągłe wygrywają. Nie wiem, co się dzieje. — Do jej śmiechu dołączył

śmiech dzieci.

— Czy Robby jest wciąż niespokojny?

Zniżyła głos. — Miał kilka razy napady złego humoru, ale Stephie go udobruchała. Dzieci bardzo by chciały, aby pan wrócił przed północą do domu.

- Będę się starał. Czy Joan dzwoniła?

— Nie. — Pani Cavanaugh roześmiała się. — Zabawna myśl przyszła mi do głowy. Gdy zadzwoni i zobaczę jej imię na wyświetlaczu, będę bardzo zajęta i nie odbiorę telefonu. Pomyśli sobie, że poszliście do kina albo do baru z sałatkami. Myśli pan, że to dobry pomysł?

— Doskonały, pani Cavanaugh.

- Tak myślałam. Urządzenie informujące, kto dzwoni, to wspaniały wynalazek, prawda?

- Chciałbym mieć na niego patent. Zadzwonię później. Wyłączył telefon.

Cage słyszał rozmowę Parkera. — Twój syn? Wszystko w porządku? Parker westchnął. — Tak. Przypominają mu się wydarzenia... Wiesz, te sprzed lat.

Evans spojrzał pytająco na Parkera.

— Kiedy jeszcze pracowałem w FBI — objaśnił mu Parker — pewien bandyta włamał się do naszego domu. —

Zauważył, że Lukas też się przysłuchuje.

— Czy pana syn go widział? — spytał Evans.

— Ten bandyta wybił okno w pokoju Robby'ego...

— Jezu — mruknął C.P. — Nienawidzę, jak coś takiego przytrafia się dzieciom. Kurewsko nienawidzę.

— I miał jakieś zaburzenia związane z przeżyciem silnego stresu? — odezwała się Lukas.

Parker obawiał się, że chłopiec będzie cierpiał, i udał się z nim do specjalisty. Jednak lekarz powiedział, że Robby jest za mały, aby zrozumieć, co się wydarzyło. Poza tym nie został zraniony przez Boatmana i prawdopodobnie zapomni o wydarzeniu.

— Było to przed świętami Bożego Narodzenia i co roku w tym okresie Robby'emu wydaje się, że widzi przestępcę. Myślę, że to minie, ale...

- ...musi pan koniecznie unikać sytuacji, które przypominałyby mu tamto zdarzenie — dorzucił Evans.

— Właśnie — powiedział ściszym głosem Parker.

— Dzisiaj jednak zachowuje się normalnie.

— Teraz tak. Rano widział jakąś zjawę.

— Ja też mam dzieci — oznajmił Evans. Spojrzał na Lukas. — A pani?

— Nie jestem zamężna — odparła.

— Kiedy są dzieci, traci się część umysłu. Kradną go i nigdy nie oddają. Rodzice bez przerwy się o nie martwią: że są niespokojne albo smutne, że gdzieś' zaginęły. Czasami dziwie się, że rodzice mogą normalnie funkcjonować.

— A można inaczej? — Lukas wyraźnie się przejęła.

Evans zaczął studiować list i na chwile zapadła cisza. Geller pisał na komputerze. Cage przyglądał się mapie.

Lukas bawiła się kosmykiem włosów. Byłoby to wzruszające, gdyby nie jej chłodne, kamienne oczy. Była nieobecna.

Geller gwałtownie zerwał się z krzesła. — Przyszedł raport z Scottsdale. — Zaczął czytać tekst na ekranie. —

Wiedzą o gangu „Gravediggers”, ale nie ma żadnych problemów z jego byłymi członkami. Nie weszli w konflikt z prawem. Większość z nich to przykładni ojcowie.

Następny trop zawiódł — pomyślał Parker.

Evans zauważył kolejny dokument i zajął się nim. Był to „Biuletyn Kryminalny” opisujący pożar domu Garry'ego Mossa.

— On jest świadkiem w sprawie afery związanej z budową szkół? Lukas potwierdziła.

Czytając, Evans kręcił głową. — Mordercy nie mają litości dla dzieci... Przerazające. — Spojrzał na Lukas. •—

Mam nadzieję, że są dobrze strzeżone.

— Moss znajduje się w budynkach Centrali, jego rodzina została wywieziona z miasta — poinformował Cage.

— Nie oszczędzą nawet dzieci — mruknął psycholog i odłożył biuletyn. Zaczęło się chyba coś dziać. Parker przypomniał sobie, że kiedy pracował

w FBI, czekało się całe dni i w pewnym momencie śledztwo gwałtownie przyspieszało. Jak po nowej kartce z faksu, którą odebrał Hardy: — Przesłali spis pozwoleń na budowę i rozbiórkę w Gravesend...

Na dużym monitorze Geller wywołał mapę dzielnicy i zaczął podświetlać miejsca wymienione w spisie. Było ich stosunkowo niewiele.

Lukas przekazała adresy Jerry'emu Bakerowi. Po chwili usłyszała, że wysłał tam swoje grupy operacyjne.

Po dziesięciu minutach w głośniku rozległy się trzaski. — Noworocznik Dwa do Noworocznika Jeden.

— Mów — rzuciła nerwowo Lukas.

— Jedna z moich grup znalazła sklep. Skrzyżowanie Mockingbird z Siedemnastą.

Tobe Geller natychmiast podświetlił skrzyżowanie na ekranie. Proszę, pomyślał Parker. Proszę...

— Sprzedają tam taki papier i pióra, jakie opisaliście. Część papieru jest wyblakła.

— Jest! — wyszeptał Parker.

Agenci wpatrywali się w mapę na ekranie.

- Jerry — rzucił Parker, nie zważając na kryptonimy, które agenci operacyjni tak lubili. — Jedno z miejsc rozbiórki znajduje się dwie przecznice od tego sklepu — na ulicy Mockingbird. Wyślij tam

swoich ludzi.

— Zrozumiałem. Noworoczniak Dwa. Bez odbioru.

Następny telefon. Odebrała Lukas. I szybko przekazała słuchawkę Gelle-rowi.

Słuchał, kiwając głową. — Doskonale. Prześlijcie ją faksem do naszego stanowiska. Znacnie numer? Dobrze. —

Skończył rozmowę. — Dział techniczny. Prześlą internautów w Gravesend — poinformował.

— Co? — spytał Cage.

— Listę osób korzystających tam z serwisów Internetu.

Zadzwoił telefon i faks wypluł kolejną kartkę. Parker spojrział na nią. Zniechęcenie pojawiło się na jego twarzy.

W Gravesend było więcej abonentów, niż się spodziewał — około pięćdziesięciu.

— Czytaj adresy — zwrócił się Geller do Hardy'ego. Zaznaczał je na ekranie czerwonymi punktami.

Po dwóch minutach zakończyli pracę. Parker przekonał się, że jego zniechęcenie było nieuzasadnione. W

promieniu czterystu metrów od sklepu i miejsca rozbiórki znajdowały się tylko cztery czerwone punkty.

Lukas wywołała Jerry'ego Bakera i przekazała mu adresy. — Skupcie się na tych czterech. Spotkamy się przy sklepie. Tam będzie nasz punkt dowodzenia.

—• Zrozumiałem. Bez odbioru.

— Jedziemy. — Lukas zawołała młodego kierowcę samochodu.

— Poczekaj — powiedział Geller. — Idź lepiej pieszo, przez ten pusty plac. Będzie szybciej — wskazał na mapę. — My zaraz przyjedziemy.

Hardy włożył kurtkę, ale Lukas pokręciła głową. — Przykro mi, Len, ale ty powinieneś zostać.

Miody oficer uniósł ręce i patrzył na Cage'a i Parkera. — Chciałbym coś zrobić.

— Len, może być niebezpiecznie. Potrzebujemy tam tylko negocjatorów i snajperów.

— On nie jest snajperem. — Hardy wskazał Parkera.

— Ale jest w zespole kierującym akcją.

— Więc mam siedzieć tutaj i kręcić młynka palcami?

— Bardzo mi przykro, ale musisz zostać.

148

— Wszystko mi jedno. — Zdjął kurtkę i usiadł.

— Dziękuję — powiedziała Lukas. — C.P., też zostań tutaj. Pilnuj wszystkiego.

— Dobra.

Lukas otworzyła drzwi. Cage wyszedł na zewnątrz. Parker włożył swoją lotniczą kurtkę. — Zabrałeś'? —

spytała.

— Mam w kieszeni — odparł krótko, dotykając pistoletu, aby się upewnić. Podążył za Cage'em, który biegł już wolnym truchtem przez zadymiony plac.

Henry Czisman wypił mały łyk piwa.

Nie miałby nic przeciwko czemuś mocniejszemu, lecz postanowił, że w tym wyjątkowym dniu będzie na tyle trzeźwy, na ile jest to możliwe. Nie pijący mężczyzna w Sylwestra, w barze w Gravesend byłby bardzo podejrzany.

I dlatego sączył butelkę Budweisera od pół godziny.

Lokal nazywał się „Joe Higgins”. Czisman bardzo zdenerwował błąd w nazwie. Powinno być „Joe Higgins”.

Kolejny łyk piwa.

Otworzyły się drzwi i weszło kilku agentów. Spodziewał się tego i bał się tylko, że mogą to być Lukas, Cage i fałszywy Jefferson. Mieliby do niego pretensje, że ich siedzi. Na szczęście to nie byli oni.

Starszy, żylasty mężczyzna, który siedział obok niego, prowadził monolog: — No i przyjechałem. Nagrobek się rozsypał, mówię mu. Co ja mam zrobić? Powiedz mi, co ja mam zrobić? A on nie wie. Co on, kurwa, myśli, że mam teraz zrobić...?

Czisman spojrział na kościstego faceta, ubranego w podarte spodnie i szarą koszulkę. Jest zimno, a on nie ma płaszcza. Czy mieszka w pobliżu? Na górze? Mężczyzna pił whisky, która miała zapach płynu zapobiegającego zamarzaniu.

— Nie wie, co? — spytał Czisman, przyglądając się uważnie agentom.

— Nie. Powiem mu, że go pierdolę. I chcę nowy nagrobek. Rozumiesz?

— Oczywiście.

Kupił Murzynowi drinka, bo w jego towarzystwie mniej rzucał się w oczy w takim barze jak „Joe Higgins”.

Jak komuś postawisz, musisz wysłuchiwać jego gadaniny.

Agenci pokazywali kartkę papieru — przypuszczalnie ze zdjęciem współnika Diggera — trzem starszym, brzydkim kobietom umalowanym jak kurwy z Harlemu.

----- 149 -----

Czisman zauważył duży samochód parkujący po drugiej stronie ulicy. Kiedy opuszczał budynki Centrali FBI na Dziewiątej Ulicy, spostrzegł agentów szybko biegnących do samochodów. Nie pozwolą mi jechać ze sobą —

pomyślał. Na szczęście kolumna samochodów FBI i policji była długa i nikt nie zauważył, że jedzie za nimi.

Jechali szybko, nie zwracając uwagi na światła, chociaż pojazdy nie miały kogutów na dachach. Zaparkowali samochody w pobliżu baru i po krótkiej odprawie agenci i policjanci rozeszli się, żeby popytać wokoło. Czisman zaparkował swoje auto w głębi ulicy i wśliznął się do baru. W kieszeni miał kamerę cyfrową. Udało mu się zrobić kilka ujęć z odprawy. Teraz nie miał nic do roboty, tylko siedzieć i czekać.

— Hej — prychnął Murzyn, który zauważył agentów. — Kto to? Policjanci?

— Zaraz się dowiemy.

Chwilę później podszedł jeden z nich. — Dobry wieczór. Jesteśmy agentami federalnymi. — Pokazał odznakę FBI. — Czy widzieliście tego mężczyznę?

Czisman spojrział na zdjęcie, które już widział w Centrali FBI.

— Nie — odparł.

— Wygląda jak zabity. Czy on żyje? — odezwał się Murzyn.

— Nie widzieliście nikogo, kto przypominał tego mężczyznę? — pytał agent.

— Nie. — Czisman kręcił głową.

— Szukamy też innego mężczyzny. Biały, w wieku trzydziestu, czterdziestu lat. Ubrany jest w ciemny płaszcz.

No tak, Digger. Odniósł dziwne wrażenie — człowiek, któremu poświęca tyle czasu, opisany został tak skrótowo, z dystansu.

— Takich ludzi są setki — powiedział.

— Tak. Poza tym wiemy, że nosi na piersi złoty krzyżyk. Przypuszczalnie jest uzbrojony. Mógł rozmawiać o broni, przechwalać się nią.

Digger nigdy by tego nie robił — pomyślał Czisman. Nie wyprowadził jednak agenta z błędu.

— Przykro mi — mówiąc to, pokręcił głową.

— Przykro mi — Murzyn powtórzył jak echo.

— Jeżeli go zobaczycie, proszę nas poinformować. — Agent dał im obu kartki z numerem telefonu.

— Jasne.

— Jasne.

Kiedy agenci wyszli, czarny kumpel Czismana zapytał: — Kogo szukają?

— Kto to wie.

150

— Tutaj zawsze coś się dzieje. Narkotyki. Założę się, że chodzi o narkotyki. Nieważne, ja mam na głowie ciężarówkę z rozwalonym nagrobkiem. Mówiłem ci o tej mojej ciężarówce?

— Zaczęłeś.

— No to posłuchaj dalej...

Czisman spojrzał uważnie na mężczyznę i nagle poczuł tę samą chęć poznania prawdy o człowieku, która popchnęła go do zawodu dziennikarskiego. Pragnienie poznania ludzi. Nie po to, aby ich wykorzystywać, odsłaniać, kierować nimi, lecz zrozumieć i wyjaśnić motywy ich postępowania.

Kim jest ten człowiek? Gdzie mieszka? Jakie są jego marzenia? Jakich niezwykłych czynów dokonał? Czy ma rodzinę? Co lubi jeść? Lubi muzykę czy malarstwo?

Czy lepiej byłoby dla niego, aby żył swoim nędznym życiem, czy aby umarł teraz, zanim ból i smutek zabiorą go na drugą stronę.

Nagle Czisman zauważył kątem oka, że otworzyły się drzwi furgonu. Jef-ferson i Cage wyskoczyli ze środka, po chwili pojawiła się Lukas.

Biegli.

Czisman położył pieniądze i wstał ze stołka.

— Hej, nie chcesz posłuchać o mojej ciężarówce?

Nic nie mówiąc, olbrzymi mężczyzna skierował się w stronę drzwi. Otworzył je gwałtownym ruchem i ruszył za biegnącymi agentami.

18

Przed odprawą u Jerry'ego Bakera dwóch jego agentów zna-18 2⁵ lazło kryjówkę szantażysty.

Znajdowała się w odrapanym piętrowym domu, obok placu po wyburzonej kamienicy. Miejsce to wymieniono w spisie pozwoleń na budowę. Pył gliniany i ceglany był wszędzie.

— Pokazaliśmy zdjęcie szantażysty parze przechodzącej przez ulicę. Widzieli go trzy lub cztery razy w ciągu ostatniego tygodnia. Zawsze szedł szybko ze wzrokiem spuszczonego w dół. Nie zatrzymywał się i z nikim nie rozmawiał.

Ponad dwudziestu agentów i policjantów rozlokowało się wokół budynku.

— Które mieszkanie zajmował? — spytała Lukas.

— Na dole. Ewakuowaliśmy ludzi z mieszkania na piętrze.

— Rozmawiałeś z właścicielem? Podał jego nazwisko? — zapytał Parker.

— Zarządzający tym mieszkaniem powiedział, że najemca nazywał się Gilbert Jones — poinformował agent.

Do diabła... Znów to fałszywe nazwisko.

Agent kontynuował: — Numer na karcie ubezpieczeń społecznych należał do kogoś, kto umarł pięć lat temu.

Przyłączając się do Internetu, też podał nazwisko Gilbert Jones. Tak samo na karcie kredytowej. Wpłacił

pieniądze do banku, aby pokrywać wydatki. Podał tam adres tego domu.

— Wchodzimy teraz? — spytał Parker.

Cage spojrział na Lukas. — Zapraszam na salony. Baker rozmawiał chwilę z Gellerem, który uważnie wpatrywał się w ekran swojego laptopa. W stronę domu skierowanych było kilka czujników.

— Nie wykryłem żadnych źródeł ciepła — poinformował Geller. — Zarejestrowałem jedynie szum powietrza w grzejnikach i sprężarce lodówki. Stawiam dziesięć do jednego, że nic nam nie grozi w tym mieszkaniu, jednak możecie ubrać odzież ochronną, jeśli chcecie. Niektórzy źli chłopcy potrafią zachowywać się bardzo, bardzo cicho.

— Pamiętajcie, że facet potrafił przygotować tłumik? Zna się na rzeczy — dodała Lukas.

Baker skinął głową i założył kamizelkę kuloodporną i hełm. Wezwał kilku agentów:

— Odcinamy światło, wysadzamy drzwi i dostajemy się do środka jednocześnie głównym wejściem i przez okno sypialni. W przypadku zagrożenia macie zielone światło. Są pytania?

Nie było żadnych. Agenci szybko zajęli pozycje. Poruszali się bezszelestnie. Słysząc było jedynie cichy szcęk wydawany przez ich ekwipunek.

Parker stał z tyłu i patrzył na Lukas, której wzrok skupiony był na drzwiach wejściowych. Nagle odwróciła się i spojrzała chłodnym wzrokiem na Parkera. Po chwili znów obserwowała drzwi.

Do diabła z nią — pomyślał. Był zły, że zbeształa go za brak broni przy sobie. Nie była mu przecież potrzebna.

Nagle zgasły światła w domu i słysząc było głośny wybuch. Agenci wysadzili drzwi. Parker widział światła latarek umieszczonych na lufach pistoletów maszynowych.

Spodziewał się, że usłyszy krzyk: „Stój. Na ziemię. FBI...”, ale panowała cisza. Po kilku minutach ze środka wyszedł Jeny Baker i zdjął hełm. — Czysty.

Włączono światła w domu.

— Sprawdźmy jeszcze, czy nie ma jakichś pułapek, min. Za kilka minut będzie można wejść.

W końcu agent zawołał: — Bezpieczny.

Parker ruszył w kierunku drzwi, mówiąc w myślach swoją prywatną modlitwę: Proszę, pozwól nam cokolwiek znaleźć: jakieś ślady, odciski palców, kartkę z zapisanym na niej miejscem następnego ataku albo przynajmniej coś, co pozwoli określić, skąd pochodził szantażysta. Abyśmy mogli przeszukać archiwa i znaleźć diabelskie łyzy nad / i y. Pozwól nam skończyć tę bardzo trudną pracę, abyśmy mogli wrócić do domów, do swoich rodzin.

Cage wszedł pierwszy. Za nim podążyli Parker i Lukas, idący obok siebie w milczeniu.

Wewnątrz było chłodno. Oślepiające światło raziło w oczy. Mieszkanie sprawiało

przygnębiające wrażenie.

Ściany pomalowane były jasnozieloną farbą emaliową. Podłoga miała kolor brązowy, chociaż większość farby już się złuszczyła. Wszystkie cztery pokoje były niemal puste. W pokoju gościnnym stał komputer na biurku, a obok zmurszały fotel ze zbutwiałym obiciem i jakieś stoliki. Parker nie mógł jednak dostrzec żadnych notatek, kartek papieru lub innych dokumentów.

— Mamy ubrania — zawołał jakiś agent z sypialni.

— Sprawdź metki — nakazała Lukas.

Parker spojrział na okno. Zastanowiła go dieta szantażysty. Przy wpół-otwartym oknie stało pięć dużych butelek z sokiem jabłkowym i zniszczony metalowy garnek, wypełniony jabłkami i pomarańczami.

— Może skurwiel cierpiał na zaparcie. Mam nadzieję, że bardzo go bolało — powiedział Cage.

Parker roześmiał się.

Lukas zawołała Tobe'a Gellera i poleciła mu sprawdzić zawartość plików w komputerze.

Po kilku minutach Geller siedział już przy biurku i rozgarniając palcami swoje kręcone włosy, przyglądał się uważnie komputerowi. W pewnym momencie rozejrzał się po pokoju.

— Coś tu cuchnie — powiedział. — Co to może być?

Parker także wyczuł słodki zapach jakiejś substancji chemicznej. Farba z grzejników — pomyślał.

Młody agent trzymał w ręku przewód zasilający i wyjaśniał: — Istnieje niebezpieczeństwo, że w przypadku niewłaściwego uruchomienia zainstalowany wirus wyczyści twardy dysk. Wtedy trzeba go szybko wyłączyć i zająć się komputerem w naszym laboratorium. Okay, zobaczymy.

----- 153 -----

Wcisnął przycisk.

Komputer cicho zafurkotał. Geller był przygotowany, aby szybko wyciągnąć wtyczkę. Po chwili uśmiechnął się.

- Pierwsza przeszkoda za nami — powiedział, wypuszczając z ręki przewód. — Teraz potrzebne jest hasło.

— Pewnie zajmie to całą wieczność — mruknęła Lukas.

— Nie będzie tak źle... — Geller sprawnie wyjął z komputera jakiś moduł. Na ekranie pojawił się napis:

„Instalacja Windows95”.

- To wystarczy, aby znaleźć hasło?

— Chyba. — Geller otworzył aktówkę i wyjął Zipa. — Przenieść zawartość twardego dysku. Zajmie mi to kilka minut.

Zadzwoił telefon Lukas. Wysłuchiwała informacji. — Dziękuję. Rozłączyła się, wyraźnie niezadowolona.

— Korzystał wyłącznie ze standardowego serwisu. Nic nie wysyłał — powiedziała.

Do diabła, był sprytny — pomyślał Parker. Swojego rodzaju mistrz łamigłówek.

Trzy jastrzębie porывały kurczaki z farmy...

— Znalazłem coś w sypialni — usłyszeli głos.

Agent wszedł do pokoju. Na rękach miał gumowe rękawiczki. W jednej z nich trzymał notatnik z żółtymi kartkami pokrytymi pismem i znakami.

Serce Parkera mocniej zabiło.

Otworzył walizeczkę i wyjął z niej gumowe rękawiczki. Wziął kartki od agenta i usiadł przy stojącym obok komputera stole. Włączył lampkę. Z pomocą lupy uważnie studiował pierwszą kartkę. Od razu rozpoznał pismo szantażysty. Znał je tak dobrze jak własne i Ktosiów.

Łza diabła nad małym i.

Na pierwszej kartce pełno było machinalnie napisanych wyrazów i znaków. Parker Kincaid wierzył, że istnieje związek między stanem umysłu a pismem. Osobowość człowieka nie ujawnia się poprzez sposób pisania liter (był to nonsens, w który wierzyła Lukas), ale właśnie poprzez znaki, zapiski, rysunki na marginesie robione w czasie, gdy myślimy o czymś innym.

W badanych przez siebie dokumentach Parker widział tysiące takich rysunków: noże, pistolety, powieszonych mężczyzn, zabite nożem kobiety, genitalia, diabły, wyszczerzone zęby, przebite szpilkami figurki, samoloty, oczy. Ale rysunki szantażysty przedstawiały coś zupełnie nowego: labirynty.

A zatem to miłośnik łamigłówek.

V

Parker próbował je rozwiązać. Były wyjątkowo trudne. Na kartce znajdowały się jakieś notatki, ale jego myśli wciąż wracały do labiryntów. Czuł, że musi je rozgryźć. Leżało to w jego naturze, było to silniejsze od niego.

Ktoś stanął obok niego. Margaret Lukas. Patrzyła na kartkę.

— Są zawile — stwierdziła.

Parker podniósł na nią wzrok. Nogą dotykała jego ramienia. Miała umięśnione uda. Dużo biega — pomyślał.

Wyobraził ją sobie, jak w niedzielny poranek wraca z biegu: spocona i czerwona z wysiłku.

Ponownie skupił się na labiryncie.

— Musiało zająć mu to dużo czasu — powiedziała, schylając się nad kartką.

— Niekoniecznie. Labirynty tworzy się łatwo. Najpierw rysujesz drogę wyjścia, a potem dołączasz następne —

fałszywe.

Łamigłówki są zawsze łatwe, jeżeli znasz odpowiedź. Ponownie spojrzała na niego i odeszła, by pomóc przeszukiwać materac. Jak w życiu, prawda?

Parker odłożył pierwszą kartkę. Następna zapisana była maczkiem. Na dole zauważył kolumnę. Dwie pierwsze pozycje brzmiały:

Stacja metra na placu Duponta — 9 przed południem. Teatr George 'a Masona, łoża nr 58 — 4 po południu.

Mój Boże — pomyślał. To przecież rzeczywiste cele ataku Diggera! Uniósł wzrok i zawołał Cage'a. — Chodź

tutaj!

W drzwiach pojawiła się Lukas i krzyknęła: — Czuję ciągle zapach benzyny! Ale skąd?

Benzyna? Parker zerknął na Tobe'a, który zmarszczył czoło. Tak, to ten sam zapach, który czuli wcześniej.

— Jezus Maria! — Parker spojrzał na butelki z sokiem jabłkowym. To była pułapka, na wypadek, gdyby policja odkryła kryjówkę!

— Cage! Tobe! Na zewnątrz! — Zerwał się z krzesła na równe nogi. — Butelki!

Geller spojrzał na nie. — Bez paniki. Sam widzisz, nie ma zapalnika. Możesz...

Strumień pocisków wpadł przez okno, rozbijając stół w drobne kawałki. Benzyna z roztrzaskanych butelek rozprysła się po ścianach i podłodze.

155

Tysiące, miliony niewidzialnych pocisków.

^ O At\ Więcej niż Parker kiedykolwiek widział w czasie swojego pobytu w Quantico.

Kawałki metalu, drewna i szkła unosiły się w pokoju. Parker padł na podłogę. Uniósł się i chciał zabrać z biurka bezcenne kartki, lecz seria pocisków odcięła mu drogę. Znow przywarł do podłogi przy ścia-nie.

Lukas i Cage wyczołgali się na korytarz. Wyjęli pistolety i wzrokiem poszukiwali strzelca. Przez telefony wzywali pomocy. Krzyczeli. Siedzący na krześle Geller odepchnął się od biurka i upadł na plecy. Monitor komputera implodował trafiony kilkoma pociskami. Parker mocniej przywarł do podłogi, gdy seria z pistoletu przeszła powietrze tuż nad nim i uderzyła w ścianę.

Był przerażony. Tak samo jak śmierci bał się zranienia. Co będzie, gdy dzieci zobaczą go w szpitalu. Nie będzie mógł się nimi opiekować.

Nastąpiła krótka cisza. Parker ruszył w kierunku Tobe'a Gellera.

Ale Digger, który być może znajdował się na dachu, zaczął strzelać do metalowego garnka z owocami. Został

tam postawiony nieprzypadkowo. Iskry powstałe w wyniku uderzenia pocisków w metal

spowodowały zapłon par benzyny. Nastąpił głośny wybuch.

Podmuch gorącego powietrza wyrzucił Parkera na korytarz. Upadł obok Cage'a.

— Idę, Tobe! — krzyknął i próbował dostać się do pokoju, jednak ściana ognia w drzwiach uniemożliwiła wejście do środka.

Agenci kulili się w korytarzu bez okien. Lukas i Cage bez przerwy dzwoniли. — ...może na dachu! Nie wiemy...

Wezwijcie straż pożarną... Gdzieś na zewnątrz! Gdzie on, u diabła, jest?!

Digger ciągle strzelał.

— Tobe! — krzyknął ponownie Parker.

— Pomocy! Niech ktoś mi pomoże! — wołał Geller.

Parker poprzez płomienie zauważył, że młody agent wije się na podłodze. Przypuszczalnie został trafiony. Całe mieszkanie płonęło, ale Digger ciągle strzelał. Wypróżniał kolejne magazynki swojej straszliwej broni. Wkrótce Parker stracił Gellera z oczu. Wydawało mu się, że stół, na którym leżały żółte kartki, doszczętnie spłonął. Nie, nie! Zapiski zamieniły się w popiół.

Słysząc było głosy.

— ...gdzie on jest?

— ...strzela. Gdzie? Ma tłumik i wygaszacz błysków. Nie widzę go. Nic nie widzę.

— Kurwa, ciągle strzela! Jak go tu wynieść?! Jezu...

— Tobe! — krzyknął Parker i ponownie chciał się dostać do pokoju wypełnionego tańczącymi płomieniami i czarnym dymem. Jednak odrzucił go żar bijący z pomieszczenia i kolejna seria pocisków.

Strzelanina trwała.

— ...to okno! Nie, spróbuj inne!

— Wezwijcie straż! Powinna już tu być! — wrzeszczał Cage.

— Już jadą! — krzyknęła Lukas.

Wkrótce odgłosy pożaru zagłuszyły rozmowy agentów.

Można było tylko słyszeć wołania biednego Tobe'a Gellera: — Pomocy! Proszę! Niech mi ktoś pomoże! — Jego głos był coraz cichszy.

Lukas podjęła ostatnią próbę dostania się do pokoju, ale spadający fragment sufitu omal jej nie zmiażdżył.

Krzyknęła i upadła na plecy. Oszołomiony dymem Parker pomógł jej wstać. Płomienie zaczęły wypełniać korytarz.

— Tobe, Tobe... — wołała, gwałtownie kaszłąc.

— Wychodzimy! — krzyknął Cage. — Teraz!

Torując sobie drogę wśród płomieni, powoli dotarli do drzwi wejściowych.

W panice Parker pomyślał, że chciałby być głuchy i ślepy: żeby nie słyszeć głosu Tobe'a Gellera dochodzącego z pokoju i żeby nie widzieć spustoszeń i bólu zadanego tym dobrym ludziom, ludziom mającym rodziny i dzieci.

Jednak Parker nie był ani głuchy, ani ślepy. Znajdował się w samym środku piekła. W prawej ręce trzymał

pistolet, natomiast lewym ramieniem podtrzymywał Lukas, pomagając jej opuścić zadymiony korytarz.

Słuchaj, Kincaid, żyteś przez ostatnie pięć lat na Ulicy Sezamkowej...

— ...nie wiemy, skąd strzela... nie widać błysków na lufie... Jezu, co to... — słyhać było głos Jerry'ego Bakera lub kogoś innego.

Przy drzwiach ktoś się potknął, chyba Cage.

Chwilę później Parker i agenci wydostali się na mroźne powietrze. Mimo kaszlu i gryzącego w oczy dymu Cage i Lukas instynktownie przyjęli postawę obronną, taką jak pozostali agenci. Przetarli oczy i obserwowali dachy budynków. Parker ukrył się za drzewem.

C.P. Ardeł przyciskał do ramienia karabinek M-16, natomiast Hardy wymachiwał małym rewolwerem i rozglądał się wokół. Jego oczy wyrażały mieszaninę strachu i niepewności. Nie mogli znaleźć celu.

----- 157 -----

Lukas i Jerry Baker wymienili spojrzenia. — Gdzie? Gdzie, u diabła, on jest?

Agent operacyjny ruszył aleją znajdującą się za nimi.

Cage miał nudności, nawdychał się dymu.

Baker rozmawiał przez swój telefon: — Noworocznik Dwa... On strzela pod niewielkim kątem, z góry, od wschodniej strony... Gdzie?... Okay... Bądźcie ostrożni. — Nie odzywał się przez dłuższą chwilę, obserwował

budynek w pobliżu. Uniósł głowę — dostał kolejną wiadomość. Słuchał i po chwili powiedział: — Nie żyją? O

Boże... Uciekł?

Wyprostował się i schował broń do kabury. Podeszedł do Cage'a, który wycierał usta.

— Był w budynku za nami. Zabił małżeństwo mieszkające na piętrze. Zniknął gdzieś' w alei. Uciekł. Nikt go nie widział.

Parker zerknął w kierunku ruchomego stanowiska. Zobaczył Evansa wyglądającego przez okno. Doktor patrzył

na ten ponury spektakl z wyrazem oszołomienia na twarzy. Może i był ekspertem zajmującym się przestępczo-

ścią kryminalną, ale podobnie jak Parker, przypuszczalnie po raz pierwszy zetknął się z nią bezpośrednio.

Parker spojrzał na płonący budynek. Płomienie były wszędzie. Nikt nie był w stanie przeżyć w tym piekle.

Tobe...

Rozległy się syreny. Z obu stron ulicy pędziły wozy strażackie.

Przepadły dokumenty. Do diabła, a miał je już w swoich rękach! Żółty notatnik z kolejnymi celami ataku Diggera. Czemu nie spojrzał na kolumnę dziesięć sekund wcześniej? Dlaczego tracił czas, przyglądając się labiryntom? Poczł, że dokumenty są jego wrogiem i starają się go rozproszyć, aby dać czas Diggerowi.

Do diabła. Jeżeli...

— Hej — ktoś' krzyknął. — Pomóźcie mi!

Parker, Lukas i Cage odwrócili się w stronę agenta w kurtce FBI. Biegł do nich wąską ulicą obok płonącego domu.

— Tam ktoś' jest — wołał.

Na ziemi leżał człowiek otoczony chmurą niebieskawego dymu. Parker sądził, że nie żyje. Ten jednak uniósł

głową i wydobył z siebie chrapliwy głos: — Zgaście to. Stłumcie ogień.

Parker wytarł łzy cisnące się do oczu podrażnionych dymem. Na ziemi leżał Tobe Geller.

— Zgaście to! — wykrztusił i zaniósł się kaszlem.

— Tobe! — Lukas znalazła się przy Parkerze.

----- 158 -----

Miody agent musiał wyskoczyć przez okno. Znajdował się na linii ognia prowadzonego przez Diggera, ale ten widocznie go nie zauważył albo uznał, że nie warto strzelać do ciężko rannego mężczyzny.

Pojawił się lekarz. — Gdzie zostałeś trafiony? Gdzie cię boli?

Lecz Geller krzyknął tylko szaleńczym głosem: — Zgaście to! Zgaście ogień!

— Zaraz to zrobią. Są już wozy strażackie. — Lekarz schylił się nad nim. — Ale my musimy...

— Na Boga, nie! — Mocno odepchnął lekarza i spojrzał na Parkera. — Notatnik! Pali się! — wskazał na niewielki ogień niedaleko swojej nogi. O tym mówił Geller, a nie o płonącym budynku.

Parker zobaczył płonącą kartkę z narysowanymi skomplikowanymi labiryntami.

W jednej sekundzie Tobe Geller musiał podjąć decyzję, żeby zostawić dyskiety komputerowe i wynieść notatki szantażysty.

A teraz notatnik płonął. Kartka z zapiskami zamieniła się w czarny popiół. Parker zdarł z siebie kurtkę i ostrożnie przykrył nią płomienie.

— Spójrzcie! — ktoś' krzyknął. Parker podniósł wzrok i zobaczył, że duży kawałek ze ściany budynku upadł

metr od nich. Trysnął snop iskier. Dalej Parker nie zwracał na to uwagi. Ostrożnie zdjął kurtkę z notatnika.

Buchnęły płomienie ze ściany znajdującej się za nimi. Wydawało się, że dom zapada się i przesuwa.

— Musimy stąd uciekać — powiedział lekarz i przywołał swojego kolegę, który przybiegł z noszami. Ostrożnie położyli na nich Gellera i wymijając leżący gruz, truchtem pobiegli w kierunku samochodu.

— Odsuńcie się stąd! — krzyknął mężczyzna w strażackim kombinezonie. — Musimy zwalić ścianę.

Przygniecie was.

— Moment — odparł Parker. Spojrzał na Lukas. — Uciekaj!

— Parker, nie możesz tu zostać.

— Popiół jest bardzo delikatny! Nie mogę tego ruszać. Gdybym podniósł notatnik, spopielone kartki zamieniłyby się w proszek. Stracilibyśmy szansę na ich odczytanie. — Parker pomyślał o walizce, w której miał

buteleczkę pa-rylenu, służącego do zabezpieczania zniszczonego papieru. Niestety, walizka została w płonącym domu. Jediną rzeczą, jaką mógł zrobić, to osłonić ostrożnie popiół i w laboratorium próbować odczytać tekst.

Z dachu, pół metra od niego, spadła rynna.

— Niech pan idzie stąd! — wrzasnął strażak.

— Parker! — Lukas krzyknęła ponownie. — Chodź! — Odbiegła kilka kroków, ale zatrzymała się i patrzyła na niego.

____ i <jq ____

~ 1. *J~s ~

Parker podbiegł do okna w mieszkaniu obok kryjówki szantażysty i kopniakiem wybił szybę. Wybrał cztery duże kawałki szkła. Wrócił z nimi do notatnika, który leżał na ziemi jak ranny żołnierz. Klęknął i zaczął bardzo ostrożnie umieszczać na kawałkach szkła fragmenty dwóch spalonych kartek z zapiskami.

Szczapy płonącego drewna spadały obok niego. Strażacy skierowali strumienie wody na ścianę znajdującą się za nimi.

— Przerwijcie — krzyknął do nich, wymachując ręką. Obawiał się, że woda może zniszczyć bezcenny dokument.

Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi.

— Parker — krzyczała Lukas. — Ściana zaraz się zawali!

Dwa duże fragmenty muru spadły na ziemię. Jednak Parker był nieporuszony. Spalone kartki bardzo ostrożnie umieszczał na kawałkach szyb.

Gdy obok niego pełno już było cegieł i płonących belek, podniósł się powoli i niosąc szklane kanapki z kartkami papieru, odszedł od płonącego domu. Poruszał się ostrożnie, małymi krokami, jak kelner z kieliszkami wina na eleganckim przyjęciu.

Inne ujęcie.

Pstryk.

Henry Czisman stał w alei prostopadłej do ulicy z płonącym domem. Iskry majestatycznie wznosiły się w górę.

Odnosił wrażenie, że obserwuje z dużej odległości pokaz sztucznych ogni.

Tylko to się liczyło — zarejestrować wydarzenia.

Tragedia trwa krótko, lecz ból i smutek nie przemija. Jest wieczny.

Pstryk.

Zrobił kolejne ujęcie swoim aparatem cyfrowym.

Policjant leżący na ziemi, być może zabity, być może ranny.

Być może udaje zabitego. Kiedy Digger przybywa do miasta, ludzie robią wszystko, aby przeżyć. Tracą odwagę i starają się być niezauważeni. Czisman widział to już wcześniej.

Ujęcie: wali się ściana budynku. Snopy iskier.

Ujęcie: policjant ranny w twarz.

Ujęcie: odbicie płomieni na chromowanych powierzchniach wozów strażackich.

Czisman był zły, że przybył na miejsce tak późno. Słyszał, jak policjanci mówili, że Digger się wymknął.

Poruszał się wprawdzie za agentami, ale ponieważ ulice były puste, musiał zachowywać odpowiednią odległość.

Nie mógł być zauważony. I tak dużo ryzykował, idąc do biur FBI.

----- 160 -----

Pstryk...

Za późno. Gdy dotarł do budynku, ogień już się rozprzestrzenił. Mógł już tylko sfotografować wybiegających z niego policjantów i agentów.

Pstryk, pstryk, pstryk... Nigdy za dużo ujęć. Chciał mieć każdy szczegół wydarzeń.

W górze ulicy zauważył kilku agentów, którzy rozmawiali z przechodniami.

Czym oni sobie zawracają głowę? Digger pojawił się i Digger zniknął.

Czisman wiedział, że powinien już odejść. Mogą go zauważyć.

Chciał włożyć aparat do kieszeni, ale po raz kolejny spojrzął na płonący dom. Tak, tak. Jeszcze to. Muszę to mieć.

Podniósł aparat i nacisnął przycisk.

Ujecie: Mężczyzna, który został przedstawiony jako Jefferson, stoi pochylony nad maską samochodu i stara się coś przeczytać. Książkę? Magazyn? Nie, błyszczy to jak fragment szyby. Można jedynie zobaczyć, że mężczyzna zdejmuje kurtkę i bardzo ostrożnie owija w nią kawałki szkła. Zachowuje się jak ojciec, który ubiera dzieci przed ich wyjściem na spacer w mroźnym, nocnym powietrzu.

Pstryk.

Po pierwsze — wesprzeć burmistrza.

Po drugie — nie obciążać FBI.

Dziennikarz telewizyjny Slade Phillips siedział w kawiarni przy placu Duponta. Przy stacji metra wciąż parkowało kilkadziesiąt pojazdów służb ratowniczych. Ich światła rozpraszały wieczorny mrok. Żółte taśmy policyjne były wszędzie.

Phillips pokazał swoją legitymację dziennikarską i dostał się na teren obstawiony przez policję. Nie mógł wyjść z szoku spowodowanego tym, co zobaczył na dole ruchomych schodów: kałuże krwi, kawałki kości, włosy.

On...

— Przepraszam — usłyszał kobiecy głos. — Slade Phillips z WPLT?

Dziennikarz był skazany na takie zaczepki. Nikt nie mówił do niego: proszę pana. Spojrzął na zalotnie zachowującą się blondynkę. Chciała dostać autograf. Złożył go więc.

— Pan jest taki uroczy, porządny — powiedziała.

— Dziękuję. Odejdź.

— Też chciałabym zobaczyć się kiedyś w telewizji...

— Może się pani uda. Odejdź.

----- 161 -----

Stalą przez chwile, ale ponieważ nie zaprosił jej do stolika, odeszła. Na nogach miała buty na wysokich obcasach. Idąc, przypominała Slade'owi antylopę.

Pił kawę bez kofeiny. Nie był w stanie pojąć rozmiarów tragedii w metrze. Jezu... Wszędzie krew. Dziury po pociskach w betonie i w metalu... Kawałki mięsa i kości.

I buty. Kilka par zakrwawionych butów leżało na dole schodów. Właśnie one robiły najbardziej przerażające wrażenie.

To była tragedia, o jakiej marzą ambitni dziennikarze.

Jesteś reporterem, zrób reportaż.

Jednak Phillips nie chciał zajmować się masakrą. Nienawidził przemocy. Chory umysł mordercy go przerażał. A zresztą... ostatecznie ja nie jestem reporterem. Powinienem to powiedzieć temu ulizanemu kutasowi — Wendy'emu Jefferiesowi. Jestem prezenterem, gospodarzem programów. Jestem bohaterem opery mydlanej. Jestem osobowością telewizyjną.

Siedział jednak głęboko w kieszeni Jefferiesia.

Robił to, co on mu kazał.

Zastanawiał się, czy burmistrz Jerry Kennedy wie o jego układzie z Jefferiesem. Prawdopodobnie nie. W

odróżnieniu od poprzednich burmistrzów Kennedy był w stanie stawić czoła przeciwnościom. Slade Phillips znalazł się na ludziach. Burmistrz uporał się z problemami miasta do następnych wyborów, w których prawdopodobnie przegra.

Jego Projekt 2000... te dodatkowe podatki na firmy działające w mieście. Narobiło to dużo złej krwi. Okazał się Wielkim Inkwizytorem w sprawie skandalu związanego z budową szkół. Było wiele zamieszania, gdy postanowił zapłacić Garry'emu Mossowi, żeby ten ryzykował życie i zeznawał w procesie. Kennedy zdecydował się też usunąć wszystkich zamieszanych w afery korupcyjne, nie wyłączając swoich przyjaciół.

Phillips wytłumaczył sobie jakoś swoje postępowanie. Robił to w imię większego dobra.

Wypił trochę bezkofeinowej kawy. Był przekonany, że prawdziwa kawa zaszkodziłaby jego wspaniałemu barytonowi.

Wyjrzał przez okno i zauważył mężczyznę, na którego czekał. Facet był niski i szczupły. Pracował jako urzędnik w Centrali FBI. Phillips znał go od roku. Był jednym ze źródeł informacji, które chcą pozostać anonimowe. Jego uczciwość pozostawiała wiele do życzenia, ale w dziennikarstwie telewizyjnym obowiązują inne standardy.

Urzędnik, który miał na imię Timothy, spojrzał na Phillipsa i wszedł do kawiarni, rozglądając się jak niedoświadczony szpieg.

----- 162 -----

Facet był gościem w Centrali FBI, ale powiedział Phillipsowi, że jest wtajemniczony w większość spraw, które prowadzi Biuro. Zarozumiały jak mało kto — pomyślał Phillips.

— Szczęśliwego Nowego Roku — zaczął Timothy i usiadł. Wyglądał jak motyl przypięty do ściany szpilkami.

— Tak, tak — odrzekł Phillips.

- Czy mają tutaj coś dobrego? Chyba musakę. Lubię musakę...

- Nie mamy czasu na jedzenie. Musimy porozmawiać.

— A coś do picia?

Phillips przywołał kelnerkę i zamówił kawę bezkofeinową dla siebie i normalną dla Timothy'ego.

— Hm... — patrzył ten niezadowolony. — Wolałbym piwo. Dziennikarz pochylił się i zaczął mówić szeptem:

— Ten szaleniec. Morderca na stacji metra. Co o nim wiesz?

- Oni nie wiedzą zbyt wiele. To jakaś niesamowita sprawa. Niektórzy mówią o organizacji terrorystycznej, inni o prawicowej milicji, jeszcze inni utrzymują, że chodzi o okup. Nie wiadomo nic pewnego.

— Muszę się na kimś skupić — powiedział Phillips.

• — Co to znaczy — Timothy spojrzał na sąsiedni stół, przy którym jakiś mężczyzna jadł musakę.

— Kennedy ma dobry pomysł, ale oni nie kontaktują się z nim. To nie jest w porządku.

— Dlaczego? To głupiec.

Dziennikarz nie zamierzał dyskutować. Wziął dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i niezależnie od tego, co się wydarzy, zamierza udowodnić światu, że burmistrz nie jest głupcem. — Co robi Dziewiąta Ulica? — zapytał.

— FBI? To bardzo trudna sprawa — odparł Timothy, który zamierzał zostać agentem, ale nie

osiągnął tego celu, podobnie jak i innych, które sobie postawił. — Robią wszystko, co w ich mocy. Znaleźli kryjówkę szantażysty. Słyszałeś?

— Tak. Ale znów im uciekł.

— My nigdy nie mieliśmy do czynienia z tak przebiegłym przestępcą. My?

Phillips kiwał głową ze zrozumieniem. — Słuchaj. Ja chcę pomóc waszym ludziom. Dlaczego nie wyemitujemy zaplanowanego reportażu. I dlatego chciałem z tobą porozmawiać.

W pełnych podejrzliwości oczach Timothy'ego pojawił się błysk. — Reportaż? Planowaliście?

— Właśnie — odparł Phillips.

---- 163 —

— O czym?

— O wpadce w „Mason Theater”.

— Jakiej wpadce? Powstrzymali go. Zginęło niewiele osób.

— Nie tak do końca — odparł Phillips. — Prawda jest taka, że mogli schwytać przestępcę, ale wypuścili go z rąk.

- FBI nie popełniło błędu — bronił się Timothy. — To była operacja najwyższego ryzyka. Takie są najtrudniejsze. To nie jest ich wina, że morderca uciekł.

Operacja najwyższego ryzyka. To określenie Timothy wziął raczej z książek Toma Clancy'ego. Na pewno nie usłyszał go w biurach FBI. —• Oczywiście. Ale dodaj do tego inne plotki...

— Jakie inne plotki?

— Kennedy chciał zapłacić okup, ale FBI zastawiło pułapkę na szantażystę. Gdy tylko podnieśli swoje tyłki, morderca szybko się o tym dowiedział i teraz zabija ludzi dla samego zabijania.

— Gówna prawda!

— Ja też nie... — zaczął Phillips.

— To nie jest w porządku — jęknął Timothy, wchodząc mu w słowo. — Mamy agentów rozrzuconych po całym mieście, a powinni być w swoich domach, z rodzinami. Są święta. Będę tym ludziom robił kawę przez całą noc...

— Zawiesił głos, zdając sobie sprawę, że ujawnił swoją funkcję w Centrali.

Phillips szybko zagaił: — Ja też tak nie myślę. Mówię tylko, jaki reportaż był planowany. Zginęli ludzie.

Musimy kogoś wskazać palcem.

- Cholera!

— Czy jest ktoś, na kim możemy się skupić?

— Może policja Dystryktu? Ich można obciążyć winą.

Phillips pomyślał o tym, ile zapłaciłby mu Wendy Jefferies za reportaż piętnujący nieudolność policji, która podlegała burmistrzowi.

— Nie, to mnie nie interesuje.

Timothy pomyślał przez chwilę i uśmiechnął się. — Ja mam pomysł.

— Ale dobry? — zapytał Phillips.

— Cóż... — Timothy zmarszczył brwi. — Słyszałem coś...

— Hm, ta musaka nie wygląda tak nieźle. Zamówimy ją? — zaproponował dziennikarz.

— Okay — rzekł Timothy. — Myślę, że ten pomysł jest bardzo dobry.

m

Trzy jastrzębie

Uchwycenie różnic w piśmie jest szczególnie istotne. Powinno zwrócić się na nie uwagę. Należy dokładnie przyjrzeć się powtarzającym się wyrazom; naturalne różnice lub nienaturalną jednolitość trzeba dokładnie analizować.

ANALIZA WĄTPLIWYCH DOKUMENTÓW OSBORN & OSBORN

Oto stolica wolnego świata. 1Q flfl Serce jedyne supermocarstwa na kuli ziemskiej.

I niewiele brakowało, by Cage złamał oś w służbowym samochodzie, gdy po raz kolejny wjechał w dziurę w jezdni.

— Przekłęte miasto — warknął.

— Ostrożnie! — krzyknął Parker, który siedział pochylony nad starannie owiniętymi kawałkami szkła ze spalonymi kartkami. Trzymał je na kolanach. Mimo wysiłków nie był w stanie dostrzec zapisanych na kartce celów kolejnych dwóch ataków. Analizę spalonego dokumentu będzie musiał zająć się w laboratorium.

Jechali wzdłuż zniszczonych chodników, mijali lampy uliczne, które nie świeciły od miesięcy, i słupki po znakach drogowych. Coraz więcej było tych dziur w jezdni.

— Nie wiedziałem, w jakim mieście mieszkam.

W samochodzie, oprócz Cage'a, siedzieli Parker i doktor Evans. Pędzili ciemnymi ulicami do biur Centrali.

— I jeszcze ten pierdolony śnieg się rozpadał — dodał Cage.

165

Usuwanie śniegu nie było najmocniejszą stroną miasta i zadymka śnieżna mogła utrudnić działanie grup Jerry'ego Bakera, gdyby odkryto kryjówkę Diggera lub miejsce kolejnego ataku.

Evans rozmawiał przez swój telefon komórkowy — przypuszczalnie z rodziną. Używał zdrobnień, jakby mówił

do małych dzieci, ale prawdopodobnie po drugiej stronie telefonu była jego żona. Parkerowi wydawało się dziwne, że psycholog może mówić w ten sposób do dorosłej osoby. Ale nie tak do końca. Przecież on sam, gdy Joan była pijana albo w złym humorze, postępował z nią, jakby miała dziesięć lat.

Cage też wyciągnął swój telefon i zadzwonił do szpitala. Zapytał o stan zdrowia Gellera.

Kiedy skończył, poinformował Parkera: — Szczęściarz. Zatrucie dymem. Złamał też duży palec u nogi, jak wyskakiwał przez okno. Nic poza tym. Przez noc pozostanie w szpitalu.

— Zasłużył na pochwałę — zasugerował Parker.

— Pewnie.

Parker ponownie dostał ataku kaszlu. Nie czuł się najlepiej. Wciąż odczuwał skutki zatrucia dymem.

Przejechali kilka kolejnych przecznic w milczeniu. — Cóż... — odezwał się Cage.

— Cóż... — powtórzył Parker. — Co cię meczy?

— Zabawimy się jeszcze dzisiaj? — rzucił Cage i zaczął pukać w kierownicę.

Parker nie odpowiedział. Przyglądał się spalonym kartkom papieru. Cage wyprzedził jakieś wolno jadące auto.

Po chwili zapytał Parkera:

— Jak tam z twoim życiem uczuciowym? Widujesz się z kimś?

— Teraz nie.

Minęło już dziewięć miesięcy od czasu, gdy rozstał się z Lynne. Była od niego o dziesięć lat

młodsza. Była ładna i miała wysportowaną sylwetkę. Bardzo przyjemnie spędzali czas: wspólnie biegali, jedli obiady, robili wycieczki do Middleburg. Lubił jej spontaniczność, poczucie humoru (kiedy pierwszy raz przyszła do jego domu i zauważyła podpis Franklina Delano Roosevelta, z poważną twarzą powiedziała: „Znam Franklina.

Wynalazł piorunochron”). Jednak — jak to się zdarza w przypadku niektórych kobiet — jej instynkt macierzyński

jeszcze się nie ujawnił, mimo że miała trzydzieści lat. Wprawdzie lubiła chodzić z dziećmi do muzeum i do kina, ale nie była do nich przywiązana i, jak sądził, szybko zaczęłyby jej przeszkadzać. Miłość i poczucie humoru to nie wszystko. W końcu uzgodnili, że gdy Lynne odkryje uroki życia rodzinnego, wtedy być może zamieszkają razem. Chyba jednak oboje w to nie wierzyli.

----- 166 -----

— Siedzisz więc w domu sam? — dociekał Cage.

— Tak, z głową w piasku jak struś' Ozzie. - Kto?

— To z książki dla dzieci.

— Nie czujesz, że życie przecieka ci między palcami?

— Nie, Cage. Zajmuje się dziećmi, obserwuję, jak dorastają.

— Zauważyłem, że dzieci są dla ciebie ważne.

— Bardzo ważne.

Evans, który wciąż rozmawiał przez telefon, szepnął żonie, że ją kocha. Parkera rozstroiły te słowa. Poczul smutek.

— Co sądzisz o Lukas? — w końcu zapytał Cage.

— Co sądzę? Jest dobra. Zrobi karierę w FBI, jeżeli wcześniej nie implo-duje.

— Chyba eksploduje?

— Nie, imploduje. Jak żarówka.

— Rozumiem — roześmiał się Cage. — Nie o to pytałem. Co sądzisz o niej jako kobiecie?

Parker zakasłał. Przeszły go dreszcze na wspomnienie pożaru i strzelaniny. — Próbujesz wyswatać mnie z Lukas?

— Oczywiście, że nie, ale moglibyście zostać przyjaciółmi. Jesteś przecież sympatycznym facetem.

Moglibyście razem zamieszkać.

— Cage...

— Nie jest zamężna. Nie ma narzeczonego. Poza tym — nie wiem, czy zauważyłeś — jest bardzo zgrabna. Co?

Oczywiście, że to zauważył. Zwrócił na nią uwagę nie tylko dlatego, że była ładna. Przypomniał sobie jej wzrok, gdy patrzyła na Robby'ego. Dla kogoś, kto kocha dzieci, takie spojrzenie chwytalo za serce.

— Gdy to wszystko się skończy, nie będzie chciała mnie widzieć — powiedział jednak Cage'owi.

— Tak myślisz? — odparował Cage z ironią w głosie.

— Słyszałeś, co mówiła, gdy okazało się, że zostawiłem broń w samochodzie?

— Ale nie chciała, żebyś wziął dupę w troki i poszedł do dzieci.

— Nadepnąłem jej na odcisk, a ona tego bardzo nie lubi. I zamierzam to robić nadal, jeżeli

uznam, że mam rację.

— Tu cię mam.

— Nie rozumiem...

— Ona też tak robi. Czy wy czasem nie jesteście...

— Przestań, Cage.

_____ \f.-i _____

i w /

— Słuchaj. Ona pochłonięta jest swoją pracą — łapaniem przestępców. Przyznaje, że grzeszy odrobiną zarozumiałstwa i egocentryzmu, ale jest to jej niezbędne. Ja znam tylko jednego, lepszego od niej agenta śledczego. — Parker nie zwrócił uwagi na spojrzenie Cage'a, które towarzyszyło ostatniemu zdaniu. I wymowną cisze. — Powiem ci coś dobrego o Lukas. Jest bardzo stanowcza i potrafi zapewnić sobie bezpieczeństwo.

— O czym mówisz?

— Zaraz ci powiem. Kilka miesięcy temu włamano się do jej domu. —• A gdzie ona mieszka?

— W Georgetown.

— Tam to się często zdarza — powiedział Parker. Lubił Waszyngton, nie chciałby jednak tu mieszkać ze swoimi dziećmi.

— Wróciła z biura i zobaczyła, że drzwi do jej domu są wyłamane. Jej pies był w ogrodzie.

— Ma psa? Jakiej rasy?

— Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Duży, czarny pies. Stwierdziła, że nic mu się nie stało i nie przywołała go, tylko poszła do samochodu i wzięła z niego karabin MP-5. Sama przeszukała dom.

Parker roześmiał się. Widok szczupłej, atrakcyjnej blondynki skradającej się po domu z karabinem wyposażonym w celownik laserowy wydał mu się absurdalny. Chociaż u Lukas było to do przyjęcia.

— Cage, nie odpowiedziałeś mi na pytanie — przypomniał.

— Chciałem ci tylko powiedzieć, że Lukas nie potrzebuje nikogo, kto by się nią opiekował, jak inni. Czy nie sądzisz, że jest najlepiej, gdy kobieta i mężczyzna żyją własnym życiem? Nikt się o nikogo nie troszczy. Tak powinno być. Zapamiętaj to sobie.

Zapewne mówi o Joan — pomyślał Parker. Cage wielokrotnie u nich bywał. Parker właśnie dlatego związał się z Joan, że ona stale potrzebowała opieki. Spotkali się bezpośrednio po śmierci jego rodziców i w niej ulokował

wszystkie swoje uczucia rodzinne. Przypomniał sobie Lukas prowadzącą odprawę w Gravesend. Był

zafascynowany nie tyle jej fachowością, co samodzielnością i zdecydowaniem.

Przez chwilę jechali w milczeniu. - I miała wtedy MP-5? — rzucił.

— Tak. Opowiadała potem, że najbardziej obawiała się o dekoracje na ścianach. Sama je wykonała.

Wyobrażasz sobie, że ona wyszywa?

Wyszywa ?

— Zatrzymała włamywacza?

— Tak. Schwytała go.

----- 168 -----

Parker ponownie przypomniał sobie jej wybuch gniewu w Gravesend.

— Dlaczego ona była na mnie taka wściekła? — spytał Cage'a.

— Może ci zazdrości — odparł po chwili namysłu.

— Zazdrości? A mógłbyś jaśniej?

— Co ci będę mówił. Zachowaj to dla siebie. Jeżeli znów będzie miała do ciebie pretensje, odetnij się.

— Mówisz od rzeczy. Czego ona mi zazdrości?

— Potraktuj to jak jedną ze swoich łamigłówek. Albo sam się domyślisz, albo ona udzieli ci odpowiedzi. Nic ci więcej nie powiem.

— Dlaczego miałyby mnie interesować jej opinie o mnie? Cage nie odpowiedział. Ominął kolejną dziurę w jezdni.

Evans wyłączył telefon i nalał sobie kolejną porcję kawy z termosu. Termos był bardzo pojemny. Tym razem Parker poczęstował się kawą i wypił kilka łyków mocnego naparu.

— Jak pańska rodzina? — zapytał Parker.

— Nie poświęcam dzieciom zbyt wiele czasu — psycholog uśmiechnął się smutno.

— Ile ma pan dzieci?

— Dwoje.

— Tak jak ja. Ile mają lat?

— Są nastolatkami. — Zawahał się. — Są bardzo kłopotliwe. — Nie dodał nic więcej. — A u pana?

— Jedno ma dziewięć, a drugie dziesięć lat.

— To ma pan jeszcze przed sobą kilka lat ciszy i spokoju.

Do rozmowy wtrącił się Cage: — Najlepsze są wnuki. Wiem coś o tym. Pobawisz się z nimi trochę, a gdy się ubrudzą i wysmarują lodami, wysyłasz do rodziców. Wtedy siadasz przed telewizorem z butelką piwa i najspokojniej w świecie oglądasz mecz. Takie zajmowanie się dziećmi jest bardzo przyjemne.

Jechali przez dłuższy czas w milczeniu. W końcu odezwał się Evans:

— Wspominał pan o lękach swojego syna. Co się wtedy wydarzyło?

— Czy słyszał pan o Boatmanie?

Cage spojrzał na Parkera z niepokojem. Po chwili ponownie skupił się na prowadzeniu samochodu.

— Czytałem coś w gazetach, ale dokładnie nie pamiętam.

— Cztery lata temu na południu stanu Maryland i na północy stanu Wirginia popełnił serię zbrodni. Porywał

kobiety, gwałcił je i mordował. Ciała ukrywał w łódkach na Potomaku, Shenandoah, jeziorze Burkę w Fairfax.

Podejrzewaliśmy pewnego mężczyznę mieszkającego w Arlington, ale nie

----- 169 -----

było dowodów. W końcu można było go oskarżyć o popełnienie jednego z morderstw. Został aresztowany, ale zdołał zbiec. Właśnie procesowałem się z moją byłą żoną o opiekę nad dziećmi. Mieszkałem z nimi i gosposią w domu w Falls Church. Pewnego dnia, około północy, usłyszałem przeraźliwy krzyk Robby'ego. Wszedłem do jego pokoju. Zobaczył Boatmana usiłującego dostać się do środka.

Evans skinął głową, marszcząc brwi w skupieniu.

Jeszcze teraz, kilka lat po tym wydarzeniu, Parker drży na wspomnienie o nim. Przestraszyła go nie tyle duża, błyszcząca twarz Boatmana stojącego w oknie, ale paniczny strach, przerażenie Robby'ego. Parker nie powiedział Cage'owi i Evansowi o pięciu minutach horroru, który przeżył. Wydawało mu się, że trwa to wiecznie. Dzieci zaprowadził do pokoju gosposi i pilnował drzwi, podczas gdy Boatman buszował po domu. W

końcu, gdy nie przyjechała policja z hrabstwa Fairfax, sam wszedł do holu ze swoim służbowym rewolwerem w dłoni.

Zauważył, że Evans przygląda mu się bardzo uważnie, badając go wzrokiem. Poczuł się jak pacjent. Psycholog spostrzegł reakcję Parkera i odwrócił wzrok. — Strzelał pan do niego?

— Tak. Strzelałem.

Strzały z pistoletu są zbyt głośne! — pomyślał, wiedząc, jakie to wywrze wrażenie na Robbym i Stephanie. Myśl ta stała się jego obsesją.

Strzały z pistoletu są zbyt głośne.

Kiedy zbliżali się do biur Centrali, Evans włożył termos do plecaka i położył rękę na ramieniu Parkera.

Ponownie spojrzął na niego badawczym wzrokiem. — Czy pan wie, co powinniśmy zrobić?

Parker uniósł brwi.

— Powinniśmy pomóc złapać tego sukinsyna i wrócić do domów, do swoich rodzin. Tam jest nasze miejsce.

Amen — dorzucił w myślach.

Po powrocie do laboratorium zespół był znowu w komplecie.

Margaret Lukas rozmawiała przez telefon.

Parker patrzył na nią. Jej tajemnicze odwzajemniane spojrzenie przypomniało mu słowa Cage'a.

Może ona d zazdrości.

Lukas przeglądała swoje notatki. Parker przyjrzał się jej pismu. Metoda Palmera. Godna pozazdroszczenia precyzja i ekonomia pisma. Żadnych nielogiczności.

Hardy i C.P. Ardell stali obok i rozmawiali przez telefony komórkowe.

----- 170 -----

Parker położył szybki ze spalonymi kartkami na stole do analiz.

Lukas wyłączyła telefon. Spojrzała na Cage'a i pozostałych. — Kryjówka szantażysty doszczętnie spłonęła.

Zespół, który przeszukiwał mieszkanie, nic nie znalazł. Komputer i dyskietki uległy zniszczeniu.

— Czy przeszukano mieszkanie, z którego strzelał Digger? — spytał Ca-ge.

— Czysto jak w składnicy książek — gorzko odparła. — Tym razem znaleziono łuski, ale gdy ładował

magazynek, miał na rękach...

— ...gumowe rękawiczki — uzupełnił Parker, wzdychając.

— Tak. W mieszkaniu włożył skórzane rękawiczki. Nie znaleziono żadnych śladów.

Zadzwoił telefon. Lukas odebrała: — Halo... O tak. — Uniosła wzrok. — Dzwoni Susan Nance. Ma więcej informacji o napadach, o których mówił Czisman: w Bostonie, White Plains i Filadelfii. Włączę głośnik.

Nacisnęła przycisk.

— Susan, mów.

— Rozmawiałam z detektywami prowadzącymi śledztwo. Nigdzie nie znaleziono żadnych istotnych poszlak: odcisków palców, wiarygodnych świadków. Śledztwa nie zostały jeszcze zakończone. Wysłaliśmy zdjęcia szantażysty, ale nikt nie jest w stanie go rozpoznać. Postępowanie przestępców było bardzo dziwne.

— Co to znaczy? — spytał Parker.

— Łupy miały się nijak do okrucieństwa przestępców i liczby ofiar. W Bostonie, w sklepie jubilerskim skradziono tylko jeden zegarek.

•— Tylko jeden? — powtórzył C.P. Ardell. — Nie dał rady zgarnąć większych łupów?

— Wygląda na to, że chciał tylko wziąć zegarek. Wprawdzie był to Ro-lex, ale...

Wart około dwóch tysięcy dolarów. W White Plains wziął trzydzieści tysięcy. W Filadelfii, gdzie miały miejsce morderstwa w autobusie, okup wynosił tylko sto tysięcy dolarów.

W Waszyngtonie zażądał dwudziestu milionów. Jego apetyt rósł — pomyślał Parker. Wziął butelkę z rozcieńczonym roztworem amoniaku i zaczął oczyszczać szkło osłaniające spalone kartki papieru.

Lukas pomyślała o tym samym. — Progresywny przestępca? — zwróciła się do Evansa.

Tacy ludzie popełniają coraz poważniejsze przestępstwa.

Psycholog zaprzeczył ruchem głowy. — Nie. Z czymś takim mamy z reguły do czynienia w przypadku przestępstw o podłożu seksualnym. — Podra-

----- 171 -----

pal się po swojej krótkiej brodzie. Zapewne niedawno ją zapuścił i teraz go swędzi. — Przestępcy seksualni popełniają coraz cięższe zbrodnie, bo nie są w stanie zaspokoić swoich żądz. Natomiast w przypadku przestępstw mających na celu zdobycie pieniędzy, takie zachowanie jest bardzo rzadkie.

Parker uznał, że łamigłówka może być bardziej skomplikowana, niż wydawało się to na początku.

Albo znacznie prostsza.

Był sfrustrowany tym, że nie może znaleźć rozwiązania.

Miał przy sobie strzelbę z jednym nabojem.

W końcu oczyścił szkło i zaczął uważnie przyglądać się spalonemu kartkom. Część papieru rozsypała się w drobny popiół. Wyglądało to gorzej, niż sobie wyobrażał.

Jednak wciąż można było odczytać fragmenty pisma. W tym celu należało oświetlić spopielone kartki promieniowaniem podczerwonym. Spalony atrament lub grafit z ołówka dawały inny obraz niż czysty papier.

Parker ostrożnie umieścił kawałek szyby z popiołem w aparacie Fo-ster+Freeman. Schylił się i wziął do ręki lupę ze stołu. Ten cholerny Digger zniszczył mojego Leitza, kupionego za pięćset dolarów w sklepie z antykami

— pomyślał ze złością.

Hardy spojrział na kartkę leżącą po lewej stronie. — Labirynty. Rysował labirynty.

Parker skupił się na kartce, na której odczytał dwa pierwsze cele ataków Diggera. Miał nadzieję, że szantażysta zapisał też dwa następne: o ósmej i o północy. Jednak te fragmenty kartki były bardzo małe i wymieszane.

— Nieźle, coś widzę — mruknął. Pochylił się i skierował lupę trochę wyżej. — Chryste! — zawołał, kręcąc głową.

— Co? — rzucił C.P. Ardell.

— Dwa pierwsze cele ataków są czytelne: stacja metra i „Mason Thea-ter”, ale następne dwa... Nie mogę ich odczytać. Ostatni jest lepiej widoczny niż trzeci. Zapisz — zwrócił się do Hardy'ego.

Młody detektyw wziął pióro i notatnik z żółtymi kartkami. — Jestem gotów.

Parker zmrużył oczy. — Można odczytać: „miejsce, do którego...”. Muszę się przyjrzeć dokładniej: „miejsce, do którego cię zabrałem”. Myślnik. Następne słowo: „czarna”. Nie ma dalszej części kartki.

- ...miejsce, do którego cię zabrałem; myślnik; czarna... — odczytał Hardy.

— To wszystko.

Parker uniósł wzrok. — O czym on może pisać?

Nikt nie miał pomysłu.

Cage spojrział na zegarek. — Co można odczytać na temat miejsca ataku o ósmej? Powinniśmy się na tym skoncentrować. Mamy mniej niż godzinę.

Parker przyjrzał się trzeciej pozycji w tabeli. Nad nią znajdował się cel drugiego ataku — „Mason Theater”.

Wpatrywał się pochylony ponad minutę, aż wreszcie zaczął dyktować.

— „...trzy kilometry na południe”. Następnie R. Duża litera R. Dalej popiół jest wymieszany. Widzę tylko fragmenty liter.

Parker podszedł do tablicy wiszącej na ścianie laboratorium. Zapisał odczytane wyrazy, aby każdy mógł je przeczytać.

...trzy kilometry na południe. R...

...miejsce, do którego cię zabrałem — czarna...

— Co to znaczy? — zapytał Cage. — O czym, do cholery, on pisze? Parker nie znał odpowiedzi.

Wrócił spod tablicy i pochylił się nad szybkami. Przypominał teraz łobu-ziaka schyłonego nad kolegą leżącym na ziemi. Jednak to fragment papieru wygrał pojedynek.

— Od czego trzy kilometry na południe? — mruczał. — R, co znaczy to R?

Westchnął głęboko.

Otworzyły się drzwi i Parker wykrzyknął: — Tobe!

Tobe Gełler wszedł niepewnym krokiem do laboratorium. Zmienił ubranie i chyba wziął prysznic, ale mimo to czuć było od niego zapach dymu. Kaszłał od czasu do czasu.

— Hej, chłopcze, nie powinieneś być tutaj — zawołał Cage.

— Oszalałeś? Idź do domu — dodała Lukas.

— Czy sądzicie, że zerwana randka będzie powodem do rozstania? Nie wierzę. — Zaczął się śmiać, ale po chwili jego śmiech przeszedł w kaszel. Głęboko wciągnął powietrze.

— Stary, jak się czujesz? — zapytał C.P. Ardell i mocno uścisnął Gelle-ra. Twarz agenta-olbrzyma wyrażała sympatię i współczucie. Nie wstydził się okazywać uczuć.

— Nie byli nawet w stanie określić stopnia oparzeń. Niewielka opalenizna, jakbym wrócił z urlopu. Czuję się dobrze — wyjaśnił. Ponownie zakasłał. — Cóż, to płuca. W przeciwieństwie do pewnego prezydenta, zaciągną-

łem się dymem... Gdzie jesteście?

— Z tym żółtym notatnikiem? — smutnym głosem zapytał Parker. — Przykro mi to mówić, ale nie możemy zbyt wiele odczytać.

— Uch!

- Tak, uch!

Lukas podeszła do stołu do badań. Stała obok Parkera. Nie czuł już zapachu mydła, tylko gryzący zapach dymu.

— Hm — mruknięła po chwili.

— Co?

Wskazała na wymieszane kawałki popiołu. — Te małe kawałeczki mogą pasować po literze R.

— Mogą.

— Dobrze, a co ci to przypomina? Parker spojrział na spalone kartki.

— Puzzle — odparł cicho.

— Właśnie. Jesteś mistrzem łamigłówek. Czy nie możesz tego ułożyć? Parker spojrział na setki niewielkich fragmentów popiołu. Puzzle nie były

jego ulubionym rodzajem łamigłówek. Ułożenie tych kawałków może zająć kilka godzin albo nawet dni. Poza tym brzegi spalonych fragmentów rozsypały się w drobny proszek i nie będą pasować do siebie. Jednak Parker wpadł na pomysł. — Tobe!

— Słucham. — Młody agent zakaszał. Na jego nadpalonych brwiach osiadł dym.

— Czy masz programy komputerowe rozwiązujące anagramy?

— Anagramy? Co to jest?

C.P. Ardell postanowił wyjaśnić Gellerowi, co to jest anagram. A wydawało się, że jego jedyną rozrywką intelektualną jest porównywanie cen piwa.

— Przystawianie głosek lub sylab w wyrazie w celu utworzenia innego wyrazu. Na przykład: k-a-r-a, a-r-a-k, a-r-k-a.

— Oczywiście, mam takie programy, ale mówiłeś, że nie używasz komputera do rozwiązywania łamigłówek...

— Geller odwrócił się do Parkera.

— Tylko tak mówiłem. — Parker uśmiechnął się do Lukas, jednak ona spojrzała na niego kamiennym wzrokiem i po chwili ponownie zaczęła wpatrywać się w tablice.

- Sam zobacz. Po wyrazach „...trzy kilometry na południe. R...” możesz złożyć te fragmenty.

Geller roześmiał się.

— To wspaniała łamigłówka. Zeskanuję tekst listu z żądaniem okupu. Kształt liter z niego będzie stanowił

odniesienie. Następnie aparatem cyfrowym z założonym filtrem na podczerwień zrobię zdjęcia tych spalonych kawałków. Wygaszę tło pochodzące od spalonego papieru. Zostaną tylko fragmenty liter. Komputer będzie je składał w całość.

— Czy to zadziała? — zapytał Hardy.

— Tak — odparł pewnie Geller. — Tylko nie wiem, jak to długo potrwa. Geller wziął cyfrowy aparat fotograficzny i zrobił kilka zdjęć spalonej

kartki oraz jedno — listu z żądaniem okupu. Połączył aparat z komputerem i zaczął zapisywać zdjęcia w jego pamięci.

Palce Gellera wprost tańczyły na klawiaturze. Zapadła też cisza, dlatego ostry dźwięk telefonu Parkera wszystkich przestraszył.

Zaskoczony wyjął komórkę. Na wyświetlaczu zobaczył numer swojego domowego telefonu.

— Halo — powiedział.

Jego serce zamarło, gdy usłyszał wysoki głos pani Cavanaugh:

— Panie Kincaid...

Było słycać szloch Robby'ego.

— Co się stało? — zapytał, starając się zachować spokój.

— Wszystko w porządku — szybko odparła. — Robby czuje się dobrze. Jest trochę przestraszony. Wydawało mu się, że widział mężczyznę w ogrodzie — Boatmana.

Nie...

— Ale tam nie ma nikogo. Włączyłam światła na zewnątrz. Johnson znów wypuścił swojego psa i ten buszuje w krzakach. Nic poza tym, ale chłopiec jest przestraszony. Mocno przestraszony.

— Niech podeszcie do telefonu.

— Tatuś'? Tatuś'! — Jego głos drżał z przerażenia. Nic bardziej nie niepokoiło Parkera niż trwoga w głosie syna.

— Mów, Robby — rzekł pogodnie. — Co się stało?

— Wyjrzałem na zewnątrz — ponownie zaszlochał. Parker zamknął oczy. Był równie przestraszony jak Robby.

— Wydawało mi się, że go widziałem. To było... Wystraszyłem się.

— Spokojnie, to tylko krzaki. Jutro je wytniemy.

— Ale tym razem widziałem go w garażu.

Parker był wściekły na siebie. Nie chciało mu się zamknąć drzwi do garażu, a w środku jest tyle rupieci mogących Robby'emu przypominać Boatmana.

— Pamiętasz, co powinieneś zrobić? W telefonie była cisza.

— Robby! Pamiętasz?

— Wziąłem tarczę.

— Dobrze. A co z hełmem? — Parker uniósł wzrok i zauważył, że Lukas patrzy na niego z uwagą.
— Czy go włożyłeś?

----- 175 -----

— Tak — odparł chłopiec.

— A światła?

— Włączyliśmy.

- Ile? — spytał Parker.

— Wszystkie, co do jednego — wyrecytował chłopiec.

Parkerowi było trudno podjąć decyzje. Popatrzył na twarze tych ludzi, którzy stali się dzisiaj jego braćmi w potrzebie. Pomyślał: wy możecie teraz zapomnieć o swoich żonach, kochankach, kolegach, ale nigdy nie zapomina się o dzieciach. Serce zawsze o nich pamięta.

— Uspokój się. Zaraz będę w domu — powiedział do telefonu.

— Naprawdę? — ucieszył się chłopiec.

— Będę jechał tak szybko, jak tylko potrafię. Wyłączył telefon. Wszyscy w bezruchu patrzyli na niego.

— Muszę jechać — powiedział, spoglądając na Cage'a. — Wrócę, ale teraz muszę jechać.

— Mogę w czymś pomóc? — zapytał Hardy.

— Nie, dziękuję, Len — odpowiedział Parker.

— Na Boga, Parker — odezwał się Cage, spoglądając na zegarek. — Bardzo mi przykro, że on jest przestraszony, ale...

Margaret Lukas ruchem ręki przerwała Cage'owi. — Nie ma mowy, by Digger coś o tobie wiedział. Jednak wysłę kilku agentów do pilnowania twojego domu.

Myślał, że chce go zatrzymać, ale po chwili spokojnie dodała:

— Przecież to twój mały syn... Jedź do domu. Ucieszy się. Uspokój go. Nie ma znaczenia, ile czasu ci to zajmie.

Parker przez chwilę patrzył w jej oczy. Czyżby odkrył jej tajemnicę?

Może jest w błędzie.

...ona ci zazdrości.

Chciał podziękować Lukas, ale się powstrzymał. Mogłoby to zburzyć chwiejną równowagę w zespole. Skinął

głową i szybkim krokiem skierował się w stronę drzwi.

Kiedy opuszczał laboratorium, usłyszał tylko głos Gellera, który mówił do komputera:

— Szybciej, szybciej, szybciej.

W ten sposób zdesperowani gracze popędzają zostające z tyłu konie.

176

Piksel po pikselu. 1 Q 20 ^a monitorze komputera wciąż była sieczka.

Margaret Lukas chodziła w kółko. Myślała o Parkerze Kincaidzie.

Czy, kiedy przyjedzie do domu, jego syn się uspokoi? Czy go przytuli? Czy będzie mu czytał książkę? Może wspólnie będą oglądać telewizję? Czy Parker rozmawia z nim o różnych problemach? Czy będzie starał się odciągnąć jego myśli od Boatmana? A może kupi mu prezent, by go uspokoić? Nie wiedziała. Chciała, by Kincaid zaraz wrócił i był blisko. Ale to była tylko część jej pragnień. Jednocześnie chciałyby, żeby nigdy nie wracał i pozostał w ukryciu, w swojej małej twierdzy na przedmieściu. Ona mogła...

Nie, nie... Przestań o nim myśleć. Skup się.

Podeszła do doktora Evansa, który bardzo uważnie studiował list szantażysty. Gładził swoją krótką brodę. Po chwili wypił trochę kawy z termosu i wstał. — Mam kilka uwag dotyczących szantażysty.

— Niech pan mówi.

— Proszę jednak potraktować je bardzo ostrożnie — ostrzegł psycholog. — Aby móc dokładnie zbadać osobowość tego człowieka, musiałbym mieć znacznie więcej danych i dwa tygodnie czasu.

— Niech pan mówi, co panu przyszło do głowy. Będziemy ostrożni — ucięła Lukas.

— Z tego co widziałem i słyszałem, Digger to bezmyślny automat. Nie ma potrzeby analizować jego psychiki.

To tak, jakby badać osobowość pistoletu. Natomiast szantażysta to zupełnie inna historia. Był doskonale zorganizowanym, perfekcyjnym przestępcą. Słyszała pani o takich?

— Oczywiście — odparła Lukas. Była dobra z psychologii kryminalnej.

— Cóż, był perfekcjonistą.

Gdy psycholog mówił o szantażyście, Lukas gapiła się na list.

— Czas i miejsce ataku zaplanował bardzo dokładnie. Chłodno przeanalizował wszystkie możliwości. Wiedział, że burmistrz wypłaci okup, mimo sprzeciwu niektórych polityków. Na każde działanie FBI i policji miał odpowiedź. Udało mu się zabezpieczyć kryjówkę. I przede wszystkim znalazł idealną broń: istotę ludzką, która potrafi tylko zabijać. Wyznaczył sobie nierealny plan, ale gdyby nie wpadł pod samochód, prawdopodobnie by go zrealizował.

----- 177 -----

— Zaopatrzyliśmy paczki z pieniędzmi w nadajniki. Przypuszczalnie by nam nie umknął — wtrąciła Lukas.

- Och, założę się, że to przewidział i miał jakiś plan. Lukas w myślach przyznała mu racje.

— Teraz zażądał dwudziestu milionów dolarów. Był gotów na zabicie setek ludzi, aby osiągnąć swój cel. Nie był progresywnym przestępcą. Podbił stawkę, bo wiedział — nie, bo wierzył — że mu się powiedzie. Wierzył, że jest przestępcą doskonałym. Takim rzeczywiście był. Mówiąc inaczej, arogancja szła u niego w parze z talentem.

— Co czyniło tego kutasa jeszcze bardziej niebezpiecznym — mruknął C.P. Ardell.

— Właśnie. Zarozumiałstwo nie przeszkadzało mu w popełnianiu przestępstw. Był błyskotliwy.

— Kincaid twierdził, że szantażysta był dobrze wykształcony — powiedziała Lukas. Ponownie chciała, żeby Parker był z nimi. — Próbował wyprowadzić nas w pole, ale Kincaid nie dał się oszukać.

Evans pomyślał przez chwilę. — W co był ubrany, kiedy wpadł pod samochód?

C.P. odszukał informację od koronera i przeczytał ją psychologowi.

— Tanie rzeczy — podsumował Evans.

— Właśnie.

— Nie takiego ubrania należałoby się spodziewać po kimś, kto to wszystko zaplanował i domagał się dwudziestu milionów dolarów.

— Święta prawda — powiedział Cage.

- Jak to wytłumaczyć? — spytała Lukas.

— Miał poczucie niesprawiedliwości społecznej — wyjaśnił Evans. — Myślę, że zabijał głównie ludzi zamożnych, nie biednych.

— Na stacji metra Digger strzelał do wszystkich. Nie wybierał przecież ludzi bogatych — zauważył Hardy.

— Zwróćcie uwagę na miejsce ataku — plac Duponta. Kwintesencja waszyngtońskiego luksusu. Miejsce spotkań yuppies. Południowo-wschodnia dzielnica. A „Mason Theater”? Bilety na przedstawienie musiały być przynajmniej po sześćdziesiąt dolarów. Jest jeszcze trzecie miejsce — hotel „Four Seasons”. Wprawdzie tam Digger nie mordował, ale szantażysta chciał nas do niego skierować. Te miejsca nie były mu obce. Był tak inteligentny, że mógłby odnieść sukces w każdej dziedzinie życia, jednak wybrał drogę przestępstwa. Zabijał

ludzi bogatych, aby zdobyć pieniądze.

Lukas skinęła głową. Teraz wydawało się to oczywiste. Była zła na siebie, że wcześniej o tym nie pomyślała.

Przypomniała sobie Parkera i jego spo-

----- 178 -----

sób rozwiązywania łamigłówek. Należy myśleć szeroko, pomijać oczywistości i ignorować łatwo narzucające się rozwiązania. Jednak czasami jest to trudne.

Skup się...

— Myślę, że nie lubił bogatych. Zabijał ludzi z elit społecznych.

— Dlaczego? — zapytał Cage.

— Jeszcze nie wiem. Fakty, które znam, nie pozwalają mi odpowiedzieć na to pytanie, ale jestem pewny, że nienawidził ludzi zamożnych. Był pełen nienawiści. Powinniśmy wziąć to pod uwagę przy poszukiwaniu celu następnego ataku Diggera.

Lukas przypatrywała się uważnie zdjęciu z kostnicy. Co myślał? Jakie były jego motywy? Evans spojrział na nią i roześmiał się krótko.

— Co?

Pochylił się nad listem. — Będę analizował list, jakby to był szantażysta. Lukas przypomniała sobie, że tak samo wcześniej pomyślała. Właśnie to mówił Parker Kincaid. Skup się...

— No proszę. Coś mamy — odezwał się Geller. Wszyscy zaczęli wpatrywać się w ekran monitora, na którym widniały słowa: „...trzy kilometry na południe. R...”

Korzystając ze wzorców, komputer z fragmentów zestawiał litery. Gdy nie pasowała kropka lub inny znak diaktryczny, rozpoczynał pracę od nowa. Po R pojawiła się litera /. Następna była w trakcie formowania.

— To jest to dziwne i z kropką, o której mówił Parker — zauważył Geller.

— Łza diabła — wyszeptała Lukas.

— Właśnie. Następna litera... t. Czy to jest tl Cholerne łzy, nic nie widzę.

— Tak — powiedziała Lukas. — Wyraźne /. R-i-t...

— Jaka jest następna litera? — zapytał cicho Hardy, pochylając się nad monitorem.

— Nie wiem — mruknęła. — jest bardzo rozmyta. Mała litera...

Pochyliła się nad ramieniem Gellera. Czowała intensywny zapach dymu. Litery na ekranie były słabo widoczne. Na pewno i i t. Jednak następna była zamazana.

— Cholera — burknął Geller. — Komputer mówi, że skończył już pracę nad tą literą. Nie mogę jej jednak odczytać. Może ktoś z was lepiej widzi niż ja...

— Jakiś zygzak — stwierdziła Lukas. — Może x.

----- 179 -----

Cage błysnął pomysłem. — Zygzak? To może być z. - Ritz — powiedział Hardy. — To może „Ritz Carlton”...

— Tak. To może być to miejsce! — wykrzyknęła Lukas. — Czy tam nie mieszkają bogaci ludzie?

— Oczywiście — przytaknął Evans. — To ma sens, biorąc pod uwagę, że poprzednio chciał nas wprowadzić w błąd. Sądził, że tym razem wyeliminujemy hotele jako możliwe cele ataku, bo o czwartej hotel był tylko przynętą.

Geller podjechał na krześle do innego komputera. Po pięciu sekundach na ekranie pojawił się spis hoteli z książki telefonicznej. — Mamy dwa Ritze. Jeden — przy placu Tysona, drugi — w miasteczku Pentagonu.

— Oba znajdują się poza obszarem Dystryktu. Parker powiedział, że przestępca ograniczy się tylko do terenu Waszyngtonu — rzuciła Lukas.

— Może na początek. Szantażysta wiedział, że dojdziemy do takiego wniosku i postanowił zmienić reguły w trakcie gry.

— Który hotel? — spytał Cage. — Trzy kilometry na południe... Od czego? Od autostrady? Od granicy Dystryktu?

— Nie mamy wyboru. Musimy obstawić oba — orzekła Lukas. Wywołała Jerry'ego Bakera i poinformowała go o możliwych celach następnego ataku Diggera.

— Chcę, aby zmobilizowano wszystkich agentów operacyjnych z Dystryktu i północnej Wirginii. Wiem, że tego nie lubicie, ale musicie być w cywilnych ubraniach. Żadnych hełmów, odznak.

— Jesteś pewna? — zapytał z wahaniem Baker. Gdy agenci są w cywilnych ubraniach, nie mogą założyć tyłu ochraniaczy co w jawnych operacjach.

— Tak. Poprzednio niemal schwytaliśmy przestępcę, ale jest on czujny jak jelen. Nie można wzbudzić jego podejrzeń. Biorę na siebie odpowiedzialność.

— Okay, Margaret. Wydam odpowiednie dyspozycje. Rozłączyła rozmowę.

Zauważyła, że Len Hardy patrzy na nią. Jego twarz wydała jej się teraz starsza, bardziej ponura.

— Agenci będą w cywilnych ubraniach? — zapytał. — Tak. Masz wątpliwości co do tego?

— Czy to znaczy, że nie zamierzacie ewakuować hoteli?

— Nie — odparła.

— Dzisiejszej nocy w tych hotelach będą tysiące ludzi.

— Wszystko musi wyglądać naturalnie. Nie możemy wzbudzić podejrzeń Diggera. To nasza jedyna szansa, by go schwycić.

----- 180 -----

— A jeśli go nie zauważymy... Nie wiemy przecież, jak wygląda.

— Wiem o tym, Len.

Kręcił głową. — Nie możesz tego zrobić.

— Nie mamy wyboru.

— Nie! Dobrze wiesz, czym się zajmuję: zbieram dane statystyczne. Podać ci, ilu przypadkowych ludzi zginie w czasie tajnej operacji? Prawdopodobieństwo tragicznych pomyłek wynosi około 80%.

— Co proponujesz? — warknęła Lukas, nie ukrywając złości.

— Policjanci i agenci mogą być w cywilnych ubraniach, ale każ ewakuować wszystkich gości. Obsługa hoteli może pozostać na miejscu.

— W ten sposób w środku będzie kilkadziesiąt osób — zauważyła. — Digger podejdzie do drzwi i zobaczy, że nie ma tylu ludzi, ilu się spodziewał, i odejdzie. Będzie strzelał w innym miejscu, o którym nic nie wiemy. Nie.

— Lukas, na litość Boską, każ przynajmniej wyprowadzić dzieci. Nie odezwała się, patrzyła na list.

— Proszę — naciskał detektyw.

Spojrzała mu w prosto oczy. — Nie. Jeżeli będziemy kogoś ewakuować, to wieść o tym szybko się rozniesie i wybuchnie panika.

— Zamierzacie zatem udać się do hoteli i macie nadzieję, że nic tragicznego się nie wydarzy?

Wbiła wzrok w list.

Koniec jest nocą...

Odniosła wrażenie, że list z niej szydzi.

— Nie — odpowiedziała Lukas. — Zamierzamy udać się do hoteli i zatrzymać mordercę. — Spojrzała na Evansa. — Doktorze, czy mógłby pan tu zostać? — Następnie zwróciła się do Hardy'ego: — Będziesz zajmować się łącznością.

Hardy westchnął i, odwróciwszy się, podszedł do tablicy rozdzielczej.

— Idziemy — powiedziała do Cage'a. — Po drodze zatrzymamy się przed moim biurem.

— Po co? — zapytał Cage i spojrzał na jej nogę powyżej kostki, gdzie miała pustą kaburę. — Aha, po broń.

— Nie. Ubiorę się elegancko. Nie możemy rzucać się w oczy.

- On ma dla nas jakieś wiadomości. — Wendell Jefferies zakasał rękawy u koszuli, odsłaniając swoje muskularne ręce, którym tak dużo czasu poświęcał na siłowni.

Mówiąc „on”, asystent burmistrza miał na myśli Slade'a Phillipsa. Ken-nedy o tym wiedział.

Obaj mężczyźni byli w biurze w ratuszu. Przed chwilą burmistrz miał kolejną kłopotliwą konferencję prasową.

Uczestniczyło w niej tylko kilkunastu dziennikarzy, którzy cały czas rozmawiali przez telefony i sprawdzali swoje pagery, w nadziei, że otrzymają informacje z pewniejszych źródeł. Nie można ich za to winić. Nie miał im nic do powiedzenia, mógł jedynie opowiadać o swoich wrażeniach ze szpitala, w którym leżały ofiary strzelaniny na stacji metra.

— Wchodzi ze swoim programem o dziesiątej — Jefferies poinformował burmistrza.

— Co w nim będzie?

— Nie powiedział mi — odparł Jefferies. — Będzie w tym programie coś nieetycznego.

Kennedy ponownie wyciągnął się na kanapie. Była to podróbka mebla w stylu georgiańskim, którą kupił jego poprzednik. Łuszczyła się z niej farba. Podnózek, na którym trzymał swoje duże stopy, był mocno pofałdowany, co uniemożliwiało mu poruszanie nogami.

Spojrzał na mosiężny zegar.

Spotkał nas wielki zaszczyt. Bardzo dziękujemy, panie burmistrzu, że przyszedł pan dzisiaj z nami porozmawiać. Słuchanie pańskiego wykładu sprawiło nam dużą satysfakcję. Jest pan dla nas — uczniów i studentów — bardzo dobrym człowiekiem i chcemy podziękować za wizytę, wręczając ten skromny prezent.

Mamy nadzieję, że spodoba się panu.

Zapisał jego zegarek na rękę. Ilu ludzi zginie za godzinę? — pomyślał.

Zadzwoił telefon. Kennedy spojrzał na niego ospałym wzrokiem. Pozwolił, żeby Jefferies odebrał.

- Tak? Chwila ciszy.

- Oczywiście. Proszę poczekać. — Przekazał słuchawkę Kennedy'emu, mówiąc: —• Ciekawie się zapowiada...

— Tak, słucham?

— Burmistrz Kennedy?

— Przy telefonie.

— Mówi Hardy.

- Detektyw Hardy?

— Tak. Czy... czy ktoś jeszcze słyszy te rozmowę?

— Nie. To mój prywatny numer.

Detektyw wahał się przez chwilę. — Myślałem... o tym, o czym rozmawialiśmy wcześniej. Kennedy usiadł.

, LOAf -----

— Mów, synku. Skąd dzwonicz?

— Z Dziewiątej. Z Centrali. Zapadła cisza.

- Mów — zachęcał go burmistrz.

— Nie mogę dłużej siedzieć tutaj bezczynnie. Musze coś zrobić. Sądzę, że ona popełnia błąd.

- Lukas?

Hardy kontynuował: — Odkryli miejsce następnego ataku Diggera.

— Odkryli? — Kennedy mocniej ścisnął słuchawkę. Ruchem dłoni pokazał Jefferiesowi, aby podał mu pióro i papier. — Gdzie?

— „Ritz Carlton”.

— W miasteczku Pentagonu?

— Nie są pewni. W grę wchodzi jeszcze hotel przy placu Tysona. Nie wydała polecenia, aby je ewakuować.

— Aby je... co? — warknął Kennedy.

— Lukas nie wydała polecenia, żeby ewakuować gości z tych hoteli. Ona...

— Zaraz — przerwał mu burmistrz. Oni wiedzą, gdzie nastąpi atak mordercy, i nikogo o tym nie poinformowali?

— Sądzę, że ona traktuje tych ludzi jako przynętę. Myślę, że tak to można określić. W każdym razie uznałem, że powinienem do pana zadzwonić.

— I postąpiłeś słusznie.

— Mam taką nadzieję. Naprawdę, mam taką nadzieję.

— Atak nastąpi o ósmej?

— Tak. Nie mogę dłużej z panem rozmawiać. Musiałem to panu powiedzieć.

— Dziękuję. — Kennedy odłożył słuchawkę i wstał z kanapy.

— O czym rozmawiałeś? — zapytał Jefferies.

— Wiemy, gdzie zaatakuje morderca. Ritz. Przypuszczalnie w tym, który znajduje się w miasteczku Pentagonu.

Przywołaj Reggie'ego. Muszę mieć teraz samochód i eskortę policyjną.

Jefferies ruszył, ale zatrzymał się jeszcze przy drzwiach.

— A co z ekipą telewizyjną?

Spojrzenie Kennedy'ego było bardzo wymowne. Znaczyło tylko jedno: Oczywiście, że bierzemy ekipę telewizyjną.

Niepewnie stoją obok siebie ze skrzyżowanymi ramionami. Znajdują się w hotelowym pokoju Diggera. Obaj oglądają telewizję.

----- 183 -----

Zabawne.

Obraz na ekranie wydaje się Diggerowi znajomy.

To ten teatr. Miał tam strzelać, tak jak to robił w Connecticut, i strącić miliony liści. Chciał tam strzelać, powinien tam strzelać, ale nie mógł.

Teatr, do którego... klik... do którego przyszedł przerażający mężczyzna z ogromną szczęką i dużą czapką na głowie, aby go zabić.

Patrzy na chłopca oglądającego telewizję.

— Gówno — mówi chłopiec, jak się wydaje, zupełnie bez powodu.

Tak jak Pamela.

Digger wywołuje pocztę głosową i słyszy kobiecy głos: — Nie ma nowych informacji.

Wyłącza telefon.

Digger ma niewiele czasu. Patrzy na zegarek. Jego towarzysz też.

Chłopiec jest wątpy. Pod prawym okiem ma siniaka. Digger wie, że mężczyzna, którego zastrzelił, bił chłopca.

Wydaje mu się, że jest z tego powodu szczęśliwy. Cokolwiek to oznacza.

Digger zastanawia się, co o chłopcu myślałby mężczyzna, który mówi mu o wszystkim. Kazał mu zabić każdego, kto spojrzy na jego twarz. Chłopiec na nią patrzył. Ale to nie... klik... to nie byłoby...

klik... to nie byłoby dobre, gdyby zabił chłopca.

Dlaczego wydaje mi się, że każdego dnia Kocham cię coraz mocniej Digger idzie do kuchenki i otwiera puszkę z zupą. Wlewa trochę do miski. Patrzy na chude ramiona chłopca i dolewa więcej. Makaron, przede wszystkim makaron. Podgrzewa zupę w kuchence mikrofalowej dokładnie przez sześćdziesiąt sekund. Wie, że wtedy zupa będzie wrząca. Stawia miskę z zupą przed chłopcem i podaje mu łyżkę.

Chłopiec zjada łyżkę zupy. Potem następną. Przestaje jeść. Patrzy w ekran telewizora. Jego mała głowa w kształcie karabinowej kuli kołysze się we wszystkie strony. Zamykają mu się oczy. Digger wie, że chłopiec jest zmęczony. To samo dzieje się z jego głową i oczami, gdy jest zmęczony.

Dochodzi do wniosku, że ma z chłopcem wiele wspólnego.

Digger pokazuje łóżko. Chłopiec patrzy na niego z niepokojem i nic nie mówi. Digger pokazuje kanapę i wtedy chłopiec wstaje i idzie w jej kierunku. Kładzie się, ale ciągle gapi się w telewizor. Digger nakrywa chłopca kocem.

Teraz ogląda telewizję. Kolejne wiadomości. Znajduje program, w którym są reklamy. Hamburgery i samochody, piwo i podpaski.

I temu podobne.

----- 184 -----

Pyta chłopca: — Jak... klik... jak masz na imię?

Chłopiec patrzy na niego spod przymkniętych powiek. — Tye.

— Tye. — Digger kilkakrotnie powtarza imię chłopca. — Mam zamiar... klik... mam zamiar wyjść.

— Ale nie na długo? — mruczy chłopiec.

O co mu chodzi? Digger kreci głową, na której widać niewielką bliznę nad skronią.

— I wrócisz tu? — mruczy znowu chłopiec. - Wrócę.

Chłopiec zamyka oczy.

Diggerowi wydaje się, że chciałby powiedzieć coś chłopcu. Czuje to, ale nie może sobie przypomnieć. Jednak teraz nie ma to znaczenia, bo chłopiec zasnął. Digger otula go kocem.

Idzie do ubikacji i przekręca klucz w zamku. Wyjmuje pudełka z amunicją. Zakłada gumowe rękawiczki i ładuje dwa magazynki swojego Uzi. Potem przez piętnaście minut wymienia wypełnienie w tłumiku. Wychodzi z ubikacji i zamyka drzwi.

Chłopiec śpi. Digger słyszy jego oddech.

Patrzy na podartą torbę ze szczeniętami. Chce ją zmiąć i wyrzucić, ale przypomina sobie, że chłopiec na nią patrzył i chyba mu się podobała. On lubi szczenięta. Digger rozprostowuje torbę i kładzie obok chłopca. Gdy wyjdzie z pokoju i chłopiec się obudzi, wtedy spojrzy na torbę i nie będzie się bał.

Digger ma nową torbę.

— Za trzecim razem kup brązową torbę — powiedział mężczyzna, który mówi mu o wszystkim.

Więc Digger ma nową, brązową torbę.

Chłopiec odwraca się na drugi bok, ale się nie budzi.

Digger wkłada Uzi do brązowej torby. Ubiera ciemny płaszcz, rękawiczki i wychodzi z pokoju.

Wsiada do swojego samochodu: do ładnej toyoty corolii.

Kocha tę reklamę.

Ochhhhh, zwykli ludzie...

Lubi ją bardziej niż: Och, co za uczucie...

Digger potrafi prowadzić samochód. Jest bardzo dobrym kierowcą. Zwykle jeździ z Pamelą. Ona prowadzi bardzo szybko, Digger jeździ powoli.

Przestrzega wszystkich znaków drogowych i nigdy nie przekracza dozwolonej prędkości.

Otwiera schowek przy kierownicy. W środku znajduje się kilka pistoletów. Wyjmuje jeden z nich. — Po teatrze

— ostrzegł go mężczyzna — znacz-

----- 185 -----

nie więcej policjantów będzie cię poszukiwało. Musisz być ostrożny. Zapamiętaj: jeżeli ktoś spojrzy na twoją twarz... Pamiętam.

W pokoju Robby'ego na górze Parker towarzyszył synowi. Chłopiec siedział na łóżku, natomiast Parker — w bujanym drewnianym fotelu i usiłował dojść do siebie.

Na podłodze leżało kilkadziesiąt zabawek. Nintendo 64 podłączone było do starego odbiornika telewizyjnego.

Na ścianach wisiały plakaty z „Gwiezdnymi wojen”: z Luke'em Skywalkerem i Darthem Yaderem.

Nasza maskotka na wieczór.

Cage to powiedział. Jednak Parker starał się nie myśleć o Cage'u, Marga-ret Lukas i o Diggerze. Czytał synowi

„Hobbita” Tolkiena.

Robby był zaszuchany, mimo że już czytał tę książkę kilkakrotnie. Zawsze powracali do niej, gdy chłopiec był

przestraszony. Czytał mu o Bilbo uśmiercającym smoka. Ten fragment książki dodawał Robby'emu odwagi.

Kiedy Parker wszedł do domu, twarz chłopca pojaśniała. Wziął chłopca za rękę i poszli na werandę z tyłu domu.

Znów pokazał mu, że w ogrodzie i w garażu nie ma nikogo. Uznali, że to stary, zbikowany Johnson wypuścił

swojego psa i zamknął furtkę.

Stephie przytuliła się do ojca i zapytała, jak się czuje jego chory przyjaciel.

- Dobrze — odparł Parker i rozejrzał się wokół, jakby chciał coś znaleźć na swoje usprawiedliwienie. Ach, te kłamstwa rodziców. To bolesne.

Stephie patrzyła ze współczuciem, gdy Robby i Parker wchodzili po schodach. Mogła się do nich przyłączyć, ale czuła instynktownie, że nie należy tego robić. Parker wiedział o więzi łączącej rodzeństwo. Kłócili się jak wszystkie normalne dzieci, rywalizowali między sobą, robili sobie na złość, ale gdy jedno z nich przeżywało swoje problemy, drugie natychmiast to zauważało i wiedziało, jak należy postępować.

Dziewczynka poszła więc do kuchni. — Zrobię Robby'emu niespodziankę. Przygotuję deser — zawołała.

- Chcesz, żebym ci czytał dalej? — zapytał Parker syna. Chłopiec nie odpowiedział.

Parker położył książkę na kolanach i zaczął bujać się w brzydkim fotelu. Przyglądał się synowi.

Żona Thomasa Jeffersona, Martha, zmarła po urodzeniu ich trzeciej córki (dziewczynka przeżyła trzy lata).

Jefferson nie ożenił się powtórnie. Sam wychowywał swoje córki. Jako polityk i mąż stanu często przebywał

poza do-

----- 186 -----

mem. Nienawidził tego. Często wtedy korespondował z córkami. Zapisał tysiące stron: podtrzymywał je na duchu, udzielał wskazówek, nagan, przesyłał wyrazy miłości. Parker znał Jeffersona tak dobrze jak swojego ojca i mógł przytoczyć z pamięci wiele jego listów. Przypomniawsobie teraz jeden z nich, pisany, gdy Jefferson był

wiceprezydentem i toczyła się ostra walka polityczna między Republikanami a Federalistami.

Twój list droga Mario który pisałaś 21 stycznia otrzymałem dwa dni temu. Był dla mnie jak światło księżycy na odludnym wrzosowisku. Otoczony zawiścią intrygami i złą wolą wyczerpany nieustannymi atakami w kraju, w którym żaden dobry uczynek nie zostaje wynagrodzony czuję, że życie jest błogosławieństwem jedynie w chwilach gdy myślę o rodzinie.

Przyglądał się synowi, słuchał odgłosów dochodzących z kuchni i zastanawiał się, czy dobrze wychowuje dzieci.

Nocami często o tym myślał.

Przede wszystkim pozbawił dzieci opieki matki. Wprawdzie sąd, wszyscy jego znajomi i większość przyjaciół

Joan uważali, że była to właściwa decyzja, jednak Parker miał wątpliwości. Nie dlatego został ojcem samotnie wychowującym dzieci, że zmarła mu żona—jak w przypadku Jeffersona — lecz dlatego, że sam tak zdecydował

i doprowadził do odpowiedniego wyroku sądowego.

Czy rzeczywiście zrobił to dla dobra dzieci, czy była to ucieczka od własnych problemów? Pytanie to dręczyło go bezustannie. Przed ślubem Joan wydawała się tak słodka, tak czarująca. Jednak jej zachowanie było tylko grą.

Szybko ulegała nastrojom. Czasami bywała radosna, by po chwili wpaść w niepohamowany gniew trwający kilka dni. Stawała się wtedy podejrzliwa i zdradzała objawy paranoi.

Kiedy spotkał Joan, zdał sobie sprawę, jakim przełomem w życiu młodego człowieka jest zgon rodziców. Znika wtedy granica między tobą a śmiercią. Szukasz kogoś, kto by się tobą opiekował, lub — jak w przypadku Parkera — osoby, o którą mógłbyś się troszczyć.

Czy nie sądzisz, że jest najlepiej, gdy kobiety i mężczyźni żyją swoim własnym życiem? Nikt się o nikogo nie troszczy- Taka jest zasada. Zapamiętaj to sobie.

Nie był zaskoczony, że ta piękna i energiczna kobieta wpada w depresje i staje się wtedy bezradna.

Wkrótce po urodzeniu dzieci — kiedy życie zaczęło wymagać od nich odpowiedzialności, poświęcenia i ciężkiej pracy — Joan przestała się kontrolować. Wciąż była niezadowolona i rozdrażniona.

----- 187 -----

Parker próbował wszystkiego. Poszedł z nią do psychoterapeuty. Więcej czasu poświęcał dzieciom. Starał się obrócić wszystko w żart. Organizował przyjęcia, zabierał ją na wycieczki, po nocach przygotowywał obiady dla całej rodziny.

Wśród sekretów, które przednim ukrywała, był alkoholizm w jej rodzinie. Po pewnym czasie zauważył, że ona pije znacznie więcej, niż mógł to sobie wyobrazić. Próbowwała zerwać z nałogiem,

korzystała z porad specjalistów. Jednak wszystkie jej próby zakończyły się niepowodzeniem.

Oddalała się coraz bardziej od niego i od dzieci. Oddawała się swoim zachciankom i fanaberiom. Uczęszczała na kursy gotowania; kupowała sportowe samochody; bezmyślnie wydawała pieniądze w sklepach; spędzała czas w klubach fitness (tam poznała swojego przyszłego męża -- Richarda). Wszystko, tylko nie on i dzieci.

W końcu doszło do bulwersującego zdarzenia.

Było to cztery lata temu.

Parker wrócił do domu z laboratorium FBI i stwierdził, że Joan gdzieś wyszła. Dziećmi zajmowała się opiekunka. Już samo to było bardzo przykre. Kiedy wszedł na górę, by pobawić się z Ktosiami, zauważył coś niepokojącego. Stephie i Robby — mający wtedy cztery i pięć lat — byli w ich wspólnej sypialni i bawili się zabawkami. Stephanie poruszała się niepewnie. Miała rozbiegane oczy i zroszone potem czoło. Spostrzegł, że wymiotowała. Położył dziewczynkę do łóżka i zmierzył jej temperaturę. Była normalna. Parkera nie zdziwiło, że opiekunka nie zauważyła choroby Stephanie. Dzieci zwykle są zakłopotane, gdy wymiotują lub pobrudzą ubranie. Starają się to ukryć. Tym razem jednak Ktosie udzielały wyjątkowo mętnych wyjaśnień.

Oczy chłopca skierowały się w stronę pudełka na zabawki. („Najpierw spójrz na oczy" • - mówił jego podręcznik. „Dopiero potem słuchaj, co mają do powiedzenia")- Parker podszedł do pudełka i wtedy chłopiec zaczął płakać, prosząc, żeby go nie otwierał. Oczywiście zrobił to. Zamarł, z przerażeniem patrzył na butelki wódki, które ukryła tu Joan.

Stephanie była pijana. Usiłowała naśladować mamę, pijąc Absolutu ze swojego kubeczka z namalowanym na nim Kubusiem Puchatkiem.

- Mamusia nie chciała, żebyśmy mówili o jej tajemnicy — powiedział Robby, szlochając. — Powiedziała, że jeśli to znajdziesz, zezłóścisz się na nas, będziesz krzyczał.

Dwa dni później wszczął sprawę rozwodową. Wynajął dobrego adwokata i zainteresował dziećmi Opiekę Społeczną. Uprzedził w ten sposób działania Joan, która mogłaby fałszywie go oskarżać.

----- 188 -----

Ona walczyła o opiekę nad dziećmi i to walczyła ostro, ale robiła to tak, jakby chodziło o kolekcję znaczków pocztowych lub sportowy samochód.

W końcu, po kilku nerwowych miesiącach walki i wydaniu kilkudziesięciu tysięcy dolarów, dzieci były jego.

Uznał, że powinien skoncentrować się na uporządkowaniu swojego życia i stworzeniu dzieciom normalnego domu.

Joan, dlaczego to robisz? Czy ty w ogóle o nich pomyślałaś? Czy ty nie rozumiesz, że my, rodzice, przelewamy wszystkie uczucia na nasze dzieci? Gdyby Parker sądził, że dla dzieci lepiej byłoby mieszkać na zmianę w obu domach, pogodziłby się z tym, mimo że zniszczyłoby to część jego osobowości.

Jednak uważał, że miałyby to na nie zgubny wpływ. Postanowił zatem ponownie procesować się z byłą żoną i jednocześnie chronić dzieci przed skutkami tej walki. Musi walczyć na dwa fronty: z Joan i z sobą. Nie może dzielić z dziećmi swojego bólu i rozpacz.

— Tatusiu — powiedział nagle Robby. — Przestałeś' czytać.

— Myślałem, że zasnąłeś — roześmiał się.

— To tylko moje oczy się zmęczyły. Musiałem je zamknąć. Chciałem, żeby odpoczęły.

Parker spojrział na zegarek. Za kwadrans ósma. Piętnaście minut... Nie, nie myśl teraz o tym.

— Masz swoją tarczę? — zapytał chłopca.

— Tutaj.

— Ja także.

Wziął książkę do ręki i zaczął czytać.

Margaret Lukas przyglądała się rodzinom obecnym w hote-[^] Q AF\ lu »Ritz Carlton", znajdującym się przy alei prowadzącej do miasteczka Pentagonu.

Stała razem z Cage'em przy głównym wejściu, przy którym gromadziły się setki osób czekających na rozpoczęcie przyjęcia. Lukas była ubrana w błękitny kostium, który sama zaprojektowała i uszyła. Ściśle przy-legał do jej ciała. Do jego uszycia użyła drogiej wełny. Spódnica była plisowana. W marynarce znajdowała się specjalna kieszonka na pistolet, uszyta

----- 189 -----

tak, aby nie zepsuć linii stroju. Kostium doskonale nadawał się do opery lub eleganckiej restauracji, ale do tej pory ubierała go tylko na wesela i pogrzeby. Dlatego nazwała go kostiumem weselno-pogrzebowym. Za kwadrans ósma.

— Nic się nie dzieje — usłyszała w słuchawkach gruby głos C.P. Ardel-la. Agent znajdował się przy wjeździe do podziemnego garażu. Udawał podpitego balowicza. Jego strój był mniej wyszukany niż Lukas. Miał na sobie poplamione dzinsy i czarną, skórzaną kurtkę motocyklową. Na głowę włożył indiański kapelusz — nie dlatego, że było mu zimno, ale żeby ukryć słuchawki. Oprócz niego wewnątrz i na zewnątrz budynku znajdowało się 65

agentów ubranych po cywilnemu. Mieli przy sobie więcej broni niż na wystawie w El Paso.

Szukali mężczyzny, którego rysopis był bardzo ogólny.

Przypuszczalnie biały, przypuszczalnie średniej budowy ciała.

Przypuszczalnie ma na szyi złoty krzyżyk.

W holu Lukas i Cage przypatrywali się gościom i obsłudze hotelu. Nikt z nich nie odpowiadał przybliżonemu rysopisowi Diggera. W pewnym momencie Lukas zdała sobie sprawę, że ona i Cage stoją ze skrzyżowanymi ramionami i wyglądają jak agenci federalni w czasie akcji. — Opowiedz coś zabawnego.

— Co? — mruknął Cage.

— Rzucamy się w oczy. Powinniśmy rozmawiać.

— Okay — odpowiedział Cage, uśmiechając się szeroko. — Co sądzisz o Kincaidzie?

To pytanie ją zmieszało. — O Kincaidzie? A dlaczego o nim?

— Mamy rozmawiać. — Wzruszył ramionami. — To co o nim sądzisz?

— Nie wiem.

— Na pewno wyrobiłaś" sobie o nim zdanie, co? — naciskał Cage.

- Jest bystry jak przestępca, nie jak zwykły śmiertelnik.

Cage wzruszył ramionami, zgadzając się z Lukas. — Właśnie. — Zamilkł.

- Do czego zmierzasz? — zapytała.

— Do niczego. Usiłujemy tylko rozmawiać. Dobrze — pomyślała.

Skup się.

Przyjrzeni się kolejnym osobom. Wykluczyła, że wśród nich może być Digger. Nie wiedziała dlaczego, ale czuła to instynktownie. Bystry śmiertelnik...

— On jest dobrym człowiekiem — po chwili powiedział Cage.

_____ j 90 _____

— Wiem. Dużo nam pomógł.

Cage roześmiał się. — Pomógł — powtórzył. Zapadła cisza.

— Wkrótce po skończeniu studiów stracił rodziców. Kilka lat temu procesował się z żoną o opiekę nad dziećmi.

Ona miała zaburzenia psychiczne.

— To rzeczywiście ciężkie przeżycia — powiedziała i wmieszała się w tłum. Otarła się o mężczyznę, na biodrze którego dostrzegła podejrzanę wybrzuszenie. Szybko wyczuła, że był to telefon komórkowy. Wróciła do Cage'a. — Co się stało z jego rodzicami? — spytała impulsywnie.

— Wypadek samochodowy. U matki właśnie wykryto raka i wydawało się, że nie jest to groźny przypadek.

Jechali do kliniki Johna Hopkinsa na chemioterapię i uderzyła w nich ciężarówka. Ojciec był profesorem.

Spotkałem się z nim kilkakrotnie. Sympatyczny człowiek.

— A co robił? — ponownie coś rozproszyło jej uwagę.

— Był historykiem.

— To znaczy?

— Był nauczycielem. Historii.

— Wydaje mi się, że mówi! o tym. Znów zapadła cisza.

W końcu ode/wała się Lukas: — Muszę zadzwonić. Cage, nie baw się w swatkę.

— A bawię się? Nie mam zamiaru tego robić. Chciałem ci tylko powiedzieć, że rzadko spotyka się takich ludzi jak Kincaid — odparł Cage.

— Powinniśmy się skupić na obserwowaniu hotelu.

— Właśnie to robimy. Parker nie wie, dlaczego tak go opieprzyłaś.

— To bardzo proste. Nie dbał o swoje bezpieczeństwo. Powiedziałam mu to. Wyjaśniliśmy sobie wszystko.

Koniec historii.

— On jest bardzo przyzwoitym człowiekiem — ciągnął Cage. — Stanowczy facet. Bardzo inteligentny, ma wyjątkowy umysł. Powinnaś zobaczyć, czym się zajmuje.

— Tak, jestem pewna, że jest wspaniały. Skup się.

Nie była jednak w stanie się skupić. Myślała o Kincaidzie.

Zatem i on przeżył tragedie rodzinne: śmierć i rozwód. Koszmarna żona i walka o dzieci.

Kincaid...

Myśląc o Kincaidzie, przypomniała sobie widokówkę.

Widokówkę, którą przesłał Joey z ich ostatniej podróży, z której nie wrócili. Tom i Joey polecili do jej teściów, do Ohio. Było to bezpośrednio

----- 191 -----

przed Świętem Dziękczynienia. Jej sześciolatek wysłał kartkę z lotniska tuż przed odlotem. Prawdopodobnie pół godziny przed katastrofą samolotu. Boeing 737 rozbił się na twardym, pokrytym lodem polu.

Chłopiec nie wiedział, że trzeba nakleić znaczek. Wrzucił kartkę do skrzynki pocztowej, zanim ojciec zorientował się, co on robi.

Dotarła do niej tydzień po pogrzebie. Brak opłaty pocztowej. Zapłaciła i przez następne trzy godziny starannie usuwała nalepki pocztowe, które zasłaniały część liściku:

Świetnie się bawiliśmy. Babcia i ja gotowaliśmy w kuchni. Tęsknie za tobą. Kocham cię mamusiu...

Kartka z zaświatów.

Miała ją w swoim portfelu. Widokówka przedstawiała barwny zachód słońca na Środkowym Zachodzie. Jej obrączka znajdowała się w pudełku z biżuterią, ale widokówkę miała zawsze przy sobie. Będzie ją nosiła aż do śmierci.

Sześć miesięcy po katastrofie samolotu Lukas zaniósł odbitkę kartki do grafolożki, aby ta zanalizowała pismo jej syna.

Kobieta powiedziała: — Ktokolwiek to pisał, jest dzieckiem urzekającym, twórczym. Wyrósł na przystojnego mężczyznę, błyskotliwego i uczciwego. Będzie zdolny do wielkiej miłości. Jeżeli tę kartkę pisał pani syn, to musi być pani szczęśliwą matką.

Za dodatkowe dziesięć dolarów grafolożka nagrała na kasecie swój komentarz i Lukas co kilka tygodni go wysłuchiwała. Wyłączała wtedy światła w mieszkaniu, zapalała świecę, wypijała jednego lub dwa drinki i słuchała, jaki byłby jej syn.

Ale zjawił się Parker Kincaid i oświadczył swoim zarozumiałym głosem, że grafologia jest bzdurą.

Ludzie przewidują przyszłość z kart tarota i rozmawiają z duchami. To oszustwo.

Nie. Zezłościła się. Wierzyła w to, co powiedziała grafolożka.

Musiała wierzyć. W przeciwnym razie — zwariowałyby.

Kiedy są dzieci, traci się część umysłu. Kradną go i nigdy nie oddają. Czasami wydaje mi się dziwne, że rodzice mogą w ogóle normalnie funkcjonować.

To powiedział doktor Evans. Nie zdradziła tego, ale była przekonana, że to prawda.

Teraz Cage chce ją umówić z Kincaidem. Tak, mają wiele wspólnego. Oboje są błyskotliwi (i aroganccy jak jastrzębie). Oboje stracili część swo-192

jego życia i zbudowali wokół siebie mur, który chroni ich przed niebezpieczeństwem. Ona nie może skupić się na sobie — w jej psychice tkwi zagrożenie. Te same instynkty, które uczyniły ją dobrą policjantką, mówią jej, że nie ma dla nich wspólnej przyszłości. Szybko wróciła do „normalnego” życia. Zajmuje się swoim psem —

Jeanem Luce'em; spotyka się z przyjaciółmi; słucha płyt; biega w klubie. Ale nie może zrezygnować z kariery w FBI.

Wiedziała, że nie spotka Parkera Kincaida po skończonej sprawie. Tak powinno być...

W słuchawkach usłyszała trzaski. — Margaret... Jezus Maria! — To był C.P. Ardell.

Natychmiast chwyciła za broń.

— Czy macie mordercę? — powiedziała do mikrofonu, ukrytego w klapie marynarki.

— Nie, ale mamy problem. Przed wejściem jest jakieś zamieszanie. Cage również słuchał. Odruchowo sięgnął

do biodra i marszcząc czoło,

patrzył na Lukas.

— Burmistrz z dziesiątką policjantów i, cholera, ekipa telewizyjna.

— Nie! — warknęła Lukas, przyglądając się gościom.

Włączyła światła i kamerę. Digger się wystraszy i ucieknie. To będzie cyrk.

— Panie burmistrzu, to jest operacja służb federalnych i proszę pana o opuszczenie tego miejsca.

Byli na parkingu. Lukas zauważyła, że aby tu wjechać, potrzebne są karty parkingowe. Digger wybierze zatem inne miejsce. Burmistrz Kennedy i jego świta złożona z umundurowanych policjantów skierowała się do głównego wejścia prowadzącego na aleję hotelową. Digger szybko ich zauważy.

Na Boga, po co ekipa telewizyjna?

Kennedy spojrział z góry na Lukas. Był dwadzieścia centymetrów od niej wyższy. — Powinna pani ewakuować ludzi z tego hotelu i z hotelu przy placu Tysona. Kiedy pojawi się zabójca, pozwólcie mi z nim porozmawiać.

Lukas zlekceważyła burmistrza i zwróciła się do C.P. Ardella: — Czy ktoś wszedł na aleję?

— Nie, zatrzymaliśmy wszystkich...

— Ewakuujcie ich! Wyprowadźcie ich na zewnątrz! — wołał Kennedy.

— Nie możemy tego zrobić. Przestępca zorientuje się, że coś się dzieje.

— Przynajmniej powiedzcie ludziom, żeby poszli do swoich pokoi.

— Panie burmistrzu, większość to są goście, którzy przyszli tylko na przyjęcie.

Lukas przyjrzała się wejściu na aleje. W pobliżu nie było zbyt wiele osób. Westchnęła. — Może być tutaj w każdej chwili. Proszę o opuszczenie tego miejsca. — Chciała dodać „pana”, ale nie zrobiła tego.

- W takim razie muszę rozmawiać z pani przełożonym. Kto nadzoruje operację?

— Ja — powiedział Cage. Nie wzruszył nawet ramionami. Patrzył zimnym wzrokiem. — Panie burmistrzu, jesteśmy na terytorium stanu Wirginia. Pana jurysdykcja tutaj nie sięga.

— Dobrze, a kto jest pana szefem? — warknął burmistrz.

— Ktoś', z kim na pewno pan nie chciałby rozmawiać.

- Proszę pozwolić, że sam o tym zdecyduję.

— Nie — powiedziała stanowczym głosem Lukas. — Morderca może być za chwilę w budynku. Nie mamy czasu na kłótnie. Domagam się, by pan i pańscy ludzie opuścili to miejsce.

Kennedy spojrział na swojego asystenta. Jak on się nazywa? Chyba Jeffe-ries. Kamerzysta, stojący obok, filmował scenę.

- Zamierzam nie dopuścić, by FBI ryzykowało życie tych ludzi. Zamierzam...

— Agencie Ardell, zatrzymajcie burmistrza — powiedziała Lukas.

— Nie możecie go aresztować — burknął Jefferies.

— Ona może to zrobić — powiedział Cage, kilkakrotnie wzruszając ramionami.

— Zabierz go stąd — burknęła Lukas.

— Zamknąć?

— Nie. Przypilnuj, żeby się nie wtrącał, dopóki nie skończymy akcji.

— Wezwę mojego prawnika i...

Wybuchła gniewem, podobnym do tego, który owładnął nią, gdy zdenerwowała się na Kincaida. Wycelowała palec w Kennedy'ego. — Burmistrzu, to jest moja operacja. Pan mi przeszkadza. Albo pan podporządkuje się agentowi Ardellowi, albo wsadzę pana do aresztu. To zależy wyłącznie od pana.

Nastąpiła cisza. Lukas obserwowała parking, chodniki i podcienia.

- Dobrze, ale jeżeli tej nocy poleje się krew, splami przede wszystkim pani ręce.

— Proszę opuścić teren — mruknęła. — Proszę pójść z agentem Ardel-lem.

Agent zaprowadził burmistrza do limuzyny. Wsiadli. Jefferies wyzywająco patrzył na Lukas, ale ta odwróciła się i poszła z Cage'em do hotelu.

— Cholera — rzucił Cage.

— Nie, wszystko jest okay. Nie sądzę, aby Digger coś zauważył.

----- 194 -----

— Nie w tym problem. Jeżeli Kennedy tutaj się zjawił, to znaczy, że mieliśmy przeciek. Kto to był?

- Wiem — powiedziała i wyjęła telefon komórkowy.

- Hardy — z trudem usiłowała powstrzymać swoją wściekłość. — Doskonale wiesz, że informacje dotyczące działań operacyjnych FBI są ściśle tajne. Czy mógłbyś' podać mi powód, dla którego postanowiłeś przekazać je urzędnikowi państwowemu?

Spodziewała się, że policjant będzie usiłował się wyprzec albo przynajmniej wytłumaczyć swoje postępowanie pomyłką lub wprowadzeniem w błąd przez burmistrza. Zaskoczyło ją to, co powiedział w sposób zdecydowany:

— Możesz myśleć, co chcesz, ale Kennedy chciał bezpośrednio porozmawiać z zabójcą. Dałem mu tę szansę.

— Dlaczego?

— Bo uważam, że chcesz pozwolić, aby zginęli ludzie.

— Jeżeli to oznacza, że chcę zatrzymać Diggera, zgadzam się z twoją opinią.

— Kennedy powiedział, że mógłby z nim porozmawiać. Wręczyć mu okup. On...

— Czy wiesz, że przyprowadził ze sobą przekłętą ekipę telewizyjną? W głosie Hardy'ego znikła pewność siebie. — On... że co?

— Ściągnął telewizję. Zrobił to dla mediów. Jak ci się wydaje, co zrobi Digger, jeśli zobaczy te wszystkie światła i umundurowanych policjantów? Znajdzie sobie inny cel.

— Powiedział mi tylko, że chce z nim porozmawiać. Nie sądziłem, że zrobi to pod publikę.

— Cóż, taki miał chyba zamiar.

— Czy Digger...

— Usunęliśmy stąd Kennedy'ego. Nie sądzę, żeby coś zauważył. Zapadła krótka cisza. — Przepraszam, Margaret — westchnął ciężko. —

Chciałem po prostu coś zrobić. Uważałem, że nie może już zginąć więcej osób. Bardzo mi przykro.

Lukas kurczowo ścisnęła telefon. Wiedziała, że powinna wyrzucić go z zespołu i — być może — napisać raport do komisji nadzorującej pracę policji Dystryktu, jednak wyobraziła sobie młodego policjanta wracającego do domu — domu, który przypominał jej własny po śmierci męża i syna. Cisza w nim panująca raniła podobnie jak fałszywe oskarżenia kochanej osoby. Ona wszystkie wolne dni spędzała w domu — cierpiała. I czuła, że umarła część jej samej.

_____ 1Q<Ń _____

~- i y j -

Hardy chyba wyczuł jej współczucie. — To się nie powtórzy. Nadal będę starał się wam pomagać.

- Dobrze, Len. Porozmawiamy o tym później.

— Dziękuję, Margaret.

— Musimy obserwować gości.

Gwałtownym ruchem wyłączyła telefon i nie usłyszała, co Hardy miał jej jeszcze do powiedzenia. Wróciła na hotelowy hol.

Dyskretnym ruchem ponownie wyjęła broń i wmieszała się w tłum gości. Do ósmej brakowało kilku minut.

Goście wpatrywali się w ciemną taflę wody i żartowali na temat „Titani-ca”. Jedli krewetki, lekceważąc wątróbki drobiowe. Rozmawiali o stopach procentowych, skandalach w Kongresie, zbliżających się wyborach i sitco-mach. Prawie wszyscy mężczyźni ubrani byli w smokingi i eleganckie garnitury, natomiast większość kobiet miała na sobie ciemne, długie suknie ocierające się niemal o pokład.

— Nic się nie dzieje? Rozejrzyj się.

— Zobaczmy pokaz sztucznych ogni?

— Gdzie poszedł Hank? Zabrał moje piwo.

Setki gości tłoczyły się na długim jachcie. Miał trzy pokłady i znajdowały się na nim cztery bary. Wszyscy dobrze się bawili.

Piękni i przystojni ludzie: prawnicy i lekarze uwolnieni na kilka godzin od kłopotów swoich klientów; rodzice, którzy chociaż przez ten wieczór nie będą zajmować się dziećmi; kochankowie z trudem tolerujący towarzystwo i szukający wolnego pokoju.

— Zatem on ma zamiar słyszałem ale poparcie spada dlaczego on chce co wiesz o Sally Claire i Tomie czy rzeczywiście przeprowadzają się do War-renton cóż nie wiem czy będzie ich na to stać...

Wskazówka minutowa ponownie się przesunęła.

Wszyscy są szczęśliwi.

Sympatyczni ludzie na przyjęciu. Przyjaciele.

Wdzięczni losowi, że o północy będą mogli zobaczyć pokaz sztucznych ogni, wdzięczni, że na kilka godzin oderwą się od problemów codzienności — przestaną odczuwać natłok spraw ciężących nad stolicą kraju.

Wdzięczni za komfortowe warunki, doskonałą obsługę i jedzenie na pokładzie luksusowego jachtu „Ritzy Lady”, który dumnie unosił się na wodach Potomaku, w doku oddalonym trzy kilometry od mostu na Czternastej Ulicy.

196

Robby oderwał się od Tolkiena i wrócił do gry. I R Uspokoił się i Parker mógł myśleć o powrocie do biur FBI.

Ciekawe, co zaszło w czasie ostatniego ataku Diggera? Czy powiodło się Lukas i Cage'owi? Czy go zatrzymali?

Może go zabili?

Manewrując między zabawkami leżącymi na podłodze, wyszedł z pokoju i zszedł na dół. Stephanie była w kuchni z panią Cavanaugh. Mrużyła oczy, gdy starannie szorowała jeden z nierdzewnych garnków. Przygotowała prażoną kukurydzę, którą posypała zielonym cukrem. Wyglądała na talerzu bardzo zachęcająco.

— Doskonale, Ktośko — powiedział do niej.

— Chciałam położyć na nią srebrne kuleczki, ale się sturlały.

— Robby będzie zachwycony.

Podszedł do telefonu, lecz zatrzymał się, gdy spojrzał na jej twarz. Objął ją ramieniem. — Z twoim bratem jest wszystko w porządku.

— Wiem.

— Bardzo mi przykro, że dzisiaj nie ma mnie w domu.

— W porządku.

Nie było to jednak zbyt przekonujące „w porządku”.

— Jutro się zabawimy... Hm, kochanie, pamiętasz tego mojego przyjaciela? Chyba muszę wrócić do niego...

— Och, wiem — powiedziała Stephanie.

— Naprawdę?

— Czasem jesteś z nami cały czas, a czasem częściowo.

— Ale jutro cały dzień będę z wami. Mam nadzieję, że spadnie śnieg. Pojeździmy na sankach?

— Oczywiście! Czy będę mogła przygotować gorącą czekoladę?

— Mam nadzieję, że przygotujesz. — Uścisnął córkę, wyprostował się i poszedł do swojego pokoju zadzwonić.

Nie chciał, żeby dzieci słyszały rozmowę.

Zatrzymał się. Przez zasłonięte okno dostrzegł jakiś ruch na chodniku przed domem. Ktoś w ciemnym płaszczu.

Podszedł szybko do okna i wyjrzał na zewnątrz. Nikogo nie widział — jedynie samochód, ale nie rozpoznawał

go-

Wsunął rękę do kieszeni. Dotknął chłodnego metalu, z którego wykonany był pistolet Lukas.

----- 197 -----

Och, znowu... Pomyślał o Boatmanie i o tamtej koszmarnej nocy. Strzały z pistoletu są zbyt głośne. Rozległ się dzwonek.

— Otworze — powiedział ostro, spoglądając do kuchni. Zobaczył, że Stephanie zamrużyła oczami. Po raz kolejny jego szorstkość przestraszyła jedno z dzieci.

Trzymając rękę w kieszeni, spojrzął przez okno w drzwiach i zobaczył agenta, którego wcześniej spotkał.

Głęboko odetchnął, by się uspokoić, i otworzył drzwi. Drugi agent wszedł na schody. Przypomniał sobie, że Lukas mówiła o wysłaniu agentów do pilnowania domu.

— Agent Kincaid?

Skinął głową. Spojrzął przez ramie, aby się upewnić, czy Stephanie ich nie słyszy.

- Agentka specjalna Lukas przysłała nas do pilnowania pana rodziny.

— Dziękuję. Czy możecie tak zaparkować samochód, by dzieci go nie widziały? Nie chcę, żeby się niepokoiły.

— Już to robimy.

Spojrzał na zegarek. Odetchnął z ulgą. Gdyby Digger ponownie uderzył, Cage i Lukas zadzwoniliby do niego.

Być może już złapali tego sukinsyna.

— Co z mordercą z metra? — spytał. — Diggerem? Zatrzymali go? Agenci wymienili między sobą spojrzenia, które go zmroziły.

Och, tylko nie...

— Cóż...

Zadzwonił domowy telefon. Parker zauważył, że odebrała go pani Cava-naugh.

— Morderca wszedł na pokład jachtu znajdującego się na Potomaku. Zabił jedenaście osób i zranił dwadzieścia.

Myślałem, że pan wie o tym.

Boże, nie...

Chwyciły go mdłości.

Ja tutaj czytałem książkę dla dzieci, a ci ludzie umierali.

- Agentka Lukas... czy nic się jej nie stało? A Cage'owi? — spytał.

— Nie. Nie było ich na jachcie. Znaleźli wskazówkę — nazwę Ritz — sądzili zatem, że Digger uderzy w którymś z hoteli Ritz. Niestety, tak się nie stało. Jacht nazywa się: „Ritzy Lady”. Pech, prawda?

— Ochrona oddała kilka strzałów i wystraszyła mordercę. Gdyby nie to, mógłby zabić znacznie więcej osób.

Ale nie zatrzymali go ani nie zastrzelili — dodał drugi agent.

Pech?

To nie jest pech. Rozwiązanie łamigłówek to nie sprawa szczęścia.

198

Trzy jastrzębie...

Usłyszał głos pani Cavanaugh: — Panie Kincaid?

Spojrzał w głąb mieszkania.

Jedenaście osób zabitych...

— Telefon do pana.

Parker poszedł do kuchni. Wziął słuchawkę, spodziewając się, że dzwoni Lukas lub Cage.

Usłyszał jednak przymilny i przyjemny baryton. Głos był mu obcy. - Pan Kincaid?

— Tak. Kto mówi?

— Moje nazwisko: Slade Phillips. Pracuje w WPLT. Panie Kincaid, przygotowujemy reportaż dotyczący strzelanin w dniu dzisiejszym. Z naszego źródła wiemy, że pan był zaangażowany w prowadzenie śledztwa i być może jest pan odpowiedzialny za wysłanie agentów FBI do hotelu „Ritz Carlton”, gdy w rzeczywistości morderca wybrał inny cel ataku. Reportaż będzie nadany o godzinie dziewiętej. Chcemy, aby pan wyjaśnił tę sprawę. Czy ma pan jakieś komentarze na ten temat?

Parker ciężko oddychał. Odniósł wrażenie, że jego serce się zatrzymało. To było... Joan się dowie, wszyscy się dowiedzą.

— Panie Kincaid?

— Nie mam żadnych komentarzy. — Rzucił słuchawkę. Spojrzał na wiszący kabel telefoniczny i wyrwał go z kontaktu.

Digger wrócił do swojego pokoju hotelowego.

Łódź, na której kręcił się... klik... kręcił się jak bąk wśród wirujących czerwonych i żółtych liści i strzelał ze swojego Uzi, i strzelał, i strzelał...

Patrzył na ludzi, którzy upadali i upadali, i upadali.

Było inaczej niż w teatrze. Tym razem zabił ich znacznie więcej. To spowoduje, że mężczyzna, który mówi mu o wszystkim, będzie szczęśliwy. Cokolwiek to znaczy.

Digger zamyka drzwi do pokoju i pierwsza rzecz, którą robi, to podchodzi do tapczanu i patrzy na Tye'a.

Chłopiec ciągle śpi. Koc zsunął się z niego, więc Digger starannie go okrywa.

Włącza telewizor i widzi zdjęcia z jachtu „Ritzy Lady”. Po raz kolejny widzi... klik... burmistrza. Burmistrza Kennedy'ego. Stoi przed łodzią. Ubrany jest w elegancki garnitur i krawat. Wygląda dziwnie na tle żółtych worków z ciałami, które leżą za nim. Mówi do mikrofonu, ale Digger nie słyszy. Nie włączył głosu, bo nie chce budzić Tye'a.

----- 199 -----

Przez chwilę ogląda telewizję, ale na ekranie nie pojawiają się reklamy. Jest niezadowolony. Wyłącza telewizor i mówi w myślach: „Dobranoc, burmistrzu”.

Zaczyna pakować swoje rzeczy.

Hotele są przyjemnymi i zabawnymi miejscami.

Przychodzą i sprzątają pokój. Zabierają brudne talerze po zupie i przynoszą czyste. Pamela nigdy tego nie robi.

Jest dobra w uprawie kwiatów i jest dobra w „tych rzeczach” w łóżku. Tak. Te... klik, klik, klik... te rzeczy.

Wiruje mu w głowie. Kule brzęczą mu w móz... móz... mózgu.

Myśli z jakiegoś powodu o Ruth.

— Boże, nie! — krzyknęła Ruth. — Nie rób tego.

Ale powiedziano mu, żeby to zrobił — wbił kawałek szkła w jej gardło, więc tak postąpił. Wstrząsnęły nią dreszcze, gdy umierała. Pamięta to — trzęsącą się Ruth.

Drżała jak on w dzień Bożego Narodzenia, gdy przygotował Pameli zupę i potem wręczył jej prezent.

Patrzy na Tye'a. Weźmie chłopca ze sobą... klik... na Zachód. Mężczyzna, który mówi mu o wszystkim, powiedział, że wezwie go, gdy skończą w Waszyngtonie, i powie mu, gdzie następnie pojedą.

— Gdzie? — zapytał Digger.

— Hm. Nie wiem. Być może na Zachód.

— Gdzie jest Zachód? — dociekał.

— Kalifornia. Być może Oregon.

— Aha — odpowiedział Digger, który nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie to jest.

Czasami, późnym wieczorem, obżarty zupą i zadowolony z zabawnych reklam myśli o wyjeździe na Zachód i wyobraża sobie, co będzie tam robił.

Teraz, kiedy się pakuje, postanawia stanowczo, że weźmie ze sobą chłopca. Na Zachód, na... klik.

Na Zachód.

Będzie wspaniale. Będzie przyjemnie. Będzie zabawnie.

Będą jeść zupę z chili i oglądać telewizję. Opowie chłopcu o reklamach.

Pamela, jego żona, z kwiatami w rękach i złotym krzyżykiem między piersiami, też oglądała z nim reklamy.

Ale nie mieli chłopca takiego jak Tye, który by oglądał razem z nim telewizję.

— Ja? Mieć dziecko z tobą? Oszalałeś? Czy ci odjechało... klik... odjecha-ło? Dlaczego nie wyjedziesz? Dlaczego jeszcze tutaj jesteś? Weź swój pierdolony prezent i wynoś się stąd. Wynoś się. Czy ty...

----- 200 -----

Klik...

Jednak kocham cię...

— Czy chcesz, żebym ci to powiedziała? Pieprze się z Williamem od roku. To dla ciebie nowość? Wszyscy w mieście, z wyjątkiem ciebie, o tym wiedzą. Jeżeli będę miała dziecko, to będzie jego dziecko.

Jednak kocham cię coraz mocniej.

— Co ty robisz? Je... Klik.

— ...zus. Odłóż to!

Wspomnienia buszują w głowie Diggera jak myszy.

— Nie, nie rób tego! — wrzeszczała, patrząc na nóż w jego ręku. — Nie rób tego!

Ale to zrobił.

Wbił nóż w jej pierś, bezpośrednio pod złotym krzyżykiem — prezentem, który jej wręczył dzisiejszego, bożonarodzeniowego ranka. Jaka piękna, czerwona róża pojawiła się na jej piersi! Ponownie wbił nóż i róża zrobiła się większa.

Krew, krew, krew. Pamela biegnie... gdzie? gdzie? Do ubikacji, tak, do ubikacji. Krwawi i krzyczy: — Och, Jezu, Jezu, Jezu...

Pamela wrzeszczy, unosząc pistolet i celując w jego głowę. Gdy poczuł uderzenie w skroń, jej ręka zamieniła się w piękny, żółty kwiat.

Po pewnym czasie Digger się obudził.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, były dziecięce oczy mężczyzny, który będzie mówił mu o wszystkim.

Klik, klik...

Wywołuje pocztę głosową. Brak nowych informacji.

Gdzie on jest?

Nie ma czasu na zastanawianie się, czy jest szczęśliwy, czy smutny. Cokolwiek to znaczy. Musi się przygotować.

Digger zamyka drzwi do ubikacji. Wyjmuje drugi pistolet maszynowy, też Uzi. Zakłada rękawiczki i zaczyna ładować magazynki.

Tym razem weźmie dwa pistolety. Żadnych toreb na zakupy. Dwa pistolety i dużo, dużo naboju. Mężczyzna, który mówi mu o wszystkim, powiedział, że o północy musi zabić znacznie więcej ludzi niż do tej pory.

Bo będzie to ostatnia minuta ostatniej godziny w ostatnim dniu roku.

Spocony Parker Kincaid wpadł do laboratorium Wydziału Dokumentów.

Lukas podeszła do niego. Jej twarz była jeszcze bledsza.

— Muszę ci coś powiedzieć — zaczęła. Ten reporter — Phillips — przekazał jednemu z naszych ludzi zajmujących się łącznością pewną wiadomość. W jakiś sposób dowiedział się o twoim prawdziwym nazwisku.

— Obiecywaliście — wybuchnął.

— Bardzo mi przykro, Parker. Przepraszam. To na pewno nie wydostało się stąd. Naprawdę nie wiem, co się wydarzyło.

Doktor Evans i Tobe Geller siedzieli cicho. Wiedzieli, co się stało, i patrząc w oczy Kincaida, chcieli zapaść się pod ziemię. Cage'a nie było w pokoju.

Parker wezwał ich przez komórkę do laboratorium, gdy pędził samochodem do biur FBI. Na dachu umieścił

koguta, którego pożyczył od agentów pilnujących jego domu. Jego umysł pracował jeszcze szybciej. Jak uniknąć katastrofy? Chciał tylko pomóc ocalić kilka istnień ludzkich. To była jego jedyna pobudka — ochronić dzieci. I co z tego wyszło...

Teraz zbiorą mu dzieci.

Koniec świata...

Wyobraził sobie bezsenne noce, gdy dzieci będą u matki. Matkowanie szybko jej się znudzi. Gdy nie znajdzie opiekunki do dzieci, będzie je zostawiać w centrum handlowym, w świetlicy. Na dzieciach skupi swoje frustracje. Będą musiały same przygotowywać posiłki, prać swoje ubrania. Był zrozpaczony.

Dlaczego, u diabła, rozważał w ogóle tę prośbę Cage'a.

Włączył mały telewizor stojący na stoliku. Chciał obejrzeć wiadomości. Była dokładnie dziewięta. Skończyły się reklamy. Na ekranie mignęły uśmiechnięte twarze dziennikarzy WPLT, którzy czytają wiadomości.

— Gdzie jest Cage? — zapytał wściekle.

— Nie wiem — odpowiedziała Lukas. — Gdzieś na górze.

Może powinien przeprowadzić się z dziećmi — myślał obsesyjnie. Nie, nic to nie da. Joan doprowadzi do tego, żeby sąd Wirginii nadal zajmował się tą sprawą.

Na ekranie telewizora ten skurwysyn Phillips spoglądał znad sterty gazet i gapił się w kamerę z groteskowo szczerym wyrazem twarzy.

----- 202 -----

- Dobry wieczór państwu. Slade Phillips. Jedenaście osób zginęło, a dwadzieścia dziewięć zostało rannych godzinę temu w trzeciej strzelaninie, które dzisiaj sterroryzowały Waszyngton. W specjalnym reportażu przedstawimy wywiady z ofiarami masakr i z policjantami prowadzącymi śledztwo. Pokażemy też film nagrany podczas ostatniej strzelaniny na jachcie zakotwiczonym na Potomaku.

Parker, zaciskając pięści, słuchał w milczeniu.

Phillips kontynuował: — Nie wiadomo, kto stoi za morderstwami, ale z dobrze poinformowanych źródeł wiemy, że chodzi o wymuszenie okupu w wysokości 20 milionów dolarów. Masakry są

dziełem terrorystów, lecz do tej pory nikt nie zgłosił się po pieniądze. WPLT dowiedziała się również, że policjanci i agenci zostali wysłani do hotelu, który miał być rzekomo celem ostatniego ataku mordercy. Dokładnie nie wiadomo, kto jest odpowiedzialny za tę pomyłkę, ale z dobrze poinformowanych źródeł wiemy...

Phillipsa jakby zatkąło. Zamrugnął powiekami i uniósł głowę — przypuszczalnie słuchał informacji podawanych przez słuchawkę umieszczoną w jego prawym uchu. Spojrzał w kamerę i można było zauważyć, że zmarszczył

nieznacznie brwi. W jego głosie słychać było nutę zawodu.

— Z dobrze poinformowanych źródeł wiemy, że burmistrz Waszyngtonu Gerald Kennedy został zatrzymany przez służby federalne. Ma to prawdopodobnie związek z ostatnią, nieudaną próbą zatrzymania mordercy...

Łączymy się teraz z naszą korespondentką — Cheryl Vandover — która znajduje się na miejscu zbrodni. Cheryl, czy możesz nam powiedzieć...

Cage wszedł do laboratorium ubrany w płaszcz. Wyłączył telewizor. Parker zamknął oczy i dał upust swojej złości. — Jezu!

— Przepraszam, Parker — powiedział Cage. — Czasami zdarzają się wpadki, ale zawarłem z tobą transakcję i teraz musimy doprowadzić sprawę do końca. Ach, jeszcze jedno — nie pytaj, jak to zrobiłem. Przecież nie chcesz tego wiedzieć. Mamy jeszcze jedną szansę. Musimy schwytać tego kutasa. Tym razem nie może być żadnych pomyłek.

W pobliżu ratusza limuzyna zwolniła jak cumujący jacht, gdy zbliżali się do budynku.

Burmistrz Kennedy nie lubił porównań, ale nic nie mógł na to poradzić. Przed chwilą był na brzegu Potomaku.

Dodawał otuchy ludziom, którzy przeżyli tragedię, i przyglądał się zniszczeniom spowodowanym przez Diggera.

On i jego wysoka, szczupła żona byli zaskoczeni widokiem. Pociski wystrzelone przez Diggera rozwalily pokłady, kabiny i stoły w drobny mak. Mógł sobie jedynie wyobrazić, w jakim stanie były ciała ofiar.

----- 203 -----

Pochylił się i wyłączył telewizor.

- Jak oni mogli? — wyszeptała Claire, myśląc o wystąpieniu dziennikarza, który sugerował, że Kennedy w jakiś

niejasny sposób jest odpowiedzialny za masakrę na jachcie.

Wendell Jefferies siedział pochylony i trzymał się za swoją połyskującą głowę.

— Ten Phillips... Przecież mu zapłaciłem. Ja...

Kennedy uciszył go ruchem ręki. Widocznie jego asystent zapomniał, że przedni fotel zajmuje olbrzymi, łysy agent. Przekupstwo mediów było niewątpliwie jednym z problemów, którymi zajmowały się służby federalne.

Tak, Jefferies zapłacił Slade'owi Phillipsowi dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i dobrze wie, że nigdy tych pieniędzy nie odzyskają.

— Bez względu na wszystko nie zamierzam zatrudnić Phillipsa jako mojego sekretarza prasowego — rzekł

poważnie Kennedy do Jefferiesesa.

Jego sposób mówienia był bardzo uroczy i zajęło im dłuższą chwilę, nim zrozumieli, że

burmistrz żartował.

Claire wybuchła śmiechem, natomiast Jefferies wciąż nie mógł wyjść z szoku.

Dowcip polegał na tym, że Kennedy nie miał zamiaru zatrudniać żadnego sekretarza prasowego — jego poprzednicy też ich nie potrzebowali. Ale miał ochotę krzyczeć, płakać.

— Co my teraz zrobimy? — spytała Claire.

— Wypijemy coś i będziemy czekać na wiadomości. Digger może zaatakować ponownie i zażądać okupu.

Jestem jedyną osobą, która może wypłacić mu pieniądze. Ciągłe mam szansę spotkać się z nim twarzą w twarz.

Claire kręciła głową. — Po tym wszystkim, co się wydarzyło na jachcie? Nie możesz mu ufać. On cię zabije.

Prasa jest bardziej niebezpieczna. To oni mnie szybciej zabiją — pomyślał Kennedy.

Claire spryskała swoje rzadkie włosy perfumami. Kennedy lubił ten zapach. Wprawiał go w dobre samopoczucie. Ta tryskająca życiem i elegancka, pięćdziesięcioletnia kobieta była jego doradcą i mentorem od pierwszych dni jego burmistrzowania. Tylko dlatego, że była białą kobietą, nie została jego głównym asystentem. To nie przyniosłoby mu popularności w Dystrykcie zamieszkałym w sześćdziesięciu procentach przez czarną ludność.

— Czy sprawy wyglądają tak źle? — odezwała się po chwili.

— Bardzo źle.

Claire Kennedy skinęła głową i położyła rękę na potężnej nodze męża. Zapadła cisza.

— Czy mamy tu szampana? — spytała nagle, spoglądając na minibarek.

___ 204 ___

— Szampana?

— Oczywiście. Zacznijmy świętować naszą haniebną porażkę. Zawsze chciałeś być nauczycielem —

stwierdziła i mrugając okiem dodała: — Profesorze Kennedy.

— Ty także — profesorko Kennedy. Powiemy Williamowi i Mary, że będziemy się z nimi spotykać na korytarzach uczelni.

Uśmiechnęła się do niego i otworzyła minibarek.

Jednak Kennedy był zupełnie poważny. Powrót na uczelnię będzie dla niego porażką. Dobrze płatna, atrakcyjna praca w firmie prawniczej będzie porażką. Kennedy wiedział, że celem jego życia jest uczynienie z tego pogrą-

żonego w beznadziei miasta lepszego miejsca dla przyszłych pokoleń. Jedynie jego Projekt 2000 mógł to zapewnić. Teraz wszystkie te nadzieje legły w gruzach.

Spojrzał na żonę. Śmiała się.

Wskazywała na zawartość barku. — Galio i Budweiser.

A cóż innego może być w Dystrykcie Kolumbii?

Kennedy otworzył drzwi samochodu i wyszedł. Owionęło go chłodne, wieczorne powietrze.

Magazyneki są w końcu załadowane.

Wymienił wypełnienie w używanym tłumiku. Na drugim pistolecie maszynowym zainstalował nowy.

Digger, w swoim wygodnym pokoju, sprawdza po kolei kieszenie. No tak... Jeden pistolet ma przy sobie, w schowku w samochodzie są jeszcze dwa. I dużo, bardzo dużo amunicji.

Wynosi swoją walizkę do samochodu. Mężczyzna, który mówi mu o wszystkim, powiedział, że pokój w hotelu jest opłacony. Kiedy przyjdzie pora go opuścić, nie powinien się o nic martwić.

Puszki z zupą oraz naczynia wkłada do pudełka i zabiera je do swojej to-yoty — toyoty dla zwykłych ludzi.

Potem wraca do pokoju i przez parę minut przygląda się wątltemu chłopcu. Zastanawia się, gdzie... klik... gdzie jest Kalifornia. Owija chłopca w koc

i bierze go na ręce jak szczenię. Znosi Tye'a do samochodu i kładzie go na tylnym siedzeniu. Sam siada za kierownicą, ale nie włącza silnika. Ponownie przygląda się chłopcu. Owija kocem jego stopy. Tye ma na nogach podarte buty do biegania.

W uszach brzęczy mu jakiś głos. Czyj? Pameli? Williama? Mężczyzny, który mówi mu o wszystkim? - Śpij...

----- 205 -----

Zaraz, zaraz, zaraz.

— Chce, żebyś... klik, klik.

Znika wspomnienie Pameli, Ruth z wbitym w szyję szkłem, mężczyzny, który mówi mu o wszystkim. Jest tylko Tye.

— Chce, żebyś' spokojnie spał — mówi Digger.

Nie ma pojęcia, skąd pochodzą te słowa. Nie jest nawet pewny, co one oznaczają. Mimo to wypowiada je.

Kiedy kładę się spać.

Kocham cię coraz mocniej...

Zapala silnik. Jak uczeń w szkole jazdy dokładnie sprawdza, czy ktoś' nie nadjeżdża z tyłu i z boku, i włącza się w ruch uliczny.

25

4jjrf::%r^

Kolejne miejsce ataku Diggera. O O 1 C ...miejsce, do którego zabrałem cię — czarna...

Parker Kincaid stał przed tablicą wiszącą na ścianie laboratorium. Ręce trzymał na biodrach. Przyglądał się łamigłównce na tablicy... miejsce, do którego zabrałem cię — czarna...

— Co oznacza słowo „czarna”? — zastanawiał się doktor Evans.

Cage wzruszył ramionami. Lukas rozmawiała przez telefon z ludźmi badającymi miejsce ostatniej masakry.

Skończyła rozmowę i poinformowała, że znaleziono kilka łusek z odciskami palców. Sprawdzają je i wyniki prześlą pocztą elektroniczną. Innych dowodów brak. Świadcowie mówią o białym mężczyźnie w nieokreślonym wieku, ubranym w ciemny płaszcz. Miał przy sobie brązową torbę, w której prawdopodobnie schował broń.

Parker rozejrzał się wokół siebie.

- Gdzie jest Hardy? Cage powiedział mu o incydencie w „Ritzu”.

— Wyrzuciła go z zespołu? — zapytał Parker, spoglądając na Lukas.

— Nie, choć początkowo chciała, ale dała mu jeszcze jedną szansę. Siedzi w bibliotece na dole. Usiłuje się zrehabilitować.

Parker spojrział na Gellera. Młody agent gapił się w monitor, podczas gdy komputer usiłował bezskutecznie złożyć jakieś litery po wyrazie „czarna”. Popiół z papieru był w tym miejscu znacznie bardziej pokruszony i wymieszany niż przy nazwie jachtu — „Ritzy Lady”.

Parker przespacerował się po laboratorium i ponownie stanął przed tablicą. Czuł ciśnienie chwili, ale nie mógł

znaleźć klucza do rozwiązania zagadki. Westchnął.

Obok niego wyrosła Lukas. -- Co z twoim synem? -- zapytała. -Z Robbym? Wszystko w porządku?

— Myślę, że tak. Był trochę przestraszony.

Skinęła głową. Stojący obok komputer zasygnalizował nadejście informacji. Podeszła do niego i przeczytała wiadomość. Pokręciła głową.

— Odciski palców pochodzą od jednego z gości, który zbierał łuski na pamiątkę. Zginął. — Wprowadziła informację do pamięci komputera.

Parker zerknął na ekran. — To czyni mnie człowiekiem z innej epoki.

— Co?

— E-mail, poczta elektroniczna — powiedział. Spojrzał na Lukas i dodał: — Myślę o sobie jako o kimś, kto zajmuje się badaniem dokumentów. Dzięki poczcie elektronicznej ludzie wysyłają teraz znacznie więcej listów niż kiedyś.

— Ale mniej piszą ręcznie? — spytała, kontynuując jego myśl.

— Właśnie.

— Traci się w ten sposób cenne dowody — dodała.

— Pewnie, ale nie to mnie smuci.

— Smuci? — spojrzała na niego. Zniknął jej kamienny wzrok. Patrzyła teraz ostrożnie, czując się niepewnie w tym nowoczesnym laboratorium.

— Dla mnie pismo odręczne jest częścią człowieka. Pomyśl o tym — tylko pismo pozostanie po śmierci. Może zachować się przez setki albo tysiące lat. To jest klucz do nieśmiertelności.

— Część człowieka? — zapytała. — Mówiłeś, że grafologia to oszustwo.

— Nie tak. Myślę, że to, co piszemy, jest odbiciem naszej osobowości. Nie ma znaczenia, że mogą to być wyrazy napisane błędnie lub nonsensowne. Myślimy tymi słowami i nasze ręce przelewają je na papier. To się liczy. Dla mnie to cud.

Wbiła wzrok w podłogę.

Parker kontynuował: — Uważam, że pismo jest „odciskiem palców” naszego serca i umysłu. — Roześmiał się z porównania i sądził, że Lukas zareaguje tak samo jak poprzednio, gdy wypowiadał się o swoich odczuciach —

szorstko i obcesowo. Jednak stało się coś dziwnego. Lukas odwróciła od niego wzrok. Początkowo sądził, że na monitorze komputera pojawiła się kolejna informacja. Ale nie. Na ekranie zobaczył odbicie jej twarzy.

Wydawało mu się, że oczy ma pełne łez. Nie, to niemożliwe, nie przypuszczał, że Lukas... ależ tak, ocierała łzy.

----- 207 -----

Chciał zapytać, czy stało się coś złego, ale ona szybko podeszła do stołu, na którym leżały spalone notatki szantażysty. Nie dała mu szansy, żeby coś powiedział. Pospiesznie spytała: — A co myślisz o tych labiryntach?

Może to w nich zawarty jest klucz?

Nie odpowiedział. Patrzył na nią. Odwróciła się gwałtownie w jego stronę i ponowiła pytanie:

— Wiesz co z tymi labiryntami?

Po chwili spojrzął na stół. Jedyne psychopaci, a i to rzadko, zostawiają kryptogramy, które mogą ułatwić śledztwo. Stwierdził jednak, że nie jest to całkiem zły pomysł. Mają przecież tak niewiele wskazówek. Włożył

szybki ze spalonymi kartkami do projektora.

Lukas stała obok, ze skrzyżowanymi ramionami.

— Na co tak patrzycie? — zapytał Cage.

— Może te linie tworzą jakieś litery — podsunęła Lukas.

— Dobrze, sprawdźmy — zgodził się Parker. Skupili się na labiryntach. Zaczęli bardzo uważnie przyglądać się liniom je tworzącym. Nie znaleźli jednak żadnych liter poza dużym L. Tej litery można było się spodziewać —

tworzyła się przy przecięciu prostokątnych linii.

- A może to rodzaj mapy — zasugerowała.

Kolejny dobry pomysł.

Wszyscy zaczęli wpatrywać się w linie tworzące labirynty. Lukas znała na pamięć plan miasta. Pracowała przecież w waszyngtońskim oddziale FBI. Jednak labirynty nie przypominały jej żadnego układu ulic.

Geller wrócił do komputera. Pokręcił głową. — Program nie działa. Jest za mało śladów z popiołu, aby mógł

ułożyć kolejne litery.

— Musimy zatem pracować metodą tradycyjną. — Parker chodził po laboratorium i spoglądał na tablicę. —

...czarna.

— Może to jakaś organizacja skupiająca Afroamerykanów — zasugerował Evans.

— Być może, ale pamiętajcie, że szantażysta był inteligentny i dobrze wykształcony — odparł Parker.

Cage zmarszczył czoło. — Co chcesz przez to powiedzieć? Odezwała się Lukas: — Wyraz „czarna” napisany jest z małej litery. Gdyby chodziło o organizację, prawdopodobnie napisałby jej nazwę z dużej litery.

— Właśnie — poparł ją Parker. — Sądzę, że słowo to odnosi się do rasy, a nie konkretnej organizacji.

Czarna...

Parker podszedł do stołu, gdzie leżał list z żądaniem okupu. Oparł się o stół tak, że list znajdował się między jego rękami. Wpatrywał się w „łzy diabła” nad literami i. Patrzył na nieugięte pismo.

----- 208 -----

Co ty wiesz? — po cichu zwrócił się do listu. Dlaczego nie chcesz nam nic powiedzieć? Jakie ukrywasz sekrety?

Co tu...

— Mam coś — dotarło do nich od drzwi. Wszyscy się odwrócili.

Detektyw Len Hardy szybkimi krokami wszedł do laboratorium. Pod pachą trzymał plik papierów. Złapał

oddech. — Margaret, miałaś rację. Nie powinienem zajmować się siedzeniem przestępców i strzelaniem do nich, ale szperaniem w papierach. Nikt nie robi tego tak dobrze jak ja. Znalazłem

informacje na temat nazwiska Digger. — Położył kartki na biurku i zaczął je wertować. Spojrzał na obecnych w laboratorium. — Przepraszam za to, co wydarzyło się z mojego powodu. Poniosło mnie. Chciałem tylko coś zrobić, aby ratować ludzi zagrożonych przez mordercę...

— W porządku, Len — powiedziała Lukas. — Co masz?

Hardy zwrócił się do doktora Evansa: — W jakich bazach poszukiwał pan tego nazwiska?

— Cóż, standardowych — odpowiedział psycholog, przyjmując postawę obronną.

— Bazy danych zawierające informacje o przestępcach? YICAP, NYPD, John Jay?

— Tak, w tych — odparł Evans.

— To dobrze, ale ja pomyślałem, że trzeba wykorzystać także inne źródła. W końcu dotarłem do bazy danych Wydziału Historii Religii Uniwersytetu w Cambridge. — Hardy otworzył swój notatnik. Wewnątrz znajdowały się starannie opisane i opatrzone indeksami kartki. Podobnie jak jego błyszczące, wyczyszczone buty i nienaganna koszula świadczyło to, że był perfekcjonistą. — To jest bardzo interesujące — zawołał

podeksycytowany. — W siedemnastowiecznej Anglii działał ruch wysuwający hasła utopijnego komunizmu.

Żądał wspólnego władania ziemią. Członkowie tego ruchu określani byli mianem „Diggerów” (diggerzy —

„kopacze”). Ich działania miały charakter pokojowy, jednak związani byli z innym ruchem — „Prawdziwych Le-wellerów” (lewellerzy — „wyrównywacze”). Ci byli bardziej aktywni politycznie, przeprowadzali czasem akcje zbrojne.

— Lewellerzy — mruknął Cage. — Jeszcze jedna diabelska nazwa.

Hardy kontynuował: — Domagali się równości. Żądali zniesienia monarchii. — Spojrzał na Parkera. — Kiedy cię nie było, doszliśmy do pewnych wniosków. Doktor Evans uważa, że celem ataków przestępców są ludzie bogaci, z wyższych sfer.

— Czy obecnie można zetknąć się z tymi ruchami? — spytała Lukas.

— Nie. Mają tylko znaczenie historyczne.

_____ ono _____

Ć*V7 ~

— Wiec w czym nam to pomoże? — dociekała dalej.

— Pozwoli określić motywy zbrodni. Szantażysta chciał wyrównywać różnice społeczne — odpowiedział

Hardy.

— Ale dlaczego? — naciskała Lukas.

— Być może kierowały nim przesłanki religijne. Pamiętajcie o krzyżyku? — wtrącił Geller.

- Trzeba to wziąć pod uwagę, jednak większość fanatyków religijnych nie żąda pieniędzy, zadowoliliby ich półgodzinny program w CNN — wyjaśnił Evans.

— Ale może żywi do kogoś urazę — odezwał się Parker.

— Oczywiście. To może być motyw zemsty — powiedziała Lukas.

— Ktoś go skrzywdził i teraz szuka sprawiedliwości — dodał Parker.

— To ma sens — zgodził się Evans.

— Ale kto? Kto go skrzywdził? — zastanawiał się Hardy, wbijając wzrok w upiorny list szantażysty.

— Może wyrzucono go z pracy — zasugerował Cage.

— Nie — zaprzeczył Evans. — Psychopata mógłby to zrobić, ale szantażysta był opanowany i kontrolował

swoje działania.

— Wielki biznes. Wielkie korporacje. VIP-y... — burknął Geller.

- Zaraz. Gdyby to było celem jego ataków, powinien skupić się na Nowym Jorku — przerwał mu Hardy.

— Był tam. White Plains — przedmieścia Nowego Jorku — zauważył Cage.

Parker pokręcił głową. — Zwróćcie uwagę: White Plains, Boston, Filadelfia to były tylko dla niego wprawki...

— Kogo zatem tutaj atakuje? — spytał Hardy.

- Co znajduje się w Waszyngtonie? — zapytała Lukas.

- Rząd. Wszyscy o tym wiemy — odparł Parker.

— Diggerzy domagali się zniesienia rządu centralnego — powiedział Hardy.

— Może więc miał taką ideę — odezwała się Lukas.

— Rząd jest odpowiedzialny za krzywdy, których doznał szantażysta. Czy ktoś wie, co to mogło być? — Evans rozejrzał się wokół.

— Ideologia? — głośno myślał Cage. — Jest komunistą albo członkiem zbrojnego ramienia prawicowej organizacji.

— Nie. W takim przypadku wydałby manifest. To jest bardziej osobista sprawa — zaprzeczył Evans.

Lukas i Hardy spojrzeli sobie w oczy. Parkerowi wydawało się, że pomyśleli o tym samym. Odezwał się Hardy:

— Śmierć bliskiej osoby.

----- 210 -----

Lukas skinęła głową.

- Bardzo prawdopodobne — zgodził się psycholog.

— Okay — powiedział Cage. — Ale co się wydarzyło? Kto zginął? Dlaczego?

— Kara śmierci i egzekucja? — zaproponował Hardy.

Cage przecząco kręcił głową. — Tym zajmują się władze stanowe, a nie rząd federalny.

- Służby ratownicze na wybrzeżu popełniły błąd — zasugerował Geller.

- Zbyt wydumane — powiedziała Lukas.

— Samochód rządowy spowodował wypadek. Strzelał pracownik pocztowy. Dyplomaci — podsuwał kolejne pomysły Hardy.

— Do większości wypadków śmierci, za które można obciążyć rząd, dochodzi w wojsku — stwierdził Evans.

— Ktoś, kogo on kochał, zginął w czasie operacji wojskowej — powiedział Parker.

— W wojsku służą głównie ludzie pochodzący z niższych sfer społecznych. Oni stanowią trzon armii. To wyjaśnia, dlaczego Digger strzelał do ludzi z wyższych sfer — dodał Hardy.

— Ale w wojsku corocznie mamy setki ofiar. Czy był to nieszczęśliwy wypadek podczas ćwiczeń? W czasie operacji wojskowej? — zastanawiała się Lukas.

- Pustynna Burza? — zaproponował Cage.

— Ile lat miał szantażysta? — spytał Parker.

Lukas szybkim ruchem sięgnęła po raport koronera. Przeczytała i uniosła wzrok. — Około

czterdziestu pięciu.

Parker skojarzył. — Czarna Ściana.

— Pomnik ofiar wojny w Wietnamie — dodała Lukas.

— Ktoś z bliskich zginął w Wietnamie. Brat, siostra. Może jego żona była wojskową pielęgniarką —

powiedział Evans.

— Od tej wojny minęło trzydzieści lat. Czy to możliwe, żeby dopiero teraz szantażysta zaczął się mścić? —

spytał Cage.

- Tak — odparł Evans. — Jeżeli szantażysta nie korzystał z pomocy terapeutów, jego nienawiść mogła cały czas narastać. W ostatnim dniu roku ludzie podejmują ważne decyzje, śmiałe postanowienia — czasami bardzo de-sperackie, tragiczne w skutkach. Dzisiejszej nocy zostanie popełnionych więcej samobójstw niż w jakimkolwiek innym dniu roku.

— Jezu — jęknęła Lukas.

— I co robimy?

----- 211 -----

- No cóż, ten pomnik znajduje się na Promenadzie. Będzie tam około dwustu tysięcy ludzi. Przyjdą zobaczyć pokaz sztucznych ogni. Powinniśmy zamknąć tę część parku.

— Już teraz jest tam pełno ludzi — powiedział Parker. — Koczują od wielu godzin. Baker będzie musiał

postępować bardzo ostrożnie. W przeciwnym razie wybuchnie panika.

— Potrzebujemy więcej ludzi — orzekł Cage.

Zadzwoił do Artie'ego z ochrony budynku, aby poinformował wszystkich agentów znajdujących się w Centrali o zbiórce w holu.

Lukas wywołała Jerry'ego Bakera i poleciła mu wysłać wszystkich agentów operacyjnych na północno-zachodnią część Promenady. Pagerem przekazała zastępcy dyrektora informację, że chciałyby się z nim spotkać.

Natychmiast oddzwonił. Rozmawiała z nim chwilę, po czym odłożyła słuchawkę.

Spojrzała na członków zespołu. — Zastępca dyrektora wkrótce tu będzie. Spotkam się z nim na dole. Dołączę do was przy pomniku.

.Cage włożył kurtkę. Geller sprawdzał swój pistolet. Wyglądał dziwnie w jego rękach. Te dłonie nawykłe były do operowania myszą.

— Nie, Tobe. Pójdziesz do domu — powiedziała Lukas.

— Ale ja mogę...

— To rozkaz. I tak dzisiaj dużo zrobiłeś'.

Zaczął protestować, jednak Lukas przekonała go, obiecując, że zadzwoni po niego, jeśli będzie potrzebny asystent techniczny.

— Zabiorę ze sobą swojego laptopa — powiedział. Nie wyobrażał sobie, żeby w promieniu jednego metra od niego nie było komputera.

Lukas podeszła do Hardy'ego. — Dziękuję, detektywie. Zrobiłeś kawał dobrej policyjnej roboty.

Uśmiechnął się szeroko. — Gdybym tak jeszcze nie wpięprzył się z tym burmistrzem. Przepraszam...

Machnęła ręką, jakby wybacząc mu to. Następnie zapytała: — Czy chcesz brać udział w akcji?

— Pewnie.

— Okay. Ale trzymaj się na tyłach. Powiedz mi prawdę... Potrafisz posługiwać się bronią?

— Oczywiście. Całkiem niezłe strzelam... pod warunkiem, że nie ma zbyt silnego wiatru. —

Młody detektyw, ciągle się uśmiechając, włożył płaszcz.

Parker poczuł ciężar pistoletu w kieszeni, gdy wkładał swoją kurtkę. Lukas zerknęła na niego podejrzliwie.

— Idę z wami — powiedział w odpowiedzi na jej spojrzenie.

----- 212 -----

— Nie musisz, Parker. Ty też dużo dzisiaj nam pomogłeś — odparła. Uśmiechnął się do niej. — I to bez broni, co? Zawahała się. — Tak. Bez broni...

Co za ruch...

Boże, spójrzcie na nich!

Dziesięciu, dwudziestu agentów wybiega z biur Centrali FBI. Niektórzy mają na sobie kamizelki kuloodporne, inni są bez nich.

Henry Czisman wypił ostatni łyk Jirna Beama i rzucił pustą, brązową butelkę na tylne siedzenie wypożyczonego samochodu, w którym cuchnęło papierosami i whisky. Zgasił marlboro w przepelnionej popielniczce.

Agenci podbiegli do samochodów. Pojazdy ruszyły z piskiem opon.

Nie pojechał za nimi. Jeszcze nie. Czekał cierpliwie jak żmija.

Zobaczył szpakowatego, wysokiego agenta — Cage wyszedł frontowymi drzwiami. Potem jeszcze ktoś" za nim.

Tak! To on! Parker Kincaid.

Chociaż Czisman nie powiedział agentom FBI wszystkiego, nie kłamał, gdy mówił, że był dziennikarzem, i to dobrym dziennikarzem. Znał się na ludziach i umiał ich szybko ocenić. Podczas gdy oni niewątpliwie przeprowadzali analizę jego głosu i siatkówki, on sam wykonał swoje własne testy. Nie tak zaawansowane technicznie — bardziej intuicyjne — ale prowadzące do równie dokładnych wniosków. Po pierwsze: uznał, że Jefferson nie nazywa się w rzeczywistości Jefferson. Gdy ten, kilka godzin temu, wybiegł z Centrali i wsiadł do swojego samochodu, Czisman przesłał jego numer do prywatnego detektywa w Hartford. W krótkim czasie uzyskał prawdziwe nazwisko — Parker Kincaid. W bazie danych sprawdził, że wcześniej pełnił on funkcję kierownika Działu Dokumentów w centrali FBI.

Jeżeli FBI korzysta z pomocy byłego agenta, oznacza to, że jest on dobry. I jego trzeba obserwować, a nie biurokratycznego Cage'a czy tę pozbawioną uczuć Lukas.

Kincaid zatrzymał się, żeby zapiąć swoją skórzaną kurtkę lotniczą, rozejrzał się i wsiadł do nie oznakowanego samochodu razem z Cage'em i młodym agentem lub detektywem ubranym w płaszcz. Włączyli czerwone światło na dachu i szybko ruszyli na południowy-zachód w kierunku Promenady.

Czisman włączył się w pędzący strumień samochodów. Nikt go nie zauważył. Wokół Osiemnastej Ulicy, w pobliżu Alei Konstytucji, utworzyły się korki. Samochody FBI musiały się tu zatrzymać. Agenci wyskoczyli z nich i pobiegli w stronę Promenady. Czisman trzymał się za nimi.

Cage i Kincaid stanęli blisko siebie i obserwowali tłum wokoło. Po chwili Kincaid ruszył w kierunku zachodniej części pomnika poświęconego ofia-

----- 213 -----

ronn wojny w Wietnamie, natomiast Cage skierował się w przeciwną stronę. Mężczyzna w

płaszczu odłączył się od nich i poszedł w kierunku Alei Konstytucji.

Czisman był mężczyzną otyłym. Z trudem wciągał powietrze do swoich podziurawionych przez dym papierosowy płuc. Serce biło mu jak oszalałe. Udało mu się jednak nie zgubić Parkera Kincaida — zatrzymał się tylko na chwilę, aby wyjąć pistolet zza przepoconego paska i włożyć go do kieszeni kurtki.

Płaszcz Diggera jest ciężki. OO 2fl ^est ci?żki, ponieważ są w nim dwa pistolety.

I cztery pełne magazynki, i czterysta sztuk amunicji... Klik, klik.

...do długiej broni, o kalibrze 22. Pociski mają zasięg 1,5 kilometra. Jest na niej ostrzeżenie — dzieci nie mogą z niej strzelać bez nadzoru.

Digger nigdy nie pozwoliłby strzelać dzieciom znajdującym się poza kontrolą.

Nie Tye'owi. Nigdy.

Dwa precyzyjnie przygotowane tłumiki. Bawełna i kauczuk, bawełna i kauczuk.

Jesteś najlepszy, jesteś najlepszy, jesteś najlepszy...

Pistolety maszynowe ukryte są w wewnętrznych kieszeniach jego wspaniałego, granatowego lub czarnego płaszcza — prezentu od Pameli. Jeden z pistoletów, który wyjął ze schowka przy kierownicy, włożył do prawej, zewnętrznej kieszeni swojego płaszcza. Cztery dodatkowe magazynki do Uzi są w lewej kieszeni. Stoi w cieniu i nikt z ludzi stojących obok go nie zauważa. Wzrokiem szuka policjantów i agentów. Nie widzi żadnego.

Tye śpi na tylnym siedzeniu samochodu, który zostawił przecnicę dalej. Kiedy Digger wychodził z samochodu, chłopiec miał swoje chude ramiona skrzyżowane na piersiach.

Najbardziej niepokoi go to, że gdy policja zacznie strzelać albo on będzie musiał użyć broni bez tłumika, Tye może się obudzić. Nie będzie wtedy dobrze spał.

___ 914 ___

^ | T"

Martwi się, czy chłopcu nie jest zimno. Temperatura na zewnątrz wciąż spada. Digger przypomina sobie, że złożył koc okrywający chłopca na troje. Wszystko w porządku. On śpi. Z dziećmi jest wszystko w porządku, gdy śpią.

Przygląda się ludziom, którzy niedługo zginą. Sprawdza na telefonie komórkowym, czy nie nadeszła wiadomość. Kobięcy głos podobny do głosu Ruth, zanim wbił jej szkło w szyję, mówi: — Nie ma żadnych nowych wiadomości.

Zatem będzie strzelać.

Ludzie będą padać na ziemię jak ciemne liście.

Trach trach trachtrachtrach...

On będzie... klik... on będzie kręcić się w kółko jak bąk, jak zabawka, która z pewnością spodobałaby się Tye'owi, i będzie rozsiewać pociski wśród ludzi. Pociski z dwóch pistoletów.

Potem pójdzie do samochodu i sprawdzi, czy nie otrzymał wiadomości. Jeżeli mężczyzna, który mówi mu o wszystkim, wciąż nie zadzwonił, pojedą z Tye'em samochodem i będą szukać... klik... Kalifornii.

Ktoś mu powie, gdzie ona się znajduje.

Łatwo będzie ją znaleźć. Bo jest gdzieś na Zachodzie. Pamięta to.

Czy Digger jest za nim?

Przed nim?

Obok?

Parker Kincaid, odłączywszy się od pozostałych agentów, znalazł się wśród szalejącego tłumu, w pobliżu pomnika ofiar wojny wietnamskiej. Otaczało go morze ludzi. Wzrokiem szukał mężczyzny w ciemnym płaszczu, z torbą na zakupy i krzyżykiem na szyi.

Za dużo ludzi. Tysiące. Dziesięć tysięcy.

Cage znajdował się z drugiej strony pomnika. Len Hardy był w Alei Konstytucji. Baker i pozostali agenci operacyjni przesuwali się z drugiej strony Promenady.

Parker chciał zatrzymać grupę osób idącą w kierunku pomnika i wysłać ich w bezpieczne miejsce, ale się powstrzymał.

Zdał sobie sprawę, że przestał logicznie myśleć.

Łamigłówki. Przypomnij sobie łamigłówki.

Trzy jastrzębie porywały kurczaki z farmy.

Zrozumiał swój błąd. Obserwował niewłaściwe miejsce. Wydostał się z tłumu ludzi i sprawdził teren wokół

pomnika. Przypomniał sobie labirynty szantażysty i zdał sobie sprawę, że mężczyzna prawdopodobnie zakładał, iż po trzecim ataku agenci sporządzą przybliżony rysopis Diggera. Zatem powiedział mu, żeby nie podchodził do pomnika którymś z chodników. Mógłby wtedy zostać rozpoznany.

Powinien ukrywać się wśród drzew.

Parker odwrócił się i zniknął wśród klonów i czereśni. W lasku pełno było ludzi podążających w kierunku Promenady. Nie zawracał im głowy i nie przekonywał, że powinni opuścić teren wokół pomnika. To nie była robota dla niego, tak samo jak owej nocy, kilka lat temu, kiedy skradał się po swoim domu w poszukiwaniu Boatmana. Parker Kincaid porzucił swoje spokojne życie i zamienił się teraz w myśliwego. Ścisnął w kieszeni ciężki pistolet.

Wypatrywał zdobyczy.

Wypatrywał mężczyzny bez twarzy, w ciemnym płaszczu.

Mężczyzny z krzyżykiem na piersiach.

Henry Czisman znajdował się dziesięć metrów za Kincaidem. Właśnie mijał pomnik, gdy Kincaid gwałtownie skręcił do lasku.

Czisman podążył za nim. Patrzył na tłum ludzi.

Co za wspaniały cel ma tutaj Digger!

Będzie kosił ludzi jak trawę.

Czisman trzymał rewolwer skierowany w dół. Nikt tego nie zauważył. Wszyscy byli zdezorientowani —

policjanci i agenci federalni każą pewnie zaraz opuścić Promenadę.

Kincaid miarowym krokiem poruszał się wśród drzew. Czisman był teraz około sześciu metrów za nim. Między nimi zawsze znajdowali się ludzie, tak że badacz dokumentów nie wiedział, że ktoś za nim idzie.

Kiedy byli około dziesięciu metrów od pamiątkowej czarnej ściany, Czisman dostrzegł mężczyznę w ciemnym płaszczu, wychodzącego zza drzewa. Zrobił to bardzo ostrożnie, ukradkiem — zapewne ukrywał się tam. Gdy szedł w stronę pomnika, poruszał się powoli, z oczami wbitymi bez powodu w ziemię. Starał się być niezauważony. Zniknął w tłumie, blisko Kincaida.

Czisman szybko podążył za nim.

Nagle Kincaid odwrócił głowę. Spojrzał w twarz Czismana, potem w bok i znów na niego.

Zmarszczył brwi.

Twarz wydała mu się znajoma, ale nie może przypomnieć sobie, kto to mógłby być.

Czisman odwrócił się i skrył za kilkoma potężnymi mężczyznami niosącymi pojemniki z napojami. Sądził, że zniknął Kincaidowi z oczu. Zaczął wypatrywać mężczyzny w ciemnym płaszczu.

Gdzie on...

Tak, tak, jest tam! Mężczyzna po czterdziestce, nieokreślonego wyglądu. Miał rozpięty płaszcz i przyglądał się tłumowi ludzi swoimi matowymi oczami.

216

Czisman zauważył błysk — błysk złotego przedmiotu na jego szyi.

Nosi złoty krzyżyk.

Agenci w barze powiedzieli mu, że Digger nosi krzyżyk.

Zatem to on — pomyślał Czisman. Rzeźnik, Zabójca Mężów, Diabeł.

Digger.

— Hej! — usłyszał głos.

Czisman odwrócił się. To był Kincaid. Musiał iść jego śladem od chwili, gdy zauważył go w tłumie. Teraz —

pomyślał. Teraz! Czisman uniósł rewolwer i skierował go w stronę celu.

— Czekaj! — krzyknął Kincaid, widząc broń. — Nie!

Ale Czisman nie mógł strzelać — było za dużo ludzi. Zaczął przedzierać się przez tłum, potracając ich, aż zgubił

Kincaida.

Digger nie zwracał uwagi na tych mężczyzn. Przyglądał się tłumowi, jak myśliwy patrzący na wielkie stado gęsi.

Czisman odepchnął grupę studentów.

— Co ty, facet, robisz? - Hej...

Nie zwracał na nich uwagi.

Ciągle nie mógł strzelać. Za dużo ludzi.

Digger rozchylił poły płaszcza. W jednej z jego wewnętrznych kieszeni widać było ogromny czarny pistolet maszynowy.

Nikt go nie widzi! — pomyślał Czisman. Jakby był niewidzialny.

Nikt nie wie — ani małżeństwa, ani dzieci — że morderca jest kilkadziesiąt centymetrów od nich.

Tłum zdawał się gęsnieć. Policja wprawdzie kierowała wszystkich w stronę Alei Konstytucji, ale wielu z nich wślizgnęło się między drzewa. Nie chcą stracić dobrego miejsca do obserwowania pokazu sztucznych ogni —

pomyślał Czisman.

Digger rzucał ukradkowe spojrzenia; szukał dobrego miejsca do strzelania. Wszedł na niewielkie wzniesienie.

Kincaid wynurzył się z tłumy.

Czisman odciągnął kurek swojego rewolweru.

217

Limuzyna zaparkowała obok Promenady, w pobliżu miejsc OO /I fl przeznaczonych dla dyplomatów i członków Kongresu.

Burmistrz Kennedy i jego żona wysiedli z samochodu. Towarzyszył im C.P. Ardell.

— Musi nas pan pilnować jak pies? — spytała agenta Claire.

- Taki mam rozkaz — odparł Ardell. — Proszę zrozumieć. Claire wzruszyła ramionami.

Zrozumieć? — pomyślał Kennedy. Rozumiał jedynie to, że w swoim mieście nie może pojawić się bez

„opiekuna”. Było to upokarzające.

Jego kariera dobiegła końca. Wiedział to, spoglądając na ludzi stojących obok trybuny. Program Slade'a Phillipsa był co najmniej zagadkowy. Wydawało mu się, że wszyscy tu obecni uważają go niemal za współnika Diggera.

A on przecież chciał jedynie ocalić miasto, które kochał.

Błyskały flesze aparatów fotograficznych. Robiono zdjęcia, pod którymi w gazetach będzie podpis: „Burmistrz Jerry Kennedy i jego małżonka”. Pomachał ręką kilku osobom na trybunie. Z poważną miną wysłuchał nieszczęsnych pozdrowień: Jak się masz, Jerry? Gdzie się ukrywałeś?

— Jerry, słyszałem, że miało cię tu nie być. Co cię skłoniło do zmiany decyzji? — dotarło do niego pytanie.

Cóż, to Claire go do tego nakłoniła.

Siedział z żoną na kanapie w biurze ratusza. Byłby szczęśliwy, gdyby chyłkiem mogli wymknąć się do domu.

Jednak Claire miała inny pomysł.

- Wypijmy coś i pojedźmy zobaczyć ten cholerny pokaz sztucznych ogni...

- No, nie wiem — powiedział Kennedy.

- Aleja wiem. Kochanie, nie bądź tak zdruzgotany. Nie zrobiłeś nic złego. Głowa do góry.

Po kilku sekundach uznał, że to najmądrzejsza myśl, jaką usłyszał dzisiaj wieczorem. Wzięli ze sobą butelkę Moeta. Pili przez całą drogę.

Kiedy przez tłum przeciskali się do trybuny, Kennedy natknął się na kongresmana Laniera. Podali sobie ręce.

Tamten zapewne domyślił się, że agent Ardell go pilnuje. I nie chciał zbyt dużo mówić, żeby nie zostało to odebrane jako ukryta złośliwość. Skłonił głowę i rzekł bez cienia kokieterii w głosie: — Claire, wyglądasz dzisiaj olśniewająco.

- Witaj, Paul — powiedziała i zwróciła się do milczącej pani Lanier. — Witaj, Mindy.

____ 718 ____

£* 1 O

- Jerry, masz może najświeższe informacje na temat strzelanin? — spytał po chwili Lanier.

— Ciągłe czekam.

— Mamy dla państwa miejsce, panie burmistrzu — powiedział młodszy asystent Laniera, wskazując na rząd pomarańczowych, składanych krzeseł, znajdujących się za innymi widzami. — Dla pana przyjaciela także. —

Spojrzał na olbrzymiego agenta.

— Nie, nie — odparł Kennedy. — Usiądziemy na stopniach.

— Ależ, proszę...

Stać go było jeszcze na niezależność towarzyską, chociaż utracił chyba te finansową. Machnięciem ręki odprawił

Laniera i jego asystenta. Usiedli na samej górze. Dla Claire położył na drewnianym stopniu

swoją kurtkę. C.P.

Ardell usiadł obok nich. Wydawał się tępy, ale był na tyle inteligentny, żeby wiedzieć, iż nie może stać nad nimi jak kat nad grzeszną duszą. Byłoby to dla burmistrza wielce kłopotliwe.

- Przychodziłem tutaj, kiedy byłem dzieckiem — odezwał się właśnie do Kennedy'ego.

— Agencie Ardell, mieszka pan w Waszyngtonie? — zapytała Claire.

— Od urodzenia, proszę pani. Blisko ogrodu zoologicznego. Za aleją w parku. I za żadne skarby świata nie chciałbym mieszkać gdzie indziej!

Kennedy uśmiechnął się lekko. Skoro ma już nieformalny areszt, dobrze przynajmniej, że jego nadzorcą jest lojalny obywatel miasta.

Poczuł w środku przyjemne ciepło, rozchodzące się od wypitego szampana. Przysunął się bardziej do Claire i chwycił jej rękę. Patrzyli na Promenadę, na przelewający się tłum. Setki, tysiące ludzi. Cieszył go fakt, że nie widzi mikrofonów na trybunie. Nie chciał słuchać żadnych wystąpień. Nie miał zamiaru wygłaszać zaimprovizowanego przemówienia. Chciał tylko siedzieć ze swoją żoną i oglądać sztuczne ognie rozbłyskujące nad miastem. Zapomnieć o koszmarze dzisiejszego dnia. W wystąpieniu radiowym i telewizyjnym, zwracając się do Diggera, mówił, że ten dzień kończy nie tylko stary rok. Jest również końcem jego marzeń o uratowaniu miasta. Zginęło tak wiele osób zabitych przez szalonego mordercę.

Dzisiaj prawdopodobnie stracił swoje stanowisko. Lanier i inni kongre-smani, którzy chcą ograniczyć autonomię Dystryktu, z pewnością wykorzystają dzisiejsze wypadki do usunięcia go z urzędu. Dorzucą do tego skandal w Wydziale Oświaty i Kennedy pożegna się ze swoim stanowiskiem w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Wendell Jefferies i inni jego współpracownicy zostaną usunięci razem z nim. To będzie koniec projektu 2000.

----- 219 -----

Koniec jego nadziei związanych z Waszyngtonem. To biedne miasto cofnie się o kolejne dziesięć lat. Być może następny burmistrz...

Nagle Kennedy spostrzegł coś dziwnego. Ludzie zaczęli poruszać się w kierunku wschodnim, jakby byli przez kogoś kierowani. O co chodzi? — zastanawiał się. Ze swojego miejsca miał doskonały widok.

Zwrócił się do Claire, by jej o tym powiedzieć, ale ta zastygła nagle i skupiła na czymś' swoją uwagę.

— Co to? — zapytała.

— Co?

— Strzały! Słyszę strzały!

Kennedy spojrzał w górę. Może pokaz sztucznych ogni rozpoczął się przed czasem. Nie, jest za wcześnie.

Zobaczył tylko ciemne niebo zasnuwane chmurami, na których tle odcinał się biały cokół pomnika Waszyngtona.

Po chwili usłyszeli przeraźliwe krzyki.

Strzały oddane przez Czismana wywołały reakcję, o którą właśnie chodziło.

Kiedy zdał sobie sprawę, że nikt nie zwraca uwagi na Diggera, a on sam, ze względu na ludzi znajdujących się między nimi, nie może strzelać, oddał dwa strzały w powietrze. Chciał w ten sposób rozpędzić ludzi, aby mieć wolną linię strzału.

Wybuchła panika. Ludzie z krzykiem uciekali w popłochu. Digger został powalony na kolana. W

ciągu kilku sekund plac przed pomnikiem opustoszał.

Czisman zobaczył, że Kincaid przywarł do ziemi i wyciągnął swój mały pistolet. Nie widział Diggera — gęste, zielone krzewy oddzielały ich od siebie.

Czisman był zadowolony. Chciał sam dopaść mordercę.

Digger podnosił się powoli. Pistolet maszynowy wypadł z kieszeni jego płaszcza i teraz szukał go wzrokiem.

Znalazłszy go, spojrzął na Czismana. Patrzył przerażającym wzrokiem. Czisman po raz pierwszy w życiu widział takie spojrzenie.

W jego oczach było mniej uczucia niż w oczach najdzikszego zwierzęcia. Kimkolwiek był szantażysta —

mężczyzna leżący teraz w kostnicy — na pewno nie był człowiekiem pozbawionym duszy. Miał swoje myśli, przeżycia, pragnienia. Można było go zmienić, wstrząsnąć jego sumieniem, które niewątpliwie miał.

Ale Digger? Nie, dla tej maszyny w ludzkim ciele nie ma wybawienia. Tylko śmierć.

Istota z ludzkim umysłem, ale sercem szatana...

Digger spojrzął na rewolwer w ręku Czismana, a potem przeniósł wzrok na twarz dziennikarza.

220

Kincaid podniósł się z ziemi i zaczął krzyczeć do Czismana: •— Odrzuć broń!

Czisman zignorował go i skierował rewolwer w stronę Diggera. Łamiącym się głosem zaczął mówić: — Ty...

Rozległ się cichy strzał. Niewielki pęczek materiału wyrwał się z płaszcza Diggera. Czisman poczuł silne uderzenie w pierś'. Upadł na kolana. Strzelił, ale chybił.

Digger wyjął rękę z kieszeni. Trzymał w niej mały pistolet. Ponownie wycelował w pierś' Czismana i dwukrotnie strzelił.

Siła pocisków powaliła dziennikarza na plecy. Gdy upadał, zobaczył odbłask dalekich świateł na ścianie pomnika. — Ty... — charknął.

Usiłował znaleźć swój rewolwer... Gdzie on jest? Wypadł mu z ręki.

Gdzie, gdzie?

Kincaid wybiegł z ukrycia i rozglądał się zdezorientowany. Czisman wiedział, że Digger podchodzi powoli w kierunku pistoletu maszynowego. Podniósł go i strzelił w kierunku Kincaida, ale ten uskoczył za drzewo. Digger szybkim krokiem, skradając się w krzakach, zbliżał się do uciekających ludzi.

Czisman po omacku szukał swojego rewolweru. — Ty... ty... ty...

Nagle jego ręka bezwładnie opadła na ziemię i otoczyła go ciemność.

Niewielu ludzi.

Klik, klik...

Zabawne...

Kilka osób w jego pobliżu przywarło do ziemi i rozglądało się wokół. Są przerażeni. Digger mógłby łatwo ich zastrzelić, ale wtedy spostrzegliby go policjanci.

— Ostatnim razem zabij tylu ludzi, ilu tylko zdołasz — powiedział mężczyzna, który mówi mu o wszystkim.

Ilu tu jest?

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć...

Digger nie sądzi, żeby mężczyzna miał na myśli tylko sześć osób.

Podąża za uciekającymi ludźmi. Zachowuje się tak jak oni. Kuli się, rozgląda wokół.

Oni są przerażeni, więc i on stara się wyglądać na przestraszonego. Mężczyzna, który mówi mu o wszystkim, powiedział, żeby zachowywał się jak inni.

Ty jesteś... ty jesteś... ty jesteś najlepszy.

Kim był ten mężczyzna, którego zabił? — zastanawia się. Nie był policjantem. Dlaczego chciał go zastrzelić?

----- 221 -----

Digger ukrył... klik, klik... Uzi pod swoim płaszczem, który tak kocha, ponieważ dała mu go Pamela.

Słyszy wokół siebie krzyki, ale ponieważ nie są skierowane do niego, nie zwraca na nie uwagi. Nikt go nie zauważa. Idzie trawnikiem obok drzew i krzewów, wzdłuż Alei Konstytucji. Tutaj zatrzymało się wiele samochodów i autobusów, i tysiące, tysiące ludzi. Gdy dotrze do Alei, będzie mógł zastrzelić setki osób.

Widzi muzea, podobne do tego, w którym oglądał rycinę przedstawiającą wejście do piekła. Muzea są zabawne

— myśli. Tye polubiłby muzea. Być może, gdy dojadą do Kalifornii, wybiorą się tam razem.

Coraz więcej krzyków. Ludzie biegną. Wszędzie mnóstwo mężczyzn, kobiet, dzieci. Policjanci i agenci. Mają przy sobie Uzi, Mac-10 albo rewolwery i pistolety takie jak jego lub tłustego mężczyzny, który chciał go zastrzelić. Ale nie strzelają, ponieważ nie wiedzą, do kogo. Digger jest jednym z ludzi w tłumie.

Klik, klik.

Jak długo musi jeszcze iść, aby dojść do większej grupy osób?

Ponad sto metrów — sądzi.

Idzie szybkim krokiem, ale to oddala go od Tye'a — od samochodu zaparkowanego na Dwudziestej Drugiej Ulicy. Nie lubi tej myśli. Chciałby już zakończyć strzelanie i wrócić do chłopca. Kiedy podejdzie do tłumu, będzie kręcił się jak bąk i patrzył na ludzi padających na ziemię jak liście w lesie w Connecticut. Potem wróci do chłopca.

Kiedy jadę autostradą, Kocham cię coraz mocniej.

Wirować, wirować, wirować.

Będą padać, jak Pamela z różą na piersi i rozkwitającym żółtym kwiatem w dłoni.

Padać, padać, padać.

Coraz więcej ludzi z bronią biegnie po trawniku.

Nagle słyszy eksplozje, huk, wybuchy, wystrzały.

Strzelają do niego?

Nie, nie... Spójrzcie!

Nad nim, na niebie rozkwitają kwiaty. Są wspaniałe, olśniewające — czerwone i żółte, także niebieskie i białe.

Fajerwerki.

Jego zegarek piszczy.

Północ.

222

Pora na strzelanie.

Ale Digger nie może jeszcze strzelać. Wokół niego jest jeszcze za mało ludzi.

Porusza się w stronę tłumu. Może wprawdzie zastrzelić kilka osób, ale to za mało, aby uszczęśliwić mężczyznę, który mówi mu o wszystkim.

Trach...

Kula przelatuje obok niego.

Teraz ktoś strzela do niego.

Krzyki.

Dwóch mężczyzn w kurtkach FBI, znajdujących się na środku placu, z prawej strony, dostrzegło Diggera. Stoją przed drewnianą trybuną, udekorowaną pięknymi, czerwonymi, niebieskimi i białymi transparentami, podobnymi do tych, które widział na niemowlęcych przedstawiających Nowy Rok.

Odwraca się w ich stronę i poprzez swój płaszcz strzela z Uzi. Nie chce tego robić — dziurawić pięknego płaszcza, który dostał od Pameli — ale musi. Nikt nie może zobaczyć jego broni.

Mężczyźni chwytają się za twarze i karki, jakby żądliły ich pszczoły. Upadają.

Digger odwraca się i podąża za tłumem ludzi.

Nikt nie widział, jak zastrzelił tamtych.

Przeszedł tylko dwieście metrów i znalazł się w tłumie. Otoczony przez setki osób, rozgląda się wokół jak inni, szuka wzrokiem mordercy, szuka ratunku. Za chwilę będzie mógł strzelać i strzelać, i strzelać.

Będzie kręcił się w kółko, jak w lesie w Connecticut.

Kiedy pierwsze kule uderzyły w drewnianą trybunę, Jerry flfl Kennedy wypchnął z niej Claire i przewrócił ją na chłodną

ZICITIIIG.

Przeskoczył nad nią i położył się obok. Osłaniał ją od kul.

— Kochanie?! — krzyknął.

— Nic mi się nie stało! — Słysząc było panikę w jej głosie. — Co się dzieje?!

— Ktoś strzela! To musi być on! Morderca jest tutaj!

Leżeli skuleni obok siebie, czuli zapach ziemi, trawy i rozlanego piwa.

----- 223 -----

Jedna z osób na trybunie została postrzelona — młody asystent został trafiony kulą w ramię, gdy kongresman Lanier ukrył się za nim. Nikt poza nim chyba nie był ranny. Większość pocisków była niecelna. Morderca skupił

się na strzelaniu do dwóch agentów stojących za trybuną.

Kennedy widział, jak obaj agenci zostali zabici.

Burmistrz spojrział w górę i zobaczył C.P. Ardella, który trzymał przed sobą w ręku czarny pistolet. Rozglądał

się po placu. Stał wyprostowany.

— Agencie Ardell! — krzyknął Kennedy. — On jest tam! Tam! Jednak agent nie strzelał. Burmistrz wspiął się do połowy schodów i zaczął szarpać Ardella za rękaw. — On ucieka! Strzelaj!

Olbrzymi agent trzymał swój pistolet przed sobą, jak strzelec wyborowy.

— Ardell!

— Uuuu — powiedział agent.

— Na co czekasz? — wrzasnął Kennedy.

C.P. Ardell wydobywał z siebie tylko: — Uuuu, uuuu — wpatrując się w przestrzeń ponad

placem.

Następnie powoli kierował wzrok: na północ, wschód, południe. Spojrzał na pomnik ofiar Wietnamu, na drzewa, pomnik Waszyngtona i w końcu na flagę znajdującą się za trybuną.

— Uuuu...

Potem odwrócił się ponownie do nich, zatoczył się i upadł na plecy. Patrzył w niebo szklistym wzrokiem.

Kennedy zobaczył, że ma odstrzeloną górną część czaszki.

Boże!

Claire wstrzymała oddech, gdy strumień krwi spływającej po schodach rozlał się kilka centymetrów od jej twarzy.

— Uuuu — jeszcze raz z gardła Ardella wydobył się gruby odgłos. Na jego ustach pękła bańka śliny.

Kennedy chwycił rękę agenta. Zadrżała, aby po chwili znieruchomieć.

Wtedy Kennedy wstał i spojrzał do tyłu. Za trybuną ukrył się Lanier i inni kongresmani. Na Promenadzie było ciemno — ze względu na sztuczne ognie wyłączono wszystkie światła — jednak mrok oświetlały nadjeżdżające samochody. Jego oczom ukazał się chaos. Wzrokiem zaczął poszukiwać ciemnej sylwetki Diggera.

— Co, u diabła, robisz w moim mieście? — wyszeptał. Podniósł głos. — Co, u diabła, tutaj robisz?

— Jerry, połóż się na ziemi — błagała go Claire.

Nawet nie drgnął, obserwował plac, usiłując odszukać wzrokiem ciemną postać mordercy.

----- 224 -----

Gdzie on jest? Gdzie?

I wtedy zauważył mężczyznę idącego wzdłuż rzędu czereśni, nieopodal Alei Konstytucji.

Zbliżał się do tłumu ludzi, znajdującego się na wschodniej części Promenady, Kennedy wyrwał pistolet z ręki zabitego agenta.

— Jerry, nie! — krzyknęła Claire. — Nie! Zadzwoń!

— Nie ma na to czasu.

— Nie... — płakała cicho.

Zatrzymał się na chwilę i podszedł do niej. Dotknął jej policzka lewą ręką i pocałował w czoło. Robił to zwykle przed wyłączeniem światel w domu i położeniem się do łóżka. Przeskoczył nad skuloną na ziemi parą młodych polityków i pobiegł trawnikiem.

Przez chwilę miał pustkę w głowie, potem pomyślał: Dostanę cholernego ataku serca. Będę miał zawał i umrę...

Mimo to nie zwolnił.

Otoczały go znajome osobliwości miasta: biały pomnik Waszyngtona, rzędy czereśni, szare, neogotyckie budynki muzeów, autokary turystyczne.

Kennedy biegł cały czas, dysząc ciężko.

Digger był trzydzieści metrów przed nim. Po chwili — dwadzieścia pięć. Dwadzieścia.

Digger był coraz bliżej tłumu ludzi. Spod płaszcza wydobył pistolet maszynowy.

Z lewej strony rozległ się wystrzał. Po chwili następnymi dwa dalsze.

Tak! — pomyślał Kennedy. Mają go.

Nagle wyrwało kępę trawy tuż obok Kennedy'ego. Czwarta kula świsnęła mu koło głowy.

Jezus Maria! Oni strzelają do mnie. Zobaczyli mężczyznę biegnącego z bronią w stronę tłumu ludzi i wzięli mnie za mordercę.

— Nie, nie! — Przykląkł, skulił się i wskazał w kierunku Diggera. — To on!

Morderca był wśród drzew. Zbliżał się z boku do zbitego tłumu ludzi. Za minutę będzie 15 metrów od nich i zabije setki osób.

Do diabła z nimi! Trzeba mieć nadzieję, że policjanci są kiepskimi strzelcami. Kennedy zaczął ponownie biec.

Jeszcze raz ktoś strzelił w jego kierunku, ale w końcu został rozpoznany. Przez megafony podano rozkaz wstrzymania ognia.

— Rozejdźcie się! — krzyknął Kennedy do ludzi stojących w tłumie, ale nie mieli gdzie się rozejść. Byli stłoczeni jak sardynki w puszcze. Niektórzy

----- 225 -----

przyglądali się fajerwerkom na niebie, inni dezorientowani i zaniepokojeni rozglądali się wokół siebie.

Kennedy skierował się w stronę drzew. Biegł w kierunku miejsca, w którym ostatnio widział Diggera.

Umieram — pomyślał. Wyobraził sobie, że leży na ziemi i wije się w agonii — jego serce przestało bić.

Co ja, do cholery, robię? Dlaczego wpadłem na tak idiotyczny pomysł? Ostatni raz strzelał z broni trzydzieści lat temu. Był wtedy z synem na wakacyjnym obozie. Oddał trzy strzały i ani razu nie trafił do tarczy. Dziecko bardzo się wstydziło za swojego ojca.

Biec, biec...

W stronę rzędu drzew, w stronę Diggera.

Agenci widzieli, w którym kierunku podąża burmistrz, i widocznie uznali, że wie, gdzie jest Digger. Zwarta grupa złożona z kilkunastu mężczyzn i kobiet ubranych w kamizelki kuloodporne posuwała się za nim.

Digger wyszedł zza krzaków i skierował lufę pistoletu maszynowego w stronę tłumu. Kiwnął głową.

Kennedy zatrzymał się i wycelował do Diggera z pistoletu Ardella. Nie był właściwie pewien, jak celować i posługiwać się tym ciężkim pistoletem. Czy mierzyć poniżej, czy powyżej celu? Jednak Kennedy był silnym mężczyzną i pewnie trzymał broń w rękę. Przypomniawszy sobie, jak on i jego starszy syn stali obok siebie na strzelnicy obozowej i słuchali słów instruktora: — Nie szarpać gwałtownie. — Chłopiec chichotał, gdyż usłyszał

nowe dla siebie słowo. — Nacisnąć spust.

I tej nocy Jerry Kennedy nacisnął.

Rozległ się głośny huk wystrzału. Burmistrz nie spodziewał się, że pistolet tak bardzo podrzuci.

Zniżył broń. Zmrużył oczy. Starał się lepiej widzieć w ciemnościach. Wybuchnął głośnym śmiechem.

Boże. Zrobiłem to! Trafiłem go!

Digger leżał na ziemi i kurczowo trzymał się za ramię.

Kennedy strzelił po raz drugi. Tym razem pocisk chybił celu. Oddał jeszcze trzy strzały.

Digger powoli podnosił się z ziemi. Zaczął celować w burmistrza, ale Kennedy strzelił ponownie. Kolejne pudło, choć pocisk przeleciał blisko Diggera. Ten, cofając się, wystrzelił serię w

stronę Kennedy'ego. Wszystkie pociski były niecelne.

Wtedy też zobaczył po lewo tyralierę agentów i policjantów zbliżającą się do niego. Wymierzył broń w ich stronę i pociągnął za spust.

_____ 776 _____

£*A*J

Kennedy nie słyszał odgłosu wystrzałów, tylko widział błyski na lufie pistoletu. Jeden z agentów upadł; pociski wzbijały w powietrze kępki traw. Pozostali agenci zajęli pozycje na ziemi. Mierzyli do Diggera, ale żaden z nich nie strzelał — za nim znajdowali się ludzie.

Jedynie Kennedy miał czystą pozycję strzelecką.

Wyprostował się i pięciokrotnie strzelił do czarnej pochylonej sylwetki. Zmusił Diggera do odsumienia się od tłumu ludzi.

Pistolet wydał głuchy dźwięk. Magazynek był pusty.

Kennedy nie przyglądał się posrebrzanemu pistoletowi z rękojeścią białą jak pomnik Waszyngtona. Zmrużył

oczy i patrzył przed siebie.

Czarna postać Diggera znikła.

Traci oddech.

Coś go szarpie w środku i Digger zapomina, co powiedział mężczyzna, który mówi mu o wszystkim. Zapomina o zabiciu tylu ludzi, ilu tylko może; o tych patrzących na jego twarz; o kręceniu się w kółko jak liście drzew w powietrzu, w Connecticut. Chce się stąd wydostać i wrócić do Tye'a.

Pociski, które wystrzelił tamten mężczyzna, przelatywały tak blisko... Omal mnie nie zabił. Gdybym zginął, co stałoby się z chłopcem?

Pochyliła się i biegnie w kierunku autokaru turystycznego. Silnik autobusu pracuje na jałowym biegu — z rury wydechowej wydostają się spaliny.

Krwawi mu ramię. I boli...

Na ramieniu rozkwita czerwona róża.

Ach, jak to... klik... jak to boli.

Sądzi, że nigdy do tej pory nie czuł takiego bólu. Ma nadzieję, że Tye nigdy nie będzie tak cierpiał.

Szuka wzrokiem mężczyzny, który do niego strzelał. Dlaczego to robił? Digger nie rozumie. Przecież on robił

tylko to, co mu kazano.

Nawet gdy ty kochasz mnie mniej Kocham cię coraz mocniej

Sztuczne ognie rozjaśniają niebo nad Promenadą. Zbliża się tyraliera agentów i policjantów. Zaczynają strzelać.

Digger wchodzi na schody autobusu i strzela do podążających za nim agentów. Na niebie rozbłyskuje olbrzymia, pomarańczowa gwiazda. — Och — wzdycha. Podobałaby się Tye'owi — myśli. Wybija szybę w autobusie i mierzy do nadciągających agentów.

227

Parker i Cage przykucnęli za pojazdem oddziału policyjnego. fl 1 E) Taktyka walki nie była ich najmocniejszą stroną i uznali, że będzie rozsądniej, gdy pozostawią wymianę strzałów z Diggerem młodszym, bardziej doświadczonym agentom. Od minuty tkwili w ogniu walki. Ze wszystkich stron słychać było świst pocisków. Digger miał dobre stanowisko wewnątrz autobusu i strzelał starannie

wymierzonymi seriami przez wybite okno. Len Hardy był przygwożdżony z innymi policjantami z Dystryktu po drugiej stronie Alei Konstytucji.

Cage dotknął swojego boku i skrzywił się z bólu. Nie został trafiony, ale gdy strumień pocisków uderzył w karoserie samochodu, przebijając ją, gwałtownie padł na ziemię.

— Nic ci się nie stało? — spytał Parker.

— Żebro — jęknął. — Czuję, że mam złamane. Cholera.

Agenci oczyścili teren wokół autobusu i obsypywali go gradem pocisków. Przestrzelili opony, tak więc Digger nie mógł odjechać. Zresztą i tak byłoby to niemożliwe, bo na alei utworzył się kilometrowy korek.

Parker słyszał strzępy rozmów prowadzonych drogą radiową.

— Nie widzę celu... Wrzucicie do środka flarę. Kto ma granaty?... Dwóch leży w alei... Snajperzy na pozycjach.

Cage spojrział ponad maską samochodu.

— Jezu — wysapał. — Co ten gówniarz robi?

Parker również skierował swój wzrok w stronę Alei Konstytucji. Len Hardy z małym rewolwerem w ręku podkładał się między drzewami do autobusu. Miał uniesioną głowę i strzelał od czasu do czasu.

— Zwariował. Nie ma nawet kamizelki kuloodpornej — powiedział Parker.

— Len! — krzyknął Cage, krzywiąc z bólu twarz.

— Len!... Len Hardy! Niech oni się nim zajmą! — wrzasnął Parker. Ale Hardy ich nie słyszał albo udawał, że nie słyszy.

- Zachowuje się tak, jakby chciał zginąć — sapnął Cage.

Hardy wyprostował się i zaczął biec w kierunku autobusu, opróżniając bębenek. Nawet Parker wiedział, że nie należy tak postępować w czasie operacji.

Widział, że Digger idzie na tył autobusu. Będzie miał stamtąd dobrą pozycję strzelecką. Detektyw tego nie zauważył. Leżał na ziemi i ładował swoją broń.

— Len! — krzyczał Parker. — Ukryj się!

----- 228-----

— Nie ma nawet urządzenia do szybkiego ładowania — mruknął Cage. Policjant pojedynczo wkładał naboje do bębena.

Digger był już prawie w tyle autokaru.

— Nie! — wyszeptał Parker. Wiedział, że za chwilę zobaczy śmierć policjanta.

— Jezu! — wrzasnął Cage.

Hardy spojrział w górę i zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Uniósł rewolwer i wystrzelił trzy lub cztery pociski — wszystkie, które zdążył załadować. Chybił. Odczołgał się, szukając schronienia.

— Już nie żyje — mruczał Cage. — Załatwił go.

Parker nie widział dokładnie, co się działo. Zauważył tylko sylwetkę Dig-gera przy tylnym wyjściu. I Hardy'ego leżącego na ziemi.

Któryś z agentów wyskoczył zza samochodu i przyklękając, wystrzelił serię. Pociski trafiły w Diggera.

Przechylił się w bok. Krew trysnęła na szyby autobusu. Ekspłodowały zbiorniki z paliwem. Płonąca benzyna spływała na krawężnik.

Hardy był tylko ranny. Podniósł się z trudem i zaczął uciekać w stronę policyjnych wozów.

Z płonącego autobusu wydobywał się przerażający wrzask. Parker zobaczył, że Digger, który zamienił się w kulę ognia, podniósł się, ale po chwili upadł w przejściu między siedzeniami.

Słysząc było trzaski podobne do tych, które wydawała prażona kukurydza przygotowywana przez Stephie dla swojego brata. To eksplodowały naboje, których Digger nie zdążył wystrzelić. Płonące drzewo obok autobusu oświetlało makabryczny spektakl przyjemnym, ciepłym światłem.

Agenci powoli zbliżali się do autobusu. Zatrzymali się w bezpiecznej odległości. Czekali, aż eksploduje cała amunicja i zostanie ugaszony pożar. Przybyłe oddziały straży pożarnej pokryły pianą płonący wrak autobusu.

Dwóch agentów ubranych w odzież ochronną weszło do środka.

Nagle seria głośnych wybuchów wstrząsnęła Promenadą.

Wszyscy agenci i policjanci przyjęli pozycje obronne i wyciągnęli broń.

Były to jednak tylko sztuczne ognie. Na niebie pojawiły się pomarańczowe pająki, niebieskie gwiazdy, białe muszle. Wspaniały finał pokazu.

Dwóch agentów wyszło ze spalonego autobusu, zdejmując hełmy.

Po chwili Parker usłyszał statyczny głos w krótkofalówce Cage'a: — Pojazd jest bezpieczny — powiedział jeden z agentów. — Osobnik nie żyje.

Było to beznamienne epitafium dla mordercy.

229

W powrotnej drodze do pomnika ofiar Wietnamu Parker opowiedział Ca-ge'owi o Czismanie i o tym, jak doszło do strzelaniny.

— Oddał strzały ostrzegawcze. Gdyby tego nie zrobił, Digger mógłby zabić setki osób. Być może także i mnie.

- Ale o co mu do cholery chodziło?

Mieli przed sobą przykryte ciało Henry'ego Czismana.

Cage schylił się, wykrzywiając z bólu twarz. Lekarz dotknął jego brzucha i zawyrokował, że ma złamane żebro.

Założył bandaż i dał Tylenol 3. Najgorsze w tym wszystkim było to, że teraz wzruszanie ramionami sprawiało Ca-ge'owi nieopisany ból.

Agent zdjął żółte, gumowane pokrycie ze zwłok i wyjął z kieszeni dziennikarza portfel. Znalazł coś jeszcze.

- Co to? — Z marynarki wyciągnął książkę. Parker zauważył, że była oprawiona w skórę, a jej strony zostały starannie zszyte. Kartki wykonano z papieru welinowego. W czasach Jeffersona welin robiono ze skór zwierzę-

cych, teraz papier welinowy wykonuje się z odpowiednich szmat. Brzegi papieru były marmurkowane na kolor czerwony i złoty.

Strony zapisane były wspaniałym pismem kaligraficznym — prawdopodobnie przez Czismana. Cage podał

książkę Parkerowi. — Przejrzyj ją.

Parker zmarszczył brwi, gdy zobaczył napisany złotym atramentem tytuł: „Kronika tragedii”.

Otworzył ją. Przeczytał głośno dedykację: — Pamięci mojej żony Anny, pierwszej ofiary Rzeźnika.

Książka była podzielona na rozdziały: „Boston”, „White Plains”. Pierwszy rozdział nosił tytuł „Hartford”.

Parker odwrócił stronę i przeczytał: — „Z gazety News-Times wydawanej w Hartford.” — Czisman przepisał

cały tekst artykułu. Artykuł nosił datę z listopada ubiegłego roku. — „Trzy osoby zabite podczas bandyckiego napadu. Policja w Hartford wciąż poszukuje mężczyzny, który w sobotę wszedł do biur gazety News-Times i otworzył ogień z dubeltówki. Zabił trzy osoby pracujące w dziale ogłoszeń. Nie sporządzono dokładnego rysopisu. Wiadomo jedynie, że zabójca to mężczyzna o średniej budowie ciała, ubrany w ciemny płaszcz.

Rzecznik policji powiedział, że nie są znane dokładnie motywy zbrodni. Przymuszczałnie zadaniem mordercy było skupienie na sobie uwagi, podczas gdy jego współnik w innej części miasta rabował opancerzoną furgonetkę przewożącą pieniądze do banku. Ten przestępca zabił kierowcę i jego pomocnika. Zrabował cztery tysiące dolarów w gotówce”.

— Zabił trzy osoby dla czterech tysięcy dolarów — mruknął Cage.

----- 230 -----

Parker uniósł wzrok. — Jedną z zabitych osób w redakcji była Anna Czi-sman. To jego żona.

- Chciał dorwać skurwysyna tak jak my — powiedział Cage.

— Czisman chciał nas wykorzystać, aby dopaść szantażystę i Diggera. Dlatego tak bardzo pragnął zobaczyć zwłoki w kostnicy. I dlatego mnie śledził. Przynęta. Użył mnie jako przynęty.

Zemsta...

Pochylił się i z pełnym szacunkiem przykrył twarz mężczyzny.

— Trzeba zadzwonić do Lukas i przekazać jej najnowsze wiadomości — powiedział do Cage'a.

Margaret Lukas rozmawiała w Centrali z zastępcą dyrektora. Był to przystojny mężczyzna o szpakowatych, zadbanych włosach. Słyszała meldunki, że Digger był na Promenadzie i miała tam miejsce strzelanina.

Koniecznie chciała wyrwać się z Centrali, ale nie było to na razie możliwe. Musiała zreferować sytuację przełożonemu.

Zabrzączała telefon. Szybko odebrała. Była zdenerwowana, obawiała się każdej informacji.

— Lukas.

— Margaret — powiedział Cage.

Już wiedziała, że operacja skończyła się sukcesem. Nauczyła się rozpoznawać ten ton w głosie agentów.

— Aresztowany czy zastrzelony? — spytała.

— Zastrzelony.

Lukas omal nie zmówiła modlitwy dziękczynnej.

— Wyobraź sobie, że burmistrz go postrzelił.

— Co?

— Kennedy oddał kilka strzałów z broni kogoś z obstawy. Ocalił w ten sposób kilka istnień ludzkich.

Przekazała te informacje zastępcy dyrektora.

— Nic ci się nie stało? — zapytała Cage'a.

— Nic — odparł. — Złamałem tylko żebro, gdy chowałem swoją dupę. Zaniepokoiła się jednak. Czują, że coś ukrywa.

Jackie, mówi matka Toma... Jackie, muszę ci coś powiedzieć. Właśnie odebrałam telefon od linii lotniczych.

Och, Jackie...

— Ale coś się stało. Kincaid? — zapytała.

— Nie. Nie Kincaid — powiedział cicho.

— Powiedz mi.

— Trafił C.P. Ardella. Bardzo mi przykro.

_____ 231 _____

— Jest ranny?

— Nie żyje.

Zamknęła oczy i jęknęła. Ogarnęła ją furia. Była wściekła, że nie miała możliwości wpakowania kul w serce Diggera.

Cage kontynuował: — Nawet nie strzelał. Digger wypuścił serię w kierunku burmistrza. C.P. stał po prostu w złym punkcie.

Ja go tam wysłałam. Boże...

Znała go od trzech lat. Nie...

— Poza tym Digger zabił jeszcze czterech naszych, a trzech zranił. Rannych jest także sześciu widzów; kilkoro zaginęło, ale nie znaleziono ich ciał. Prawdopodobnie się odnajdą. No i Czisman.

- Kto? Ten pisarz?

— Tak. Digger go zastrzelił.

— Co?

— On nie był pisarzem. To znaczy może i był, ale przyjechał do Waszyngtonu w zupełnie innym celu. Digger zabił jego żonę i Czisman chciał nas wykorzystać, aby go dopaść. Jednak Digger był szybszy...

Noc amatorów — pomyślała: Kincaid, burmistrz, Czisman.

— A co z Hardym? — spytała.

Opowiedział jej o tym, jak młody detektyw w pojedynkę szturmował autobus, z którego strzelał Digger. — Był

bardzo blisko i miał doskonałą pozycję strzelecką. Być może to jego strzały zabiły Diggera. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, co się właściwie wtedy wydarzyło.

— Nie postrzelił się w stopę? — spytała.

— Początkowo zachowywał się tak, jakby chciał zginąć, ale kiedy zbliżył się do autokaru, wycofał się i ukrył.

Widocznie uznał, że chciałby jeszcze pożyć kilka lat.

Tak jak ja — pomyślała Lukas.

Len Hardy — kolejna przemiana. Być może to, że pozwoliła mu pozostać w zespole po incydencie w „Ritzu” i wziąć udział w akcji na Promenadzie, spowodowało u niego wstrząs i postanowił wydobyć się z depresji.

— Czy jest tam Evans? — zapytał Cage.

Lukas rozejrzała się wokół siebie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że go tu nie ma. Wydawało jej się, że miał zejść z góry do holu, żeby z nią porozmawiać. — Nie wiem, gdzie on jest. — powiedziała. — Może na górze. W laboratorium albo centrum kryzysowym.

- Znajdź go i przekaz te informacje. Podziękuj. Powiedz mu też, żeby wystawił ekstra-rachunek.

— Zrobię to na pewno. Zadzwoń też do Tobe'a.

----- 232 -----

— Parker i ja zamierzamy pomóc zespołowi badającemu ślady. Będziemy tu około czterdziestu pięciu minut albo trochę dłużej.

Gdy skończyła rozmowę, zastępca dyrektora powiedział:

— Mam zamiar jechać na Promenadę. Kto kieruje śledztwem?

Mało brakowało, a powiedziałyby: Parker Kincaid. Szybko ugryzła się w język. — Agent specjalny Cage. Jest w pobliżu pomnika ofiar Wietnamu.

— Czeka nas konferencja prasowa. Być może dyrektor będzie chciał wydać oświadczenie. Straciła pani noworoczne przyjęcie, prawda?

— Tak czasami bywa, sir. Ale zawsze jest następny rok. Może powinniśmy zrobić taki napis na naszych koszulkach.

Uśmiechnął się lekko. — A co z naszym informatorem? Otrzymał kolejne pogrożki?

— Moss? Dawno go nie widziałam, ale teraz muszę go dorwać.

— Coś się stało? — zastępca dyrektora zmarszczył brwi.

— Och nie, jest mi winny piwo.

W laboratorium doktor Evans schował swój telefon komórkowy i wyłączył telewizor.

Zatem zabili Diggera.

W telewizji nie podali zbyt wiele informacji, ale Evans wiedział, że liczba ofiar tym razem była znacznie mniejsza niż poprzednio. Na zdjęciach telewizyjnych Aleja Konstytucji wyglądała jak pobożowisko. Nad ulicą unosił się dym; pełno było pojazdów służb ratowniczych; ludzie kryli się za samochodami, drzewami, krzewami.

Evans ubrał futrzaną kurtkę z kapturem, włożył ciężki termos do plecaka, który następnie zarzucił na ramię.

Otworzył podwójne drzwi i ruszył korytarzem.

Digger... Jaka fascynująca istota. Jedna z kilku osób na kuli ziemskiej, dla której — jak to powiedział agentom

— można sporządzić kompletny portret psychologiczny.

Zatrzymał się przed windą i patrzył na tabliczki informacyjne. Usiłował zorientować się, gdzie jest. Na ścianie wisiał plan. Przyglądał mu się bardzo uważnie. Plan był dość zawiły.

Położył palec na przycisku windy, ale zanim go nacisnął, usłyszał głos.

— Witam.

Odwrócił się. Zobaczył mężczyznę idącego w jego kierunku od wind znajdujących się po przeciwnej stronie.

— Witam, doktorze. Słyszał już pan? — To był młody detektyw Len Hardy, w pogniecionym i poplamionym płaszczu. Na policzku miał ranę.

----- 233 -----

Evans dwukrotnie nacisnął guzik. Jakby nerwowo.

— Właśnie oglądałem wiadomości — odparł. Chrząknął. Z ramienia zdjął plecak i zatrzymał go na łokciu.

Zaczął go rozpinąć.

Hardy spojrzał nieobecny wzrokiem na poplamiony plecak. — Powiem panu coś. Chyba się zapędziłem, chcąc wziąć udział w tej operacji na Promenadzie. Trochę mi odbiło. Ogarnął mnie zapał bitewny.

- Aha — bąknął Evans. Włożył rękę do środka plecaka i wyciągnął z niego termos.

Hardy ciągnął: — Omal mnie nie zabił. Byłem trochę przerażony. Znalazłem się dziesięć metrów od niego.

Widziałem jego oczy, widziałem lufę jego broni. Człowieku... Nagle poczułem się taki szczęśliwy, gdy zdałem sobie sprawę, że żyję.

— To rozumiałe — powiedział Evans. Gdzie, u diabła, ta winda? Hardy spojrzał na posrebrzany termos.

- Wie pan, gdzie jest agentka Lukas? — spytał, patrząc w głąb pustego korytarza.

— Myślę, że jest na dole — odparł Evans, otwierając termos. — Miała z kimś porozmawiać w holu. Nie przychodzi pan stamtąd?

- Przyszedłem od strony garaży.

Doktor zdjął nakrętkę z termosu. Odwrócił się w stronę detektywa.

— Pamięta pan, jak mówił o tych Diggerach i Lewellerach? Moim zdaniem nie brzmiało to szczerze...

Evans spojrzał na Hardy'ego. Policjant celował w jego twarz z czarnego pistoletu z tłumikiem.

— Bo to nie miało być szczerze — odparł Hardy.

Evans upuścił termos. Kawa rozlała się po podłodze. Zobaczył złoty błysk na lufie. Była to ostatnia rzecz, którą widział.

Mistrz łamigłówek

Moje pismo jest najbardziej obciążającym mnie dowodem.

BRUNO HAUPTMANN,

ODPOWIADAJĄCY PRZED SĄDEM,

OSKARŻONY O PORWANIE DZIECKA LINDBERGHA

Agent był na tyle miody, że jeszcze ekscytował się myślą, iż pracuje w FBI. Nie przeszkadzało mu, że przypadł

mu dyżur w Nowy Rok, od północy do godziny ósmej. W Centrum Bezpieczeństwa w biurach Centrali, na trzecim piętrze. Bo była z nim Louise — agentka, z którą pracował. Miała na sobie niebieską bluzkę i krótką czarną spódniczkę. Kokietowała go. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Niby opowiada o swoim kocie, ale język ciała mówi, że teraz flirtuje. Przez prześwitującą bluzkę widać było czarny biustonosz. To w końcu coś znaczy, prawda?

Agent wpatrywał się w dziesięć monitorów telewizyjnych. Takie było jego zadanie. Louise, która siedziała po jego lewej stronie, obserwowała kolejnych dziesięć. Monitory były połączone z ponad sześćdziesięcioma kamerami telewizyjnymi umieszczonymi w całym budynku. Obraz na ekranach zmieniał się co pięć sekund.

A piersi Louise kołysały się, gdy opowiadała o swoim domu rodzinnym nad zatoką Chesapeake.

235

Zadzwoił telefon wewnętrzny.

Nie mogli to być Sam lub Ralph — agenci, których on i Louise zastąpili dwadzieścia minut temu. Mieli wyczyszczone przepustki i nie mogli tak po prostu wejść znów do środka.

Agent włączył telefon.

- Detektyw Hardy z policji Dystryktu — usłyszał.

— Kto to jest Hardy? — agent zapytał Louise. Wzruszyła ramionami i wróciła do obserwowania monitorów.

- Tak?

Słysząc było trzaski. — Pracuję z Margaret Lukas.

— Sprawa strzelaniny w metrze?

— Właśnie.

Sławna Margaret Lukas. Agent ochrony nie pracował wprawdzie długo w FBI, ale nawet on wiedział, że Lukas zostanie kiedyś dyrektorem FBI — pierwszą kobietą na tym stanowisku. Wcisnął przycisk otwierający drzwi i odwrócił się twarzą do nich.

- W czym mogę pomóc?

— Obawiam się, że zabłądziłem — powiedział Hardy.

- Tutaj zdarza się to często. -- Uśmiechnął się. — Dokąd chce pan pójść?

- Usiłuję znaleźć laboratorium dokumentów. Zgubiłem się, gdy poszedłem po kawę.

- Dokumenty? To jest na siódmym piętrze. Musi pan skrócić w lewo. Na pewno pan trafi...

— Co to? — zapytała nagle Louise. — Hej, co to jest? Agent spojrzał na nią.

Zatrzymała obraz z jednej kamer, wskazała na monitor. Widać było leżącego mężczyznę. Kamera pokazywała miejsce znajdujące się na tym samym piętrze, niedaleko pokoju, w którym się znajdowali. Wprawdzie monitory były czarno-białe, ale kałuża wokół głowy mężczyzny to niewątpliwie krew.

— O Boże! — krzyknęła i sięgnęła po telefon. — Jest podobny do Ral-pha.

Z tyłu rozległ się stłumiony strzał. Louise drgnęła i jęknęła. Na jej bluzkę trysnęła krew.

- Nie — wyszeptała. — Co...

Kolejny strzał. Pocisk trafił w tył jej głowy. Upadła na twarz.

Młody agent odwrócił się w stronę drzwi, uniósł ręce do góry i krzyczał.

— Nie, nie!

236

- Uspokój się — opanowanym głosem powiedział Hardy.

— Proszę!

- Uspokój się — powtórzył. — Mam tylko kilka pytań.

— Niech pan mnie nie zabija. Błagam...

— Teraz wasze komputery analizują stan bezpieczeństwa w budynku? — Hardy przeszedł do rzeczy.

— Ja...

— Nie zabiję cię, jeżeli odpowiesz na wszystkie moje pytania.

— Tak — agent zaczął płakać.

— Zatem, jeśli nie odpowiecie systemowi w odpowiednim czasie, zostanie ogłoszony alarm?

— Tak... niech pan spojrzy. — Patrzył na ciało kobiety leżące obok niego. Drgało od czasu do czasu. Krew zalała tablicę kontrolną. — Boże...

— Rozpocząłeś' zmianę o północy? — powoli zapytał Hardy.

— Proszę, ja...

— O północy? — powtórzył, jak nauczyciel wypyujący ucznia. Agent skinął głową.

— O której odpowiadaliście systemowi po raz pierwszy? Agent płakał coraz głośniejsze. — 0.21

— Kiedy następnym razem?

— 1.07

Hardy spojrzał na zegar na ścianie. Z satysfakcją skinął głową. Spanikowanym głosem agent kontynuował: — W

czasie świąt odstępy czasowe są znacznie dłuższe, dlatego kolejny...

— To wszystko. — Hardy strzelił dwukrotnie agentowi w głowę i nacisnął przycisk otwierający drzwi.

W rzeczywistości nie był to detektyw Len Hardy. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Edward Fielding.

Podszedł do windy. O 1.07 włączy się automatyczny alarm. To jeszcze dużo czasu.

Budynek był prawie pusty, ale on szedł tymi korytarzami, którymi — jak sądził — powinien iść. Nie spieszył

się, zachowywał się normalnie. Gdyby spotkał go któryś z agentów pozostających w Centrali, nie zwróciłby na niego uwagi. Uznałby, że Fielding ma coś ważnego do zrobienia.

Wciągnął głęboko powietrze do płuc. Poczł zapach laboratorium, biur i kostnicy. Po jego ciele przeszedł

dreszcz satysfakcji. Znajdował się w centrum świata zajmującego się przestępczością — na korytarzach budynku Centrali FBI. Przypomniał sobie, jak rok temu Digger marudził, żeby zaprowa-

----- 237 -----

dzić go do muzeum w Hartford. Poszli tam i ten stuknięty facet stał godzinę przed ryciną Dore'a do „Boskiej komedii”, przedstawiającą Beatrycze i Wer-giliusza u wejścia do piekła. Teraz Fielding czuł się podobnie, jakby odbywał podróż po świecie zmarłych.

Idąc korytarzami, snuł refleksje. Nie, agentko Lukas, Parkerze Kincai-dzie, biedny Johnie Evansie. Nie, nie miałem motywów politycznych, nie walczyłem z nierównością społeczną, nie jestem terrorystą. Nie kierowała mną żądza zysku. Dwadzieścia milionów? Wcześniej wielokrotnie mógłbym zdobyć te pieniądze.

Jego motywem było dążenie do perfekcji.

To prawda, idea zbrodni doskonałej nie była nowa. Jednak Fielding nauczył się czegoś nowego, gdy studiował

książki i czasopisma poświęcone językoznawstwu. Szukał wtedy odpowiednich wyrazów i zwrotów, których mógłby użyć w liście z żądaniem okupu. W pewnym artykule zamieszczonym w „American Journal of Linguistic” autor — filolog, znawca języka — utrzymywał, że chociaż poważni pisarze starają się unikać utartych zwrotów, to jednak są one bardzo ważne, bo w skrótovej formie, zrozumiałej dla wszystkich, opisują świat i przedstawiają fundamentalne prawdy.

Zbrodnia doskonała.

Była dla niego świętym Graalem.

Doskonałość... Był maniakałnym perfekcjonistą. Wszystko robił perfekcyjnie: prasował koszule, czyścił buty, wycinał włosy z uszu. W sposób doskonały planował swoje zbrodnie, a następnie perfekcyjnie ich dokonywał.

Gdyby Fielding miał talenty prawnicze, zostałby adwokatem i broniłby największych przestępców — tworzyłby idealne mowy obrończe. Gdyby zainteresował się himalaizmem, wymyśliłby kolejny, niesamowity sposób wej-

ścia na Mount Everest.

Ale to go nie interesowało.

A zbrodnia — tak.

To był przypadek, że urodził się człowiekiem amoralnym. Tak samo rodzą się cielęta z dwiema głowami lub koty z sześcioma pazurami. Uznał, że to sprawa genów, a nie wychowania. Miał

kochających rodziców, można im jedynie zarzucić, że byli nudni. Ojciec Fieldinga pracował w towarzystwie ubezpieczeniowym, natomiast matka zajmowała się domem. Nie zetknął się z przemocą w rodzinie, nie był bity. Jednak od najmłodszych lat uznał, że prawo nie stosuje się do jego osoby. To nie ma sensu. Dlaczego ludzie nakładają sobie kaganiec?

Dlaczego się ograniczają?

Myślał o tym, zanim zdał sobie sprawę, że jest urodzonym kryminalistą - podręcznikowym socjopata.

238

Studiował algebrę i statystykę oraz biologię na uczelni świętego Tomasza, ale jednocześnie doskonalił swoje zdolności przestępcze.

Jak wszyscy studenci przeżywał wzloty i upadki.

Podłożył ogień w domu chłopaka dziewczyny, w której się podkochiwał (powinien zaparkować trzy, cztery przecznice dalej).

Później został dotkliwie pobity przez policjantów, których szantażował zdjęciami pornograficznymi (powinien mieć lepszych współników).

Wymusił okup od firmy produkującej konserwy mięsne, dodając do produktu substancje imitujące jad kiełbasiany (nie wziął jednak pieniędzy, bo nie wiedział, jak uniknąć wykrycia).

Żył i uczył się.

Studia niezbyt go interesowały. Jego koledzy w Bennington mieli pieniądze, ale zostawiali drzwi do swoich pokoi otwarte, tak że nie warto było ich okradać. Zgwałcił kilka koleżanek, ale zrobił to w ramach zakładów: zrobić to tak, aby dziewczyny nie uznały tego za gwałt. Przystępstwa seksualne jednak go nie pociągały. Skupił

się na czymś, co nazywał „czystymi przestępstwami”, np. kradzieżach, a nie na brudnych „przestępstwach”, np.

gwałtach. Skończył studia psychologiczne i marzył, by znaleźć się w „prawdziwym” świecie.

W ciągu kilku lat Fielding w swoim rodzinnym Connecticut szlifował umiejętności. Głównie kradł. Unikał

podrabiania czeków i kart ubezpieczeń ze względu na ślady, które mógłby zostawić na papierze. Nie zajmował

się narkotykami ani porwaniami, ponieważ nie ufał nikomu. Chciał działać w pojedynkę.

Miał dwadzieścia siedem lat, kiedy zabił po raz pierwszy.

Była to raczej sprawa impulsu, a nie wyrachowania. Pił cappuccino w kawiarni i zobaczył kobietę wychodzącą od jubilera, trzymającą w ręku paczkę. Jej zachowanie sugerowało, że ma w niej coś bardzo cennego.

Wsiadł do samochodu i podążył za nią. Na opustoszałej ulicy zmusił ją do oddania paczki. Była przestraszona i prosiła go, aby pozwolił jej odejść.

Gdy stał obok niej, zauważył, że nie włożył maski i nie wyłączył świateł oświetlających tablicę rejestracyjną.

Pomyślał, iż zrobił to podświadomie — chciał się przekonać, jakie emocje związane są z zabójstwem. Potem otworzył schowek obok kierownicy, wyjął pistolet i zastrzelił ją dwoma strzałami. Nie zdążyła nawet krzyknąć.

Wsiadł do samochodu i wrócił do kawiarni, by wypić kolejne cappuccino. Zastanowiło go, że większość przestępców nie zabija — sądzą, że wtedy łatwiej byłoby ich schwytać. W rzeczywistości

zabójstwo ułatwia ucieczkę.

Ciągle nie mógł jednak przechytryć policji. Kilkakrotnie go aresztowano. Ale tylko w jednym przypadku groził

mu wysoki wyrok: za napad z bro-

----- 239 -----

nią w rękę. Dowody były bardzo przekonujące, lecz miał dobrego adwokata, który przekonał sąd, że Fielding jest chory psychicznie. Dostał niewielki wyrok i trafił do szpitala psychiatrycznego.

Początkowo to było dla niego trudne, ale po pewnym czasie poczuł zapach zbrodni unoszący się w szpitalnym powietrzu. Większość pacjentów trafiła tam nie dlatego, że była chora psychicznie, ale dlatego, że miała dobrych adwokatów. Głupi przestępcy siedzą w więzieniach, natomiast inteligentni — leczą się w szpitalach psychiatrycznych.

Po dwóch latach nienagannego sprawowania Fielding wrócił do Connecticut.

Zatrudnił się jako sanitariusz w szpitalu, dla chorych psychicznie przestępców w Hartford.

Spotkał tam fascynującą kreaturę — Davida Hughesa. Uznał, że przed zabójstwem żony w czasie kłótni rodzinnej był on przyzwoitym człowiekiem. Zadał Pamelii kilka ciosów nożem w pierś'. Zanim się wykrwawiła, pobiegła do ubikacji po broń i strzeliła mu w głowę.

Fielding dokładnie nie wiedział, jakie zmiany zaszły w mózgu Hughesa, ale ponieważ był pierwszą osobą, którą on zobaczył, gdy odzyskał przytomność, nawiązała się między nimi dziwna więź. Hughes robił wszystko, o co go poprosił: robił kawę, sprzątał, prasował koszule i gotował. Pewnego dnia okazało się, że Hughes może zrobić dla niego znacznie więcej.

Fielding był bardzo zdenerwowany, gdy Ruth Miller — pielęgniarka pracująca na nocnej zmianie — wyciągnęła jego rękę spomiędzy swoich kolan i powiedziała: — Oskarzę cię, świniou.

Dręczyło go to i szepnęła kiedyś Hughesowi: — Ta Ruth Miller. Ktoś powinien zabić tę sukę.

— Hm, okay — powiedział Hughes.

— Co? — zapytał Fielding.

— Hm, okay.

— Czy zabiłbyś ją dla mnie?

— Aha. Ja... tak.

Fielding zabrał go po kryjomu na spacer. Długo rozmawiali.

Dzień później Hughes zjawił się w pokoju Fieldinga cały we krwi, z kawałkiem szyby w rękę i zapytał, czy może dostać trochę zupy.

Fielding wykopał go i wyprał ubrania. Doszedł do wniosku, że było to nieostrożne z jego strony. Uznał, że nie można używać Hughesa do takich „drobiazgów". Kazał mu uciec ze szpitala i dotrzeć do domu, który wynajmował, aby spotykać się tam z byłymi pacjentami.

Wtedy zdecydował, jak wykorzystać tego człowieka.

----- 240 -----

Hartford, Boston, White Plains, Filadelfia. Zbrodnie doskonale.

Teraz Waszyngton.

Zbrodnia bardzo doskonała (Parker Kincaid nie byłby zadowolony z tej nieuzasadnionej modyfikacji określenia).

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy spędzał po osiemnaście godzin na dobę na planowaniu kradzieży. Stopniowo rozpracowywał sposób działania FBI. Występował jako Len Hardy — policjant z Wydziału Analizy Danych i Statystyki. Na początek infiltrował oddział FBI w

Waszyngtonie. To biuro zajmowało się poważnymi przestępstwami w Dystrykcie. Poznał Rona Cohena — szefa Wydziału Specjalnego i jego asystentów. Wiedział, że wybiera się na urlop do Brazylii i gdy uruchomi Diggera, sprawą zajmie się Lukas, w której życie wtargnął.

Czas spędzał głównie w pokojach konferencyjnych i kopiował setki dokumentów do fikcyjnych raportów.

Studiował książki telefoniczne, wewnętrzne rozporządzenia i opisy procedur. W tym czasie w swoim domu i w kryjówce w Gravesend spędzał dużo czasu przy komputerze i korzystając z Internetu zdobywał informacje dotyczące łączności, policyjnych procedur, systemów zabezpieczeń, a także — panie Parker — dialektów.

Fielding przeprowadził setki telefonicznych rozmów z byłymi pracownikami, dostawcami, specjalistami od zabezpieczeń w Centrali FBI. Zadawał mało znaczące pytania, opowiadał o fikcyjnych zebraniach, powoływał

się na nie istniejące dokumenty. W ten sposób dowiedział się wielu istotnych dla niego rzeczy. Poznał plan budynku, liczbę osób dyżurujących w czasie świąt, wszystkie wejścia i wyjścia. Dowiedział się, gdzie umieszczone są kamery. Poznał zwyczaje strażników i system łączności w Centrali.

Przez miesiąc szukał też człowieka-przykry wki, nim trafił na Gilberta Ha-vla, włóczęgę bez kryminalnej kartoteki. Na tyle naiwnego, że uwierzył w ich przyjaźń. I dał się potem zabić.

Była to tytaniczna praca. Jednak doskonałość wymaga cierpliwości.

Gdy wydawało mu się, że zgromadził już dostatecznie dużo informacji, wpadł na chytry pomysł. Pojawił się w Centrali dziś rano, po strzelaninie w metrze i nie krył swego oburzenia, że jest piątym kołem u wozu. Inni agenci sprawdziliby jego pełnomocnictwa, dzwoniłoby do biur policji, ale nie Margaret Lukas — biedna, bezdzietna wdowa. Ponieważ był to Len Hardy, wkrótce — jak sądziła — bezdzietny wdowiec, dzielący z nią ból, z którym borykała się od pięciu lat.

Oczywiście przyłączyła go do zespołu bez chwili zastanowienia.

Nikt go nie podejrzewał.

Tak jak to sobie wyobrażał.

----- 241 -----

Edward Fielding wiedział, że obecnie śledztwa prowadzą naukowcy. Nawet psychologowie używają gotowych, wypracowanych w gabinetach schematów. Tymczasem przestępca jest istotą ludzką. Był pewny, że agenci skoncentrują się na liście z żądaniem okupu, na języku w nim użytym, na analizie śladów. Będą używać skomplikowanego oprogramowania komputerowego i wyrafinowanych urządzeń, zza których nie dostrzegą przestępcy — mężczyzny stojącego metr za nimi.

Fielding wszedł do windy. Nie nacisnął jednak siódmego piętra, na którym znajdowało się laboratorium dokumentów. Wybrał 1 B.

Winda zaczęła zjeżdżać w dół.

Pokój, w którym gromadzono dowody, był największym tego rodzaju w kraju.

Pracowano w nim bez przerwy, zwykle było tu dwóch pracowników, którzy zajmowali się umieszczaniem dowodów rzeczowych w zamkniętych pomieszczeniach, odprowadzaniem skonfiskowanych samochodów lub nawet przewożeniem łodzi do magazynu.

Jednak tej nocy było tu trzech agentów. Taką decyzję podjął zastępca dyrektora z Margaret Lukas. W pokoju bowiem znajdował się okup, który miał być wypłacony szantażyście.

Agenci, ze względu na święta, zostali wybrani przypadkowo, wśród nich znajdowała się jedna

kobieta.

Przechadzali się, pili kawę i rozmawiali o NBA.

— Lubię Rodmana — powiedział jeden z mężczyzn.

— Pajac — odparł drugi.

— Cześć — powiedział Edward Fielding, podchodząc do okna.

— Cześć, słyszałeś', co się stało z tym facetem na Promenadzie? — zapytała kobieta.

— Nie — mruknął i wpakował jej kulę w głowę.

Dwóch pozostałych agentów zginęło, sięgając po broń. Tylko jednemu udało się rozpiąć kaburę i wydobyć swojego Sig-Sauera.

Fielding zerknął do środka przez okno.

Doliczył się ośmiu kamer skierowanych na okno, półki i sejf. Wysyłały obraz do pokoju na trzecim piętrze, w którym nie było nikogo żywego, nikogo, kto mógłby oglądać zbrodnię doskonałą.

Fielding wziął klucze do sejfu, które kobieta miała na pasku. Był to duży pokój, gdzie agenci przechowywali skonfiskowane narkotyki i odzyskane pieniądze. Fielding dowiedział się, że prokuratorzy są zobowiązani do przedstawiania sądowi tych dowodów materialnych. Dlatego też tutaj przechowywano pieniądze przeznaczone na okup. Poza tym, jak przypuszczał Fielding, bur-

----- 242 -----

mistrz chciał je mieć pod ręką, aby w przypadku porozumienia z szantażystą, w które wierzył, mógł je łatwo wypłacić.

Tutaj są pieniądze.

Doskonałość...

Ogromny płócienny worek. Z ucha zwisała czerwona kartka: „Dowód rzeczowy. Nie ruszać”.

Spojrzał na zegarek. Uznał, że Cage, Kincaid i pozostali agenci wrócą za dwadzieścia minut.

Dużo czasu, pod warunkiem, że będzie działał sprawnie.

Fielding otworzył zamek błyskawiczny — nie było innych zamknięć -i wysypał pieniądze na podłogę. Worek był wyposażony w kilka nadajników, czego się wcześniej spodziewał. Nie przewidział tylko, że tak samo zaopa-trzone będą paczki z pieniędzmi. Zastanawiał się, czy pojedyncze banknoty nie mają jakichś nadajników. Wątpił

w to — Geller o tym nie wspominał. Jednak wyjął z kieszeni małe urządzenie: detektor wykrywający promieniowanie elektromagnetyczne od zakresu widzialnego poprzez podczerwień do fal radiowych. Sprawdził, że pojedyncze banknoty nie emitują żadnych sygnałów.

Potem wyrzucił czujnik — nie był mu już potrzebny — i wyjął jedwabny plecak spod swojej koszuli. Wykonany był z materiału używanego do produkcji spadochronów. Sam go uszył. Zaczął pakować pieniądze do plecaka.

Zażądał dwudziestu milionów dolarów, bo była to odpowiednia kwota dla takiego przedsięwzięcia i uwiarygodniała zemstę za bezsens wojny wietnamskiej. Fielding był jednak w stanie zabrać tylko 4 miliony dolarów — ważyły one nieco ponad 30 kilogramów. Nie miał atletycznej budowy, ale przed przybyciem do Waszyngtonu trenował przez sześć tygodni w siłowni w Bethes-dzie i z takim ciężarem był w stanie sobie poradzić.

Banknoty studolarowe miały różne zabezpieczenia i były znakowane (znakowanie pieniędzy jest teraz łatwe ze względu na powszechną dostępność skanerów i komputerów). Fielding wziął to pod uwagę. W Brazylii, w której będzie za parę dni, cztery miliony znakowanych dolarów zamieni na trzy miliony dwieście tysięcy w złocie.

Złoto następnie wymieni na trzy miliony w dolarach i euro.

W ciągu kilku lat powiększył tę sumę do wyjściowych czterech milionów, inwestując w funduszach powierniczych i na giełdzie.

Fielding nie żałował, że rezygnuje z reszty pieniędzy. Popołniając zbrodnię, nie można kierować się chciwością, trzeba traktować ją jako rzemiosło, postępować umiejętnie.

Zapakował pieniądze do plecaka i przewiesił go przez ramię.

Wyszedł na korytarz, uginając się pod ciężarem, i skierował się do windy.

----- 243 -----

Obmyślał dalszy plan działania. Będzie musiał zastrzelić strażnika przy drzwiach wejściowych, poza tym wszystkich członków zespołu, którzy są w budynku. Tobe Geller, jak sądził, pojechał do domu, ale Lukas ciągle tu była. Ona musi umrzeć. W innej sytuacji dałby jej spokój, ale teraz musi zacierać wszystkie ślady. Agenci okazali się lepsi, niż zakładał. Odkryli jego kryjówkę w Gravesend. Ten fakt naprawdę nim wstrząsnął. W

swoim scenariuszu nie brał tej możliwości pod uwagę. Musiał więc pozostać wtedy w samochodzie, z Gellerem i Evansem, mieszkańcy okolicy mogli go rozpoznać. Całe szczęście, że mężczyzna, który podrzucił list z żądaniem okupu — Gilbert Havel — także tu bywał. Mieszkańcy ulicy upewnili agentów, że to on wynajmował

tu mieszkanie.

Byli też blisko odszyfrowania miejsca ataku Diggera — „Ritzy Lady”. Z przerażeniem obserwował, jak komputer składał litery ze spalonej kartki. Poczekał na odpowiedni moment i rzucił: — To może „Ritz Carlton”.

— Ten pomysł tak nimi zawładnął, że nie rozważali już innych możliwości.

Tak ludzie rozwiązują łamigłówki, prawda, Parker?

No właśnie, a co z nim?

On jest za bystry, żeby ryzykować. Nie można zostawić go przy życiu. Gdyby Fielding miał szczęście, Parker byłby jedną z ofiar Diggera na Promenadzie. Powiedział zabójcy, żeby ten skradał się do pomnika ofiar Wietnamu między drzewami, od zachodu. Spodziewał się, że będą tam Cage i Parker oraz inni agenci.

Fielding, idąc już korytarzem, musiał przyznać, że on jest co prawda przestępcą doskonałym, ale i Kincaid doskonałym detektywem.

Co będzie, gdy te dwie doskonałości się spotkają?

Jednak było to retoryczne pytanie, nie łamigłówka i nie tracił czasu na szukanie odpowiedzi. Podszedł do windy i nacisnął przycisk.

Margaret Lukas gwałtownie otworzyła drzwi do laborato-

0.45 rium

Zajrzała do środka. — Doktorze Evans?

Nikt nie odpowiedział. Gdzie on jest? Zatrzymała się przy stole do analiz i spojrzała na list z żądaniem okupu.

_____ 744 _____

^>*f*_1

Koniec jest nocą.

Dlaczego Parker Kincaid uznał, że to zdanie nie ma sensu.

Koniec jest nocą, ciemnością, snem, spokojem.

Nocy, zabierz mnie; ciemności, pochłońcie mnie.

Tego pragnęła, gdy teściowa powiadomiła ją o śmierci Toma i Joey'a. Leżała w łóżku w te listopadowe, wietrzne dni i modliła się: Nocy, zabierz mnie; proszę, zabierz mnie; zabierz mnie.

Pochyliła się nad stołem i po raz kolejny spojrzała na list. Krótkie włosy opadły jej na oczy. Przyglądała się gęsto nabazgranym literom. Przypomniała sobie Kincaida: czytał go, poruszając ustami, jakby przesłuchiwał

podejrzanego.

Koniec jest nocą.

Filozoficznie pokiwała głową i wyszła z laboratorium.

Podeszła do windy. Być może doktor Evans czeka na nią przy dyżurce straży wewnętrznej. Obserwowała migające światełka: winda jechała do góry.

Korytarze były puste. Niepokoił ją każdy nieokreślony odgłos dochodzący z budynku. Oddział FBI, w którym pracowała, znajdował się w pobliżu ratusza, kilka przecznic dalej. Nieczęsto bywała w Centrali. Czuła się nieswojo wewnątrz tych ogromnych budynków.

Dziś w nocy nabrała przekonania, że to ponure miejsce muszą nawiedzać duchy. Przypomniała sobie, że gdy Kincaid wyświetlił na ekranie list z żądaniem okupu, przemknęła jej przez głowę idiotyczna myśl: to wygląda jak zjawia.

Lukas czuła niemal namacalnie snujące się korytarzami duchy zabitych podczas służby agentów, a także duchy ofiar zbrodni. Zbrodni, którymi się tutaj zajmowano.

A moje własne duchy? — pomyślała.

Są przy niej cały czas. Duchy męża i syna. Nigdy jej nie opuszczają. I tego właśnie pragnęła, aby od niej nie odeszły. Potrzebowała dowodów na to, że kiedyś była Jackie.

Spojrzała na podłogę przy windzie. Zobaczyła ciemne plamy. Co to jest? Pachniało kawą. Tak, to rozlana kawa.

Na drzwiach windy zapaliło się światło i rozległ się dzwonek. Z windy ktoś wyszedł.

— O, cześć — powiedziała Lukas. — Mam dla ciebie wiadomości.

— Cześć, Margaret — odparła Susan Nance, przekładając akta. — Jakie?

— Dopadli go. Został zastrzelony na Promenadzie.

— Zabójca z metra? - Tak.

----- 245 -----

Kobieta uniosła kciuk do góry. — Wspaniale. Szczęśliwego Nowego Roku.

— Nawzajem.

Lukas weszła do windy. Zjechała na parter.

Przy wejściu dla pracowników Artie spojrzął na nią i ukłonił się z uśmiechem.

— Czy doktor Evans wychodził? — spytała.

— Nie. Nie widziałem go.

Poczekaj tutaj na niego, postanowiła. Usiadła w jednym z wygodnych foteli na korytarzu. Właściwie opadła.

Czuła się potwornie zmęczona. Chciała jechać do domu. Wiedziała, co ludzie mówią za jej plecami: jakie to smutne być samotną kobietą. Ale ona wcale nie była smutna. Powrót do domu był dla niej przyjemniejszy niż siedzenie z koleżankami w kawiarni lub randka z nieciekawym nudziarzem z Waszyngtonu.

Dom...

Myślała o Parkerze Kincaidzie.

Skup się — strofowała się w myślach.

Przypomniała sobie jednak, że już nie musi się skupiać.

Był nią zainteresowany. Czuła to instynktownie.

Ale zdecydowała, że powie: nie. Był przystojnym, energicznym mężczyzną. Kochał dzieci i życie domowe. To ją w nim pociągało. Ale nikomu nie chciała się narzucać ze swoim bólem, który — jak sądziła — promieniował

z niej zawsze i wszędzie.

Być może Jackie Lukas i mężczyzna taki jak Kincaid mogliby żyć razem. Ale teraz była Margaret i nie widziała żadnych szans na wspólne życie.

Artie podniósł wzrok znad gazety. — Ach, przepraszam, zapomniałem. Życzę szczęśliwego Nowego Roku, agentko Lukas.

— Szczęśliwego Nowego Roku, Artie.

Ciało Diggera tliło się jeszcze i wokół unosił się okropny fetor. Gdy straż pożarna pokryła pianą płonąca czereśnię, wypalony autobus natychmiast otoczyli gapie. Parker i Cage stali obok siebie.

Digger odszedł. Na zawsze.

Parker myślał słowami z książki doktora Seussa. Przemykały mu przez głowę jak dziwaczne stwory wymyślone przez autora.

Wszystko to zmęczenie i nadmiar adrenaliny.

Zadzwoił do Ktosiów i oznajmił, że będzie w domu za pół godziny. Rob-by i Stephanie opowiedzieli o sztucznych ogniach, które obserwowali z domu.

— Kocham was, Ktosie — powiedział. — Wkrótce będę w domu.

----- 246 -----

- My też cię kochamy, tatusiu — odparła dziewczynka. — Jak się czuje twój przyjaciel?

- Dobrze. Czuję się coraz lepiej...

Podczas gdy Cage rozmawiał z technikiem z grupy badającej ślady, Parker szukał miejsca, gdzie mógłby uwolnić się od swądu wydobywającego się wciąż z wraku autobusu. Smród był większy niż ten pochodzący ze spalonych opon. Parker wiedział, jakie jest jego źródło i przyprawiało to go o mdłości.

Ciało mordercy ciągle się tliło. Tak Parker dotykał śmierci.

Nagle uprzytomnił sobie, że nie ma odpowiedniej sumy, aby zapłacić pani Cavanaugh. Wyciągnął z kieszeni plik banknotów. Dwadzieścia dwa dolary. Za mało. W drodze do domu będzie musiał zatrzymać się przy bankoma-cie. Mimochodem spojrzął na kartkę, którą wyjął razem z banknotami.

Była to kopia tekstu napisanego przez szantażystę, który odczytali ze spalonej kartki. Widniały na niej dwa ostatnie miejsca ataku Diggera zapisane w notatniku wyniesionym przez Tobe'a Gellera z płonącej kryjówki.

...trzy kilometry na południe — R... ...miejsce, do którego cię zabrałem — czarna...

— Co to? — zapytał Cage, dotykając złamanego zębra.

— Pamiątka — odparł Parker, przyglądając się napisanym wyrazom. — Po prostu pamiątka.

Edward Fielding przystanął na końcu korytarza. Ciężko oddychał. Zmęczył się, dźwigając plecak z pieniędzmi.

Spojrzał w kierunku portierni oddalonej od niego o jakieś dziesięć metrów i zauważył krótkie, jasne włosy Margaret Lukas. Za nią siedział strażnik i czytał gazetę. Światła na korytarzu były wyłączone i nawet gdyby spojrzeli w jego kierunku, nie dostrzegliby go.

Poprawił na ramieniu plecak z pieniędzmi. W prawej ręce trzymał pistolet. Ruszył w ich kierunku. Skórzane podeszwy jego butów wydawały ciche odgłosy. Lukas patrzyła w przeciwną stronę. Strzeli jej tylko raz w głowę.

Gdy strażnik podniesie wzrok, zabije go.

Następnie wydostanie się na zewnątrz.

Tap, tap, tap.

Zbliżył się do swoich ofiar.

Perfekcja.

247

O 55

Wyciągnięta w fotelu jak kot Margaret Lukas przypatrywała

ś? cnomce-

Nie zwracała szczególnej uwagi na odgłos kroków dochodzący z tyłu korytarza.

Dwa tygodnie temu było tu pełno świątecznych prezentów, które agenci i pracownicy obsługi zebrali dla bezdomnych rodzin. Początkowo chciała dać kilka zabawek, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. W zamian pracowała dwanaście godzin w pierwszym dniu świąt. Badała sprawę zabójstwa czarnego mężczyzny przez dwóch białych w południowo-wschodniej dzielnicy.

Tap, tap, tap...

Teraz uznała, że postąpiła źle. Wtedy uważała, że zbiórka prezentów jest dość błahym zajęciem. Ona powinna dokonać czegoś poważnego. Jednak teraz przyznała, że tak wtedy postąpiła, ponieważ widok dzieci w czasie świąt Bożego Narodzenia byłby dla niej trudny do zniesienia. Woląла rozwalać kopniakiem drzwi do mieszkania w Manassas Park.

Stchórzyłam — pomyślała.

Tap, tap, tap...

Wyjrzała przez okno. Ludzie wracali z Promenady. Myślała o Diggerze i strzelaninie. Zastanawiała się, kto go zabił. W ciągu swojej kariery dwukrotnie brała udział w akcji zakończonej wymianą strzałów. Po każdej z nich w głowie miała chaos. Wszystko wyglądało inaczej niż na filmach — żadnych zwolnień, pięć sekund gwałtownej strzelaniny i popłochu. To wszystko. Pamięta się to, co było potem: opatrywanie rannych, wynoszenie zabitych.

Zadzwoił telefon. Przestraszyła się.

Odebrał Artie. Lukas obojętnie patrzyła na jego pooraną zmarszczkami twarz.

— Portiernia... Halo. Agent Cage?

Nagle strażnik zmarszczył brwi. Spojrzał na Lukas, potem skierował wzrok w przestrzeń poza nią. Miał oczy szeroko otwarte. — Dobrze — powiedział zaniepokojonym głosem. — Detektyw Hardy? Kim on jest?! Co to znaczy? Właśnie się pojawił. On... Boże!

Artie rzucił słuchawkę i sięgnął po broń.

Tap, tap, taptaptap...

Lukas instynktownie wyczuła, że kroki, które słyszy, to kroki napastnika. Gdy pociski wystrzelone z pistoletu z tłumikiem uderzyły w oparcie fotela, rzuciła się do przodu. W powietrze uniosły się kawałki materiału.

- 248 - -

Kuląc się, szukała bezpiecznego miejsca. Spojrzała za siebie.

To był... Nie! Niemożliwe! Hardy?!

Strzelając na oślep, Artie krzyczał: — To on! Morderca! On... Och, mój... Nie... — Strażnik spojrzał na swoją pierś'. Został trafiony. Osunął się na kolana, a po chwili upadł za biurkiem.

Kolejna kula przebiła na wylot oparcie fotela i przeleciała koło głowy Lu-kas. Agentka starała się ukryć za mizerną palmą, która często była przedmiotem żartów kolegów. Skurczyła się jeszcze bardziej, gdy pociski trafiły w metalową donicę.

Lukas działała automatycznie. Nie analizowała wydarzeń. Uniosła głowę i wzrokiem szukała strzelającego.

Znów gwałtownie się pochyliła, gdy kolejna kula ścięła kilka bladozielonych liści tuż obok jej twarzy.

Odwróciła się na lewy bok, oparła o ścianę, szybko wstała i skierowała broń w stronę napastnika. W ułamku sekundy upewniła się, że nikogo za nim nie ma. Oddała trzy strzały.

Pociski o kalibrze dziesięciu milimetrów chybiły i uderzając w ścianę, odłupały kawałki muru. Hardy jeszcze strzelił w jej kierunku dwukrotnie i zniknął w korytarzu.

Podbiegła do ściany po drugiej stronie korytarza i przywarła do niej plecami.

Kroki napastnika cichły w oddali.

Z drugiej strony korytarza dobiegły czyjeś głosy: — Co się dzieje?! Co tu się dzieje?!

Trzasnęły jakieś drzwi.

Lukas wyjrzała zza ściany i ukryła się ponownie. Na końcu korytarza dostrzegła sylwetkę mężczyzny. Padła na podłogę i wymierzyła broń. •— Jestem agentką federalną! Podaj nazwisko albo będę strzelać.

— Ted Yan — krzyknął mężczyzną. — Zajmuję się oprogramowaniem. Lukas go znała. Był kolegą Gellera.

Wspaniale, mam nudziarza komputerowego jako wsparcie — pomyślała.

— Jesteś sam?! — zawołała.

— Ja jestem... Cisza.

— Ted?!

— Jest nas dwoje. Jest ze mną Susan Nance.

Głos Nance łamał się, gdy mówiła: — Margaret, on strzelał do Louise. Zabił ją. Zastrzelił też Phelps. Boże! Co się dzieje?

— Byliśmy...

----- 249 -----

— Dobrze, bądź cicho — warknęła Lukas. — Nie zdradzaj swojej pozycji. Czy ktoś' przechodził obok ciebie?

— Nie! — odkrzyknął Ted. — Nikogo nie mijalem. Słyszałem tylko, że na korytarzu trzasnęły drzwi. On tu gdzieś' jest.

— Osłaniaj mnie — zawołała Lukas.

Spoglądając za siebie, podbiegła do portierni. Artie stracił przytomność, ale nie krwawił zbyt mocno. Chwyciła słuchawkę telefonu, jednak po drugiej stronie była cisza. Wystukała numer 911, przedstawiła się jako agentka Ministerstwa Sprawiedliwości i ogłosiła „Kod 42” w budynku Centrali. Hasło oznaczało, że w budynku ma miejsce napad. „Kod 42” stał się też żartem wśYód pracowników. Mieć 42 lata oznaczało, że można już było coś schrza-nić.

— Jesteście uzbrojeni? — spytała Lukas.

— Mamy służbową broń — odkrzyknął Ted.

Oznaczało to, że mieli przy sobie pistolety Glocki lub Sig-Sauery. Lukas pomyślała o swoim karabinku maszynowym MP-5, który leżał w samochodzie. Dużo by dała, aby mieć go teraz przy sobie.

Obserwowała korytarz. Był pusty.

Ośmioro drzwi w holu. Pięcioro po prawej, troje po lewej stronie.

On jest za jednymi z nich.

To jest zagadka dla ciebie, Parker. Za którymi drzwiami ukrywa się nasz Judasz?

Trzy jastrzębie porywały kurczaki z farmy...

Z pistoletem wyciągniętym przed siebie ostrożnie szła korytarzem. Widziała agentów. Ruchem ręki dala znak, żeby się ukryli za rogiem. Gdyby Hardy wyskoczył zza którychś drzwi, strzelając, mogła trafić Teda lub Nance.

Tak samo oni mogli ją postrzelić. Nie można było wziąć napastnika w krzyżowy ogień.

Szła korytarzem.

Które drzwi? — zastanawiała się.

Pomyśl... no, pomyśl!

Jeżeli Hardy zna rozkład pomieszczeń, na pewno nie wybrał tych po lewej stronie. To pokoje wewnętrzne.

Zatem pozostało pięcioro drzwi po prawej stronie.

Dwoje z nich miało napis: „Recepcja”. Był to eufemizm. W rzeczywistości były to pokoje przesłuchań. W

jednym z nich rozmawiali z Henrym Czi-smanem. Hardy zapewne wiedział, że w budynku nie ma żadnych pokoi przyjęć i że te są odpowiednio zabezpieczone. Nie jest możliwe wydostanie się z nich na zewnątrz — nie mają okien.

Na drzwiach środkowych wisiała tabliczka: „Zabezpieczenie”. Nie wiedziała dokładnie, co się za nimi znajduje, ale przypuszczała, że jest to pokój strażników i również nie ma w nim okien.

Pozostało zatem dwoje drzwi. Nie były oznakowane, ale wiedziała, że prowadzą do pokoi, w których przeprowadza się wstępną analizę danych pochodzących z przesłuchań. Okna w tych pokojach wychodzą na ulicę. Jeden z nich znajdował się obok portierni, drugi blisko miejsca, w którym byli Su-san i Ted.

Nie spiesz się — nakazała sobie. Poczekaj na pomoc.

Ale może Hardy otworzył właśnie okno i wydostaje się na zewnątrz. Nie mogła ryzykować, żeby

ten człowiek wymknął się jej z rąk.

Które drzwi, które?

Zdecydowała: te bliżej portierni. To ma sens. Hardy nie mógł biec dzie-sięć-piętnaście metrów korytarzem.

Musiał szybko się ukryć. Wiedział, że uzbrojona Lukas podąży za nim.

Kiedy podjęła decyzję, zapomniała o innych możliwościach.

Łamigłówki zawsze są łatwe, gdy zna się odpowiedź. Jak życie, prawda?

Chwyciła za gałkę u drzwi. Były zamknięte.

Czy te drzwi są zamykane? — zastanowiła się. Czy może to on zamknął się od środka?

Nie, to na pewno on. Musi tam być. Niby gdzie indziej mógł się ukryć? Pobiegnęła do portierni i wzięła klucze z paska Artie'ego. Włożyła klucz do zamka tak cicho, jak to było możliwe.

Przekręciła.

Rozległ się alarm.

Cholera. Jakbym krzyknęła: jestem tutaj!

Jeden, dwa...

Głęboko wciągnęła powietrze.

Pomyślała o mężu i synu.

Kocham cię, mamusi!

Gwałtownie pchnęła drzwi.

Skuliła się. Broń trzymała przed sobą, palec na spuście.

Nikogo...

Nie było go tutaj.

Zaraz... biurko. To jedyny mebel, za którym mógł się ukryć. Obeszła je, wymachując pistoletem.

Nikogo...

Cholera, pomyliła się. Więc jednak wszedł tam.

Nagle kątem oka dostrzegła jakiś ruch.

Otworzyły się drzwi po drugiej stronie korytarza. Był to inny pokój także z napisem „Zabezpieczenie”. Lufa pistoletu z tłumikiem skierowana była w jej stronę.

- Margaret! — ostrzegła ją Susan Nance z końca korytarza.

Zdążyła paść na podłogę. Hardy strzelił dwa razy.

Nie do niej jednak celował. Pociski rozbiły szybę w oknie. Szkło rozprysło się na tysiące kawałków.

Teraz Nance wystrzeliła trzykrotnie, gdy Hardy z ciężką torbą przebiegał niezdarnie przez korytarz. Chybiła.

Hardy wpadł do pokoju, strzelił na oślep w kierunku Lukas, zmuszając ją do ukrycia. Skuliła się na podłodze.

Pociski uderzyły w biurko. Hardy wyskoczył przez okno i znalazł się na balkonie przy Dziewiątej Ulicy. Przez balustradę przeskoczył na chodnik. Lukas cały czas strzelała. Niecelnie, niestety.

Podniosła się z podłogi i podbiegła do okna.

Zrozumiała, co się wydarzyło. Hardy usiłował otworzyć drzwi, ale ponieważ były zamknięte, ukrył się w pokoju naprzeciw. Poczekał po prostu, aż ona je otworzy. Dobrze to sobie wymyślił.

Popęniła niewybaczalny błąd.

Wybrał siedzącego po lewej stronie. Strzelił i zabił go.

Stała na rozbitym szkłe przy oknie, które znajdowało się obok balkonu. Obserwowała ulicę. Hardy zniknął.

Nie było rykoszetu.

Widziała ludzi powracających z pokazu sztucznych ogni. Patrzyli ze zdumieniem na rozbite okno i na atrakcyjną blondynkę z pistoletem w ręku.

Ile jastrzębi zostało na dachu?

33

..*?'

W laboratorium, oprócz Cage'a i Parkera, był także zastępca dyrektora.

— Sześciu zabitych — mrucał. — Wielki Boże, w budynkach Centrali.

Doktora Evansa zastrzelonego dwoma strzałami w głowę znaleziono na siódmym piętrze. Strażnik Artie był

ciężko ranny, ale prawdopodobnie będzie żył.

— Kto to był? — zapytał zastępca.

Mężczyzna, który podawał się za detektywa Lena Hardy'ego, zostawił wyraźne odciski palców. Sprawdzają w bazie danych. Jeżeli kiedyś, w przeszłości wszedł w konflikt z prawem, wkrótce będzie znana jego tożsamość.

Weszła Lukas. Parker z lękiem patrzył na krew na jej policzku.

- Nic ci się nie stało? — zapytał.

- To krew Artie'ego, nie moja — odparła. Przez chwilę patrzyła to na Parkera, to znów na Cage'a. Kamyki znikły z jej oczu — było w nich teraz coś innego, ale Parker nie wiedział co. — Skąd wiedzieliście? — spytała.

Cage spojrział na Parkera. — On na to wpadł.

- Drzenie — powiedział Parker. Wyciągnął kartkę papieru, którą znalazł przypadkowo, gdy szukał pieniędzy dla pani Cavanaugh. — Zwróciłem uwagę na „drżące” litery. To się zdarza., gdy ktoś usiłuje zmienić swój charakter pisma. Przypomniałem sobie, że pisał to Hardy. Sam mu to dyktowałem. Dlaczego usiłował zmienić swój charakter pisma? Jedyne wyjaśnienie było takie, że to on napisał list z żądaniem okupu. Przyjrzałem się kropkom nad i. Łzy diabła. To on był szantażystą.

- Co się wydarzyło? — zapytał zastępca dyrektora. — Dyrektor chce jak najszybciej wszystko wiedzieć.

— Miał dokładny plan — powiedział Parker, spacerując po pokoju. Zaczął kojarzyć fakty. — W jaki sposób Hardy znalazł się w zespole operacyjnym? — zwrócił się do Lukas.

— Znałam go — odparła. — Od kilku miesięcy przychodził do biura oddziału. Pokazywał odznakę policyjną i prosił o pewne dane statystyczne dotyczące przestępstw w Dystrykcie. Sporządzał rzekomo raport dla Kongresu.

Takie raporty policja Dystryktu przygotowuje kilka razy w roku. Nie udostępnialiśmy mu tajnych informacji, więc nie sprawdzaliśmy go dokładnie. Dzisiaj zgłosił się do mnie jako łącznik.

— Ta rozbudowana biurokracja ze swoimi tajemnicami — westchnął Parker. — Gdyby burmistrz lub szef policji rzeczywiście przysłał kogoś jako łącznika, nie wiedziałby nawet, że ten nazywa się Len Hardy.

— Planował to od miesięcy — powiedziała Lukas.

— Prawdopodobnie od sześciu — mruknął Parker. — Zaplanował każdy szczegół. Był przeklętym perfekcjonistą. Jego koszule, buty, paznokcie... Bez zarzutu.

— A ten facet w kostnicy. Ten, o którym myśleliśmy, że jest szantażystą. Kim on był? — zapytał Cage.

— Gońcem. Hardy — albo raczej mężczyzna, który przedstawiał się tym nazwiskiem — wynajął go, by podrzucił list — odpowiedział Parker.

— Ale on zginął w wypadku — przypomniał Cage.

----- 253 -----

— To nie był wypadek — wtrąciła Lukas, uprzedzając Parkera.

Parker skinął głową. — To Hardy przejechał go skradzioną ciężarówką.

Lukas kontynuowała: — Myśleliśmy, że szantażysta zginął, i dostarczyliśmy pieniądze do magazynu. Hardy wiedział, że umieściliśmy nadajniki na worku i będziemy chcieli go złapać w czasie ucieczki...

— ...Przepakował pieniądze. Zostawił worek. Zdjął nadajniki z paczek z pieniędzmi — dokończył Cage, krzywiąc się z bólu. Złamane zebro dawało znać o sobie.

- Ale dostarczył informacji na temat Diggera, prawda? — wtrącił zastępca dyrektora. — Dzięki niemu mogliśmy go powstrzymać. Uniknęliśmy masakry na Promenadzie.

— To też było zaplanowane — powiedział Parker, dziwiąc się, że na to nie wpadli.

- Co pan ma na myśli? — spytał zastępca.

— Celowo wybrał pomnik ofiar wojny wietnamskiej. Znajduje się niedaleko biur Centrali. Wiedział, że będzie brakowało nam ludzi i skierujemy wszystkich agentów z Centrali na Promenadę. W budynku zostaną tylko osoby pełniące dyżur.

— Mógł zatem wejść do magazynu tanecznym krokiem i wziąć pieniądze — dodała Lukas. — Doktor Evans mówił, że on zaplanował każdy szczegół. Gdy mu powiedziałam, że wyposażyliśmy paczki z pieniędzmi w nadajniki, stwierdził, że przestępca na pewno to przewidział.

Na ekranie komputera pojawiły się informacje. Cage pochylił się i odczytał je powoli.

— To od policji stanu Connecticut. O, jest... — Przesunął tekst do góry, na ekranie pojawiło się zdjęcie. Był to Hardy. — Jego prawdziwe nazwisko brzmi: Edward Fielding. Ostatni adres zamieszkania: Blakesly, Connecticut, w pobliżu Hartford. Nasz przyjaciel nie był przyjemnym gościem. Cztery razy był aresztowany, raz skazany. Jakieś przestępstwa w wieku młodzieńczym, ale te zostały wymazane z kartoteki. Wielokrotnie wykazywał aspołeczne zachowanie. Pracował jako sanitariusz w szpitalu stanowym w Hartford na oddziale dla psychicznie chorych kryminalistów. Zniknął, gdy znaleziono ciało zasztyletowanej pielęgniarki, która oskarżała go o molestowanie seksualne. Administracja szpitala sądzi, że to właśnie Fielding namówił jednego z pacjentów szpitala — Davida Hughesa, by ją zabił. Hughes miał poważne uszkodzenie mózgu, został postrzelony w głowę i łatwo ulegał sugestiom. Fielding pomógł mu uciec ze szpitala. Rada szpitala i policja zamierzały wszcząć dochodzenie przeciw Fieldingowi, ale zdążył się ulotnić. Te wydarzenia miały miejsce w październiku 1998

roku.

____ 254 ____

— Hughes to Digger — stwierdził cichym głosem Parker.

— Tak pan sądzi?

— Oczywiście. Pierwsze morderstwa miały miejsce w redakcji gazety w Hartford. Wtedy Czisman zaczął tropić Fieldinga. Było to w listopadzie. — Parker przypomniał sobie wycinek z gazety w książce Czismana. — To była ich pierwsza zbrodnia. Nie tracili czasu.

Kronika tragedii.

— Dlaczego aż tyle ofiar? — spytał zastępca. — Nie chodziło przecież tylko o pieniądze.

Fielding miał

skłonność do terroryzmu?

— Ależ nie — powiedział zdecydowanie Parker. — Nie był terrorystą. Jednak ma pan rację mówiąc, że nie chodziło mu o pieniądze. Znam go.

— Zna pan Fieldinga?

- Nie. Mam na myśli coś innego. Znam ten typ przestępcy. On jest jak fałszerz dokumentów.

— Fałszerz? — powtórzyła Lukas.

— Prawdziwi fałszerze uważają się za artystów, nie oszustów. Nie robią tego, aby zarobić. Chcą popełnić takie fałszerstwo, które wprowadzi wszystkich w błąd. Mają tylko jeden cel: perfekcyjnie sfalszować dokument.

Lukas skinęła głową. — Zatem zbrodnie w Hartford, Bostonie, Filadelfii były tylko wprawkami. Kradzież zegarka, kilku tysięcy dolarów. Doskonalił swoją technikę.

— Właśnie. W Waszyngtonie nastąpiła kulminacja. Tym razem zażądał ogromnych pieniędzy, zamierzał pójść na emeryturę.

— Tak sądzisz? — spytał Cage.

Odpowiedziała Lukas: — Tak. Bo poświęcił swojego chłopca na posyłki. Zdradził nam, gdzie będzie strzelał.

— I być może sam zastrzelił Diggera na Promenadzie. Nie chciał, żeby wpadł żywy w nasze ręce. Mógłby zacząć mówić — dodał Parker.

— Hardy zakpił sobie z nas — powiedział Cage, uderzając pięścią w stół. Skrzywił się — ten gwałtowny ruch spowodował, że odezwało się złamane żebro. — Przez ten cały pierdolony czas siedział obok nas i śmiał się w kułak.

— Ale gdzie on może być teraz? — zapytał zastępca.

- Dokładnie zaplanował swoją ucieczkę. Do tej pory wyprzedzał nas o krok. Tym bardziej teraz będzie się starał

nie popełnić błędu — powiedział Parker.

— Weźmiemy film zrobiony w holu kamerą wideo i prześlemy go stacjom telewizyjnym. Wszyscy będą mogli zobaczyć Fieldinga.

— O drugiej w nocy? — spytał Parker. — Kto to będzie oglądał. Jest też za późno, aby zamieścić jego zdjęcie w jutrzejszych gazetach. Opuści kraj

przed wschodem słońca i w ciągu dwóch dni znajdzie się na stole operacyjnym u chirurga plastycznego.

- Teraz porty lotnicze w Waszyngtonie i okolicy są zamknięte — zauważył zastępca. — Do godzin porannych na pewno nie odleci. Obstawimy wszystkie lotniska.

— Ruszy do Louisville, Atlanty albo Nowego Jorku — rzekła Lukas. — Przekażemy informacje o nim do wszystkich oddziałów FBI. Wyślemy agentów na wszystkie lotniska, do wszystkich portów, na dworce autobusowe. Będziemy kontrolować firmy zajmujące się wynajmem samochodów. Poszukamy miejsc, w których mieszkał. Skontaktujemy się z policją stanu Connecticut...

Przerwała i spojrzała na Parkera. Myślał o tym samym co ona.

— Przewidział wszystko — dodał. — Nie twierdze, że nie powinniśmy tego robić, ale on wziął pod uwagę wszystkie nasze posunięcia.

— Wiem, ale musimy coś zrobić. — Była wściekła.

— Nadam tej sprawie pierwszeństwo — orzekł zastępca. Parker już go nie słuchał. Wpatrywał się w list z żądaniem okupu.

— Doskonałe fałszerstwo — mruknął do siebie.

- Co? — spytała Lukas.

Spojrzał na zegarek. — Mam zamiar z kimś' się spotkać.

— Jadę z tobą — powiedziała Lukas.

— Lepiej nie — zawahał się.

— Jadę.

— Nie potrzebuję pomocy.

- Jadę z tobą — powtórzyła twardo.

Parker spojrzał jej w oczy. Kamyki czy nie? Nie wiedział.

— Okay — powiedział.

Jechali pustymi ulicami Waszyngtonu. Prowadził Parker.

Samochód zatrzymał się przed skrzyżowaniem. Spojrzał w prawo, na świa-tła. Zobaczył jej odbicie: profil, cienkie usta, zaokrąglony nos, długą szyję.

Skreślił i pojechał w kierunku Alexandrii w stanie Wirginia.

Być może ci zazdrości.

Chciał chwycić jej dłoń, usiąść z nią w kawiarni albo na kanapie w jego domu. Albo pójść z nią do łóżka.

I rozmawiać. Rozmawiać o czymkolwiek.

Może o jej tajemnicach, jakiegokolwiek one są.

Albo — tak jak to często robi z Ktosiami — o niczym. Głupie gadanie — tak to nazywają. Rozmowy o kreskówkach, sąsiadach, wyprzedazach, przepisach kucharskich, spędzonych wakacjach lub planach wakacyjnych.

256

Być może on i Lukas chwaliliby się na przemian swoimi osiągnięciami w pracy policyjnej. Wszyscy agenci federalni, policjanci, stójkowi bardzo to lubią.

Tajemnice ostatecznie mogłyby poczekać.

Miałaby wiele lat, by o nich opowiedzieć.

Lat...

W tym momencie zdał sobie sprawę, że rozważa związek z nią, który trwałby nie jedną noc, nie tydzień, nie miesiąc, ale lata. Na czym opiera swoje fantazje? Na niczym pewnym. To mrzonki.

To czysta iluzja. Nie mają przecież ze sobą nic wspólnego. Ona jest żołnierzem, on — kurą domową.

A może jest inaczej? Przypomniał sobie Ktosiów z książki doktora Seus-sa. Były to stworzenia tak małe, że nikt ich nie widział. Żyły na pyłkach. A mimo to miały swe radości, tworzyły szalone wynalazki i dziwaczną architekturę. Czy miłość nie może istnieć w czymś', co wydaje się tak nieuchwytnie?

Spojrzał na nią, ona zaś na niego. Spontanicznie położył rękę na jej kolanach. Czuł gładkie, nylonowe pończochy. Dotknęła jego dłoni.

Dotarli do miejsca przeznaczenia. Zdjął rękę z jej kolan. Zaparkował samochód. Nie odzywali się, nie patrzyli na siebie.

Lukas wysiadła z samochodu, po chwili także Parker. Podszedł do niej. Stali naprzeciw siebie. Bardzo pragnął

wziąć ją w ramiona, przytulić, sunąć rękami po jej plecach. Spojrzała na niego i powoli rozpięła kurtkę.

Zauważył, że pod spodem ma białą, jedwabną bluzkę. Podszedł, by ją pocałować.

Spojrzała w dół i rozpięła kaburę. Zapięła kurtkę. Zmrużyła oczy, gdy patrzyła obok niego — sprawdzała teren.

Parker cofnął się. No cóż...

— W którą stronę idziemy? — spytała.

Parker zawahał się, jej oczy znów były zimne. Ruchem głowy wskazał drogę prowadzącą do alei. — Tędy.

Weszli na chodnik. Spojrzał na jej pistolet. — Nie sądzę, żeby był ci potrzebny...

— Cicho — odparła. — Wszystko należy przewidzieć.

— W porządku — przyznał jej rację. Ruszyli chodnikiem.

Mężczyzna był niski, około 155 cm wzrostu.

Miał sztywną brodę i gęste włosy. Ubrany był w zniszczony szlafrok. Gwałtownym waleniem w drzwi Parker wyrwał go ze snu.

----- 257 -----

Spojrzał na Parkera i Lukas. Milczał. Odskoczył jak szarpnięty elastyczną linką.

Parker wszedł do środka, za nim Lukas. Rozejrzała się wokół i zapięła kaburę. W mieszkaniu panował

rozgardiasz — wszędzie pełno było książek, mebli i jakichś' papierów. Na ścianach wisały setki podpisanych listów i fragmenty historycznych dokumentów. Książki i teczki prawie spadały z półek. W salonie centralne miejsce zajmował stół artysty. Zastawiony był dziesiątkami kałamarzy i piór.

— Witam, Jeremy.

Mężczyzna potarł oczy. Spojrzał na stary, mechaniczny budzik. — Trochę późno na odwiedzinę, Parker. Ale skoro jesteś', zobacz, co ja tu mam. Jak ci się podoba?

Mężczyzna miał złote palce od papierosów, które kochał palić. Nigdy jednak nie robił tego w mieszkaniu. Nie chciał ryzykować ze względu na dokumenty. Objął czułym wzrokiem opakowany w folię list, który podał

Parkero-wi.

Parker zbliżył go do światła, wyjął lupę i zaczął się przyglądać. Po chwili powiedział: — Odstępy między literami... są odpowiednie.

— Więcej niż odpowiednie, Parkerze.

— Okay, przyznaję. W sposób perfekcyjny podrobiłeś' sposób przykładania i odrywania pióra. Marginesy są bez zarzutu, format kartek także. Czy papier pochodzi z tamtego czasu?

— Oczywiście.

— Postarzyłeś' atrament, dodając nadtlenku wodoru? To można wykryć.

— Może tak, może nie — odparł Jeremy, uśmiechając się. — Może mam asa w rękawie. Parker, czy przyszedłeś' tutaj, aby mnie aresztować?

— Nie jestem już gliniarzem, Jeremy.

— Ty nie, ale ona.

— Tak, ona jest.

Jeremy wziął folię z listem z rąk Parkera. — Nie sprzedałem go. Nawet nie miałem takiego zamiaru. — Zwrócił się do Lukas: — To tylko hobby. Można mieć hobby, prawda? — Co to jest? — spytała Lukas. - List Roberta E. Lee do jednego ze swoich generałów — wyjaśnił Parker. Po chwili dodał: — Powinienem powiedzieć: rzekomy list. — Sfałszował go? — zapytała Lukas, patrząc na Jeremy'ego. — Oczywiście — powiedział Parker. — Nie będę świadczyl przeciwko sobie. Znam Piątą Poprawkę do Konstytucji — stwierdził Jeremy.

258

- Jest wart, być może, piętnaście tysięcy dolarów.
- Gdyby go sprzedać, ale nie mam takiego zamiaru. Parker już raz mnie aresztował. — Jeremy szczypał się w brodę. — On jest jedynym człowiekiem na świecie, który przyłapał mnie na fałszerstwie. Czy pani wie, jak to zrobił?

- Jak? — spytała.

Parker nie miał zamiaru opowiadać o tym „doskonałym” fałszerstwie, ale spostrzegł, że ta historia rozbawiła i zaciekała Lukas. Ucieszył się, że choć na chwile przestała być spięta.

— Znak wodny — szyderczo powiedział Jeremy. — Wpadłem przez znak wodny.

— Kilka lat temu — rzekł Parker — Jeremy... wszedł, jeśli to tak można powiedzieć, w posiadanie listów pisanych przez Johna Kennedy'ego.

— Do Marilyn Monroe? — spytała Lukas.

Jeremy wykrzywił twarz. — Te? Śmiechu warte. Amatorszczyzna. Kogo one obchodzą? Nie. Chodzi o korespondencję między Kennedym a Chruszczowem. Z tych listów wynikało, że Kennedy był skłonny do kompromisu w sprawie Kuby. Mogłyby zmienić obraz historii. Kennedy i Chruszczow mieli zamiar podzielić się Kubą. Rosjanie wzięliby jedną połowę, Amerykanie drugą.

— Czy to prawda? — spytała Lukas.

Jeremy milczał i z zagadkowym uśmiechem patrzył na list Roberta E. Lee.

— Jeremy czasami mija się z prawdą — powiedział Parker. Zwykle tak opisywał kłamstwo, gdy rozmawiał z dziećmi. — Sfałszował listy, zamierzał je sprzedać za pięć tysięcy dolarów.

— Cztery tysiące osiemset — poprawił go Jeremy.

— Tylko tyle? — zdziwiła się Lukas.

— Jeremy nie robi tego dla pieniędzy — wyjaśnił Parker.

— Zatrzymałeś go?

— Moja technika była bez zarzutu. Parkerze, musisz to przyznać.

— Tak, zgadzam się — potwierdził. — Były podrobione perfekcyjnie. Wszystko się zgadzało: atrament, nacisk pióra, początki i zakończenia wyrazów, sposób przykładania i odrywania pióra, frazeologia, marginesy. Niestety, w sierpniu 1963 roku biuro prezydenta zaczęło korzystać z nowego papieru firmowego. Kilka takich kartek dostało się w ręce Jeremy'ego i użył ich do napisania fałszywych listów. Umieścił na nich daty z maja 63 roku.

— Miałem złe informacje — wymamrotał Jeremy. — Co sądzisz o tym liście? Przyszliście mnie aresztować?

Co złego tym razem zrobiłem?

— Sądzę, Jeremy, że wiem, co zrobiłeś. Myślę, że wiem.

----- 259 -----

Parker wziął jedno krzesło dla Lukas, drugie dla siebie. Usiedli.

— Boże mój — jęknął Jeremy.

— Boże mój — powtórzył Parker.

34

Zaczął padać śnieg. Z nieba leciały duże płatki. Ziemia po-1 OK kryta była pięciocentymetrową warstwą białego puchu, który rozpraszał ciemności.

Edward Fielding uginając się pod ciężarem plecaka, z pistoletem w prawej ręce, przedzierał się wśród drzew i krzewów. Znajdował się na przedmieściach Waszyngtonu, w mieście Bethesda, w stanie Maryland. Zmienił po drodze samochód na wypadek pościgu. Jechał autostradą, nie przekraczając prędkości. Po drugiej stronie lasku, przy którym zaparkował, znajdował się wynajmowany przez niego dom. Wprawdzie było tu dość bezpiecznie, ale nie zamierzał zostawiać pieniędzy w samochodzie.

Podszedł pod dom od strony ogrodu znajdującego się przy sąsiedniej posesji i stanął przy parkanie. Rozejrzał

się.

Na ulicy nie widział żadnych nie znanych mu samochodów.

W domu paliło się światło — zostawił je włączone. W oknach nie zauważył nic niepokojącego.

We wszystkich domach po przeciwnej stronie ulicy było ciemno, z wyjątkiem domu Harkinsa.

Nie był tym zaskoczony. Harkins rzadko kładł się spać przed drugą, trzecią nad ranem.

Położył plecak pod drzewem na sąsiedniej posesji.

Pozwolił odpocząć swoim mięśniom. Przeszedł przez parkan i sprawdził teren wokół domu. Na śniegu nie było żadnych śladów.

Wrócił po plecak z pieniędzmi i ruszył w stronę drzwi wejściowych. Przewornie zainstalował kilka „urządzeń”, które miały go ostrzec w razie niepożądanych gości. Nie były to wprawdzie rzeczy zbyt zaawansowane technologicznie, ale skuteczne. W furtce przeciągnął nitkę, klamkę posypał suchą farbą, trzciniową matę oparł o drzwi.

Nauczył się tego z internetowych stron skrajnie prawicowych organizacji, które instruowały, jak ustrzec się przed Murzynami, Żydami i służbami federalnymi. Mimo że brak było śladów na śniegu, sprawdził wszystko bardzo dokładnie. Ostatecznie dokonywał przestępstwa doskonałego.

----- 260 -----

Zamknął drzwi i zaczął myśleć o dalszych swoich posunięciach. W domu pobędzie tylko pięć, dziesięć minut —

tylko potrzebuje czasu, aby przełożyć pieniądze do pudełek po zabawkach. Weźmie ze sobą jeszcze potrzebne walizki i korzystając z trzech samochodów, które rozmieścił po drodze, dotrze do Ocean City w stanie Maryland.

Tam wsiądzie na łódź, którą wynajął, i w ciągu dwóch dni dopłynie do Miami. Następnie wynajętym samolotem poleci do Kostaryki, a stamtąd, tego samego dnia, do Brazylii.

Następnie...

Nie wiedział, gdzie się ukryła: może za drzwiami, może w toalecie. Nie zdążył poczuć adrenaliny rozlewającej się w jego ciele, gdy ktoś wytrącił mu z ręki broń i usłyszał krzyk Margaret Lukas: — Nie ruszać się, nie ruszać, FBI!

Rozkaz właściwie był bez sensu, bo powaliła go na brzuch silnym uderzeniem i przystawiła broń do ucha.

Dwóch potężnych agentów skuliło mu ręce kajdankami. Zdjęto mu plecak z ramienia i przeszukano kieszenie.

Po chwili postawiono go na nogi i posadzono w fotelu.

W drzwiach pojawił się Cage i parę innych osób. Jeden z agentów przeliczał pieniądze.

Na twarzy Fieldinga malowało się ogromne zaskoczenie. Lukas zwróciła się do niego: — Po co te nitki? My też czytamy strony internetowe Milicji Aryjskiej.

— A śnieg? — zapytał. Wstrząsnęły nim dreszcze — poczuł uderzenie adrenaliny. — Nie było na nim śladów.

Jak się tu dostaliście?

- Pożyczyliśmy haki i drabinę od straży pożarnej w Bethesdzie. Ja i ci z oddziału SWAT weszliśmy przez okno na górze.

Wszedł Parker Kincaid. Lukas spojrzała na niego i wyjaśniła Fieldingowi:

- Wóz strażacki był jego pomysłem.

Fielding nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Parker usiadł na krześle naprzeciw Fieldinga i założył ręce. Teraz detektyw — Parker ciągle tak o nim myślał —

wydawał mu się znacznie starszy i niższy. Przypomniawszy sobie, że wcześniej chciał się z nim spotkać i poznać tok jego rozumowania. Dwóch mistrzów łamigłówek. Jednak teraz zawodową ciekawość zastąpiła odraza.

Łamigłówki są zawsze łatwe, gdy zna się odpowiedź.

Są też nudne.

— Jak się czujesz, wiedząc, że będziesz siedział w celi trzy na trzy i czekał na wbicie igły z trucizną? — spytała Lukas.

— Nie powinieneś żyć wśród ludzi. Mam nadzieję, że lubisz swoje własne towarzystwo — dodał Cage.

----- 261 -----

— Przedkładałam je nad towarzystwo innych — odparł Fielding.

Nie dodał nic więcej. Cage kontynuował: — Szukają cię też w Bostonie, White Plains, Filadelfii oraz w Hartford. Fielding ze zdziwieniem uniósł brwi.

— Digger był pacjentem w szpitalu, w którym pracowałeś' — dla psychicznie chorych kryminalistów? Nazywał

się David Hughes? — pytał Parker.

Fielding usiłował ukryć zdziwienie, ale nie był w stanie tego zrobić.

— Zgadza się. Zabawny facet, prawda? — Uśmiechnął się do Parkera. — Zmartwychwstały goblin porywający dzieci.

Nagle Parker coś zrozumiał, zamarło mu serce. Goblin...

— Opowiadałem o swoim synu i niedługo potem... Jezu, niedługo potem Robby widział kogoś w garażu. To był

Digger! Wysłałeś go do mojego domu, aby przestraszył Robby'ego?!

Fielding wzruszył ramionami. — Byłeś zbyt dobry, Kincaid. Musiałem cię odciągnąć od śledztwa, chociaż na chwilę. Gdy udaliście się do mojej kryjówki, wyszedłem z samochodu i

przekazałem mojemu przyjacielowi informację, żeby udał się do twojego domu. Do dzieci. Myślałem o tym, aby je zabić — ciebie oczywiście też —

ale uznałem, że będziesz mi potrzebny w Centrali. Miałeś uwiarygodnić moje wnioski dotyczące miejsca ostatniego ataku Diggera.

Parker zacisnął pięści i rzucił się do przodu. Lukas chwyciła go za ramię, nim zdążył uderzyć Fieldinga w twarz.

- Rozumiem cię, ale to nikomu nie pomoże — wyszeptała.

Trzęsąc się ze złości, Parker opuścił rękę i podszedł do okna. Usiłował uspokoić się. Przypuszczał, że gdyby był

teraz sam z Fieldingiem, zastrzeliliby go. I to nie z powodu tylu morderstw, ale dlatego, że ciągle miał w uszach pełen przerażenia głos syna.

Lukas dotykała jego ramienia. Spojrzał na nią. W ręku trzymała notatnik.

— Jeżeli to pomoże, powiem ci coś. — Przerzuciła notatnik i wyciągnęła kilka kartek. — Kilka miesięcy temu włamano się do mojego domu. On to zrobił.

Fielding milczał.

Lukas zwróciła się do niego: — Dowiedziałeś się wszystkiego o mnie. Dowiedziałeś się o Tomie...

Tom? Parker zaciekawił się. Być może jest to kolejna wskazówka, która umożliwi rozwiązanie zagadki Margaret Lukas. Jednak o nic nie zapytał.

- Obciąłeś włosy, aby mi go przypominać. Mówiłeś, że pochodzisz spod Chicago. Czytałeś jego listy do mnie...

— Zamknęła oczy i kręciła głową. — „Jak kaczka na deszczu”. Ukradłeś jego powiedzenie. Powiedziałeś, że twoja żona jest w stanie śpiączki. Dlaczego? Przyjęłam cię do zespołu, chociaż wszyscy, nie wyłączając mnie, z rezerwą traktowali twój udział w śledztwie.

— Chciałem poznać twoje słabe strony. Rozmawiałem z tobą, aby dowiedzieć się, jaką będziesz przeciwniczką.

Chciałem zdobyć twoje zaufanie.

— Ukradłeś mi moją przeszłość, Fielding.

— Czyż przeszłość nie służy terażniejszości? — zapytał spokojnie.

— Jak mogłeś zabić tylu ludzi? — spytała cichym głosem Lukas.

— Okrutne, co? — Był wyraźnie rozdrażniony. — A dlaczego nie? Na Boga, dlaczego nie? Czy śmierć jednej osoby jest mniej przerażająca niż milionów? Możesz zabijać albo nie. Gdy postanowiłeś zabijać, śmierć stanowi środek do osiągnięcia celu. Żeby być skutecznym, zabijasz tych, których musisz. Kto tego nie akceptuje, jest naiwnym głupcem.

- Kim był ten facet w kostnicy? — spytał Cage.

— Nazywał się Gil Havel.

— Tajemniczy Gilbert Jones — powiedział Parker. — Wynajął helikopter, prawda?

— Pozwoliłem mu wierzyć, że odleci z pieniędzmi złożonymi na Drodze Szubienic.

— Gdzie go znalazłeś?

— W barze w Baltimore.

— Kim on był?

— Jakimś włóczęgą. Obiecałem mu dać sto tysięcy dolarów za dostarczenie listu do ratusza i za pomoc w wynajęciu śmigłowca i kryjówki. Pozwoliłem mu myśleć, że jest moim współnikiem.

— Kazałeś mi iść na przystanek autobusowy lub na stację metra ściśle określoną drogą. Czekając w ciężarówce, by go przejechać — powiedział Parker.

— Chciałem, żebyście się dowiedzieli, że szantażysta zginął, i przynieśli pieniądze do pokoju, w którym gromadzi się dowody przestępstw.

— A Kennedy? Wysłałeś go do „Ritza”.

— Burmistrz? — spytał Fielding. — Była to niespodzianka i jednocześnie ryzyko. Ale zadziałało — skinął

głową, zadowolony z pomysłu. — Chciałem, żebyście się skupili na hotelu „Ritz Carlton” i nie brali pod uwagę jachtu „Ritzy Lady”. Potem rzuciłem wam kość — przyniosłem informacje na temat nazwiska Digger... Parker, ty naprawdę jesteś kimś. Jak na to wpadłeś?

----- 263 -----

— Jak domyśliłem się, że jesteś szantażystą? Miałem próbkę twojego pisma. Dyktowałem ci coś ze spalonego notatnika, ocalonego przez Tobe'a.

— Obawiałem się tego — przyznał Fielding. — Nie mogłem odmówić, prawda? Kazałeś mi coś zapisać.

Wszyscy to widzieli. Usiłowałem improwizować — zmieniłem charakter swojego pisma.

— Wydały cię kropki nad i.

Fielding skinął głową. — Tak. Łzy diabła. Nie myślałem o tym wcześniej... Jak ty to powiedziałaś? Zawsze znajdują się jakieś drobiazgi.

— Nie zawsze, ale bardzo często.

— Informacje na temat nazwiska Digger miałeś przygotowane wcześniej? W ogóle nie byłeś w bibliotece?

— Oczywiście, że nie. Przecież to ja nadałem mu imię Digger. Chciałem, żebyście myśleli, że chodzi o motyw zemsty. Ale... — Rozejrzał się po pokoju. — Jak mnie tutaj znaleźliście?

— Ten dom? — Parker nie mógł się powstrzymać. — Przez perfekcję. — Zauważył, że arogancki uśmiech zniknął z twarzy Fieldinga. — Aby uciec z miejsca zbrodni doskonałej, potrzebne są perfekcyjnie podrobione dokumenty. Musiałeś skorzystać z usług najlepszego specjalisty w tym fachu. Tak się złożyło, że to mój przyjaciel. No, może niezupełnie, spotkaliśmy się kiedyś. Raz wsadziłem go do więzienia.

Na chwilę Fielding stracił głowę. — Ale nie podałem mu mojego prawdziwego nazwiska i adresu.

— Dzwoniłeś do niego — odparł Parker.

— Nie z tego mieszkania — argumentował jęklwym głosem.

Lukas chciała mieć udział w znęcaniu się nad przestępcą: — Dzwoniłeś z budki telefonicznej na ulicy. W „Bell Atlantic” sprawdziliśmy rozmowy. — Wyjęła komputerowe zdjęcie Fieldinga. — Mamy je z kasety nagranej w Centrali. Pokazaliśmy je kilku osobom w sąsiedztwie i oni wskazali na ten dom.

— Cholera. — Zamknął oczy. Drobiazgi...

— Fałszerze uważają, że nie należy twierdzić: „Nie mogę wziąć wszystkiego pod uwagę”. Musisz brać wszystko pod uwagę — dodał Parker.

— Wiedziałem, Parker, że jesteś mocnym ogniwnem w śledztwie. Chciałem, żeby Digger zwrócił na ciebie uwagę — powiedział Fielding.

— Nie miałeś żadnych skrupułów, gdy poświęcałeś swojego przyjaciela?

— spytał Cage.

— Diggera? Trudno go nazwać moim przyjacielem — odparł Fielding.

— On był zbyt niebezpieczny, by pozwolić mu żyć. Poza tym — jak się domyślacie — była to moja ostatnia robota. Nie był mi więcej potrzebny.

----- 264 -----

Agent podszedł do drzwi. — Okay, Fielding. Wychodzimy.

Zaczęli go wyprowadzać. Fielding przystanął w drzwiach i zwrócił się do Parkera:

— Parker, musisz przyznać, że jestem dobry — powiedział zarożumiałym głosem. — Mało brakowało, a udałoby mi się.

Parker pokręcił głową. — Łamigłówka jest rozwiązana albo dobrze, albo źle. Nie ma nic pośrodku.

Fielding uśmiechnął się tajemniczo.

Robotnicy ciąli spalony autobus, żeby zabrać go na złomo-
2 20 wisko-

Lekarz sądowy kazał wynieść z pojazdu ciało Diggera. Do
rąk mordercy przykleił się nadtopiony pistolet maszynowy.

Tymczasem Edward Fielding przebywał w areszcie federalnym. Był skuty kajdankami, na nogach miał domowe pantofle.

Parker powiedział Cage'owi „dobranoc” i szukając wzrokiem Margaret Lukas zauważył, że zbliża się do nich burmistrz Gerald Kennedy. Otoczony był tłumem dziennikarzy, przyglądających się zniszczeniom i rozmawiają-

cych z policjantami i członkami służb ratowniczych.

— Panie burmistrzu — powiedział Cage.

— Chciałem podziękować za dobrą robotę, agencie Cage. Cage wzruszył ramionami.

— Staramy się, panie burmistrzu. Śledztwo to śledztwo. I najlepiej nie mieszać do tego polityki...

— No tak. Rozumiem, że złapaliście przestępcę, który krył się za tymi masakrami...

— Tak jest.

Kennedy odwrócił się w stronę Parkera. — A pan to agent...

— Jefferson, panie burmistrzu. Tom.

— Ach tak, słyszałem o panu. Bada pan dokumenty?

— Tak — odparł Parker. — Widziałem, że oddał pan kilka niezłych strzałów w kierunku mordercy.

— Nie dość dobrych. — Burmistrz spojrzał ponuro na spalony autobus. — Pochodzi pan z rodziny Thomasa Jeffersona?

— Ja? — Parker roześmiał się. — Nie, to pospolite nazwisko.

— Mój asystent nazywa się Jefferies — powiedział burmistrz, aby podtrzymać rozmowę.

Przyszła Lukas. Ukłoniła się burmistrzowi. Parker dostrzegł napięcie na jej twarzy. Lukas obawiała się spotkania z Kennedym po jego nieformalnym aresztowaniu w hotelu „Ritz Carlton”.

Jednakże burmistrz nawet nie wspomniał o tamtym incydencie. — Bardzo mi przykro, że zginął pani przyjaciel

— agent Ardell.

Lukas nic nie powiedziała. Patrzyła na wypalony wrak autobusu.

Jeden z dziennikarzy zwrócił się do Kennedy'ego: — Mam informacje, że pan nie angażował

Gwardii Narodowej, aby nie wywoływać w mieście zamieszania i nie utrudniać ruchu turystycznego. Czy mógłby pan to skomentować?

— Nie, nie mam nic do powiedzenia na ten temat. — Odwrócił wzrok na autobus.

— Tej nocy nie było zwycięzców — powiedziała Lukas.

— Tak, agentko Lukas. — Kennedy wolno cedził słowa. — Nie podejrzewałem, że może się wydarzyć coś takiego.

Wziął żonę za rękę i poszli do limuzyny.

Margaret Lukas przekazała Cage'owi jakieś dokumenty — może wstępny raport albo protokół aresztowania. Ze wzrokiem utkwionym w autobus, podeszła do swojego samochodu. Odjedzie bez słowa pożegnania? —

zastanawiał się Parker.

Otworzyła drzwi, włączyła silnik i ogrzewanie. Temperatura wciąż spadała, niebo zasnuwane było gęstymi chmurami. Padał śnieg. Nie zamknęła drzwi, tylko przechyliła się w stronę tylnego siedzenia.

Cage uściskał dłoń Parkera.

— Co mogę tu powiedzieć? — zapytał retorycznie i ku zaskoczeniu Parkera objął go i mocno uściskał.

Krzywiąc się z bólu, skierował się w dół ulicy. — Dobranoc, Lukas — zawołał. — Dobranoc, Parker. Ale boli!

Szczęśliwego Nowego Roku wszystkim! Cholera, ale boli.

Parker zapiął kurtkę i podszedł do samochodu Lukas. Zauważył, że ona trzyma coś w ręce i przygląda się temu bardzo uważnie. Wyglądało to jak stara, owinięta w folię widokówka. Spojrzała na Parkera i zawahała się. Zmie-szana, schowała kartkę do portfela.

Z kieszeni wyciągnęła butelkę piwa Sam Adams i otworzyła je otwieraczem, który leżał przy kierownicy.

— Sprzedają teraz piwo w automatach na terenie Centrali? — zażartował Parker.

— To prezent od mojego świadka, Garry'ego Mossa.

266

Podawała mu butelkę. Wypił duży łyk.

Odwróciła się do niego. — Co za noc — powiedziała. - Co za noc — powtórzył. Pochylił się do przodu i podał

jej rękę.

Uścisnęła ją mocno. Oboje zdjęli rękawiczki. Ich ręce były zaczerwienione. Miały jednakową temperaturę i Parker nie czuł ani zimna, ani ciepła płynącego z jej ręki.

Położyła lewą dłoń na ich złączonych rękach.

— Co z dziećmi? — zapytała. — Jak to je nazywasz?

— Ktosie.

— Właśnie, Ktosie. Rozmawiałeś z nimi?

— Czują się świetnie. — Próbowwała uwolnić rękę z uścisku. Czyżby i ona potrafiła być niezdecydowana? Nie wiedział, co o tym myśleć. Zapytał: — Sądzę, że musicie przygotować raport? — Przypomniał sobie papierkową robotę, którą trzeba wykonać przed procesem. Góry papieru. Kiedyś go to nie przerażało — grzebanie się w dokumentach było w końcu jego domeną.

— Tak, ale nie ma pośpiechu — odparła.

— Ja też muszę coś zrobić do poniedziałku. Cały weekend będę pracował.

— Dokumenty czy remont w domu?

— Uważasz, że remont jest konieczny? — roześmiał się. — No dobrze, kuchnia, gabinet. Ale ja zamierzam zająć się listem napisanym przypuszczalnie przez Thomasa Jeffersona. Sprzedawca z Nowego Jorku chce, abym zbadał jego autentyczność.

— A jest autentyczny?

— Sądzę, że tak, ale muszę przeprowadzić jeszcze kilka testów. Aha, weź to. — Podał jej pistolet.

Lukas ubrana była teraz w spódnicę i nie miała na kostce kabury. Wsunęła pistolet do schowka przy kierownicy.

Wzrok Parkera zatrzymał się na jej zgrabnych, szczupłych i umięśnionych nogach. Miała białe pończochy.

Wiedział, że patrzy na niego, ale nie zwracał na to uwagi.

Dlaczego ona mi zazdrości? — zastanawiał się w milczeniu.

Czasami, w odpowiednim czasie, łamiętki rozwiązują się same.

Ale zdarza się, że nigdy nie znajdujemy odpowiedzi. Tak zapewne będzie teraz.

Chciałem ci tylko powiedzieć, że Lukas nie potrzebuje nikogo, kto by się nią opiekował, jak inni. Tak powinno być. Nikt się o nikogo nie troszczy- Zapamiętaj to.

— Co robisz jutro wieczorem? — zapytał. — Co byś powiedziała o obiedzie na przedmieściu?

----- 267 -----

Ani jeden mięsień nie drgnął jej na twarzy. Wydawało mu się, że wstrzymała oddech. Zastygł, na jego ustach błąkał się delikatny uśmiech, oczy wyrażały zaciekawienie, tak jak wtedy, gdy oczekiwał, że dzieci zdradzą mu swoją tajemnicę.

W końcu uśmiechnęła się, ale był to lodowaty uśmiech. Takie samo było jej spojrzenie. Wiedział, jaka będzie jej odpowiedź.

— Przykro mi — powiedziała oschle. — Mam już plany na ten wieczór. Może kiedy indziej.

Oznaczało to: nigdy. W swojej książce Parker miał cały rozdział poświęcony eufemizmom.

— Oczywiście — powiedział, nie kryjąc rozczarowania. — Kiedy indziej.

— Gdzie twój samochód? — zapytała Lukas. — Może cię podwiezę?

— Nie. Mam go tutaj.

Znowu podali sobie ręce. Parker z trudem powstrzymał się przed przyciągnięciem jej do siebie.

— Dobranoc — powiedziała. Skinął głową.

Gdy podchodził do swojego samochodu, usłyszał, jak jeszcze raz włączyła silnik.

Spojrzał w jej kierunku i zauważył, że macha mu ręką. Gest wydawał się jakiś sztuczny, nie uśmiechała się.

Parker przyjrzał się uważniej. Nie machała mu ręką, tylko wycierała szybę; nawet nie patrzyła w jego stronę.

Włączyła bieg i odjechała środkiem ulicy.

Jadąc cichymi, pokrytymi śniegiem ulicami, Parker zatrzymał się, aby wypić kawę. Zjadł także jajka z szynką i rogalik. Wypłacił pieniądze z bankomatu. Gdy wrócił do domu, pani Cavanaugh spała na kanapie.

Obudził ją. Zapłacił dwa razy więcej, niż żądała. Odprowadził ją do drzwi i uważnie patrzył, gdy szła po śniegu do swojego domu, znajdującego się po przeciwnej stronie ulicy.

Dzieci spały w jego łóżku, nie wyłączyły telewizora ani magnetowidu. Ekran świecił niebieskim

światłem —

znaczyło to, że oglądały film. Bał się sprawdzić, jaki film utulił je do snu. Miał w swojej kolekcji thrillery i filmy fantastyczno-naukowe. Uspokoił się, gdy stwierdził, że oglądały „Króla lwa”. Wprawdzie zawierał sceny okrucieństwa — Robby zapewne do końca życia nie będzie lubił hien — ale miał szczęśliwe zakończenie, a okrucieństwo na pewno nie dominowało w filmie.

Parker był wyczerpany, ale czuł, że dopiero za godzinę położy się spać.

Mimo jego nalegań pani Cavanaugh zmyła naczynia i posprzątała w kuchni — nie będzie musiał tracić tutaj czasu. Zebrał śmieci w całym domu, włożył je do worka i wyniósł na dwór. Z zielonym workiem wyglądał jak święty Mikołaj. Jakie dziwne jest życie — myślał. Godzinę temu mierzył z broni, strzelano do niego, a teraz jest w domu, w centrum przedmieścia, w samym środku domowego życia.

Gdy podniósł pokrywę pojemnika na śmieci, rozejrzał się wokół. Zastygł w bezruchu i zmarszczył czoło. Na śniegu widać było ślady.

Świeże ślady.

Zostawione przed kilkoma minutami — ocenił. Krawędzie śladów były ostre, nie przysypane jeszcze padającym śniegiem i nie zawiane przez wiatr. Intruz podszedł do okna w pokoju gościnnym i zniknął przed domem.

Serce zaczęło mu łomotać.

Ostrożnie włożył worek ze śmieciami do pojemnika i cicho wrócił do domu.

Drzwi do kuchni zamknął na klucz. Sprawdził drzwi wejściowe — były zamknięte. Okien w jego domu nie można było otworzyć — obawiał się, że zanieczyszczenia znajdujące się w powietrzu na zewnątrz mogą negatywnie oddziaływać na dokumenty — nie musiał więc ich sprawdzać.

Zatem czyje to ślady?

Może dzieci?

Albo pana Johnsona, który szukał swojego psa?

Mogło tak być, ale...

Po kilku sekundach już rozmawiał przez telefon z aresztem federalnym w Waszyngtonie.

Przedstawił się jako agent specjalny FBI Parker Kincaid. Trochę skłamał.

— Brałem udział w śledztwie razem z Lukas.

— Wiem, o co chodzi. Strzelanina na Promenadzie.

— Tak. Mam pewne obawy — ciągnął Parker. — Czy podejrzany Edward Fielding nie został zwolniony z aresztu za kaucją?

— Kaucja? To niemożliwe. W poniedziałek zostaną mu postawione zarzuty oskarżenia. Został aresztowany na 48 godzin.

— Jest zamknięty?

— Tak. Widzę go na monitorze. - Śpi?

— Nie, siedzi na łóżku. Proszę się uspokoić. Rozmawia ze swoim adwokatem, który przyszedł tu przed godziną. O co chodzi?

----- 269 -----

— Wydawało mi się, że widziałem go.

— Cha, cha. A to dobre. Szczęśliwego Nowego Roku.

Parker odłożył słuchawkę. Odetchnął z ulgą, uspokoił się, ale tylko na chwilę.

Rozmawia ze swoim adwokatem?

Parker nie znał żadnego adwokata w kraju, który by rozmawiał ze swoim klientem o tej porze, w święto.

Perfekcja — pomyślał.

— Jezu — wyszeptał.

Fielding wszystko miał zaplanowane. Nawet wariant, jak próbować wyjść z aresztu, gdyby został złapany.

Podniósł słuchawkę i nacisnął pierwszą cyfrę numeru 911.

Linia była głucha.

Usłyszał jakiś ruch za kuchennymi drzwiami.

Podniósł wzrok.

Za oknem ujrzał mężczyznę. Stał na werandzie. Był blady. Miał na sobie płaszcz. Czarny albo granatowy. Na jego lewym ramieniu widać było niewielkie ślady krwi, na twarzy — nieznaczne oparzenia.

Mężczyzna uniósł pistolet maszynowy z tłumikiem i nacisnął spust. Parker odskoczył, odbił się od ściany i rzucił

na podłogę. Pociski roztrzaskały zamek u drzwi. Kawałki szkła rozprysły się po kuchni.

Digger powoli otworzył drzwi i wszedł do kuchni, jak sąsiad, który przyszedł na kawę.

Diggerowi jest zimno. Digger chciałby już z tym skończyć

i wyjechać.

Wolałby być na zewnątrz. On lubi... klik... śnieg.

Lubi śnieg.

Ale spójrzcie tutaj, na ten wspaniały bożonarodzeniowy wieniec i choinkę w domu Parkera. Zabawne...

Nie ma szczeniąt i kokardek, ale jest wieniec i choinka. Strzela ponownie, gdy Kincaid wybiega z kuchni. Trafił

go? Digger nie wie.

----- 270 -----

Sądzi, że nie. Widzi, że Kincaid wpadł do pokoju, wyłączył światła i przywarł do podłogi.

Digger myśli, że jest szczęśliwy. Mężczyzna, który mówi mu o wszystkim, zadzwonił godzinę temu. To nie była informacja przekazywana przez kobietę o głosie Ruth, ale „prawdziwa” rozmowa telefoniczna. Mężczyzna powiedział mu, że nie wszystko jeszcze skończone, chociaż poszedł w okolice pomnika i zrobił to, co powinien.

Jeszcze... klik... nie koniec.

— Posłuchaj mnie — powiedział mężczyzna i Digger słuchał. Miał jeszcze zabić trzy osoby: kogoś o nazwisku Cage, kogoś o nazwisku Lukas oraz Parkera Kincaida. — Tego zabij najpierw. Okay?

— Hm, oczywiście.

Digger zna Kincaida. Był już raz w pobliżu jego domu. Kincaid ma małego chłopca takiego jak Tye. Ale go nie lubi, bo ten Kincaid chce go zabrać ponownie do szpitala w Connecticut. Kincaid chce odebrać mu Tye'a.

— O wpół do piątej — powiedział mężczyzna. — O wpół do piątej, chce, żebyś przyjechał do aresztu federalnego. Będę w klinice, na parterze, z tyłu budynku. Będę udawał chorego. Zabij wszystkich, których zobaczysz, i uwolnij mnie.

— Dobrze.

Digger wchodzi do jadalni i widzi, że Kincaid wydestkuje się spod stołu i wybiega na korytarz. Strzela. Na twarzy Kincaida maluje się przerażenie, takie samo jak na twarzy Ruth, zanim wbił jej szkło w szyję, albo Pameli, gdy ugodził ją nożem w pierś, poniżej złotego krzyżyka, mam dla ciebie prezent kocham cię kocham cię kocham cię bardzo...

Kincaid znika w innej części domu.

Nie ucieknie. Digger o tym wie, ponieważ jego nic nie zmusi do opuszczenia Tye'a. Kincaid nie zostawi małego, jasnowłosego chłopca i ciemnowłosej dziewczynki.

Dopóki Parker Kincaid żyje, on nigdy nie pojedzie do Ka-li-fornii.

Digger wchodzi do salonu, trzymając pistolet przed sobą.

Parker wymknął się Diggerowi. Boleśnie otarł sobie ramiona, upadając na podłogę, i rozbił głowę, kryjąc się pod stołem przed pociskami.

Ktosie! — pomyślał zrozpaczony, skradając się na schody. Nie pozwoli Diggerowi wejść na górę. Umrze, zaciskając dłonie na szyi Diggera, ale ocali dzieci.

Kolejna seria pocisków. Odskoczył od schodów i ukrył się w salonie.

----- 271 -----

Broń... Czego mógłby użyć? Tutaj niczego nie było. Nie może iść do kuchni po nóż. Nie pójdzie też do garażu po siekiere.

Dłaczego, do cholery, oddałem pistolet Lukas.

Parker wskoczył za kanapę. Nagle coś zobaczył: jeden z prezentów Rob-by'ego — aluminiowy kij bejsbolowy.

Wyciągnął go i zacisnął rękę na uchwycie. Zaczął czołgać się w kierunku schodów.

Gdzie on jest? Gdzie?

Usłyszał ciche kroki. Digger stąpał ostrożnie po rozbitym szkłe.

Parker nie wiedział jednak, skąd dochodzą odgłosy.

Z korytarza? Z jadalni? Z jego małego pokoju na parterze?

Co robić?

Gdyby krzyknął do dzieci, by wyskoczyły przez okno, na pewno wyszłyby z pokoju, żeby zobaczyć, co się dzieje. Zatem sam musi dostać się na górę, chwycić dzieci i wyskoczyć z nimi przez okno. Będzie usiłował

zamortyzować ich upadek. Dobrze, że spadł śnieg. Ukryją się w krzakach jałowca.

Tak, tak to musi rozegrać.

Digger szedł powoli w jego kierunku, rozgniatając szkło na podłodze.

Parker uniósł głowę.

Nie! Digger postawił nogę na schodach, miał zamiar wejść na górę. Jego twarz nie wyrażała żadnego uczucia.

Zakazana mordą.

Parker nie mógł tak po prostu podejść do niego, Digger od razu by go zauważył. Nie zrobiłby nawet trzech kroków. Wrzucił kij bejsbolowy do jadalni i rozbił chiński sekretarzyk.

Słyszając hałas, Digger stanął. Odwrócił się powoli i poszedł w jego kierunku, jak potwór w starym horrorze

„Rzecz”.

Był już blisko drzwi do pokoju, gdy Parker wyskoczył zza kanapy. Od Diggera dzieliły go dwa

metry, kiedy ten nadepnął na jedną z zabawek Rob-by'ego. Zabawka pękła z trzaskiem. Digger odwrócił się i wtedy Parker wymierzył silny cios w jego szczękę. Tamten zdołał zrobić lekki unik i osłabić siłę uderzenia. Upadł, jednak unik spowodował, że Parker stracił równowagę. Po chwili rzucił się, chcąc zabrać mu broń, lecz Digger był szybszy.

Chwycił pistolet i wstał z wysiłkiem z podłogi. Parkerowi nie pozostało nic innego jak znowu ukryć się za kanapą.

Pot ściekał mu z czoła, trzęsły mu się ręce. Kulił się.

Nie ma dokąd uciec...

Nie ma...

Digger oparł się plecami o ścianę i zmrużył oczy. W pokoju było ciemno. Wzrokiem szukał Parkera.

272

Parker zauważył ostry, błyszczący przedmiot, który leżał przed nim. Był to długi kawałek szkła. Podniósł go.

Morderca spostrzegł Parkera, który patrzył wprost w jego zmatowiałe oczy. Lukas wcale nie ma martwego wzroku, w jej oczach jest milion razy więcej życia niż w jego — pomyślał Parker. Digger zbliżał się do niego, obchodząc kanapę. Zamarł. Spojrzał na Diggera, na choinkę. Przypomniał sobie, jak w bożonarodzeniowy ranek otwierali prezenty.

Zginie, ale tanio nie sprzeda skóry — postanowił.

Musi mieć jednak pewność, że ocali dzieci. Owinął dolną część kawałka szyby w serwetkę i mocno zacisnął w rękę. Przetnie napastnikowi tętnicę szyjną. Miał nadzieję, że wykrwawi się, zanim dotrze do śpiących na górze dzieci. Bał się pomyśleć, jak zareagują jutro rano. Podciągnął nogi pod siebie.

Dobrze się skończy. Dzieci przeżyją. To jest najważniejsze.

Był przygotowany, by wyskoczyć zza kanapy.

Digger zbliżył się do niego i uniósł broń.

Parker napiął mięśnie.

Nagle rozległ się głośny strzał.

Rzuciło Diggerem. Pistolet maszynowy wypadł mu z rąk, martwy wzrok wlepił w ścianę. Jego głowa odskoczyła do przodu i po chwili upadł na podłogę. Widać było, że pocisk przebił mu czaszkę.

Parker chwycił pistolet, skierował w stronę Diggera i rozejrzał wokół.

Co? — pomyślał nieprzytomny z przerażenia. Co się stało?

Zobaczył jakąś postać w drzwiach.

Chłopiec... Niemożliwe. Mały, czarny chłopiec. Trzymał w rękę pistolet. Szedł powoli do przodu i patrzył na leżącego Diggera. Zachowywał się jak filmowy gliniarz — z pistoletu mierzył w plecy Diggera. Broń była ciężka i trzymał ją obiema rękami.

— Zabił mojego tatę — odezwał się do Parkera, nie patrząc na niego. — Widziałem, jak to zrobił.

— Oddaj mi pistolet — wyszeptał Parker.

Chłopiec wciąż patrzył na ciało Diggera. Łzy spływały mu po policzkach.

— Zabił mojego tatę. Przywiózł mnie tutaj, samochodem.

— Oddaj mi broń. Jak masz na imię?

— Widziałem, jak to zrobił. Stałem koło niego. Czekałem, aż dobiore się do jego dupy. Znalazłem tego gnata w jego samochodzie.

— Rozumiem — powiedział Parker. — Jak masz na imię?

— Nie żyje. To było gównno.

----- 273 -----

Parker zaczął podchodzić do niego, ale chłopiec skierował w jego stronę pistolet. Parker zatrzymał się i upadł na plecy.

- Chcesz tego? Odłóż to.

Chłopiec nie zwracał na niego uwagi. Jego podejrzliwe oczy lustrowały pokój. Zatrzymał wzrok na choince. Po chwili znów zaczął patrzeć na Digge-ra. — Zabił mojego tatę. Dlaczego to zrobił?

Parker wstał, unosząc ręce do góry. — Nie bój się. Nie zrobię ci krzywdy.

Spojrzał w stronę schodów. Ktosie spały.

— Podejdę tutaj, na chwilę — Parker wskazał na choinkę.

Objął wzrokiem chłopca i broczącą krwią głowę Diggera. Podeszedł do choinki. Schylił się i podniósł jakieś

pudełko. Prawą rękę trzymał w górze, lewą podawał chłopcu pudełko z okrętem kosmicznym z „Gwiezdných wojen” — prezentem dla Robby'ego.

— Zamienimy się?

Chłopiec zaczął oglądać zabawkę i opuścił pistolet. Był trzydzieści centymetrów niższy niż Robby i ważył

najwyżej 35 kilogramów. Natomiast oczy miał o dwadzieścia lat starsze niż jego syn.

— Mogę wziąć pistolet?

Chłopiec przyglądał się zabawce. — Dobra — powiedział usatysfakcjonowany. Podał Parkerowi pistolet i zatrzymał okręt.

— Zaczekaj. Zaraz wrócę. Zjesz coś? Jesteś głodny? — zapytał. Chłopiec nie odpowiedział.

Parker wziął Uzi i pistolet i zaniósł je na górę. Schował broń w toalecie na górnej półce i zamknął drzwi na klucz.

Zauważył, że ktoś jest na korytarzu. Robby szedł w jego kierunku.

— Tatusiu.

— Cześć, Robby. — Parker usiłował mówić spokojnie.

- Spałem i wydawało mi się, że słyszałem strzał. Przestraszyłem się. Parker zagroził mu drogę do schodów i zaprowadził z powrotem do pokoju. — To były sztuczne ognie.

— A czy my dostaniemy w przyszłym roku petardy? — zapytał Robby śpiącym głosem.

— Zobaczymy.

Parker usłyszał tupot i wyjrzał przez okno. Chłopiec był już przed domem, ściskając w rękach kosmiczny okręt. I zaraz znikł mu z oczu.

Gdzie stąd uciec? — zastanawiał się Parker. Do Waszyngtonu? Do Zachodniej Wirginii? Nie myślał o chłopcu, myślał o swoim synu.

Położył Robby'ego do łóżka obok siostry. Chciał znaleźć swój telefon komórkowy i zadzwonić pod 911, ale chłopiec nie wypuszczał jego ręki.

----- 274 -----

— Miałeś zły sen? — zapytał Parker.

— Nie wiem, słyszałem tylko hałas.

Parker położył się obok niego i spojrzął na zegarek. Było wpół do czwartej. Joan będzie tutaj z pracownicą socjalną o dziesiątej... Jezu, co za koszmar — dziesiątki dziur po pociskach w ścianach. Zniszczone meble, rozbite drzwi do kuchni i zakrwawiony trup na dywanie.

— Tatusiu — wymamrotała przez sen Stephanie.

— Wszystko w porządku, kochanie.

— Słyszałam wybuchy petard. To Petey Whelan. Jego mama zabroniła mu tego, ale nie posłuchał. Wiedziałam...

— No dobrze. Ale to nie nasza sprawa.

Parker położył się na plecach. Czuł ciężar Stephanie na swoich piersiach.

Myślał o dziurach po pociskach, łuskach, połamanym meblach i zwłokach Diggera.

Wyobraził sobie pozew Joan w sądzie.

Co tu można zrobić? Co wymyślić?

Co...?

Po chwili Parker oddychał głęboko. Zasnął głębokim snem ojca, którego dzieci były bezpieczne w jego ramionach. Nie ma bardziej spokojnego snu.

Gdy otworzył oczy, była za pięć dziesiąta.

Obudził go trzask drzwi samochodu, który zaparkował przed jego domem. Usłyszał głos Joan: — Jesteśmy kilka minut wcześniej, ale sądzę, że nie będzie miał nic przeciwko temu. Proszę uważać. Wiedział, że przyjedziemy, a nie odśnieżył przed domem. To dla niego typowe, bardzo typowe.

Stoczył się z łóżka. Q KR Miał mdłości i bolała go głowa. Wyrzał przez okno.

Joan szła w stronę drzwi wejściowych. Richard, w posępnym nastroju, zamykał pochód — nie zachwycała go ta wizyta. Była z nimi pracownica socjalna. Szła, stukając niskimi obcasami; przyglądała się domowi.

Podeszli do drzwi. Zadzwieczał dzwonek. Koniec...

275

Stal na korytarzu na górze i zaciskał palce u nóg". Nie wpuść jej do domu — powiedział do siebie. Zażądaj od niej nakazu sądowego. W ten sposób zyskasz kilka godzin.

Spojrzał na śpiące dzieci. Chciał je porwać i wybiec z nimi tylnymi drzwiami, a potem uciec do Zachodniej Wirginii.

Przecież to nie ma sensu — pomyślał.

Ponownie odezwał się dzwonek.

Co powinienem zrobić? W jaki sposób ją teraz spławić?

Jednak żadne wykręty nie odniosą skutku. Ta paranoiczka stanie się jeszcze bardziej podejrzliwa. Poza tym dwie, trzy godziny go nie zbawią.

Wciągnął powietrze do płuc i wszedł na schody.

Jak wyjaśnić, skąd wzięły się te dziury w ścianach? A krew? Może powinien...

Parker zszedł na dół.

Szok.

Odwrócona tyłem do niego szczupła blondynka, w długiej czarnej spódnicy i białej bluzce, otwierała drzwi.

To nie był koniec niespodzianek. Jeszcze bardziej zaskoczył go stan pokoi na dole.

Nieskazitelnym.

Nie widać było ani kawałka szkła czy porcelany. Znikły dziury w ścianach — zostały zaklejone i

zagruntowane przed malowaniem. W rogu, na folii stały pojemniki z farbą. Rozbity pociskami fotel został zastąpiony podobnym, tak samo sekretarzyk.

Nie było ciała Diggera — na podłodze znajdował się inny perski dywan niż ten, na którym leżał trup.

Joan, Richard i pracownica socjalna stali w drzwiach, kobieta w czarnej spódnicy odwróciła się.

— O, Parker — powiedziała Margaret Lukas.

— Tak... — odezwał się po chwili. Uśmiechała się tajemniczo.

— Dzień dobry — dodał niepewnym głosem.

— Jak drzemka? — zapytała. — W porządku? — podpowiedziała.

— Tak. Dobrze mi zrobiła — odparł.

Lukas odwróciła się i ukłoniła gościom. — Pani zapewne jest żoną Par-kera — powiedziała do Joan.

— Byłą żoną — poprawiła Joan, wchodząc do środka.

Pracownica socjalna — niska brunetka przy kości — też weszła do domu. Za nimi podążył przystojny, choć niezbyt szybko myślący, Richard.

----- 276 -----

Parker, schodząc po schodach, nie mógł się powstrzymać, by nie dotknąć ściany, w którą — jak dobrze pamiętał

— uderzyła seria pocisków. Była gładka jak policzek Stephie.

Bolała go głowa i ramiona. Uderzył się, upadając na podłogę, gdy Digger wszedł kuchennymi drzwiami do domu. Gdyby nie to, uznalby, że napaść mordercy była tylko koszmarnym snem.

Zdał sobie sprawę, że Joan patrzy na niego z irytującym uśmiechem na ustach. — Powiedziałam: „Cześć, Parker”.

— Witaj, Joan. Cześć, Richard. — Parker stanął na środku pokoju i ucałował Joan w policzek. Podał rękę jej mężowi. Richard miał przy sobie torbę z pluszowymi zwierzątkami.

Joan nie przedstawiła Parkera pracownicy socjalnej, ale ta podeszła do niego i podała mu rękę. Nie zwrócił

uwagi, czy podała nazwisko. Był osłupiały. Joan spojrzała na Lukas. — Nie sadzę, abyśmy się spotkały. Pani...

- Jackie Lukas. Jestem przyjaciółką Parkera.

Jackie? Parker uniósł brwi. Agentka zauważyła ten gest, ale nic nie powiedziała.

Joan spojrzała na zgrabną figurę Lukas obojętnym wzrokiem. Jej oczy pełne cynizmu omiotły pokój.

— Co?... Co ty tu zrobiłeś? Malowałeś pokój? Wczoraj nie zauważyłam tego.

— Miałem trochę wolnego czasu i postanowiłem zrobić mały remont. Jego była żona przypatrywała mu się uważnie. — Wyglądasz okropnie.

Źle spałeś?

Lukas roześmiała się. Joan spojrzała na nią.

— Parker zaprosił mnie na śniadanie — wyjaśniła Lukas, spoglądając na kobiety pełnym konspiracji wzrokiem.

— Potem poszedł na górę, by obudzić dzieci, a sam znów zapadł w drzemkę.

— Typowe — mrukliwym głosem podsumowała jego zachowanie Joan. Gdzie znikła krew? W pokoju było przecież pełno krwi i szkła!

— Napijcie się kawy? Może zjecie bułeczki? Parker przygotował. -Lukas zwróciła się do gości.

— Napiję się kawy i zjem pół bułki — odparła pracownica socjalna.

— Są małe. Przyniosę całą — powiedziała Lukas.

— Dobrze.

Lukas znikła w kuchni i po chwili przyszła z tacą.

— Parker jest całkiem niezłym kucharzem — stwierdziła.

- Wiem — przyznała niechętnie Joan, przypominając sobie ich wspólne życie.

----- 277 -----

Lukas nalała wszystkim kawy i zapytała Parkera: — O której wróciłeś"

w nocy ze szpitala? __ A

— Szpitala? — zainteresowała się Joan. — Czy dzieci były chore? — zapytała, przesadnie akcentując niepokój w głosie. Spojrzała na pracownice socjalną.

— Odwiedził przyjaciela — objśniła Lukas.

— Nie pamiętam — powiedział Parker. — Późno w nocy? — Odpowiedź była właściwie pytaniem. To Lukas była tu „reżyserem" i czuł, że musi podążać za jej wskazówkami.

— Którego przyjaciela? — dopytywała się Joan.

— Harolda Cage'a — powiedziała Lukas. — Wyzdrowieje. Złamał tylko żebro. Potwierdzili to w szpitalu?

— No tak. Złamane żebro.

— Poślizgnął się i upadł — Lukas kontynuowała przedstawienie.

— Właśnie, poślizgnął się i upadł — wyrecytował Parker. Wziął filiżankę kawy, którą podała mu Lukas.

Pracownica socjalna wypila łyk kawy i zjadła drugą słodką bułkę. — Czy mogłabym dostać na nie przepis?

— Oczywiście — odrzekł Parker.

Joan łagodnie się uśmiechała. Obeszła pokój, przyglądając mu się uważnie. — Wygląda zupełnie inaczej. —

Gdy przechodziła obok Parkera, wyszeptała: — No co, Parker, sypiamy z małą, kruchą Jackie? - Nie, Joan.

Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

— Ach.

— Przyniosę jeszcze kawy — powiedziała Lukas.

— Pomogę ci — zaproponował Parker.

Zamknął drzwi w kuchni i zwrócił się do Lukas: — Jak? W jaki sposób...?

Roześmiała się, widząc jego wyraz twarzy. — W nocy dzwoniłeś do aresztu i mówiłeś, że kogoś widziałeś i jesteś niespokojny. Strażnik poinformował mnie o tym i wtedy usiłowałam zadzwonić do ciebie. Firma „Bell Atlantic" poinformowała, że linia telefoniczna jest uszkodzona. Zadzwoniłam do oddziału SWAT w hrabstwie Fairfax. Przyjechali do twojego domu, zachowując wszelkie środki ostrożności, około wpół do czwartej. Znaleźli zwłoki na dole i ciebie — smacznie śpiącego w łóżku z dziećmi. Kto zastrzelił Diggera? To nie byłeś ty?

— Jakiś chłopiec. Powiedział, że Digger zabił jego ojca. Digger przywiózł go tutaj. Nie wiem, po co. Ten chłopak uciekł. A teraz ty odpowiedz mi na pytanie: czyje ciało znaleziono w autobusie?

----- 278 -----

— Kierowcy. Przypuszczamy, że Digger nie zabił go, gdy dostał się do autobusu, ale wykorzystał jako osłonę, przechodząc do tyłu pojazdu. Dopiero potem go zastrzelił i strzałami z pistoletu podpalił benzynę w baku.

Uciekł, korzystając z osłony dymu oraz zamieszania. Był bardziej inteligentny, niż mogłoby się wydawać.

Jednak Parker pokręcił głową. — Nie, to Fielding. Powiedział Diggerowi, żeby to zrobił. Nie zamierzał wcale poświęcać swojego „przyjaciela”. To nie miała być ich ostatnia robota. Fielding miał dalekosiężne plany... No dobrze, ale mój dom... — Parker zrobił szeroki gest ręką. — W jaki...

— Cage. Przeprowadził kilka rozmów telefonicznych. Cudotwórca.

— Nie wiem, co powiedzieć.

— To my namówiliśmy cię, żebyś wziął udział w tej paskudnej sprawie. Przynajmniej tyle mogliśmy dla ciebie zrobić.

Parker nie protestował. - Zaraz... Jak ty się przedstawiłaś? Jackie?

Zawahała się. — Tak mówiła do mnie rodzina. Teraz nie używam tego zdrobnienia.

Rozległy się kroki na schodach, potem głuchoe odgłosy, gdy dzieci wchodziły do pokoju gościnnego. Parker i Lukas mogli usłyszeć radosne okrzyki: — Mamusiu! Cześć!

— Witam was oboje — powiedziała Joan. — Tutaj, tutaj... to jest dla was.

Szelest papieru.

— Podoba się? — spytała Joan. — Czy tak?

— O, miś — niepewnym głosem powiedziała Stephanie. Robby roześmiał się głośno.

Parker kręcił głową, słysząc, jaki prezent kupiła jego była żona. Uśmiechnął się do Lukas. Nie zauważyła, zwróciła głowę w stronę drzwi, skąd dochodziły głosy dzieci. Stała zahipnotyzowana. Po chwili wyjrzała przez okno i zaczęła patrzeć na padający śnieg. W końcu odezwała się: — Ta twoja była żona... Jesteście tacy różni.

Parker roześmiał się. Słowa Lukas oznaczały: Dlaczego się z nią rozstałeś?

Chętnie by jej opowiedział, ale teraz nie było na to czasu. Poza tym powinno to być częścią skomplikowanego ceremoniału, w czasie którego Lukas musiałaby opowiedzieć o sobie: O Jackie i Margaret.

Była dla niego zagadką. Parker spojrzał na nią: na jej makijaż i biżuterię. Zauważył, że pod jedwabną bluzką miała koronkową bieliznę. Dzisiaj pachniała perfumami, nie mydłem. Co mu to przypomina? Nie wiedział.

----- 279 -----

Spojrzała w jego zaciekawione oczy. Znow go złapała. Nie zwracał na to uwagi.

— Nie wyglądasz na agentkę FBI.

- Dziś pracuję w ukryciu — roześmiała się. — Jestem w tym dobra. Kiedyś' udawałam żonę zabójcy z mafii.

— Włoszkę? Z twoimi jasnymi włosami?

— Ufarbowałam je. — Przez chwilę nic nie mówiła. — Zostanę tutaj, póki ona nie pójdzie. Myślę, że namiastka życia rodzinnego, którą stworzymy, wywrze dobre wrażenie na pracownicy socjalnej.

— Nie mogę tego wymagać od ciebie. Wzruszyła ramionami w sposób godny Cage'a.

— Wiem, że masz plany na dzisiaj — dodał. — A ja i Ktosie mamy coś do zrobienia w ogrodzie.

— Spadł przecież śnieg.

— Musimy wyciąć niektóre krzewy. Potem będziemy jeździli na sankach? Na to chyba nie ma za dużo śniegu?

Przerwał. To nie było w jego stylu. Czemu mówił takim zaczepnym tonem? Jesteśmy zdenerwowani?

— Nie wiem, czy jesteś zainteresowana, ale... — ponownie przerwał.

— Czy to jest zaproszenie?

- No tak.

— Jakie to ja miałam plany? Posprzątać w domu i dokończyć szycie bluzki dla córki mojej przyjaciółki.

— Czy to oznacza, że przyjęłaś zaproszenie?

— Sądzę, że tak — uśmiechnęła się niezobowiązująco. Przez chwilę nic nie mówiła. — Powiedz, czy smakowała ci kawa. Rzadko ją parzę. Zwykle chodzę do kawiarni.

— Bardzo dobra.

Wyjrzała przez okno, ale po chwili spojrzała na drzwi, nasłuchując głosów dzieci.

- Rozwiązałam ją — zwróciła się do Parkera.

— Co?

— Łamigłówkę.

— Łamigłówkę?

— „Ile jastrzębi zostało na dachu?” Dziś rano, gdy siedziałam w twoim domu, rozwiązałam ją.

— Dobrze, podaj odpowiedź.

— Podchwytliwa zagadka — jest więcej niż jedna odpowiedź.

----- 280 -----

— Tak, ale to wcale nie oznacza, że zagadka jest podchwytliwa. Dobrze myślisz, zakładając, że istnieje kilka rozwiązań. To jest pierwsza rzecz, której uczą się rozwiązujący łamigłówki.

— W łamigłówce nie są podane wszystkie informacje niezbędne do jej rozwiązania.

Przytaknął.

— Nic nie wiemy o naturze jastrzębi.

— Co wspólnego z tą zagadką ma natura jastrzębi?

— Ponieważ — skierowała palec w jego stronę i zalotnie się uśmiechnęła — jastrzębie mogły przestraszyć się wystrzału lub nie. Pamiętasz, że farmer był daleko? Tu tkwi klucz do rozwiązania zagadki.

— Tak, i co dalej.

— No cóż, farmer zastrzelił jednego jastrzębia, ale nie wiemy, co zrobiły dwa pozostałe. Oba mogły odlecieć, jeden lub też żaden z nich nie odfrunął. Zatem mamy trzy odpowiedzi.

— Hm, a czy wzięłaś pod uwagę wszystkie możliwości? Zmarszczyła czoło. — Co masz na myśli? Czy dobrze rozwiązałam łamigłówkę, czy nie?

— Nie.

— Dobrze! — protestowała.

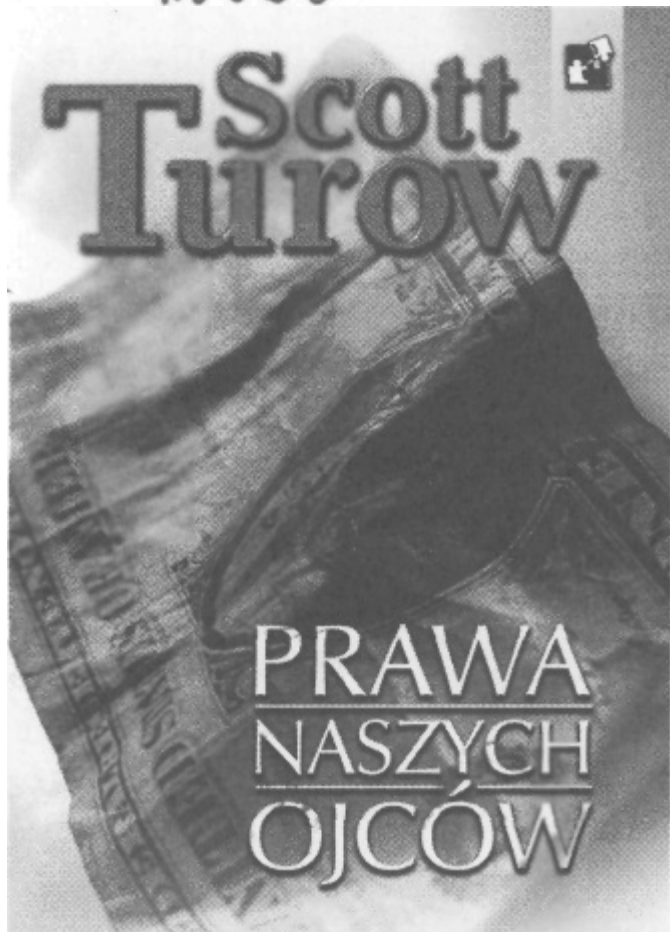
— Nie — roześmiał się.

— Ale udzieliłam częściowo poprawnej odpowiedzi?

— Przy rozwiązywaniu łamigłówek takie zwierzę jak częściowo poprawna odpowiedź nie istnieje. Czy chcesz znać rozwiązanie?



23395



Zawahała się. — Nie. Popracuję jeszcze nad nią.

Był to dobry moment, by ją pocałować. Lukas nalała kawy i Parker wrócił do pokoju, żeby uściskać dzieci i powiedzieć im „dzień dobry” w pierwszym dniu nowego roku.

Od autora

Usiłując rozwiązać łamigłówkę, Jackie Lukas przyjęła fałszywe założenie, że zabity jastrząb spadł z dachu.

Mógł pozostać. Pytanie nie brzmiało: „Ile żywych jastrzębi pozostało na dachu?”, ale — „Ile jastrzębi...?” Zatem odpowiedź jest następująca: 1) Trzy jastrzębie — zabity nie spadł z dachu i pozostałe nie odleciały. 2) Dwa jastrzębie — zabity spadł z dachu, pozostałe nie odfrunęły albo zabity nie spadł z dachu, natomiast odleciał

jeden z ocalałych. 3) Jeden jastrząb — na dachu pozostał zabity albo jeden z żywych drapieżników. 4) Nie pozostał żaden z jastrzębi — zastrzelony spadł, pozostałe odleciały.

Autor chciałby podziękować Yernonowi Geberthowi, którego wspaniała książka „Wykrywanie i analiza przestępstw” była milowym krokiem dla procedur policyjnych i dostarczyła mu bezcennych

informacji, które wykorzystał w tej i innych powieściach. Łamigłówek zawarte w „Łzach diabła” pochodzą, z pewnymi zmianami, z „Nietypowych łamigłówek” autorstwa Paula Sloane'a i Desha MacHale'a.

Nakładem

Sr

Scott Tirow PRAWA NASZYCH OJCÓW

Śmierć June Eddgar w ulicznej strzelaninie wydaje się przypadkowa do momentu, kiedy jej syn, Nile, na wieść o wypadku oświadcza, że to z jego winy.

Bo tak naprawdę miał tam zginąć... jego ojciec, Loyell Eddgar, senator stanowy!

Sędzia Sonia Klonsky zostaje wyznaczona do prowadzenia tej sprawy. Jej bezstronność zostaje jednak położona na szalę, kiedy się okaże, że główne role w powikłanej historii, sięgającej korzeniami lat sześćdziesiątych, odegrają: adwokat obrony Hobie Tuttle, reporter Seth Weissman i senator Eddgar, znani jej wtedy chyba zbyt blisko, by mogła o nich teraz zapomnieć.

I wydać sprawiedliwy werdykt...

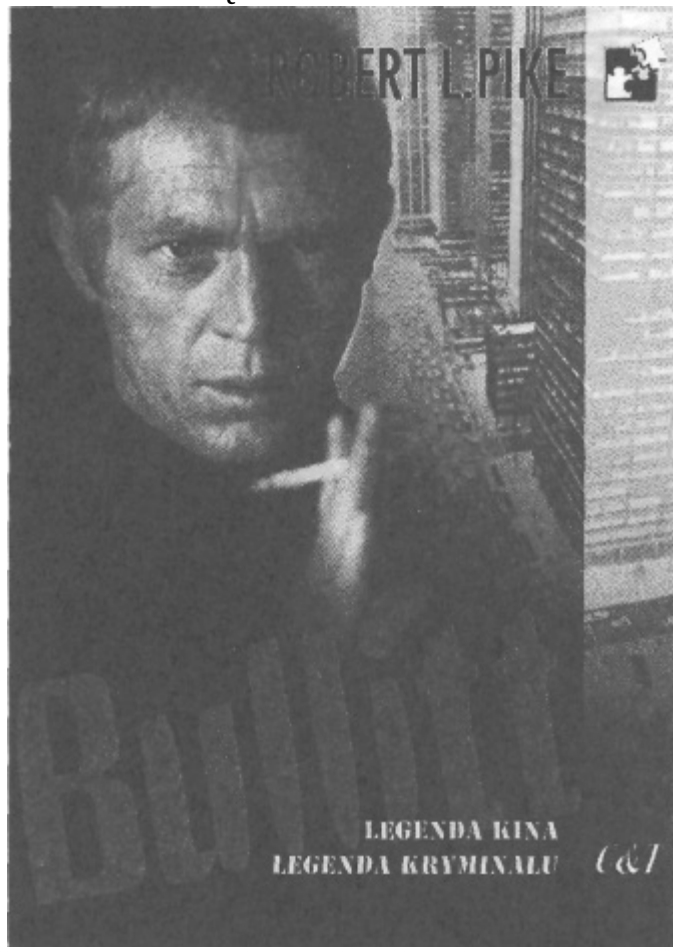
Nakładem

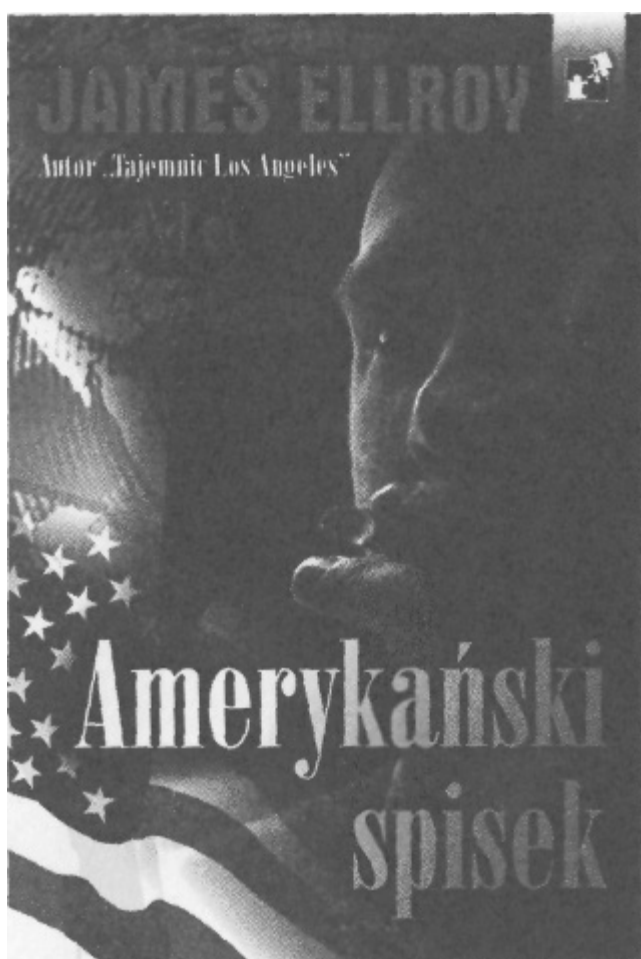
C&T

\

m

Robert L. Pike BULLITT





Porucznik Clancy z 52. Posterunku w Nowym Jorku staje przed jednym z najtrudniejszych zadań w swej policyjnej karierze.

Johnny Rossi, gangster i kanciarz, wsypał swoich kompanów z Zachodniego Wybrzeża i ma zeznawać przed Stanową Komisją do Spraw Przestępczości.

Obowiązkiem porucznika Clancy'ego jest dopilnować, by Rossi dożył przesłuchania. Niby dziecinnie łatwe dla tak wytrawnego gliniarza.

Dopóki...

Z filmowej wersji tej powieści amerykańskiego klasyka „kryminału” do historii kina przeszedł nie tylko Steve McQueen w roli nieugiętego porucznika, ale i szalony pościg samochodowy.

Nakładem

C&T

James Ellroy AMERYKAŃSKI SPISEK

Jest rok 1958. Howard Hughes uchyla się od wezwań do sądu. Gdyby odkrył jakieś brudy klanu Kennedych, mógłby z tego wyjść cało.

Taką kartę przetargową ma nadzieje wypracować dla niego Pete Bondurant. Ten spec od brudnej roboty, były gliniarz, nie zawaha się przed niczym.

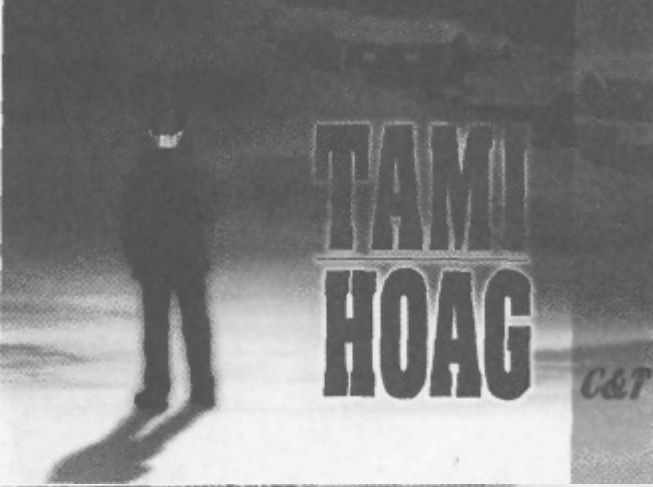
Nawet gdy na drodze stanie mu dawny znajomy: Kemper Boyd. Jego to właśnie wyznaczył sam Edgar Hoover do infiltrowania Kennedych z ramienia FBI. Na wypadek, gdyby JFK „przejął” owalny gabinet...

A w tym czasie młody gorliwy prawnik, Robert Kennedy, mocno przejęty jest walką z mafią...

Taki jest początek tej historii. A jej koniec przypadnie na pamiętny dzień 22 listopada 1963 roku. W Dallas. I wielu z jej bohaterów znajdzie się w tym miejscu.

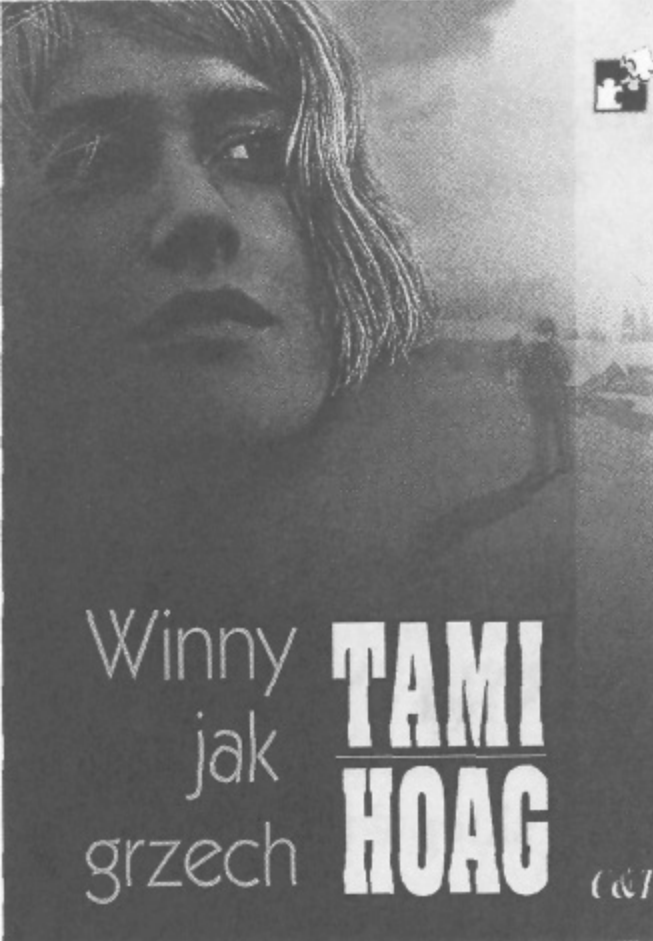


NOCNE GRZECHY



TAMI HOAG

C&T



Winny
jak
grzech

TAMI HOAG

C&T

Nakładem

C&T

Tami Hoag NOCNE GRZECHY

Oto małe miasteczko w stanie Minnesota. Przesłpstwo jest tu czymś, co po prostu się nie zdarza.

Jego mieszkańcy mają właśnie przeżyć swój najgorszy koszmar. Ginie mały chłopiec. Nie ma żadnych świadków ani śladów - tylko kartka z wiadomością od sprawcy, błyskotliwie okrutna. Czy to element misternego planu bezwzględnego porywacza? A może sygnał od seryjnego mordercy, który przez lata powstrzymywał żądzę zabijania?

Uparta policjantka, dla której ta sprawa to „być albo nie być”... Miejscowy glina, który przeczuwa, że demony wielkiego miasta wdarły się w ciche życie prowincji... Razem bronią miasteczka przed szaleńcem, którego okrucieństwo nie ma granic...

Nakładem

C&T

Tami Hoag WINNY JAK GRZECH

Porwanie ośmioletniego Josha pogrążyło miasteczko Deer Lakę w koszmarze. Kiedy porywacz zostaje ujęty, a Josh wraca do domu, ciągle niewiele się wyjaśnia -by nie powiedzieć, że wręcz komplikuje...

Chłopiec milczy jak zakłęty, porywacz twierdzi, że jest niewinny, a zastępca prokuratora okręgowego, Ellen Norm, staje pod ostrzałem mediów. Zwłaszcza że oskarżonego ma bronić jej były kochanek.

A potem wszystko rusza jak lawina: drugie dziecko zostaje porwane, choć porywacz jest w areszcie, Ellen dostaje anonim: „Pierwsze, co zrobimy, to zabijemy wszystkich prawników”, a Jay Brooks, sławny autor reportażu kryminalnych, drąży akta sprawy i... uczucia pani prokurator.



Sprzedaż wysyłkową książek

wydawnictwa C&I

prowadzi:

merlin.com.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA

www.merlin.com.pl e-mail: sklep@merlin.com.pl